



*Andrzej Janicki*

*Porwany w przestrzeń*

*Tom III*

*Szklane Góry*

## Część III

### Szklane Góry

#### Rozdział I

##### Mewa

To była wspaniała noc na bezkresnym oceanie, migocąca światłem tysięcy gwiazd. Mały jacht żaglowy, „Mewa” pracowicie pruł fale, popychany ciepłym tchnieniem przychylnego wiatru. Na jego pokładzie sześć par dziewczęcych oczu śledziło w milczeniu światła dalekich okrętów. Nagle gdzieś w głębi granatowego nieba odezwał się przeraźliwy świst: popod rozległym łukiem Drogi Mlecznej przemknęła eskadra odrzutowców. Potem znowu zapadła cisza, przerywana tylko skrzypieniem masztu i rei.

773 mile dzielą Bermudy od Nowego Jorku. Mewa przebyła już szczęśliwie większą część trasy, korzystając z pięknej lipcowej pogody i pomyślnych wiatrów. Załogę jachtu stanowiła szóstka dziewcząt, z których najstarsza, Ania,

liczyła 17 lat, najmłodsza, Joasia, 14. Z wyjątkiem 16-letniej Krysi, która większą część życia, spędziła na Ziemi Kolumba, przybyły do Stanów Zjednoczonych, wygnane z Polski zawieruchą wojenną. Zetknęły się ze sobą na terenie jednej z organizacji emigracyjnych, polubiły, a uspołeczniona z natury Ania związała swoje nowe przyjaciółki w rodzaj zastępu harcerskiego. Dziewczyna od dzieciństwa wychowywała się w atmosferze marynarskiej. Jej ojciec: w czasie wojny dowodził jednym z mniejszych okrętów liniowych, który był współudziałowcem amerykańskiej kompanii okrętowej i sam wytrawnym żeglarzem. Ponadto, od urodzenia mieszkając w Gdyni, Ania zżyła się z morzem i pokochała je. Nic więc dziwnego, że zastęp, który stworzyła, stał się zastępem morskim, a jego członkinie przybrały nazwę „Mew”. Stryj pozwolił dziewczętom używać swego, jachtu żaglowego a ojciec wtajemniczył je w sztukę żeglowania. Korzystając z wakacji Mewy — z pozwoleniem rodziców, choć nie bez ich obaw — opuściły Nowy Jork i skierowały się ku Bermudom. Obecnie podróż dobiegała końca. Nazajutrz rano uroczę wyspy powinny się wyłonić z głębin Atlantyku.

— Co za cudna, tajemnicza noc — przerwała milczenie Joasia, dziewczyna o wielkich marzących oczach, które potrafiły widzieć rzeczy niedostępne innym. — Takiej nocy powinno „coś” się zdarzyć...

— Nie wywołuj wilka z lasu — odparła jej szybko nieco przesadna, czarnowłosa Danusia. — Niech się nic nie dzieje! Podróż była przyjemna, ale z rozkoszą postawię jutro stopę na stałym lądzie. Aniu, czy my przypadkiem nie minimy Bermudów w nocy?

— Nie bój się, szcurze lądowy, znam dokładnie nasze położenie. Nic się nie wydarzy, Joasiu.

Ania urwała w pół zdania. Od strony amerykańskiego lądu wybiegł zza widnokregu świetlny punkt i zbliżał się ku jachtowi z niezwykle szybkością. Dziewczęta widziały teraz wyraźnie rosnącą w oczach pomarańczową kulę, która siała za sobą złoty ślad.

— Meteor — wykrzyknęła Basia.

„Meteor” przeleciał ponad pokładem „Mewy” i... zawisł w miejscu. Trwał chwilę bez ruchu, po czym ruszył wolno, zataczając krąg wokół jachtu.

Dziewczęta wstrzymały oddech.

— Flying saucer\* — wyszeptała Krysia. Pomarańczowa kula, której blask nieco przygasił, przybrała teraz rzeczywiście kształt olbrzymiego dysku z półokrągłą wieżyczką pośrodku. Nie wydając żadnego dźwięku, zjawisko schodziło wielkimi spiralami coraz bliżej jachtu. Wtem zmieniło kierunek. Dysk poszybował prosto i zapadł w wodę o pół mili przed dziobem Mewy.

— A więc latające talerzyki naprawdę istnieją — przemówiła Ania, sceptyczna dotąd wobec alarmów prasy na temat pojawiania się na niebie zagadkowych przedmiotów.

— Zawsze ci mówiłam! — z nutą tryumfu w głosie zawołała Joasia, dziewczę o bujnej fantazji, do której wszystkie żywo przemawiały tajemnicze zjawiska — Patrzcie, jak morze paruje, tam gdzie upadł!

— Zaraz znajdziemy się we mgle!

W pięć minut później biały opar ogarnął jacht.

— Jak duszno się zrobiło — tłuściutka Zula z trudem łapała powietrze.

— Gorzej, bo nic nie widać i możemy teraz wpaść na kogo — dodała Ania, kapitan, niepokojna o całość statku i załogi.

— Zaraz wyjdziemy z mgły — pocieszała Basia. — Nie mógł przecież zadymić całego ocea-

nu.

— W głowie mi się kręci — słabowita i nie-normalnie szczupła Joasia usiadła ciężko na zwoju lin.

Lecz i inne dziewczęta odczuwały zawrót głowy. Jedna po drugiej osuwały się na pokład. Mamrotała coś jeszcze niewyraźnie Krysia. Usiłowała się podnieść Anka, lecz na darmo. Wkrótce cała załoga „Mewy” utraciła przytomność.

\* \* \*

Oprzytomniały niemal równocześnie.

— To nas ten dysk urządził! — ozwała się pierwsza Basia. — Mam nadzieję, że ta mgła nie była radioaktywna.

— Kto wie? Ale spójrzcie, jak szybko niebo się zachmurzyło — zauważyła Ania — ani jednej gwiazdy... a według mego zegarka nie upłynęło nawet piętnaście minut,

— Czyśmy nie zboczyły z kursu?

— Nie; kwadrans nie wiele znaczy. Sprawdziłam kurs według kompasu. Idź, Krysio, nastaw radio i może coś powiedzą o tym talerzyku.

Krysia skrzywiła sympatyczną buzię:

— Na pewno nie. One zawsze tak się zjawiają, że je widzi tylko kilka osób, a inni potem wyśmiewają się z ich opowiadania. Ale dowiemy się, co z pogodą... oby burzy nie było... tak gorąco i parno.

Na pokładzie pozostały Ania i Basia. Na próżno starały się przebić wzrokiem nieprzeniknione ciemności.

— Jeszcze chyba nigdy nie miałyśmy tak czarnej nocy. Brrrr... jak w grobie. — Basia wzdrygnęła się, jakby przeszedł po niej nagły chłód. — Zapalę jeszcze jedną lampę, dobrze?

Zabłysło dodatkowe światło i rozjaśniło pokład jachtu oraz okrągłą buzię Basi, ozdobioną figlarnie zadartym noskiem. Twarz dziewczynki wyrażała zdziwienie.

— Aniu! Ktoś zamienił mój kostium. Mam na sobie zielony Krysi.

W tej chwili Krystyna wystawiła spod pokładu swą rudą czuprynę.

— Radio diabli wzięli — oznajmiła. — Same trzaski i gwizdy..., a poza tym jak to się stało, że mam na sobie twój kostium, Basiu?

— Ona jak zwykle robi kawały. Obudziła się wcześniej...

— Słowo daję, to nie ja! — broniła się dziew-



czyna.

— To może— Joasia, ona też miewa pomysły... ale z tym radiem to gorzej... Dobrze, że Bermudy tuż. Ujrzymy je rano. Teraz idźmy spać.

\* \* \*

Wstawał ranek. Słońce, wielkie jakieś dziś i zamglone, wyłoniwszy się przed, godziną z głębi, oceanu, wspinało się zmusznie po niebie. „Mewa” szła rażno w kierunku południowo-wschodnim.

Wobec wczesnej godziny większość załogi jachtu spała jeszcze. Przy kole sterowym czuwała piętnastoletnia Basia. Jej niebieskie oczy przyprószała coraz silniejsza senność. Dziewczyna ziewała na potęgę i marzyła o wygodnej koi w kajucie.

Ania była drugą osobą, która tego ranka nie oddawała hołdu bożkowi snu. Stojąc na dziobie jachtu z lornetką przy oczach, obiegała dal morską, niespokojnym wejrzeniem. Poczucie odpowiedzialności za losy wyprawy kładło się cieniem powagi na jej regularnej, ładnej twarzyczce o szarych oczach i krótko przystrzyżonej, płowej grzywce.

Według obliczeń Ani już od dawna powinien ukazać się ład, Tymczasem wciąż, jak okiem sięgnąć, widać było jedynie migotliwą toń wody. Niepokoiło ją także to, że wokół nie dostrzegła ani śladu jakiegokolwiek okrętu, choć koło Bermudów krzyżują się wielkie trasy transoceaniczne. Nad głową nie zawarczało śmigło samolotu, ani nie rozległ się świst odrzutowca.

— Czyżbyśmy się tak daleko odbiły od kursu? Niemożliwe!”

Z ciężkim sercem Ania odjęła lornetkę od oczu i podeszła do koła sterowego, by zwolnić ze służby senną Basie.

— Idź spać: — rzekła do niej. — Ja teraz posteruję. Coś naszych Bermudek nie widać.

— Nie bój się — odparła sterniczka — moim szóstym zmysłem czuję ziemię w pobliżu. Spójrz zresztą, więcej ptaków pokazało się w powietrzu. Wczoraj ich tyle nie było. Nosem też czuję jakby inny zapach.

Mówiąc to wciągnęła głośno w zadarty nosek wilgotny powiew porannego wiatru i zniknęła pod pokładem.

Ania dopiero teraz zwróciła uwagę na ptactwo, uwijające się wrzaskliwie wokół jachtu; siadające na maszcie. W jej oczach odbiło się zdzi-

wienie. Ani jednej mewy. Przeważały nieznane żółto–zielone ptaki o czaplich dziobach.

— Dziwne — szepnęła sama do siebie.

Wtem w otworze, w którym niedawno zniknęła Basia, ukazało się złoto–rude zjawisko, o kilku wdzięcznych piegach na zaspanej twarzy i w stroju raczej skąpym. Krysia przeciągnęła się rozkosznie w świeżym wietrzyku i rzekła zaczepnie:

— Obiecywałaś nam, kapitanie, ład na rano, a tu morze i morze. Już mi się ono całkiem znużyło.

Ania uczuła wzbierającą w niej niechęć do Krystyny, niechęć, z którą walczyła od dłuższego czasu. Rudowłosa rówieśniczka Ani była pewnym dysonansem w harmonijnym na ogół zespole Mew. Weszła w ich grono bardzo niedawno, nie zdążyła zżyć się, a posiadając sama zacięcie przywódcze, niechętnie słuchała rozkazów Ani. Córka byłego konsula amerykańskiego w Polsce, który stamtąd przywiózł sobie żonę, od dawna zamieszkała w Stanach, uważała się za bardziej doświadczoną życiowo i nowocześniejszą od swoich „zielonych” koleżanek. Jedynaczka, której rodzice pozwalali na wszystko, wychowała w sobie ducha kapryśnego i nieza-

leżnego.

— Ład nie zając, nie ucieknie — odparła Ania, z trudem hamując niecierpliwość, — Ale tyle razy ci mówiłam, żebyś się ubierała przyzwoiciej. Tutaj nie kabaret paryski. Jazda do kabiny!

— Ani mi się śni. Niech żyje swoboda, powietrze i słońce!

Na twarz Ani wystąpił rumieniec gniewu. Szukowała się awantura. Już otwierała usta, żeby wybuchnąć, gdy Krysia wskazała ręką ku wschodowi.

Ania z radości zapomniała o gniewie i chwyciła za lornetkę. Na horyzoncie majaczyła sina smuga.

— Tak, tak to ziemia! Zawołała podniecona. — Dzięki Bogu! Muszę przyznać, byłam już niepokojna. Szczególnie martwi mnie ta pogoda. Widziałas kiedy tyle świetlistych kręgów wokół słońca? Czy to nie zapowiedź tajfunu?

— Do tego to słońce takie jakieś ogromne...

W godzinę później wyraźnie było widać wybrzeże. Z wyjątkiem Basi, odsypiającej swą służbę, wszystkie Mewy znalazły się na pokładzie.

— To nie są Bermudy — stwierdziła niespo-

dzianie z absolutną pewnością w głosie Ania. — Popatrzcie: skąd się wzięły te stożki wulkaniczne? Bermudy wystają niewiele co ponad poziom morza...

— Więc gdzie jesteśmy? — padły pytania.

Ania wzruszyła ramionami:

— Nie mam pojęcia. Gdybyśmy zboczyły z trasy, to powinnyśmy widzieć tylko morze i morze. Innych wysp nie ma w promieniu kilkuset mil.

— Wczorajszy nocy ktoś coś nam pokręcił — podsunęła mgliste wyjaśnienie Joasia.

— Zapanowało milczenie. Przerwała je Zula; pulchne stworzenie o długim blond warkoczu, spadającym na plecy:

— Wy się martwicie, ja idę szykować śniadanie.

Ledwo zeszła na dół, ukazała się znowu zmieszana i zakłopotana:

— Wszystkie nasze zapasy rozwiały się w powietrzu — oznajmiła grobowym głosem. — Ani jednej puszki, tylko bak pełen wody, choć jej już było mało.

— Ktoś obcy musiał by kto i po co?

— Ja wam jeszcze jedną rzecz powiem — wmieszała się do rozmowy Danusia. — Wiecie, że rok temu miałam operację na ślepą kiszka.

Dziś rano stwierdziłam, że ani śladu po bliźnie nie zostało. Nic nie mówiłam...

— A u mnie znikła taka brzydka brązowa plama, którą miałam na prawym boku.

— Ale popatrzcie: Czy mi się wydaje, czy nasz chudzielec, Joasia, nie zaokrągliła się wydatnie? I taka różowa na twarzy.

W oczach chorowitej dziewczynki ukazały się łzy:

— Coś się stało ze mną? Tak dobrze się czuję. A ten kostium zrobił się przeraźliwie ciasny — uśmiechnęła się. — Ale ty, Krysiu, jakbyś miała mniej piegów na twarzy. Tylko ich kilka zostało...

— To niedobrze — zauważyła Basia — kobieta bez piegów jest jak niebo bez gwiazd. Straciłaś, Krysiu, na uroku.

Podobne uwagi i spostrzeżenia krzyżowały się w powietrzu, nie rozjaśniając bynajmniej tajemnicy. Tymczasem jacht był już blisko brzegu. Ania skierowała „Mewę” do niewielkiej zatoki o piaszczystej plaży.

— Patrzcie na te drzewa! — zawołała Krysia, — Byłam z rodzicami na Hawajach i Tahiti, ale takich palm nigdzie nie widziałam.

Rzeczywiście zatokę ocieniały dziwne palmy:

ponad koroną wiotkich gałęzi wystrzelały pędy długie na kilka metrów, pokryte kiściami ogromnych, wielobarwnych kwiatów.

Zwinięto żagle i „Mewa” spuściła kotwicę naprzeciw miejsca, gdzie wpadała do zatoki spora rzeczka. Tworzyła ona widoczny z morza wodospad. Gigantyczna roślina, przypominająca nieco paproć, rozpościerała nad nim zielone, cieniście sklepienie. Dziewczęta nęcił szum wodospadu i obietnica orzeźwiającej kąpieli, ale wstrzymywał strach przed nieznanym, które mogło kryć się w głębi wody i za ścianą egzotycznej roślinności.

Kiedy wahały się, co czynić dalej, spoza prawego ramienia zatoki wychylił się niewielki kuter motorowy, wyrzucając z komina kłęby dymu. Na rufie powiewała białoczerwona flaga.

— Hurrraaa! Wreszcie dowiemy się czegoś.

Na dawane z „Mewy” rozpaczliwe znaki kuter zwolnił biegu, zmienił kierunek i w parę minut później zatrzymał się przy burcie jachtu. Na pokładzie obcego statku stało trzech, spalonych na brąz mężczyzn, przepasanych w biodrach wzorzystymi, kolorowymi przepaskami. W chwili po zatrzymaniu się statku spod pokładu wyszły też dwie kobiety, przybrane w hawajskie

kolorowe sarongi o kwietnym deseniu.

Jeden z mężczyzn, niski i okrągły, o poczciwej twarzy, machnął ku dziewczętom przyjaźnie rękę i zawołał po polsku:

— Czego chcecie? Miałyście jaki wypadek? Co się same włóczycie po tym pustkowiu?

— O, drogi panie, — zawołała Ania — proszę nam powiedzieć, gdzie jesteśmy, bo się nam coś pomieszało w czasie jazdy.

— To są Śpiewające Wyspy — odpowiedział. — A wy skąd i dokąd żeglujecie?

— My jechaliśmy na Bermudy...

— Bermudy? Nigdy o takich nie słyszałem, lecz sam tych okolic dobrze nie znam. Może tu, gdzieś jest taki archipelag. My na naszym poczciwym „Bocianie” — spojrział z czułością na kuter — szukaliśmy rośliny „gnu” i wracamy z nią do Nowego Krakowa. Wy skąd płyniecie?

— My? Z Nowego Jorku, ale co to za Nowy Kraków?

Rozmówca z „Bociana” popatrzył na Anię z taką miną, jakby podejrzewał, że kpi z niego. Po czym rzekł szorstko:

— Nie mam czasu na żarty... Jeśli czego więcej potrzebujecie, mówcie prędko, żywności znajdziecie na tej wyspie pod dostatkiem. Jest



„bezludna i bezpieczna, jak dziecinna ochronka... Jeśli chodzi o kierunek dalszej jazdy, to najbliższy port Fobla na Danie, prosto na zachód, jak strzelił. Wolicie Nowy Kraków, to jazda na południe aż do pierwszych wysp i dalej wzdłuż Archipelagu Kuambi. Co jeszcze chcecie wiedzieć?

— Jaka data dzisiaj? — wtrąciła pytanie Krystyna.

— Cóż to za żeglarze, którzy tracą rachubę czasu — odparł kapitan. — Mamy dziś dzień 3 stycznia roku 3120... po Chrystusie — Ostatnią uwagę dodał z uśmiechem, uważając ją widocznie za dobry dowcip.

Dziewczęta stały zdumione z otwartymi ustami. Kapitan „Bociana” popatrzył po nich raz jeszcze nieco niepewnym wzrokiem, po czym wzruszywszy ramionami dał znak do dalszej jazdy. Zawarczała turbina, ponad jej terkotem załoga „Mewy” usłyszała uwagę jednej z kobiet:

— Jak one są śmiesznie i niewygodnie ubrane — wskazała ręką na dziewczęta, które miały na sobie w większości kostiumy kąpielowe. Druga kobieta coś jej odpowiedziała, czego już nie można było dosłyszeć. „Bocian” oddalił się w kierunku południowym.

— Ten dobroduszny jegomość myślał, że zar-  
tujemy z niego — odezwała się Zula — i sam z  
nas zakpił.

— Mylisz się, drogi pączku w maśle — odpo-  
wiedziała Krysia. — On mówił prawdę. Mnie już  
od rana chodziło po głowie pewne podejrzenie,  
ale uważałam je za zbyt fantastyczne, by się  
nim dzielić. Fantazja — to podobno specjalność  
Joasi. Ten latający talerzyk przeniósł nas o ty-  
siąc, a nawet więcej lat w przyszłość. Ziemia  
przeszła przez ten czas przez różne przeobraże-  
nia, może katastrofy...

— Dość, dość tego! — krzyknęła Basia potrzą-  
sając przy tym kosmykami jasnych włosów,  
pchających się do oczu — bo oszaleję. Za dużo  
czytałaś tych bzdurnych komików i pseudo-  
naukowych powieści... Zresztą w twoim, rozu-  
mowaniu tkwi zasadniczy błąd: fruwające  
spodki są podobno szczytem techniki, jeżeli  
nadlatują z przyszłości i przeniosły nas w przy-  
szłość, to skąd ten prymitywny kuter? Patrz,  
jak wolno człapie po morzu... Nie, nie, dajmy  
spokój teoriom. W tej chwili chcę się wykąpać,  
potem jeść, bo jestem głodna jak wilk. To jest  
coś realnego!

To mówiąc, dała głębokiego nurka w wodę. Za

jej przykładem poszły i inne Mewy. Jedynie Ania stała jeszcze przez chwilę na pokładzie, lustrując baczным spojrzeniem plażę i zieloną, gęstwinę. W głowie szumiało od niespokojnych pytań, ale wreszcie i ona wzruszyła z rezygnacją, ramionami i rzekła do samej siebie:

— A i tak nic nie wykombinuję. Basia ma rację...

Za chwilę i nad nią zamknęły się miękkie, chłodne fale i otoczyła zielonawa, rozkoszna poświata. Zamigotały czerwono—złote rybki, uciekając w popłochu. Kąpiel była wspaniała. Woda rzeczna namaszczała ciało przyjemnym chłodem, walka zaś z rwącym wodospadem dawała ujście młodzieńczej energii.

Po dwudziestu minutach wodnej zabawy ..Ania skinęła na Basię. Dopłynęły obie do jachtu: i spuściły na wodę małą „dinghy” nadymaną powietrzem. Należało udać się na poszukiwanie żywności. Basia, świetna łuczniczka, zabrała swój łuk i strzały. Ania wzięła mały sportowy karabinek. Łódka, dobiwszy do brzegu, osiadła lekko na piasku. Myśliwe z pewną obawą spoglądały ku gęstej ścianie zieleni; w którą miały się zanurzyć.

— Kapitan nie powinien opuszczać statku —

ozwał się za nimi głos Krystyny, która właśnie wygramoliła się z wody. — Pozwól, Aniu, że ja pójdę z Baską na polowanie. Tym bardziej, że lepiej strzelam od ciebie.

Anię zirytowało, że Krystyna wtrąca swoje trzy grosze i poddaje w wątpliwość jej strzeleckie zdolności, ale Basia poparła rudowłose stworzenie. Lubiła bardzo Krysię i starała się wnosić gałązkę oliwną między nią a Ankę. Ta niechętnie oddała sztucer Krystynie.

\* \* \*

Dżungla wionęła dusznym zapachem na dwie zwiadowczynie. Ogarnął je zielony półmrok. Wysokie drzewa oplatały kwitnące pnącza. Niektóre z nich wspinały się wysoko aż na gałęzie, spuszczać następnie w dół festony szkarłatnych i żółtych kwiatów. Wśród nich brzęczały miliony owadów, zbierając nektar. Po drzewach uganiało się stadko czarnych małpek z białymi łatkami na grzbiecie. Snuły się też majestatycznie kolcowe węże — było ich zatrzesienie. Dziewczęta patrzyły na nie z niepokojem, lecz gady nie okazywały wrogości.

Basia i Krystyna wyszły na sporą polankę. Z

obfitej trawy wystrzelała tu w górę kolonia żółtych grzybów, wyższych od człowieka. Na stożkowym kapeluszu jednego z nich siedział ślimak długości ludzkiego ramienia. W wiązce słonecznych promieni pląsały motyle–olbrzymy o tęczowych skrzydłach. O ile grzyby przymały się cienia na skraju polany, to na jej środku rosło coś, co kojarzyło się w myśli z dziecinnymi balonikami. Na długich, wiotkich łodygach, pokrytych delikatnymi liśćmi, kołysały się w lekkim podmuchu wiatru czerwone kule. Basia odcięła jedną z nich — natychmiast wzniosła się w górę, jak najprawdziwszy balon.

— Uszczyp mnie, Krysiu, bo albo śnię,, albo znalazłyśmy się w krainie baśni.

— To nie bajka, tylko rok 3120. W przyrodzie przez ostatnie tysiąc lat nastąpiły mutacje organiczne, stąd zmiana rozmiarów, nowe gatunki roślin i zwierząt... Może pod wpływem wyładowań atomowych...

Basia nic nie odpowiedziała, tylko jej oczy rozszerzały się coraz większym zdziwieniem. Dziewczęta posuwały się dalej brzegiem rzeczki, gdzie droga była łatwiejsza. Wyszły wreszcie na rozlewisko, porośnięte po bokach gęstym sitowiem i pełne wodnego ptactwa.

— Cicho, pssst! — szepnęła Krysia. — Nie płoszmy ich. Wydaje mi się, że te jasnofioletowe ptaszyska, podobne do pelikanów, zdadzą się na pieczyste. Wiatr wieje w naszą stronę, zdolamy je podejść.

Lecz ostrożne skradanie się nie było konieczne. Ptaki nie okazywały strachu. Dopiero huk wystrzału poderwał je do lotu. Dwie sztuki trafione: jedna kulą, druga strzałą, trzepotały się w śmiertelnej agonii. Krysia wyłowiła je z wody. Były tłuste i ciężkie.

— Mam nadzieję, że nadadzą się do jedzenia — rzekła Basia — ale wiesz, dopiero teraz czuję, jaka jestem głodna. Może te czerwone owoce są jadalne? Tamta małpka się nimi obżera, możemy i my spróbować.

Owoc okazał się doskonały w smaku, orzeźwiający i sytny. Krysia usiadła na pniu drzewnym. Basia myszkowała między krzewami. Zagroziła jej drogę pajęczyna potężnych rozmiarów o cienkiej, ale gęstej sieci. Pewna, że ją z łatwością roztrąci, uderzyła w nią ręką. Pajęczyna stawiała niespodzianie sprężysty opór. Basia chciała cofnąć dłoń, lecz nie mogła — lepka sieć trzymała mocno. Starając się uwolnić, zaplątała niebacznie i drugą rękę. Wyrywanie się i

szamotanie nie odnosiło skutku. Wtem z liściastej kryjówki wysunął się pajak o średnicy dużego talerza, zielony, w żółte kropki, o złośliwych ślepiach.

— Krysiu, Krysiu, na pomoc! — krzyknęła przeraźliwie Basia.

Rudowłosa dziewczyna nadbiegła w sam czas, gdyż pajak był już tylko o parę centymetrów od ramienia Basi. Kolbą sztucera strąciła potwora na ziemię i zadała mu cios śmiertelny.

Jak teraz uwolnić z pułapki nieszczęsną Basię, bladą i trzęsącą się na całym ciele? Ani kij, ani nóż nie zdał się na nic. Sieć nie ustępowała.

— A może ją podpalisz? — podsunęła Basia. — Mam zapalki w szortach.

Ostrożnie, by się sama nie uwikłać. Krysia wyciągnęła z czerwonych szortów Basi pudełko zapalek. Trzasnęła iskra. Pomysł był dobry. Gdy tylko płomień dotknął sieci, spaliła się w oka mgnieniu. Basia była wolna.

— Jak w fantastycznej powieści — rzekła Krysia — bo któraż z nich obejdzie się bez gigantycznego pajaka?...

— A kapitan „Bociana” mówił, że ta wyspa bezpieczna jak dziecinna ochronka. Bierzmy nasze ptaki i wracajmy!

Powrót myśliwych z bogatym łupem został przyjęty radosnymi okrzykami.

Ania powstrzymała entuzjazm koleżanek:

— Nie cieszcie się na zapas; nie wiadomo, czy te ptaszyska nadają się do jedzenia...

— Nie uwierzycie, jaką miałam przygodę! — podniecona Basia żywo gestykulowała. — Jak mucha wpadłam w sieć i pająk chciał mnie zjeść, ale miedzianowłosa nimfa uratowała mnie.

Baśka była wesołkiem gromady, pełnym zawsze niewyczerpanego dowcipu, szalonych pomysłów i kawałów. Nic więc dziwnego, że jej słowa przyjęto z niedowierzaniem.

— Co ty bredzisz? — wzruszyła ramionami Ania, zła jeszcze trochę na swą przyjaciółkę, że wolała iść z Krysią, niż z nią na polowanie.

Basia opowiedziała swą przygodę, lecz choć Krystyna potwierdziła jej prawdziwość, dziewczęta powątpiewały. Już za dużo nadzwyczajności wydarzyło się od ostatniej nocy.

— Jak nie chcecie, to nie wierzcie! — Basia podniosła jeszcze wyżej swój już i tak zadarty nosek i oddaliła się ostentacyjnie. Nikt się tym nie przejął.

Zuła, gosposia gromady; przystąpią do patro-

---



szenia upolowanych ptaków. Przygotowanie ogniska przypadło w dziale Krysi i Dance. Ania z Joasią zabrały się do rozłupywania wielkiego orzecha. W czasie nieobecności myśliwych pozostałe dziewczęta nagromadziły sporo orzechów i owoców nęcących oko i podniebienie smakowitym wyglądem. Lecz czy pod kuszącą powierzchownością nie kryła się trucizna?

Pod uderzeniem kamienia skorupa orzecha pękła. Na trawę wylało się różowe mleczko. Pozostały miąższ wyglądał smakowicie.

— Kto nie ryzykuje... — szepnęła do siebie Ania i odważnie podniosła kawałek orzecha do ust.

Wtedy zdarzyło się coś niezwykłego: jakaś niewidzialna siła wyrwała jej kasek z ręki i cisnęła w fale, W ślad za orzechem pofrunęły pomarańczowe dynie z czarnymi plamkami (Jak się później dziewczęta dowiedziały, ani orzech ani dynia nie były trujące, ale powodowały pewne niezbyt miłe skutki) Następnie z trawy uniósł się w powietrze zielonkawy owoc wielkości kurzego jaja. Pękł. Na ramię skamieniałej ze zdumienia Ani spłynęła, złota, oleista ciecz — rozsmarowała ją niewidzialna ręka.

Na kolanach Joasi pojawił się „znikąd” wielki

włochaty owoc o niezbyt apetycznym wyglądzie, a obok ułożyły się trzy woreczki z przezrocze czystej masy. Jak się potem okazało, zawierały sól, cukier (a raczej jego słodki odpowiednik) i kryształki jakiegoś kwasku.

Przerażony wyraz twarzy obu dziewcząt musiał najwidoczniej wywołać wesołość niewidzialnego dobroczyńcy, bo w powietrzu rozległ się stłumiony chichot. Zaszleściło też w krzakach, jakby się ktoś oddalał.

Ania i Joasia nie przyszły jeszcze do siebie, gdy doleciał je gniewliwy pisk. Brzegiem plaży biegła Basia, machając rękami.

— Siedziałam tam — na głazie — mówiła zaszapana — i moczyłam nogi w morzu, gdy nagle poczułam na ramionach dwie silne dłonie i... i... ktoś mnie pocałował, ale nikogo nie widziałam, tylko na piasku pozostały ślady bosych, męskich nóg: z lasu do kamienia i z powrotem... Już mam tego dosyć, odjeżdżajmy stąd!

Dziewczęta zaczęły się śmiać, lecz ich wesołość stłumiły Ania i Joasia, opowiadając, co i je przed chwilą spotkało.

Zapadła cisza. Mewy rozglądały się wokół niepewnie, gdy zza prawego ramienia zatoki wytrysnął ponad wierzchołki palm srebrny dysk. Był

nieduży z przezroczystą kopułą. Zawisł na mgnienie oka nad dziewczętami. Spod kopuły młody pilot, uśmiechnięty łobuzersko, przesłał im ręką całusa, po czym z nieprawdopodobną szybkością napowietrzny aparat wzniósł się w góry i zniknął.

— Czy rozumiecie cokolwiek z tego wszystkiego? — Ania zwróciła się do swych koleżanek. — Bo ja nic, a nic. Uszczypnij mnie która, może się zbudzę.

— Mnie niech nikt nie szczypie! — żywo zastrzegła się Joasia, potrząsając energicznie puklami kasztanowych włosów. — Jeśli to sen, niech trwa jak najdłużej, bo „strasznie” ciekawy.

— Ach ty marzycielko — rzuciła jej Basia. — Dziwne, że ty dotąd nie wystąpiłaś z jaką genialną teorią. Ubiegła cię trzeźwa zazwyczaj. Krystyna.

— Owszem mam i ja swoją hipotezę. Nie mówiłam wam o niej dotąd, bo mnie zawsze uważacie za fantastkę...

— ???

Joasia chwile potrzyzymała zaciekawione dziewczęta w napięciu, po czym rzekła uroczyście:

— Jesteśmy na Wenus.

— Co?

— A tak. Spójrzcie na plamę słoneczną, jest raka wielka, bo jesteśmy teraz bliżej słońca; zamglona, gdyż Wenus otacza stale welon chmur. Z tego samego też powodu nie widziałyśmy gwiazd w nocy. I jeszcze jedno: przez ten kwadrans, gdyśmy były nieprzytomne, znacznie utylam, powinnam czuć się ociężale. Tymczasem jest odwrotnie. Czy i wy nie czujecie się lżejsze? A to dlatego, że siła przyciągania Wenus jest o 15 procent słabsza, niż Ziemi...

— Pomysłowe, ale nierealne — Krysia przerwała jej lekceważąco. — Właśnie niedawno czytałam poważną książkę z zakresu astronomii. Piszą tam wyraźnie, że na Wenus życie jest niemożliwe. Nie ma tlenu i wody. Jest to jedna pustynia, w której nieustanne huragany wznoszą tumany pyłu, sięgające, stratosfery. Dlatego nie można dojrzeć jej powierzchni... Moja teoria jest prawdopodobniejsza. Zresztą poczekajmy kilka dni. Gdy na niebie ukaze się księżyc, jesteśmy na staruszcze Ziemi.

— Jeśli ukaza się dwa, to na Marsie — dodała Ania.

— Tu za gorąco na Marsa — skorygowała Ania.

Rzeczywiście z nieba lał się żar. Było same południe. Plama słoneczna stała niemal w zenicie — wskazówka, że dziewczęta znajdowały się w strefie tropikalnej, gdziekolwiek by to nie było. Wycofały się więc z plaży w cień drzew. Koło trzeciej, ochłodzwszy się przedtem w rzece, spożyły ze smakiem pieczonego ptaka. Na deser były włochate owoce, podsunięte przez niewidzialnego, „prawdziwa bajka w ustach” — jak orzekła Basia.

Reszta czasu do zachodu słońca upłynęła na wypoczynku, częstej kąpieli i niekończących się dyskusjach o wypadkach nocy i dnia, zdumione przygodą i uradowane nią dziewczęta, nastawione były optymistycznie. Pociągała je tajemnica, zachwycała cudna przyroda. Może kryło się w niej więcej pajęczych żądań, ale śliczna była dla oka, upajająca wonią, barwą, i nadzwyczajnością.

O zachodzie słońca, który nastąpił trochę wcześniej, niż się spodziewano, Ania zabrała swoje dziewczęta na pokład „Mewy”.

— Bezpieczniej spędzić noc tutaj — zawyrokowała. — Będziemy pełnić wartę po kolei. Ty, Joasiu, jesteś pierwsza, a my chodźmy do kajuty i uporządkujmy ją nieco. Zostawiłyśmy

wszystko w straszliwym bałaganie.

Joasia została sama, zadowolona, że ją ominęły porządki, których nie cierpiała. Jej wielkie oczy koloru ciemnego błękitu z zachwytem patrzyły na pyszne barwy zachodu. Do wrażeń wzrokowych dołączył się dźwięk. Z głębi wysp dobiegł srebrzysty trzask ptaka, jakby proszący i nabrzmiały łkaniem. Odpowiedział mu ptasi silny bas i namiętny. Rozpoczęła się prawdziwa opera.

— Teraz rozumiem, dlaczego nazwano te wyspy śpiewającymi — szepnęła zachwycona Joasia.

Słońce zapadło za widnokrąg. Niebo i morze nabierały powoli barwy atramentu. Zarazem i wyspa winna, była zanurzyć się w ciemność. Tymczasem im bardziej gasły blaski dnia, tym wyrazistszy stawał się ład. Wszystko: pnie drzew i liście, krzewy i kwiaty pokrywała delikatna poświata — zielonawa, żółtawa, czerwona, zależnie od swoistego koloru rośliny. Lecz najsilniej świeciła rzeka, tworząc migotliwy, srebrny gościniec pośród czarnych wód morza. Nagie w głębi dżungli rozbłysły lampki białego światła, jakby kto włączył elektryczny kontakt.

— Bajka, bajka, to nie może być prawdziwe — powtarzała Joasia. — W najwspanialszym marzeniu nie widziałam czegoś równie pięknego.

W tej chwili dziewczyna odkryła, że jej ręce i nogi oraz kostium, mokry jeszcze od kąpieli, świecą również.

— Dziewczynki! — zawołała przejęta, nachylając się nad otworem, który wiódł do kajuty. — Zgaście światło i chodźcie tu.! Ujrzyście coś fantastycznego.

Ania wyłączyła lampę. Jednocześnie z ust Mew wyrwał się okrzyk: Wszystko, co miało ostatnio jakiś kontakt z wodą: wiszące na hakach kostiumy, gumowe płetwy, ciało, włosy, nawet wyschłe już ślady stop na podłodze, wszystko to rozświetliło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

— Wychodźcie na zewnątrz! — nagliła Joasia. — Tu dopiero zobaczycie coś.

Dziewczęta wybiegły na pokład i zatrzymały się oczarowane. Cała wyspa mieniła się delikatnymi światłami. Rozsrebrzone ramiona rzeki obejmowały białe ciało jachtu, bulgocąc przy tym coś czule.

Rozległ się głośny plusk. To Krysia dała nurka, wyrzucając przy tym w powietrze tysiące ja-

snych kropel. Jej smukłą sylwetkę doskonale było widać pod wodą. Za sekundę i reszta Mew poszła są jej przykładem. Co to było za rozkoszne uczucie płynąć tak w świetlistej, bezwymiarowej przestrzeni!

Krysia pierwsza wyszła z wody na brzeg ociekając błyszczącymi kroplami.

— Chodźcie za mną! — skinęła na swe towarzyszki i pobiegła na tę samą polankę, gdzie za dnia odkryła z Basią grzyby i baloniki.

Stamtąd były najmocniejsze blaski. Polana bowiem pełna była wielkich kwiatów w kształcie tulipanów, których pręciki wydawały intensywnie białe światło.

Dziewczęta zatrzymały się na skraju polany, urzeczone widokiem. Lecz Joasia zwróciła ich uwagę na inne jeszcze piękno:

— Czy słyszycie, jak cudnie ptaki śpiewają?

Któż mógł nie słyszeć? Ale dopiero teraz Mewy uświadomiły sobie całe bogactwo dźwięków, napływających zewsząd. Ptasia para nadal wyśpiewywała operowe arie. Akompaniowała im leśna kapela owadzia, wygrywająca, dzika, pełną dysonansów, a przecież harmonijną muzykę natury.

Zasłuchanym dziewczętom zdawało się, że



rozdzielają rzuwany ton fletu, zawodzenie skrzy-  
piec, dzwonięcie jakiegoś delikatnego, a ponad tym  
wszystkim oszalałego brzęk kaskietów i  
dudnienie bębna.

Czarnowłosej Danusi, w której żyłach płynęła  
południowa krew matki Włoszki, nie na długo  
wystarczył bierny podziw. Klasycznie zgrabna  
dziewczyna posiadała wybitne zdolności ta-  
neczno-dramatyczne; tę wrodzoną umiejętność  
przekształcała dźwięku w ruch. Wysunęła się  
teraz naprzód. I oto las stał się świadkiem  
wdzięcznej pantomimy. Gestem rąk, mimiką  
twarzy, tanecznym ruchem nóg i ciała interpre-  
towała Danusia śpiew i muzykę puszczy. Po  
chwili zaprosiła do współudziału swoje towa-  
rzyszki. Utworzyły krąg wokół leśnej taneczni-  
cy. Rozpoczął się improwizowany taniec, w któ-  
rym rytm się czasem plątał i gubiła harmonia,  
ale który tryskał beztroską, młodością, humo-  
rem i nadmiarem żywotności.

— Och. Spocznijmy, już nie mogę! — zawołała  
wreszcie zasapana Zula, rzucając się bez tchu  
na wilgotną trawę.

Reszta rusalek nie miała jednak dosyć zaba-  
wy. Nawet poważna zwykle i zrównoważona  
Ania wodziła teraz rej w leśnych harcach. Ta-

niec trwał dalej, póki nie zatrzymał się nagle i niespodzianie. W głębi egzotycznej dżungli rozległ się jakiś przeraźliwy chichot, a potem galop kilkunastu racic. Tup, tup, tup... coraz bliżej. Dziewczęta z piskiem rzuciły się do ucieczki. Skok w wodę i w parę minut przyjął je bezpieczny pokład jachtu.

— Co to było?

— Na pewno leśne satyry zapragnęły wziąć udział w zabawie, a może nawet sam bożek Pan. — Joasia zakochana była w mitologii greckiej i postaci bogów i bogiń wciąż zaludniały świat jej wyobraźni.

— E. to prędzej szatan — mruknęła Ania.

Basia zaprotestowała:

— Zaraz szatan... nic złego żeśmy nie robiły.

— Tym bardziej. Dobrych on straszy i prześladowuje, a tylko w złych stara się wmówić, że go w ogóle nie ma.

— Oj, ty teologu z morskiej piany — zaśmiała się Krysia — to nie żaden diabeł, po prostu jakieś zwierzę. No, wyhasałyśmy się, a teraz najwyższy czas spać.

— Ja nie zasnę — oświadczyła Basia — tak się wszystkie świecimy, że w kajucie będzie za jasno.

Obawy Basi były płonne. Sen wkrótce zmorzył Mewy. Nawet i wartownicza Joasia spała smacznie, oparłszy się plecami o maszt.

## **Rozdział II**

### **Delfin**

Przez kilka jeszcze dni jacht spoczywał w tej samej gościnnej zatoce. Niewidzialny opiekun nie ujawnił swej obecności żadnym znakiem. Latający dysk też się nie pokazywał. Natomiast zaraz następnego dnia wyjaśnił się sekret nocnego ryku. Wydawało go zwierzątko o żółtej sierści i uszach zwisających aż do ziemi, przypominające świnkę. Jego mięso nadawało się wyśmienicie do jedzenia.

Do różnych przemian zaszłych w otoczeniu, co tak bardzo intrygowało i niepokoiło dziewczęta, doszły nowe. Przede wszystkim dzień skrócił się o mniej więcej pół godziny, względnie — co było mniej prawdopodobne — wszystkie zegarki zwolniły nagle tempo swego chodu. Noce nad-

chodziły nadal bezgwiezdne i bezksiężycowe, jednak niebo rozjaśniało się często barwnym światłem, wyglądającym na zorzę polarną. To jeszcze bardziej zdezorientowało Mewy. Nawet Krysia nie umiała wyjaśnić, skąd to zjawisko w strefie tropikalnej. Natomiast brak księżyca nie sprawiał jej kłopotu.

— W ciągu tysiąca lat wiele mogło się wydarzyć. Najprawdopodobniej spadł na ziemię. Podobno posiadała ona kiedyś niejednego satelitę. Wszystkie rozleciały się z czasem. Mógł i nasz staruszek zakończyć życie w ten sposób. Może go rozbili bombą wodorową?

Ania z roztargnieniem przysłuchiwała się tym teoriom. Niepokoiła ją przyszłość. Co miały robić dalej? Gdzie się udać? Należało chyba ruszyć w podróż do tego tajemniczego „Nowego Krakowa”, ale jak daleko leżał? Nic o tym nie wspomniał kapitan „Bociana”. Trzeba by odpowiednio zaopatrzyć jacht na drogę.

Na razie postanowiły udać się ku drugiej wyspie, widniejącej na horyzoncie. Może ona przyniesie rozwiązanie zagadek? Któregoś więc ranka podniesiono kotwicę i „Mewa” rozminęła białe żagle.

Niemal zaraz za ramieniem zatoki jacht na-

tknął się na flotyllę długich łodzi o kwadratowych żaglach. Załogę ich stanowili: mężczyźni, kobiety, dzieci — niewątpliwie dzicy. Świadczyły o tym sterczące w górę ostrza dzid, pierzaste ozdoby głów, skąpość trawiastego odzienia lub jego brak u młodszej generacji. Zadziwiły dziewczęta jasne włosy i regularne indo-europejskie rysy twarzy. Także i ciała, choć spalone słońcem na brąz, na brąz, wskazywały na przynależność do rasy białej,

— Cóż w tym dziwnego? — zabrała głos Joasia. — Po katastrofie wojny atomowej w drugiej połowie 20 wieku ludzkość zdziczała w mniejszym lub większym stopniu. Nastąpił powrót do prymitywizmu.

— Skąd się więc biorą ci, co latają na talerzykach?

— Najprawdopodobniej pochodzą z dalszej jeszcze przyszłości, na przykład z roku 5000. Szkoda, że nas nie przenieśli w swoją własną epokę.

— To ty, Joasiu, porzuciłaś już swoją wenucjańską teorię? — spytała Krysia z nutką tryumfu w głosie.

— Nie, po prostu pomagam ci fantazjować...

„Mewa” mijiała właśnie jedną z łodzi,. Dzicy

kiwali przyjaźnie rękami ku dziewczętom i wznieśli okrzyk:

— Vajni vakkilene! — dobiegło oczu podróżniczek.

— Jak się macie ? — odkrzyknęła w odpowiedzi Basia.

— Dzenkuje, dobrze! — odpowiedział głos z przodu łodzi.

Tyle tylko nauczył się ktoś widocznie z polskiej mowy, bo kiedy Basia dorzuciła parę innych pytań, nie otrzymała odpowiedzi. Ostatnia łódź minęła jacht. Flotylla kierowała się na południe.

Wysepka, do której płynęła „Mewa”, okazała się tak skalistą i skąpą w roślinność, tyle wokół niej wystawało z morza niebezpiecznych raf, że dziewczęta zrezygnowały z lądowania. Udały się bezzwłocznie ku następnej wyspie z nadzieją, że będzie bardziej gościnną. Dopłynęły do niej nad wieczorem. Już z daleka przywitała je mocna, upajająca woń. Łąd pokrywała kwietna dżungla. Poszarpane brzegi tworzyły mnóstwo zatok i ostrowów, stały się piaszczystymi plażami. Przerzywały je tu i ówdzie szkliste skały, w których zachodzące słońce zapalało diamentowe błyski.

— Ślicznie tu — szepnęła wrażliwa na piękno Joasia, a i inne dziewczęta były urzeczone widokiem.

Romantyczną zadumę przerwała Ania, wzywając do zwinięcia żagli. Upatrzyła sobie na przystań wąską zatokę, wrzynającą się głęboko w ląd. Ponieważ jednak słońce zapadało raz za widnokrąg i widoczność w zatoce była kiepska, zarzucono kotwicę przy niewielkim ostrowiu kilkaset metrów od brzegu właściwej wyspy, ów ostrów była to właściwie duża, biała skała. U podnóża wegetowało trochę roślinności i rozciągała się wąska wstęga plaży.

— Wystarczy, by rozprostować nieco członki — rzekła Ania. — Za dnia wpłyniemy w tamtą zatokę.

— świetnie. Będzie tu można bezpiecznie spędzić noc na brzegu. Jest tak potwornie gorąco, że w kajucie byśmy się ugotowały.

Rzeczywiście w powietrzu panowała taka dusznota, że projekt Basi przyjęto z entuzjazmem. Lepsza przewiewna plaża, niż nagrzana koja.

Jednak i na powietrzu trudno było zasnąć. Nawet kąpiel nie wiele pomagała, bo morze było ciepłe jak w wannie. Dopiero już dobrze po pół-

nocy ochłodziło się trochę i dziewczęta zapadły w sen. Nie miały nim się cieszyć zbyt długo.

Koło trzeciej nad ranem zbudził je donośny grzmot. Zerwały się na nogi.

— Co to?

Grzmot powtórzył się. Powietrzem targnęło głucho dudnienie.

— Patrzcie! — Basia wskazała ku wschodowi, gdzie łuna zabarwiła czerń nieba. Huk dał się słyszeć znowu.

— To z pewnością wybuch wulkanu — zawołała Ania. — Chodźcie. W drapiemy się na skałę. Stamtąd będzie lepiej widać.

W dziesięć minut dziewczęta osiągnęły szczyt skały. Gdzieś daleko we wschodniej stronie żarzyło się coś, wrzało, przygasało na chwilę i znów strzelało ku niebu snopami ognia. Podziemny wstrząs targnął skałą, powtórzył się raz jeszcze silniejszy.

— Mama Ziemia się upiła i skacze jak dziki koń stepowy — zrobiła swoistą uwagę Basia.

— Koń stepowy nie tryska ogniem. Porównanie do niczego — mruknęła Joasia.

— To znajdź lepsze.

— A pewnie...

Lecz nie czas było teraz na poezję. Z morzem



stało się coś dziwnego: poczęło się cofać od ładu odsłaniając ławice piasku, wodorosty i głązy. Można ty teraz suchą nogą przejść co wyspy. „Mewa” stuknęła o dno i przechyliła się na bok. Wywróciłaby się zupełnie, gdyby się nie oparła o wielki blok kamienny, pokryty morskimi porostami.

— Co się dzieje? Co to? Morze wracało. Na skołtunionych, czerwonych od łuny falach szło coś... Wysoki na trzy piętra, skłębiony, groźny, potężny szedł wał wodny — zwykle zjawisko towarzyszące trzęsieniu ziemi.

— Nasza „Mewa”! — rozpaczliwie krzyknęła Ania.

Spieniony wał wodny szedł ku ostrowi jak nieuniknione, złowrogie fatum, uderzył z wściekłością, ogarnął plażę, wdarł się między głązy i wspinać się począł w górę ku zmartwiałym dziewczętom. Nagle załamał się i cofnął bezsilnie. „Mewy” były uratowane.

Lecz nie ocalała „Mewa”. Wał stuknął w nią bezlitośnie, porwał jak łupinkę i cisnął wiotki statek o skałę. Rozległ się tragiczny gruchot jakby łamanych kości. Z pięknego jachtu pozostało w sekundę bezładne zbiorowisko belek, desek, lin i sprzętów, zmagających się bezna-

dziejnie z rozszalałym żywiołem.

Potem nadszedł jeszcze drugi wał i trzeci ale słabszy już, nie tak wściekły.

W godzinę później uspokoiły się grzmoty i łuna zbladła Dziewczęta długo jeszcze siedziały przytulone do zbawczej skały. Jęk ginącego statku rozdarł im serca.

Wraz z promieniami słońca, które przepędziło fatalną noc, Mewy zeszły na brzeg. Fale uderzały jeszcze silnie, lecz straciły swą grozę. Z jachtu nie pozostało prawie nic. Tu i tam tylko jakaś wydarta z kadłuba deska tkwiła między krzakami.

— Co my teraz zrobimy?

— Gdybyśmy od razu wjechały do zatoki, nie straciłybyśmy statku — rzuciła Krysia krytyczną uwagę pod adresem Ani-kapitana.

Dziewczyna była zbyt zgnębiona, by odpowiedzieć. Wyręczyła ją Zula.

— Nie wiadomo. Najprawdopodobniej straciłybyśmy i statek i życie. Widzisz to spustoszenie na brzegu?

— Uspokójcie się! — niecierpliwie przerwała Basia. — Nie ważne co by było, gdyby było... trzeba dziękować Bogu, że żyjemy.

Dziewczęta obeszły skałę z nadzieją, że morze

wyrzuciło jaki szczątek jachtu, który mógłby się przydać nowoczesnym Robinsonkom. Niestety znaleziono jedynie wciśniętą, w skały białą, koszulę Ani. Podarowała ją zaraz Krysi, której garderoba jak zwykle najbardziej potrzebowała, uzupełnienia. Ale i inne dziewczęta przygoda zaskoczyła w piżamach i nocnych koszulach, w których się uszykowały do snu na piaszczystej plaży.

— Przydałoby się nam coś bardziej substancjalnego — westchnęła Basia.

— W ogóle będzie się trzeba urządzać na nowo w tym dziwnym świecie — odpowiedziała jej Joasia — Całe szczęście, że masz swój łuk, a Ania całą noc nie rozstawiała się z karabinem, żywność i obrona są zapewnione.

Koło południa morze uspokoiło się na tyle, że Mewy zaryzykowały przeprawę do brzegu wyspy. Poszła łatwo Wał wodny dokonał straszliwych zniszczeń w nadbrzeżnej dżungli ale dziewczęta bez trudu znalazły pożywienie. Rozsiadły się wygodnie na zwałonym pniu i z apetytem zajadały pożywne owoce i orzechy. Humor powoli wracał. Snuto pomysły urządzenia się w nowej sytuacji.

*Bo my jesteśmy młodzi,  
I w tym jest nasza moc,  
I nic nam nie zaszkodzi,  
Śpiewajmy w dzień i w noc!*

— nuciła Basia, której wesołość optymizm nabierał dla zespołu niezwykłej wartości.

Piosenkę przerwał nagle trzask łamanej gałęzi. Z gęstwy leśnej wyłoniło się dwu ludzi.

Pierwszy mężczyzna w sile wieki, w zrudziałych spodniach, był właścicielem czarnej brody i ponurego oblicza, z którego patrzyły inteligentne oczy. Obnażony tors pokryty czarnym włosiem, ujawniał silne mięśnie. Za pasem tkwił mu długi nóż, w ręku trzymał karabin.

Towarzyszem jego był młody chłopak, lat nie więcej niż dwudziestu, o dawno nie czesanych płowych włosach. Twarz miał bez wyrazu, oczy niezwykle blade tego samego koloru, co jego zapewne niegdyś niebieska, a obecnie zupełnie wyblakła koszula. Strój uzupełniały kuse spodnie, z których wyłaniały się długie, białe nogi.

— We saw that you'd lost your yacht. (Widzieliśmy, że straciliście swój jacht — ozwał się po angielsku brodacz — i przyszliśmy was poratować. Nazywają mnie „Captain Black” (Czarny

Kapitan). Mój statek zakotwiczony jest w tamtej zatoce. Welcome aboard, girls (Z przyjemnością przyjemy was na pokład).

— Wydaje mi się, że nie mamy innego wyjścia, jak przyjąć pańską ofertę — odpowiedziała z niejakim wahaniem Ania — Serdecznie za nią dziękuję, ale proszę mi pozwolić porozumieć się z koleżankami.

— Do, as you please. (Czyń, jak ci się podoba).

Narad trwała krótko. Aczkolwiek kapitan i jego towarzysze nie wzbudzali swym wyglądem zaufania, zachowywali się jednak grzecznie i ofiarowali uprzejmie pomoc. Rola Robinsonów na wyspie mogła przemawiać do wyobraźni, lecz poczucie rzeczywistości kazało skorzystać z okazji.

Chcąc nie chcąc ruszono w kierunku zatoki.

— Skąd i dokąd jechałyście? — rzucił kapitan Black nieuniknione pytanie.

Ania chwileczkę zawahała się z odpowiedzią. Od chwili spotkania z latającym talerzykiem ci dwaj mężczyźni dawali wreszcie poczucie czegoś „realnego”. Nawet ich zaniedbany wygląd był czymś bardzo „z tego świata”. Może w końcu coś się wyjaśni. Nie przyjmą odpowiedzi z niedowierzaniem.

— Płynęliśmy z Nowego Jorku na Bermudy...  
Kapitan rzucił bystre spojrzenie na Anię, ale nie było w nim zdziwienia,

— Tak? I dojechałyście?

— Nnnnie... To chyba nie są Bermudy?

— Nie.

— To wygląda fantastycznie, ale po drodze nadleciał latający talerzyk i wszystko potem się zmieniło i my nie wiemy, gdzie jesteśmy.

— Ach tak? To są Markizy, a ja właśnie jadę na Tahiti. Stamtąd będziecie mogły się skomunikować z Nowym Jorkiem i poprosić o pieniądze na powrót. To już nie pierwszy wypadek takich figlów ze strony latających talerzyków... przenoszenie całych statków z jednego oceanu na drugi.

— Ależ, kapitanie — do rozmowy gwałtownie wtrąciła się Krysia — co pan opowiada? Ja byłam na Hawajach, na Fidzi i Tahiti, znam tamte strony. A tu przyroda jest zupełnie inna, dzień krótszy, nie ma księżyca, krajowcy najwyraźniej należą do rasy białej.

Kapitan uśmiechnął się wyrozumiale.

— Ciekawe, bardzo ciekawe. To już trzeci w ostatnich miesiącach wypadek zbiorowej halucynacji.

— Ależ to nam nie może się wszystko wydawać! Jesteśmy chyba poczytalne!

— To jest halucynacja indukowana, Rodzaj hipnozy, stosowanej przez tych, co latają w tych tajemniczych dyskach. Tak, tak, identycznie objawy. Widzi się te same rzeczy, co inni, ale zmienione, dziwne, fantastyczne, a co do ludzi... czasem ich się nie dostrzega, czasem...

— To prawda, panie kapitanie! — wykrzyknęła podniecona Ania — nam się wydawało, że opiekuje się nami ktoś niewidzialny! Ale pan i pański towarzysz chyba należycie do realnego świata?

— Troszkę odrapani i nieogoleni — zaśmiał się marynarz — ale rzeczywiści. Widzicie nas już, jak naprawdę wyglądamy. Znak, że pohipnotyczna sugestia słabnie. Jeszcze tydzień, dwa i wszystko wróci do normalnego stanu...

— Szkoda — szepnęła do siebie Joasia — znów będę przeraźliwie chuda i stale zagrożona gruźlicą.

— Nie wierzę panu ani słowa — odezwała się ze złością Krysia.

Najwidoczniej żal jej było rozstać się z wypieszczoną w umyśle teorią — to zbyt fantastyczne, aby mogło być prawdziwe. Taka halu-

cynacja? Niemożliwe!

— O wiele prawdopodobniejsze, niż wymysły twoje, albo Joasi. — zauważyła Ania.

— A co wyście przypuszczali? — zainteresował się kapitan.

Ania opowiedziała pokrótce hipotezy obu koleżanek.

— Ha, ha, a to dobre! — śmiał się Black — Oto skutki czytania fantastycznych powieści skok w przyszłość albo na Wenus. Zabawne.

— Nic mu nie wierzę, te jakiś zbój — mruknęła Krysia, ale po polsku.

Dziewczęta zamilkły, bo spomiędzy drzew ukazała się już zatoka i stojący na jej wodach kuter. Nazwę nosił wdzięczną „Dolphin”. ale wyglądał mniej zachęcająco, brudny był bowiem i obdrapany. Komin wskazywał, że był to statek motorowy. W zacisznej zatoce uszedł losu „Mewy”, a teraz szykował się do odjazdu. Na przywitanie rozbitków cała załoga wyległa na pokład.

— „A zbójów było dwunastu...” — zacytowała Basia.

W rzeczy samej było ich dwunastu, włączając kapitana i młodzieńca o wyblakłej koszuli i takich że oczach. Wygląd też mieli zbójceki. Powi-



tali dziewczęta rechotliwym śmiechem i pogwizdami. Co prawda to załoga nieszczęsnego jachtu mogła pobudzić do wesołości. Po nocnej katastrofie głowy były rozczochrane, a strój, choć przyzwoity w zasadzie, nie należał do tych, w jakich kobieta „zwykła być od mężczyzn widziana”. Szczególnie śmiesznie wyglądała Zula, podtrzymująca rękoma swą przydługą koszulę nocną odziedziczoną chyba po prababce.

— Szkoda że ci dałam swoją koszulę — „burknęła Ania do Krysi — dopiero by gwizdali. Byłaby to dla ciebie dobra nauczka na całe życie.

— Niech sobie gwizdzą. Na chamów nie zwracam uwagi.

Z niechęcią i przykrością weszły dziewczęta na pokład „Delfina”. Nie dość, że załoga była antypatyczna, prócz tego panowało wszędzie potworne niechlujstwo. Kajuta, do której wprowadził je kapitan, napawała wstrętem. Było to obskurne pomieszczenie. Na podłodze walały się zgniłe materace, wydające nieprzyjemny odór. Co za kontrast z czyściutką „Mewą”.

— Lepiej było pozostać na wyspie — westchnęła Zula, niezwykle wrażliwa na wszelkie brud’—.

— Lepiej, nie lepiej — odparła Ania — bądźmy dzielne. Niedługo znajdziemy się na Tahiti i będzie koniec naszych przygód.

— Ty wierzysz w te bzdury? — irytowała się Krysia. — Chodź tu do iluminatora. Patrz na te palmy. To niemożliwe, żebyśmy miały ulegać halucynacji.

Nikt jej nie odpowiedział. Najmłodsza Joasia zaczęła pochlipywać Nawet Basia nie umiała rozweselić koleżanek.

Wkrótce „Delfin” podniósł kotwice i tak zaczął się dla Mew etap podróży, który był prawdziwą męką. Cierpiały i powodu brudów, ale najwięcej dawało im się we znaki nieprzyjemne towarzystwo. Gdy ze śmierzące; kajuty uciekały na pokład dla zaczerpnięcia świeżego powietrza, spotykały je tam obleśne spojrzenia i głupie uwagi. Szczególnie zastępca kapitana, Jonnny Gin, młody jeszcze człowiek o bezczelnej twarzy pijaka, rzucał ku nim cyniczne żarty. Dziewczętom robiło się od nich niedobrze, ale załoga przyjmowała je hałaśliwym śmiechem.

Ponadto marynarze nie okazywali swym zachowaniem najmniejszego względu na obecność Mew. Gdy raz zatrzymano się przy jakiejś wyspie dla nabrania wody, żywności i drzewa, któ-

re były paliwem dla motoru, załoga „Delfina” bez żadnego skrępowania urządzała sobie kąpiel w morzu zapraszając dziewczęta do wzięcia w niej udziału.

— Wytrują wszystkie ryby w promieniu dziesięciu mil — zawyrokowała Basia. — Wolę chodzić brudna, niż kąpać się w takim towarzystwie.

Rzeczywiście brud doskwierał już bardzo i zanurzenie się w falach byłoby wybawieniem. Przyzwoitość jednak nakazywała cierpliwe zniesienie tej przykrości.

— A ty, Krysiu, też rezygnujesz z kąpieli? — zapytała ironicznie Ania. — Taka jesteś „postępowa”, nie powinno to stanowić dla ciebie różnicy.

— Mam na to zbyt wyrobiony zmysł estetyczny; ale czemu mi dosuszasz, Aniu” Czy złośliwość to jeden z nakazów twego kodeksu moralności? — odcięła się ruda dziewczyna.

Anka zamilkła zawstydzona.

Od plugawej załogi odbijał nieco korzystniej kucharz, Włoch, imieniem Pasquale. Nucił stale swe narodowe piosenki i życzliwie mrugał okiem ku dziewczętom. Szczególnie swe względy okazywał im przy posiłkach. W śpiewaniu

wtórowała mu nieraz Danusia, znająca dobre melodyjny język Dantego. Zula zaś chętnie pomagała w kuchni.

Od niego to wytargowano nici. Igły, parę prymitywnych nożyczek i kilka worków po wiktuałach kuchennych. Dzięki temu dziewczęta mogły przystąpić do przeróbki swych strojów. Pod zgrabnymi palcami Zuli jej koszula nocna, szlafroczek ni i pidżamy poprzemieniały się w przyodziewek bardziej praktyczny dla dziennego użytku. Mewy zaraz poczuły się lepiej.

Młodzieniec o wyblakłym spojrzeniu i takieje koszuli trzymał się na uboczu od innych. Nigdy nie słyszano od niego żadnego słowa. Tylko od pewnego czasu wodził nieustannie oczyma za Basią, którą to niezmiernie denerwowało. Raz wręczył jej po kryjomu piękny bukiet kwiatów. Natychmiast ostentacyjnie rozdzieliła je między wszystkie Mewy.

Choć kapitan przez palce patrzył na złe zachowanie się załogi, wyczuwało się jednak, że trzyma swych ludzi mocną ręką, dzięki czemu nikt nie odważył się wyjść poza żarty. Krysia często z nim rozmawiała, starając się złapać na jakiejś niekonsekwencji. Mimo że jej się to nie udało, nadal odrzucała „indukowaną halucyna-

cję”. Inne dziewczęta także poczęły mieć wątpliwości. Jakoś przyroda nie chciała wracać do „normalnego” wyglądu i trudno było uwierzyć, że księżyc świeci, jak wmawiał w nie kapitan, gdy statek otaczały nieprzeniknione ciemności.

W niecały tydzień od rozbicia, kiedy „Delfin” znajdował się na pełnym morzu, pomiędzy bladych chmur wysunął się srebrny dysk. Szedł równo z burzą statku. Jego ukazanie się wywołało wyraźną nerwowość u załogi, a radość pomiędzy dziewczętami. Był to na pewno ich „opiekun”, tym razem nie sam. Towarzyszyła mu ciemnowłosa dziewczyna w czerwonym sarongu. Pilot otworzył przezroczysty klosz i wychylił się. Biodra przepasywała mu błękitna opaska. Na rękach widniały złote bransolety, z szyi zwieszał się złoty łańcuch z kościanym emblematem globusu. Przemówił coś nieznanym językiem, wskazując na Mewy.

W takiej samej niezrozumiałej mowie odpowiedział mu kapitan Black. Szło mu to ciężko, jąkał się i jakby szukał odpowiednich wyrazów. Po nim znowu mówił pilot. Patrzył przy tym na dziewczęta. Słowa rzeczywiście były przeznaczone dla nich. Przetłumaczył je kapitan.

— Pan oficer wyraża współczucie z powodu

rozbicia się jachtu. Nie ma niestety miejsca w swoim helikopterze, bo by was zabrał ze sobą. Nie może przyjechać większym. Obiecał, że jak będziecie już na... Tahiti, to was odwiedzi.

Tajemniczy lotnik uśmiechnął się i skinął przyjaźnie ręką ku dziewczętom. Potem mówił coś jeszcze do kapitana. Pogroził mu palcem. Czarnowłosa dziewczyna była śliczna i uśmiechała się serdecznie do Mew. Kiosk opadł. Dysk zniknął.

— Może będzie pan w nas znowu wmawiał — rozpoczęła żywo Krysia — że to nie był „latający talerzyk”?

— Co ty gadasz, dziewczyno? — zawołał kapitan — to helikopter z St. Gilbert. Routine check up (normalna kontrola). Zobaczył was na pokładzie, więc się pytał, coście za jedne. Powiedziałem.

— Mister John — Krysia próbowała złapać innego człowieka załogi — niech pan powie, co pan widział?

— Najnormalniejszy w świecie helikopter. A co miało być?

— Jakiego koloru?

— Hmm... — rzucił niepewne spojrzenie na kapitana — czerwonego.

— Signor Pasquale — z kolei Danusia usiłowała wybadać kucharza — jakiego koloru był ten... dysk?

— Rosso (czerwony). I nie dysk tylko autożyro. Innych nie było co pytać. Panowała zmowa, czy naprawdę Mewy podlegała halucynacji?

Choć pojawienie się dysku nie rozwiązało zagadki, miało tę dobrą stronę, że załoga zaczęła się nieco bardziej liczyć z dziewczętami. Niestety nie na długo.

W kilka dni po tym wydarzeniu Mewy właśnie wstawały ze swych materacy, gdy do kajuty wdarł się bez pukania Johnny Gin z dwoma olbrzymimi dzikusami, należącymi do załogi. Chwycił gwałtownie sztucer Ani, stojący w kącie i pas z na colami i rzucił przez zęby:

— Siedźcie tu cicho, ani słowa: Rozumiecie? Jak która poruszy się tylko, albo piśnie, ci dwaj mają rozkaz przebić was nożami.

— Co to ma znaczyć? — zaprotestowała Ania.

Gin dopadł do niej i cisnął ją brutalnie na materac. W ostatniej chwili dziewczyna dojrzała przez iluminator zbliżający się jakiś dziwny statek o wysoko zadartym dziobie z umieszczoną, na nim wielką rurą, z której wystawał pręt.

Johny wypadł ze sztucerem. W kajucie na

straży pozostali dwaj krajowcy o papuaskich czuprynach i dzikim spojrzeniu. W rękach trzymali noże i wyczuwało się, że mają ogromną chętkę ich użyć. Dziewczęta siedziały jak trusie.

Przez otwarty iluminator wyraźnie dochodziły słowa rozmowy. Pytał ktoś z przybyłego statku, po angielsku, lecz z obcym akcentem. Chciał się dowiedzieć od kapitana, czy ten nie widział jakichś szklanych gór. Black: zaklinał się, że nie ma o nich pojęcia.

— Ja dobrze wiem — brzmiał dalej młody głos — że ty wiesz nie tylko, gdzie leżą te skały, ale gdzie się znajduje Robert McGuire. Inaczej nie nasadzałbyś na mnie morderców w Nowym Krakowie. Albo zaraz puścisz farbę, albo cały ten twój gruchot rozłupię w drzazgi. Słyszysz: Liczę do dziesięcin: raz...

— Ja na ciebie nie zsadzałem morderców.

— Dwa...

— Chodź tu na pokład, przeprowadź rewizję. Przekonasz się, że ich tu nie ma.

— Mam się drapać na twój pokład, żeby tam dostać w czapę? Nie ma głupich... Zresztą tamci mnie nie obchodzą. Gadaj, gdzie jest McGuire. Trzy.... Cztery...

— Dobrze, powiem. Właściwie to nie jestem



pewien...

— Pięć..

— O.K., O.K. coś w gorącej wodzie kąpany? Wiesz, gdzie leży archipelag Kuambi.

— Wiem. To niedaleko stąd.

— Tak. Wyspa najbardziej wysunięta na południe. Podjedź do niej od wschodu. Znajdziesz tam zatokę ze swoimi górami. Prowadzi stamtąd w dżunglę ścieżka. Idąc nią dojdiesz do plantacji Roberta McGuire. Jest to jakby wejście „tylnymi drzwiami”. To „od frontu”, z drugiej strony wyspy, jest tak zamaskowane, i strzeżone, że niepodobna tam się dostać.

— Dziękuję za informację, lecz pamiętaj, jeśli jest fałszywa, znajdę cię i ten twój gruchot i posłę na dno. A żebyś wiedział, że to nie próżna groźba, patrz! Widzisz tamtą skałę?

Ku podnieceniu dziewcząt tenże sam głos mówił dalej po polsku.

— Kini, rąbnij no z działka w tamtą skałę, niech się przekonają, że z mani żartów nie ma.

W kilka sekund później potężny wybuch wstrząsnął powietrzem i wodą. „Delfin” zakołysał się gwałtownie. Dwaj dzicy drgnęli przerażenie.

— Może by krzyknąć na pomoc? — przeleciało

przez głowy dziewcząt.

Porozumiały się pytającymi spojrzeniami, ale tubylcy szybko ochłonęli. Prymitywny, wyczułony instynkt ostrzegł ich, że coś się knuje. Jeden zatrzasnął otwarty iluminator, drugi zrobił niedwuznaczny znak nożem w powietrzu. Żadna z Mew nie odważyła się na wezwanie pomocy.

Odtąd nie wypuszczano już dziewcząt na pokład. Pozostawały uwięzione w ciasnej norze, dokąd trzy razy dziennie zanosił jedzenie wyblakły młodzian. Ania kilkakrotnie żądała widzenia się z kapitanem, bezskutecznie.

Trudno im była dojść, co to wszystko znaczy. Czyżby załoga „Delfina” zajmowała się handlem żywym towarem? Dotąd nie podejrzewały kapitana Blacka o złe intencje. Czują nawet do niego pewien rodzaj sympatii. Robił wrażenie człowieka inteligentnego i wykształconego, z którym los się źle obszedł. Domyślały się w nim jakiejś tragicznej tajemnicy, która rzuciła go na wody oceanu, skazała na pływanie w tym brudnym kutrze z załogą spod ciemnej gwiazdy. Ale żeby był przestępcą, człowiekiem podłych interesów? Co prawda młody człowiek, szukający szklanych gór, zarzucił mu nasłanie nań

morderców. A teraz to uwięzienie? Do tyłu więc niepokojących pytań doszły nowe.

Czwarty już dzień Mewy pozostawały w zamknięciu. Nadeszło południe. „Delfin stał na kotwicy. Łądu wszakże nie było widać, przez iluminator. Musiał znajdować się po drugiej burcie. Zazgrzytał klucz w zamku. To młody człowiek w wyblakłej koszuli przynosił obiad. Stał potem jak zwykle przy drzwiach i czekał, aż zjedzą. Nie odrywał wzroku od Basi, która to niepomernie złościło. Nie wytrzymała.

— Co on się tak patrzy na mnie , jak ciełę na malowane wrota? — wybuchła. — Can't you look at anything else? (Czy nie możesz patrzeć na co innego?) — dodała ze złością po angielsku.

— Młodzian odpowiedział najniespodziewaniej... po polsku:

— Nie gniewaj się, tyle mam radości, co na ciebie popatrzę.

Dziewczęta zaskoczone, ale i uradowane odkryciem rodaka zasypały go pytaniami. Upewnił się, czy kogo nie ma w pobliżu, potem mówił:

— My się normalnie zajmujemy łapaniem dzikich i odwożeniem ich do... — tu się wstrzymał — ale mniejsza o to. Co Black chce z wami zrobić, nie wiem.

Nic wam pomóc nie mogę. Ja sam... nie chcący po pranemu zabiłem kolegę. Ukryłem się na „Delfinie”, który właśnie stał w porcie. Kapitan zaopiekował się mną i odtąd jeżdżę z nim. Nie mówcie, że z wami rozmawiałem. Już muszę iść...

Pozbierał naczynia i mimo krzyżowego ognia pytał nie powiedział już nic więcej, z wyjątkiem tego, że się nazywa Janek.

Przy kolacji dziewczęta przypuściły doń szturm na nowo.

— Cicho, cicho. — syknął. — Jak Black dowie się, że z wami rozmawiałem, zabije mnie. Nic się mnie nie pytajcie. Ja nic nie wiem. Jak on powiedział, że jedziecie na Tahiti, to jedziecie... Cicho!

Wyszedł pośpiesznie.

— Z tą Tahiti to bujda — odezwała się Krysia — teraz dopiero uprzytomniłam sobie, że leży ona na południowy zachód od Markizów, my zaś cały czas jedziemy na południowy wschód.

— Może to też halucynacja? — odrzekła poważnie Ania.

— E, daj spokój! — żywo zaprotestowała. Baśka — jak przestaniemy wierzyć własnym oczom, to zwariujemy zupełnie. Na początku

myślałam, że Black mówi prawdę, ale teraz? Krysia miała rację od samego początku, to zbój.

— Więc znowu wracamy do teorii o przeniesieniu w przyszłość? — Ania wzruszyła lekceważąco ramionami. — Zostawmy to na razie. Jedno co wiem na pewno, że wszelką cenę musimy się stąd wyrwać.

Rozpoczęły się narady. Wreszcie Ania wysunęła plan który został przyjęty. Czekano na okazję. Minęło kilka dni w napięciu. Nie nadarzyło się. W międzyczasie Black zawezwwał parę razy Krysię do swej kajuty. Skaleczył sobie nogę i prosił ją o opatrunek. Podczas zabiegu żartował, rozmawiał na różne tematy, ale ani słowem nie chciał zdradzić swoich zamiarów co do dalszych losów dziewcząt.

Nadszedł wreszcie dzień rozstrzygający. Było wczesne rano. „Delfin” stał na kotwicy. Przez iluminator widać było piasek wybrzeża i gęstą dżunglę. Ania, badająca sytuację, szepnęła:

— Świetnie, prawie wszyscy wsiedli do łodzi i dobijają do brzegu. Na statku zostało trzech: kapitan, kucharz i nasz kelner Janek. Módlcie się, żeby się udało!

Zastukały bosc stopy. Drzwi kajuty otwarły się. Ukazał się Janek z dymiącą herbata i plac-

kami. Przy pasie w pochwie, jak zwykle od uwięzienia dziewcząt, wisiał mu pistolet.

— Dzień dobry — szepnął. — Będzie na obiad świeże mięso i owoce, nasi wysiedli na brzeg. Ale co jest z Basią?

Dziewczęta siedziały na materacach, ziewając i przecierając oczy, jakby dopiero wejście Janka je obudziło. Tylko Basia leżała twarzą do materaca. Ramionami jej wstrząsał szloch.

— A nic ważnego — odpowiedziała Ania, wstając dla odebrania przyniesionej stawy — jakieś histerie głupie. Płacze już od północy i nie chce powiedzieć dlaczego.

Janek patrzył niezdecydowanie na Basię. Wreszcie gwałtownym ruchem przyklęknął przy niej i pochylił się z troską.

— Co ci jest?

Na to tylko czekała Zula. Jako najsilniejszej polecono jej najważniejsze zadanie. Szybkim ruchem wyciągnęła spod materaca ciężki młotek i z rozmachem uderzyła w tył głowy klęczącego młodzieńca.

Ten, nawet nie jęknawszy, zwałił się bezwładnie.

— Mam nadzieję, że nie uderzyłam za mocno — szepnęła zmartwiała Zula.

Krysia i Joasia sprawnie zakneblowały i związały Janka sznurkami, sporządzonymi z podartych na paski spodów materaców. Ania wyciągnęła mu z pochwy rewolwer, sprawdziła czy jest nabity, odbezpieczyła i ostrożnie uchyliła drzwi. Z pobliskiej kuchni dolatywała neapolitańska piosenka:

*Sul mare luccica l'astro d'argento.  
Placida è l'onda, prosper è il vento...*

— Miejmy nadzieję, że naprawdę „prosperè il vento” (pomyślny jest wiatr) — mruknęła Danusia.

— Gdzie może być kapitan? — niepokoiła się Ania.

Od skaleczenia nogi, która nie chciała się goić, mimo zabiegów Krysi. Black najczęściej przebywał w kajucie, znajdującej się naprzeciwko pomieszczenia dziewcząt. Drzwi do niej były teraz zamknięte. Nie dochodził stamtąd żaden szmer. Wtem nad głowami Mew rozległo się kuśtykanie...

— Dobrze, jest na pokładzie. Zajmiemy się nim potem, teraz do kuchni. Chodź, Zula, reszta niech tu na razie zostanie.

Ania z pistoletem w ręku i mocno bijącym sercem w piersiach skierowała się do kuchni. Za nią postępowała Zula dzierżąc kurczono morderczy młotek. Obie dziewczyny bezszelestnie wsunęły się w otwarte drzwi. Kucharz obrócony był do nich tyłem, lecz? widocznie kącikiem oka dojrzał jakiś ruch za sobą, bo się obejrzał i zdumiał. W jego pierś kierowała się lufa pistoletu, trzymana przez nadobne dziewczę, wyraźnie przestraszone własnym odważnym czynem.

— Hands up! keep quiet! (Ręce do góry i ani słowa) — rozkazała lekko drżącym głosem właścicielka rewolweru.

Pasquale obrócił się frontem do dziewcząt. Niechętnym ruchem uniósł ręce niezbyt wysoko. Ochłonął Już ze zdziwienia i na twarzy jego pojawił się wymuszony uśmiech:

— Come ci sono brave queste ragazze! (Jakżeż są dzielne te dziewczynki!) — wyrzekł z udanym podziwem.

Ledwo domówił te słowa szybkim jak myśl ruchem chwycił prawą dłonią rękę Ani z pistoletem, wysunął ją poza lewy bok swego ciała i robiąc jednocześnie pełen obrót i gwałtowne pochylenie, przerzucił dziewczynę jak piórko ponad ramieniem. Ania z hukiem rąbnęła o pod-



łogę: pistolet nie wystrzeliwszy wypadł jej z garści. Nim jednak Pasquale zdołał poń sięgnąć, uderzenie młotkiem odebrało mu przytomność. Kucharz skupiwszy całą swoją uwagę na Ani z rewolwerem, nie docenił Zuli. Grubaska trzymała swoją broń za sobą, a teraz, nie straciwszy orientacji, trzasnęła Włocha w głowę.

— Szybko, wiążmy go!— zawołała i nie czekając na zbierającą się z podłogi koleżankę, porwała leżące w kącie linki.

Ania była zupełnie oszołomiona. Z trudem usiłowała sobie uprzytomnić, co właściwie zaśzło. Zula wpychała właśnie w usta leżącego brudny gałgan, gdy drzwi kuchenne wypełniło sobą włochate cielsko kapitana.

Black w mig ocenił sytuację i mimo skaleczonej nogi jednym skokiem znalazł się przy pistolecie, o którym dziewczęta z wielkiego wrażenia w ogóle zapomniały. Zanim zdążyły się zerwać z podłogi, kapitan trzymał już w dłoni wycelowaną broń.

— So, you are playing at heroines? Too many films, girls, too many films. Now be nice, go back to your cabin and no more tricks. (Bawicie się w bohaterki? Za dużo filmów, dziewczynki, za dużo filmów. A teraz bądźcie grzecz-

ne, idźcie do swej kabiny i żadnych więcej pomysłów!)

Obie „bohaterki” patrzy z rozpaczą na kapitan, wściekłe na siebie, że tak dały się podejść. Ani łzy stanęły w oczach.

Wszakże, nie widząc żadnej możliwości oporu skierowała się potulni: ku drzwiom. Gdy znalazła się na korytarzu zeskoczył ją niespodziewany widok. Z lewej strony wyglądały z kajuty głowy Danki. Baśki i Joasi z prawej zaś Krysia składała się go strzału ze sztucera. Ania i idąca za nią Zula nieomal przykleiły się do lewej ściany wąskiego korytarza. Gdy z kuchni wychylił się kapitan Black, ujrzał wycelowaną ku sobie lufę

— Hands up! — wrzasnęła dziko Krysia i niemal jednocześnie pociągnęła za cyngiel karabinu.

Kapitan wypuścił z ręki rewolwer i chwycił się za obojczyk, na którym wykwitła czerwona plama krwi. Ania natychmiast podniosła pistolet z podłogi i wycelowwała w rannego. Ten jednak nie próbował oporu.

— Krysiu, jesteś wspaniała: — zawołała Zula.  
— Gdzieś znalazła ten sztucer?

— W kajucie Blacka. Gdy zszedł z pokładu i

minął nasze drzwi, chciałyśmy was ostrzec krzykiem. Wtem przypomniało mi się, że widziałam nasz karabinek w jego kabinie. Gdy tylko zbój wlaźł do kuchni, skoczyłam po sztućcer.

Kubel wody doprowadził kucharza do przytomności. Trudniej było docucić Janka. Wciąż nie otwierał oczu.

— Co z nimi zrobimy? — pytała Zula.

— Niech skaczą w wodę. A my podnośmy kotwicę i w nogi — odpowiedziała autorytatywnie Krysia, lecz w porę dodała: — Ale przepraszam, niech Ania decyduje.

— Co mam decydować? To jedyne rozwiązanie. Tylko czy nie zatrzymać Janka? To nieszczęśliwy chłopak. Pod opieką Blacka zmarnuje się do reszty.

— Ja go tu nie chcę — zaproponowała Krysia — to człowiek niepewny, zresztą nie chciał nam pomoc, za co go wyróżniać? że Polak?

— Możemy go po drodze wysadzić na bezludnej wyspie — wtrąciła Zula.

Ania nic nie odpowiedziała na ten projekt. Poleciła natomiast Basi, by wychyliła się ostrożnie na pokład dla zbadania, co robią inni bandyci. Musieli słyszeć wystrzał. Sama weszła do kabi-

ny, gdzie Joasia i Danusia usiłowały doprowadzić Janka do przytomności. Podniósł wreszcie powieki. Mętnymi oczyma wodził z trudem po twarzach dziewcząt

— Statek jest w naszych rękach — z dumą objaśniła go Ania — Co do ciebie chcemy wiedzieć, czy pragniesz pozostać na tej wyspie z Blackiem, czy jechać z nami i wrócić do porządnego życia. Ewentualnie możemy cię wysadzić po drodze.

Młody człowiek milczał przez chwilę. Wreszcie w oczach jego odmalował się ból.

— Najlepiej zabijcie mnie!

— Nikt cię tu nie będzie zabijać — odparła Ania z niecierpliwością w głosie. — Decyduj się szybko! Dajemy ci szansę powrotu do uczciwego życia. Odpokutujesz za swą winę.

— To chcecie mnie wydać w ręce policji? Nie, nie! Moje miejcie przy kapitanie. To moja jedyna szansa.. On mi obiecał...

— Co ci obiecał?

— E, nic. Ja go nie opuszczę.

— Jak sam chcesz.

Wyprowadzono jeńców na pokład. Na brzegu wyspy widać było Gina z karabinem w ręce. Stał obok dużej łodzi, wyciągniętej na piasek.

Inni członkowie załogi „Delfina” poznikali w lesie. Kapitanowi Blackowi Krysia założyła prowizoryczny opatrunek. Ranny był blady i chwiały się na nogach. Janek także zataczał się jak pijany i raz po raz chwycił się z sykiem bólu za głowę. Litościwa Zula czuła, że od tego widoku robi się jej nieprzyjemnie koło serca.

— Słuchaj: — zwróciła się do Ani. — Jak im każesz w tym stanie skakać do wody, potopią się.

— To nałóż im koła ratunkowe, tam leżą.

Black, który od momentu otrzymania kuli nie przemówił ani słowa, nagie ożywił się.

— To jest wielkie nieporozumienie — rzekł ze sztuczną swobodą. — Ja chciałem tylko waszego dobra...

Krysię aż podrzuciło.

— Ha, ha — zaśmiała się wcale nie wesoło. — Nieporozumienie, halucynacja! Wydawało nam się, że siedzimy zamknięte w śmierdzącej norze, gdy tymczasem swobodnie przechadzałyśmy się po pokładzie. Pchaj się, chłopie, do wody, bo nie wytrzymam.

— Nie, nie — Black usiłował bronić straconej pozycji. — Bałem się, że handlarze żywym towarem mogą was zobaczyć i nam odebrać. Ten

statek...

— Jump! (skacz!) — Ania wreszcie straciła cierpliwość i pchnęła kapitana ku balustradzie.

Gin, przysłoniwszy oczy dłonią od słonecznego blasku, przypatrywał się kutrowi. Widział kręcące się na nimi postacie, ale widocznie nie mógł jeszcze się zorientować co tam zaszło. Zazgrzytał łańcuch podnoszonej kotwicy i w parę chwil później zaterkotała turbina. Gin był w najwyższym stopniu zaniepokojony. Począł krzykiem przywoływać swych, towarzyszy z lasu. Zanim nadbiegli, „Delfin” ruszył, odsłaniając w wodzie trzy płynące głowy. Teraz bandyta zrozumiał. Przyłożywszy kolbę karabinu do ramienia począł bezładnie strzelać.

Dziewczęta, słysząc świst kul, uskoczyły za kasztel, jedna tylko Ania nie ruszyła się ze swego miejsca przy sterze.

### **Rozdział III**

#### **Tajemnica rozjaśnia się**

Dziewczęta były wolne. Ogarnęła je dzika radość. Skakały po pokładzie, wydając okrzyki tryumfu. Krysia stała się oczywiście bohaterką dnia Ania przeżuwała trochę w sercu własne upokorzenie, ale i ją rozpierało zadowolenie. Powstrzymała jednak wkrótce rozhasanie towarzyszek.

— Na obchód zwycięstwa będzie czas później. Teraz proszę, niech Baśka i Joasia biegną do paleniska i pilnują ognia pod kotłem. Sprawdźcie od razu, ile mamy w zapasie drzewa. Zula niech obejmie kuchnię. A reszta...

— Jeśli pozwolisz — przerwała jej Danka — to ja z Krysią zajmiemy się oczyszczaniem statku z brudów.

— Dobrze, dobrze, sama miałam to na myśli.

„Delfin” szedł prosto na południe, lecz tylko do momentu, gdy Ania uznała, że musiał zniknąć bandytom z oczu. Zatoczyła wtedy szeroki łuk i skierowała się ku wschodowi, gdzie na widnokręgu rysowały się kontury lądu. Ponieważ drzewa i żywności okazało się skąpo, należało się w nie zaopatrzyć jak najszybciej.

Wzrok Ani przesuwiał się z roztargnieniem po dziewczętach, czyszczących z zapalem pokład. Mimo upojenia odzyskaną wolnością odczuwała niepokój. Wszystko wokół było niezrozumiałe i tajemnicze, a nawet, jeśli wierzyć Blackowi, mogło być złudzeniem. Jak planować cokolwiek w tych warunkach? Dokąd się udać? Może kapitan rzeczywiście chciał ich dobra, a zamknął je jako wariatki, by sobie i innym nie sprawiły krzywdy? Ania westchnęła — ciężki to moment



w życiu człowieka, gdy zaczyna wątpić we własną poczytalność.

Z męczącej zadumy wyrwał Anię krzyk Krystyny, ściągającej brezent z podłużnego przedmiotu na dziobie statku. Bandyci twierdzili, że to wielki reflektor, tymczasem spod płachty wyjrzało 50 mm. Działko na stalowej platformie.

— Hurra! Aniu, armata!

— Widzę. Może się jeszcze przydać. Jeśli znajdziemy do niej amunicję.

— Jest cała skrzynia w magazynku — oświadczyła Zula, ukazując się na pokładzie — lecz, co ważniejsze, znalazłam coś w rodzaju mydła. Będziemy mogły uprać nasze łachy.

— Ach, ubranie — rzekła lekceważąco Krysia — mogę się bez niego obejść, marzę natomiast o kąpeli i jak wejść w wodę, będę w niej siedziała cały tydzień. Jak długo, Aniu, zamierzasz zatrzymać się przy tej wyspie?

— Boję się bliskości Blacka i jego bandy, mają łódź i broń. Lepiej odpłynąć przed nocą.

— O, daliśmy sobie radę z nimi raz, damy i drugi — odparła chełpliwie rudowłosa bohaterka. — Skąd zresztą mają wiedzieć, gdzie jesteśmy?

— Ano zobaczymy — w głosie Ani brzmiało już zniecierpliwienie. — Ale powiedz mi, dlaczego to krzyknęłaś do Kapitana „Hands up” i od razu wpakowałaś weń kulę? To nie było „fair” (uczciwie).

— Quite fair! (zupełnie uczciwie). Black wcale nie usłuchał wezwania. Błyskawicznie skierował ku mnie lufę pistoletu. Ja jednak byłam szybsza. Long live. Christine, the fastest gun alive!

Po tym okrzyku samouwielbienia Krystyna wspięła się na pomost i objęła Anię ramieniem.

— Aniu — rzekła serdecznie — nie gniewaj się na mnie i kochaj mnie. Nadokuczałam c wiele, jestem taka nowoczesna i nieco zarozumiała, ale przez te wszystkie przygody bardzo cię pokochałam. Jesteś prawdziwym wodzem. Lubię patrzeć na ciebie, gdy się tak zamyślisz i marszczysz czoło, jak przed chwilą. Wiem, że martwisz się wtedy o nas i za nas. A i nasze uwolnienie to przecież twój pian..

Nie dokończyła, bo Anka schwyciła dotychczasową przeciwniczkę w objęcia i wycisnęła na jej policzku głośny pocałunek.

— Łapcie koło! — wrzasnęła Basia, która właśnie wyszła umorusana spod pokładu — statek

się rozbije.

Przed zachodem słońca dotarły do wyspy. Z jej wnętrza sterczały strome stożki dwóch wulkanów, resztę lądu kryła dżungla Długi, cienki półwysep, biegnąc równolegle do linii brzegu tworzył wąską zatokę. Do niej schronił się „Delfin”.

Dziewczęta spały tej nocy na wyczyszczonym pokładzie. Co za ulga wdychać świeże powietrze widzieć nad sobą niebo choć bez gwiazd, lecz rozświetlone drżącym blaskiem srebrnej zorzy: Dziewczęce wargi szeptały dziękczynną modlitwę.

Śpiew ptactwa nie pozwolił spać długo, czekało też mnóstwo roboty. Pierwszym punktem w rozkładzie dnia było pranie odzieży.

W pobliżu nasady półwyspu wypływała z lądu rzeczka. Idąc w górę jej biegu po kilkunastu minutach natrafiało się na próg skalny, za którym rozpościerał się rozległy basen wodny, okolony olbrzymimi liśćmi nieznanej rośliny. Już z rana odkryła to miejsce Basia i przyprowadziła tu swoje koleżanki. Jedynie Danusia pozostała na „Delfinie” w charakterze strażniczki.

Dziewczęta zabrano się do prania odzieży. Przybrzeżne płaskie kamienie doskonale nada-

wały się do tego celu. Znalezione przez Zule mydło nie było najgorsze. Wprawne ręce szybko dokonały dzieła. Ubrania suszyły się na kamieniach i krzakach, a Mewy pływały leniwie, szukając w wodzie ochłody przed coraz większym upałem. Jedna tylko Krysia na ustronnej kępie wystawiła ciało na działanie promieni słonecznych.

— Trzeba być fantastyczną czcicielką słońca — mruknęła Joasia. — Ja bym się roztopiła w przeciągu pięciu minut. Wolę bożka Posejdo-na\*.

— Ja też go stawiam wyżej — dorzuciła Ania. — Wcale niepotrzebne to opalanie. Po spotkaniu z latającym talerzykiem nasze ciała powlekleły się tak pięknym brązem, jakbyśmy z miesiąc brały kąpiele słoneczne na Florydzie.

— Nasza nieprzytomność musiała trwać dłużej niż kwadrans. Ale co to? Patrz, patrz! — Joasia wskazała próg wodny. Przeskakiwały go czerwone ryby. Niektóre mogły mieć z metr długości. Szły od strony morza i kierowały się w górę rzeki. W tej samej chwili nad głowami dziewcząt zawisł cień. W sekundę później spadło coś jak piorun między skaczące ryby i oto jedna z nich wiała się bezradnie w długim dziobie dziwnego

stworzenia. Można by je nazwać ptakiem, gdyby nie zielone, nietoperzowe skrzydła.

— Pterodaktyl!? — krzyknęła Joasia.

— Albo znowu halucynacja. — Ania nie dowierzała wciąż swoim oczom.

— Daj spokój z halucynacją. Jeśli to są pterodaktyle — wielkie oczy Joasi rozbłysły nowym pomysłem — to jeszcze raz musimy zmienić naszą teorię, Przeniesiono nas nie w przyszłość ale w przeszłość. Może w ową legendarną złotą epokę ludzkości. Księżycy jeszcze nie ma. Ziemia go nie złowiła z międzyplanetarnej przestrzeni. Gwiazd nie widać, bo klimat jeszcze tak gorący, że mnóstwo pary wodnej stale utrzymuje się w górze. Ci dzicy, należący do białej rasy, to nasi przodkowie...

— Ci na latających dyskach to bogowie z Olimpu — dodała nadpływając Basia. — Ciekawa jestem, czy ten nasz opiekun to Merkury, czy Apollo? Czego ty jeszcze nie wymyślisz?

Powiedziawszy to, dała nurka w wodę pod olbrzymie rdzawe liście, tak dziwnie podziurkowane przez naturę, że wyglądały niby wycinanki ludowe. Tu i tam jarzyły się w nich purpurą kielichy pysznych kwiatów. Nie zdażyła wypłynąć na powierzchnię, gdy od strony zatoki do-

biegł ostry gwizd syreny okrętowej: trzy krótkie — „niebezpieczeństwo” — tak się umówiły.

Mewy w jednej sekundzie znalazły się na brzegu, ubrały i puściły biegiem w dół rzeczki. Nim dotarły do zatoki, rozległo się wokół straszliwe „auuu”. Spoza osłony krzewów i skał podniosły się brązowe ciała. Dziewczęta ujrzały wymierzone w ciecie ostrza dzid, strzał i otwory dmuchawek. Cóż z tego, że trzymały je małe ręce. Dzikusów, z których najstarszy nie mógł mieć więcej niż dwanaście lat? Broń nie była przez to mniej groźną.

Zaskoczone podróżniczki trwały bez ruchu. Krysia trzymała w ręku sztucer, Basia łuk, lecz zanim złożyłyby się do strzału, przeszyłby je wraży pocisk. Jeden z dzikusów wysunął się z powagą naprzód.

— Kili am massevu? Kili ompo da mn’ava? — zapytał.

— Nie rozumiem — Ania rozłożyła bezradnie ręce.

Mały dzikus klasnął w ręce i zawołał:

—Ejva, kuori aminu!

Spoza drzewa wysunęła się blondyneczka o chabrowych oczach. Miała na sobie spódniczkę z barwnej trawy. Podeszła ku Mewom. Przygląda-

ła się ciekawie.

— Gvili się pyta — rzekła uprzejmie najczystsza polszczyzną — kim jesteście i co robicie na tej wyspie.

Ania wyjaśniła, że wylądowały tu dla nabrania żywności i paliwa. Dziewczynka z warkoczykami wymieniła kilka zdań z Gvilim, po czym zwróciła się do dziewcząt.

— Pozwalamy wam pozostać na tej wyspie, jak długo pragniecie, ale w zamian coś od was chcemy.

— Jeśli to będzie możliwe...

— Pozwólcie nam zwiedzić was statek.

— Z przyjemnością, jesteście naszymi gośćmi.

Nastąpił rytualny znak zawarcia ugody. Gvili ugryzł Anię lekko w prawe ucho i nadstawił swoje. Ubawiona tym dziewczyna lojalnie oddała symbol przymierza. Po tym obrzędzie chłopak złożył ręce w trąbkę i wydał donośny dźwięk. Las zaroił się gromadą dziewczynek niosących naręcza kwiatów. Pośród radosnych okrzyków przybrano Mewy w kolorowe naszyjniki i bransolety, najpiękniejsze zaś okazy miejscowej flory powpinano we włosy.

Następnie cała czereda dotarta do „Delfina”. Wesole nagusy, których namiastką stroju był

najczęściej sznureczek naokoło bioder ze zwisa-  
jącą z przodu kępą barwnych traw, szperały  
ciekawie po zakamarkach statku. Wszystko je  
zdumiewało i pobudzało do radości. Najwięcej  
wrzawy było przed lustrem — zapewne po raz  
pierwszy w życiu smagła brać miała okazję  
przyjrzeć się dokładnie swoim twarzom. Napeł-  
nili kuter miłym rozgwarem. Oczu ich nie  
uszedł żaden szczegół.

Tylko małej tłumaczki nie interesowały dziwy  
„Delfina”. Gdy Mewy znalazły się na pokładzie,  
zwróciła się do Ani:

— Skąd i dokąd płyniecie?

Ania wahała się z odpowiedzią. Bała się zdzi-  
wionych oczu, patrzących z niedowierzaniem.  
Wreszcie zapytała sama:

— Skąd znasz język polski?

— Jestem Polką. Wśród dzikich znalazłam się  
przypadkiem i... i... Bardzo pragnę wrócić do  
domu. Może jedziecie w kierunku Wyspy Ognis-  
tej?

— To ty mieszkasz na samym krańcu świata?  
W umyśle Ani Wyspa Ognista skojarzyła się z  
Ziemią Ognistą, leżącą na południu Argentyny.

— Na krańcu? Najwyżej kilkaset mil stąd.  
Mamy tam plantację. Mnie, z grupą innych



osób, porwał handlarz niewolnikami, ale uciekłam. Czas pewien przebywałam sama na bezludnej wyspie, aż zaopiekowali się mną krajowcy, rybackie plemię Anaku. Jeżdżą z miejsca na miejsce, lecz niestety nie mogli mnie odwieźć do domu. Wasz statek jest pierwszym, jaki spotykam,

— Oczywiście zaopiekujemy się tobą — Ania przygarnęła ku sobie dziewczynkę — tylko, że same nie wiemy, gdzie jesteśmy. Jak masz na imię?

— Ewa. Nie macie żadnych map? Tę wyspę krajowcy nazywają Onauga. Skąd żeście się wzięły w tych dzikich okolicach?

— I nas złapali bandyci. Wyrwałyśmy się im, opanowując statek. Znalazłam w kajucie kapitana wymiętoszone mapy, lecz nie mogę z nich nic zrozumieć.

— Mogę je zobaczyć?

— Dobrze, chodźmy.

Nie doszło jednak do oglądania map, bo właśnie kilka dzikusek odwołało Ewę na brzeg. Z pół godziny później dobiegły stamtąd zapraszające nawoływania. W cieniu drzew na mchu czekała przygotowana uczta. Składała się głównie z owoców i orzechów, choć znalazło się też

dla każdego i po kawałku mięsa z upolowanych „pterodaktyli”. W głębokich muszlach roznoszono zielonkawy napój owocowy. Gasił świetnie pragnienie, pobudzał do wesołości, lecz również nastrajał stopniowo do snu nie przyzwyczajone głowy. Po dwudziestu minutach poczęły się Mewom kleić oczy i nim uczta dobiegła do końca, spały już jak zabite.

Kiedy po dwu godzinach otworzyły oczy stwierdziły, że są same, ślady uczty znikły. Mewy niespokojnie zerknęły ku „Delfinowi”, czy i on się nie rozwiął w powietrze. Na szczęście spoczywał na swoim miejscu, łódka także. Gdy dopłynęły do burty kutra, powitało ich znajome już „auuu” i śmiechy. W czasie snu dziewcząt dzieciarnia zapełniła statek zapasami żywności i paliwa na kilka co najmniej dni.

— Można by ruszać w drogę — stwierdziła Ania — gdybyśmy wiedziały dokąd.

— Pozwól, niech zobaczę mapy, o których wspominałaś — odezwała się Ewa — może ja co wykombinuję.

Zachodziło słońce. Małe dzikusy opuściły statek, wracając do osady po drugiej stronie wyspy. Tylko Ewa pozostała na pokładzie.

Dziewczęta zebrały się w kasztelu. Ania przy-

niosła dwie potłuszczone i ponaddzierane mapy, Ewa pochyliła się nad nimi z poważną miną. Podróżniczki po krainie czarów przywarły oczyma do warg dziewczynki, żadna dotąd nie miała odwagi pytać małą o wyjaśnienie.

— Kształty wysp nic mi nie mówią, a tych napisów stenograficznych czy arabskich, nie umiem czytać — rzekła Ania ponad ramieniem Ewy,

— Ja także nie umiem dobrze czytać po wenusjańsku — odpowiedziała tamta — ale...

— Po jakimu? — krzyknęła Basia.

— Po wenusjańsku. Nie mniej kształty wysp są mi znane. Oto tu jest Nowy Kraków, a tu Ava-Nari. Jednak nie mam pojęcia, która to może być Onauga. To gdzieś bardziej na północy.

— Słuchaj — przerwała jej Ania drżącym głosem — co ty bredzisz? Jaki wenusjański język? to... — zatoczyła nieokreślony krąg ręką — czy to jest... czyżby to była.

— Planeta Wenus? — dokończyła za Anią Joasia.

Ewa popatrzyła na dziewczęta zdumionymi oczami.

— To wy nie wiedziałyście? To jest Wenus.

— A mówiłam, a mówiłam! — zawołała tryumfalnie Joasia. — Okazuje się, że marzycielka ma najlepsze wyczucie rzeczywistości...

— Uspokój się — zgromiła ją Ania, po czym zwróciła się do Ewy — czy jesteś pewna, że to Wenus? Może ci się tylko ta: wydaje?

Ewa pokręciła głową z rozbawioną miną.

— Wydaje? Jestem tu już cały rok. Na początku nieraz się szczypałam, żeby się obudzić, ale nie... te nie złudzenie. Wszystko jest naprawdę... i przyjemne rzeczy i przykre.

Rozpoczęły się wzajemne opowiadania, wyjaśnienia, które trwały do późna w nocy. Między innymi opowiedziała Ewa dziewczętom historię swego porwania przez Roberta McGuire. Było to tak:

Mary. Dorota i Ewa poszły któregoś razu na plażę w towarzystwie Aby i zakochanego w Bostoniance Jerzego Szwalkowskiego. Niespodzianie wypadła z krzaków banda Roberta. Mimo oporu zabrano ich na pokład żaglowca. Dziewczyny zamknięto w kajucie o jednym iluminatorze. Robert obawiał się pościgu. Kluczył, krył się po zatokach, lecz jednocześnie posuwał się coraz bardziej na północ. Któregoś wieczoru żaglowiec schronił się do bardzo wąskiej zatoki,

otoczonej skałami. Rober: zajrzał go kajuty:

— Ha, ha, — zaśmiał się — powinny drzeć wam serca. Ten wasz Andra znajduje się od nas zaledwie o kilkaset jardów, tuż za tą skałą. Ale stawiam swoją głowę, że nas nie odkryje.

— Wyszedł zamknawszy jak zwykle drzwi na klucz.

— O jej — rzekła z podnieceniem Dorota — żeby można było w jaki sposób dać znak Andrzejowi.

— Wiem, jak to zrobić — odezwała się Ewa — prześliznę się przez iluminator. Jestem dość cienka na to. Robi się już ciemno. Niepostrzeżenie dopłynę do brzegu, przedostanę się za skały i zawiadomię, że tu jesteśmy.

Eskapada udała się. Jednakże Ewa w ciemnościach długo nie mogła znaleźć przejścia między skałami. Dopiero o świtaniu, dotarła do miejsca, gdzie spodziewała się zastać Takilę. Tymczasem po jachcie nie było ani śladu. Gdy cofnęła się do zatoki i żaglowiec zniknął: wymknął się jeszcze nocą lub pod osłoną porannej mgły. Została więc sarna na bezludnej wyspie, póki nie nadpłynęli Anaku i nie zabrali jej ze sobą.

Gdy Ewa skończyła swe opowiadanie, Ania dała znali do udania się na spoczynek. Było już

bardzo późno, niebo poczynąło szarzeć.

Ledwo ułożyły się do snu, poderwało je wołanie, dochodzące z brzegu. Był to Gvili z dwoma towarzyszami. Przybiegli zziębnięci prosto z osady rybackiej. Przed godziną dotarł tam na łodzi kapitan Black ze swoją bandą.

— Bardzo się spieszyli — mówił chłopak — nabrali od nas żywności, wody i natychmiast ruszyli dalej. Jada wzdłuż wyspy w tym kierunku. Pytali się, czy nie widzieliśmy statku z dziewczynami na pokładzie.

— I coście im odpowiedzieli?

— Czarnobrody i jego towarzysze to niedobrzy ludzie. Nasi rodzice wiedzieli od nas o waszym tutaj pobycie, ale odpowiedzieli, że was nie spotkali... bo to prawda.

Dziewczęta stale utrzymywały ogień w palenisku, dzięki temu „Delfin” mógł natychmiast odjechać. Nastąpiło pożegnanie z małymi przyjaciółmi. W czasie rozmowy przybyło ich z osady jeszcze więcej. Małe dzikusy według swego zwyczaju wycalowały Mewy w koniec nosa.

— Tyle razy na Ziemi zapraszałam ludzi — zauważyła Basia — do pocałowania mnie w nos i nie było chętnych, a tu na Wenus... patrzcie, co się dzieje!

Pospiesznie kotwica poszła w górę. Statek ruszył. „Delfin” opuścił zatokę, wyrzucając z kominu kłęby dymu i iskier.

— Ten Black to ma nosa — zauważyła Ania — podążył prosto za nami.

— Gdybyśmy były bardziej przytomne — odpowiedziała jej Krysia — od razu mogłyśmy to przewidzieć. Wystarczy rzut oka na mapę. Nie będzie się przecież pchał u łódce na pełne morze. Podążył wzdłuż archipelagu, utrzymując poprzedni kierunek.

— Całe szczęście, że „Delfin” sunie szybciej od łodzi.

Wstał dzień. Turbina statku pracowała równo. Morze było spokojne. Zielona wyspa ciągnęła się na długiej przestrzeni i dopiero koło południa pozostała w tyle ze kutrem.

Przy pomocy Ewy dziewczęta ustaliły w przybliżeniu swoją pozycję na mapie. Przydały się bardzo uwagi kapitana „Bociana” o położeniu Wysp Śpiewających. Ponadto Ania od samego początku pilnie śledziła kierunek żeglugi „Delfina”; notowała uważnie w pamięci każdy ląd, przy którym statek się zatrzymywał. Mewy postanowiły odwieźć Ewę na Wyspę Ognistą, a stamtąd skierować się do Nowego Krakowa.

Najkrótsza droga prowadziła przez wielki obszar morski, pozbawiony jakiejkolwiek wyspy. Na jego przecięcie wprost nie starczyłoby paliwa i żywności. Postanowiły więc jechać od archipelagu do archipelagu. Nadkładało się w ten sposób kilkaset mil, lecz do czego właściwie miały się spieszyć?

Wiadomość, że porwano je w przestrzeń i umieszczono na innej planecie, była nie lada wstrząsem. Jeszcze dotąd nie mogły sobie uprzytomnić wszystkich konsekwencji tego faktu, przestawić się na nowy tor myślenia. Tym bardziej, że ta „siostra Ziemi”, jak nieraz nazywają Wenus, nie różniła się zasadniczo od ich rodzimej planety, a co najważniejsze mieszkał na niej ten sam CZŁOWIEK.

— Jak wrócimy kiedyś na Ziemię — rzekła Basia — i powiemy, że na Wenus mówią po polsku. Któż nam uwierzy?

— Nie uwierzą nam też — dodała Joasia — że drzewa są zielone i ptaki śpiewają i kwiaty pachną, a na przybysza nie czyhają straszliwe potwory ..

— Z wyjątkiem olbrzymich pajaków — Basia nie zapomniała o swej przygodzie.

Na niebie, czystym dotąd, pobawiły się, nie



wiadomo skąd, małe różowe obłoczki. Nie płynęły w jednym kierunku z wiatrem, skręcały w różne strony, to zbiegały się, to oddalały od siebie.

— Nie miałabym nic przeciw temu, żeby trochę popadało — wyraziła życzenie Danka. — Odkąd znalazłyśmy się na Wenus, nie spadła ani jedna kropla deszczu

— Prawdziwy raj dla takich czcicieli słońca jak ja — z lubością rzekła Krysia.

— Tym bardziej — rozpoczęła Ewa profesorskim tonem — że welon stratosferyczny wokół naszej planety filtruje doskonale promienie słoneczne, przepuszcza tylko korzystne dla człowieka i życia w ogóle..

— A widzisz Aniu — Krysia tryumfowała — a tak krytykowałeś moje opalanie się.

— Nie mam nic przeciw twemu zamiłowaniu do słońca, czy kąpieli powietrznych. Dobre to w odpowiednim czasie i miejscu. Natomiast ze względów moralnych protestowałam przeciw twojej zbytnej swobodzie w ubiorze...

— Phi, względy moralne — Krysia lekceważąco wydeła policzki — tac zwane zasady przyzwoitości zmieniają się jak coraz w kalejdoskopie. Cóż jeśli kroczę na czele postępu? Przypomnij

sobie kostium kąpielowy naszych prababek. A teraz? Nosimy na sobie coraz mniej i nikomu to już nie szkodzi.

— Jak nie szkodzi ogień karabinów maszynowych... trupom. W piekle też już nikomu nic nie szkodzi. — Ania poczęła się zapalać.

— Zaraz takie porównanie. Przesada. Są dzicy, którzy nic na sobie nie noszą i, jak stwierdzają podróżnicy, nie wpływa to ujemnie na ich moralność. Gdybyśmy się przyzwyczaili...

— Ale co byłoby, zanim byśmy się przyzwyczaili? Zresztą, czy człowiek cywilizowany w ogóle może się przyzwyczaić?

— Spróbuj, zamiast gadać na wiatr.

Zajęte coraz gorętszą dyskusją dziewczęta nie zwracały uwagi na obłoki, których pokazywało się coraz więcej. Jedna Ewa śledziła je ze zmarszczonym czołem.

Do sporu tymczasem wmieszała się Basia:

— Zaraz, zaraz... już obie głowy poczynają dymić. Pozwólcie, że ja powiem, co was powinno pogodzić. Prawda leży gdzieś pośrodku. Mamy teraz większe zrozumienie dla wartości sportu, dla słońca, wody i powietrza. Odrzuciliśmy wiele z dawnej pruderii i nie traktujemy ciała, jako, jakby było czymś złym w swej isto-

cie. Czy jednak nie padliśmy w drugą ostateczność, zapominając, że istnieje także dusza, która jest ważniejsza? Tych kilka centymetrów więcej w ubraniu lub w kostiumie, które go czynią przyzwoitszym, nie zaważą na mym zdrowiu, za to uchronią od niepotrzebnej pokusy tych, co patrzą na mnie. To po prostu nakaz miłości bliźniego.

— E, jak kto jest zepsuty — Krysia dalej walczyła o swoje, choć już z mniejszą pewnością siebie — to wszędzie znajdzie okazję do grzechu. A zresztą... co tam na Ziemi. Tu na Wenus jest raj prawdziwy i powinniśmy się przystosować psychicznie i fizycznie do nowych warunków.

— Pod względem przyrody może i raj — odpowiedziała Ania — lecz nie zapominaj; że w dalszym ciągu trwają w nas skutki grzechu pierworodnego. Posiadamy te same słabości...

W powietrzu rozległ się głośny trzask z różowego obłoku, który przepływał właśnie nad „Delfinem”, wyprysła ognista kula. Pędziła bezładnym na pozór zygzakiem, dotknęła masztu i pękła z hukiem. Iskry sypnęły się na pokład. Dziewczęta poczuły na ciele lekkie ukłucia.

— Burza grawitacyjna! — krzyknęła Ewa. —

Uciekajcie pod pokład, albo przywiążcie się linami do burty, bo inaczej pofruniecie w powietrze. Trzeba też pozbierać wszystkie luźne przedmioty. Szybko, szybko!

Druga z kolei pomarańczowa kula wtłoczyła się z sykiem na dziób statku. Odbiła się od odkrytej armatki i rozpadła zasypując tysiącem iskier złożoną obok płachtę. Ta jakby ożyła. Podniosła się, rozwinęła i niby wielki, niezdarny ptak poszybowała w górę.

Dziewczęta szybko powrzucały pod pokład ruchome przedmioty a same poprzywiązywały się linami co czego się dało: do masztu, do balustrady, do haków na burcie. Chciały oglądać niezwykle zjawisko natury; tylko Danusia z strachana uciekła pod pokład.

Tymczasem naokoło statku działy się dziwne rzeczy. W powietrzu wirowały już setki ognistych kul i kulek najrozmaitszej wielkości. Dał się słyszeć brzęk niby milionów pszczoł. Kule nie zderzały się ze sobą, ale kręciły wokół siebie z zawrotną nieraz szybkością. Biegły w różnych kierunkach. Wiele z nich uderzało w pokład i w dziewczęta. Pierwsza Krysią została trafiona. Jej ciało objął ognisty przyjemny prysznic. Natychmiast poczuła, że unosi się jak balon. Przy-

trzymała ją lina.

Inna kula nie spadła na Anię, ale rozpoczęła wokół niej szalony, wirowy taniec. Dziewczyna poczuła się nagle straszliwie ciężka. Usłyszała trzeszczenie desek pokładu pod nogami. Krzyknęła. W tej samej sekundzie kula pękła. Ania odetchnęła z ulgą. Uderzył ją zaraz inny ognisty pocisk i przeniknęła nadzwyczajna lekkość. Wzniosła się w górę. Wkrótce i reszta dziewcząt bujała w powietrzu.

Nie uniknęła też przygody Danusia. Kilka kul wpadło pod pokład przez niezamknięte drzwi, jedna objęła Dankę snopem iskier. Przerażona dziewczyna nie zdążyła nawet krzyknąć a już zawisała pod sufitem.

Sam statek otrzymał tyle antygravitacyjnych ładunków, że stracił wybitnie na wadze Zaledwie dotykał powierzchni morza.

— Co będzie, jak cały „Delfin” polecą w górę?  
— krzyknęła ku Ewie zaniepokojona Basia.

— Pofruwamy sobie i opadniemy powoli. Nie bój się! — odpowiedziała mała z wysokości dziesięciu metrów.

Ewa nie po raz pierwszy przeżywała, tego rodzaju zjawisko i starała się w pełni wykorzystać przyjemność. Przywiązała się specjalnie długą

liną i wisiała teraz wysoko, rękami i nogami wykonując pływackie ruchy.

— Co za rozkosz być ptakiem! — wołała, śmiejąc się i piszcząc z uciechy.

— Raczej balonem — mruknęła Basia — Kiedy to się skończy, bo chwytają mnie już nudności?

Skończyło się niezadługo. „Delfin” nie poleciał w powietrze. Różowe chmurki zniknęły tak samo tajemniczo, jak się pojawiły. Ciężkość stopniowo wracała. Mewy opadały na pokład. Mogły się już odwiązać. Przez godzinę jeszcze czuły się o wiele lżejsze, niż normalnie. Musiały uważać, żeby nie wykonywać zbyt nagłych i silnych ruchów. Kiedy bowiem Krysia zeskoczyła ze schodków, niespodziewanie znalazła się za burtą. Wyciągnięto ją bez trudu za pomocą liny.

Dzień dzisiejszy miał wszakże przynieść jeszcze więcej dziwów. Gdy Ania po burzy sprawdziła kurs statku, stwierdziła, że zboczył na północny wschód, to znaczy niemal o pełne 90°. Chwyła za koło sterowe. Nie drgnęło nawet. Nadaremnie szukała przyczyny. Zerwał się wiatr. Nadpłynęła większa fala i uderzyła w bok statku, zmieniając nieco jego kierunek. Koło sterowe samo na oczach Ani wyrównało kurs dokładnie na północny-wschód.

Dziewczyna wezwała swe towarzyszki. Na mostku stłoczyła się cała załoga.

— Niewidzialny? — Podsunęła przypuszczenie Zula.

Ewa pomacała wokół sterowego koła.

— Nie może by ć niewidzialny — rzekła stanowczo — oni przecież nie potrafią swych ciał czynić przenikliwymi.

— Może to burza grawitacyjna tak wpłynęła? — zasugerowała z kolei Joasia.

— W jaki sposób?

— Skąd ja mogę wiedzieć Ty, Ewusiu jesteś dłużej na Wenus.

— I ja nie wiem. Mój stryj mówił, że gdybyśmy, przybysze z Ziemi, poznali na czym to zjawisko polega, potrafilibyśmy skonstruować latający talerzyk.

Próbowano wspólnymi siłami poruszyć koło. Nadaremno. Zmieniało swe położenie jedynie pod dotknięciem niewidzialnej ręki.

— Ktoś nami kieruje na odległość. Zobaczymy, co z tego wyniknie — zrezygnowanym głosem rzekła Ania.

Dziewczęta starały się odcyfrować z map, dokąd je wiedzie niewidzialna siła. Jeśli właściwie określiły swe położenie, to statek kierował się

ku okrągłej wyspie, rzuconej samotnie w bok od głównej osi archipelagu.

— Widzę ją — odezwała się ni stąd ni zowąd Joasia. Miała błędne oczy. Wpatrywała się nimi w widnokrąg, który był zupełnie pusty. — Widzę ją — powtórzyła — jak większość wysp dotąd napotykanych to wulkan, który już dawno przeszedł na emeryturę. Znać na nim ślady długotrwałej erozji. Pokrywa go bogata roślinność. Łagodne brzegi, czerwonawa plaża. Morze wdarło się do środka, tworząc śliczną zatokę. Widzę też łódź, którą niesie prąd. W łodzi ktoś leży.

— Co tobie? — Ania z niepokojem spojrzała na swą towarzyszkę.

— Joasi się pogorszyło — stwierdziła — to od tych ognistych kul...

Joasia potrząsnęła falą bujnych włosów, jakby chcąc odepchnąć widzenie. Przetarła oczy ręką. Nagle cofnęła się.

— Och! — krzyknęła i trzęsącą dłonią wskazała koło sterowe — tam, tam stoi jakiś niski człowiek, stary, ubrany w skórę wężową. O... zniknął...

— Chodź, Joasiu. — Ania objęła drżącą dziewczynkę matczynym ramieniem — pójdziemy do



kajuty, musisz odpocząć.

Joasia odepchnęła przyjaciółkę.

— Myślisz, że to przemęczenie nerwowe? Nie, ja naprawdę widziałam.

Popatrzała na swe koleżanki. Wskazała palcem na Krysę:

— Ja wiem, co ty myślisz: „Joasia chce ucho-  
dzić za proroka... toć z mapy można wykombi-  
nować, jak wygląda wyspa, a ten przy kole to  
wymysł fantazji”.

Krysia się zarumieniła. W jej nieco kocich  
oczach odmalowało się zdziwienie.

— To prawda. Właśnie to pomyślałam. Bardzo  
cię przepraszam. Ty rzeczywiście...

Joasia nie pozwoliła jej dokończyć.

— Nie wiem, co się dzieje — rzekła — ale mogę  
czytać wasze myśli. O jej, ile ich, jak jedna dru-  
gą goni, aż mi się mąci w głowie i brzęczy w  
uszach. Lepiej pójdę się położyć.

Po odejściu „wizjonerki” dziewczęta żywo dys-  
kutowały. Jedne wierzyły, inne odnosiły się do  
sprawy sceptycznie. Niemniej odczuwały niepo-  
kojącą atmosferę. Z ulgą przyjęto ukazanie się  
wyspy. Odpowiadała opisowi Joasi. Rozpadły  
częściowo wulkan, pokryty roślinnością. Szerokie  
plaże ceglastej barwy. Spokojne morze o

ciepłym zielono–żółtym odcieniu.

— To jakiś uroczy zakątek — rzekła z uznaniem Krysia — ale po co nas tu przywiodło? Chyba nie dla podziwiania piękna.

„Delfin”, idący dotąd prosto na wyspę skręcił raptownie. Dziewczęta chwytaly się burty, żeby nie upaść. Ewa zaraportowała z dzioba statku:

— Łódź przed nami!

Niewielkie czółno znajdowało się bardzo blisko. Aż dziwne, że go dotąd nie dojrzały. Zbyt-  
nio je zajął widok łądu. Statek sam skierował się ku łódce. Turbina zwolniła obroty. Stała.

— Ktoś tam leży. Żywy — czy nie żywy? Czółno obijało się już o burzę „Delfina”. Na dnice plecami do góry leżał młody mężczyzna o jasno blond włosach i skórze spalonej słońcem. Biodra okrywała mu niebieska przepaska. Na plecach i głowie widniały ślady zakrzepłej krwi.

Baśka i Krystyna skoczyły do wody. Zrzuciono linę. Za ich pomocą nie bez trudu wywindowano nieprzytomnego na pokład.

Ujrzawszy twarz rannego. Ewa wydała okrzyk:

— To Andrzej!

Na dźwięk swego imienia otworzył oczy.

— Pić! — szepnął.

Podano mu wodę do ust. Pił długo i chciwie.

Wreszcie powiódł wzrokiem po pochyłonych nad sobą dziewczęcych postaciach. Rozpoznał Ewę.

— Ewa — wymamrotał starając się uśmiechnąć. Zmarszczył brwi, jakby usiłował coś sobie przypomnieć. — „Ewa w otoczeniu prądów morskich jadąca na „Delfinie”. To Delfin? Prawda? Ale gdzie morskie ptaki?

— To są... Mewy — Wyjaśniła dziewczynka zdziwiona jego słowami — ale co się z tobą stało?

Po twarzy Andrzeja przebiegł skurcz bólu

— Kini, Kini przebity dziurkami, nie żyje... krajowcy...

Zamknął oczy i ponownie stracił przytomność.

## **Rozdział IV**

### **Dziryty**

Dzieje przybycia gromadki Mew na Wenus słyszałem tyle razy, iż nie trudno było mi je odtworzyć, jakbym sam był naocznym świadkiem wydarzeń. Uczyniłem to w poprzednich trzech rozdziałach. Historia ta jest pewną dygresją w dotychczasowej opowieści, wydawała mi się

jednak ciekawa i szkoda ją było zbyć zaledwie kilkoma słowami.

Obecnie, ponieważ doszedłem już do chwili, gdy losy Mew i moje własne skrzyżowały się niespodzianie, powracam do formy osobistego opowiadania.

Przede wszystkim podam pokrótce, co się działo ze mną i z Kinim od chwili opuszczenia amgów. Oddalaliśmy się stamtąd z nową nadzieją w sercu. Odnalezienie gór o takim charakterystycznym wyglądzie zdawało się zadaniem względnie łatwym. Tymczasem ani Spaxowie, ani Szwalkowscy, których odwiedziłem, ani też napotykanii krajowcy nie potrafili udzielić żadnej informacji. Postanowiliśmy wobec tego puścić się w drogę do Nowego Krakowa. Jeśli w stolicy wschodnich obszarów nikt także nie słyszał o szklanych górach, będzie je trzeba uznać za wytwór halucynacji.

Zaraz po przybyciu co Nowego Krasowa odszukaliśmy Zbyszka i Magdę Urodziła im się córka, Terenia. W samą porę zdążyliśmy na chrzciny. Paciorka i Imla nie zastaliśmy. Powrócił; na Lejlę. Imla twierdziła, że nie będzie pewną szczęścia, jeśli im ślubu nie udzieli ojciec Piotr.

Po kilku dniach spoczynku i zwiedzania pięknego miasta, przypominającego położeniem Neapol, zakrzętnęliśmy się koło naszych spraw. Młody, energiczny szef bezpieczeństwa wschodniego państwa gotów był wyskoczyć ze skóry, by nam pomóc. Dał nam wszelkie pełnomocnictwa nie tylko do ścigania Roberta, ale w ogóle do walki z korsarstwem i bandytyzmem na morzach. O szklanych górach wydobyl informacje z Instytutu Geograficznego. Okazało się, że ten typ skał występuje w wielu miejscach. Najczęściej jednak można go napotkać w paru archipelagach położonych na północ od równika, a ciągnących się na długości trzech tysięcy mil morskich— ładna perspektywa!

A jednak było to coś! Najważniejsze, że takie góry naprawdę istnieją i w przybliżeniu wiem gdzie ich szukać.

Szef bezpieczeństwa poradził mi przepytac o Roberta załogi statków stojących w porcie. Rada była dobra, ale o mało nie kosztowała mnie życia. Jedną z ostatnich załóg, z którymi rozmawiałem, była załoga „Delfina”, który właśnie nadjechał. Wyczuwałem, że kapitan Black coś wie, lecz nie udało się niczego z niego wyciągnąć. Postanowiliśmy niepostrzeżenie ruszyć za

statkiem, gdy opuści port. Tymczasem „Delfin” nie zabierał się do odjazdu. Natomiast zaczęto za mną chodzić dwóch silnych drabów. Dopadli mnie któregoś dnia wieczorem, gdy byłem w parku, otaczającym katedrę. Wykluliby ze mnie duszę nożami, gdybym nie zaryzykował karkołomnego skoku z wysokiej skały w zatokę.

Po tym wypadku „Delfin” natychmiast odjechał pod osłoną nocy. Dopędziliśmy go szybko i płynęliśmy za nim pod wodą. Kierował się ku terenom ze szklanymi górami. Byliśmy pewni powodzenia. Niestety po bardzo silnej burzy, która przeszła nad nami, nie można było odnaleźć „Delfina”. Sądziliśmy, że zatonął.

Natrafiliśmy nań przypadkiem dopiero po dwóch tygodniach. Śledziliśmy spod wody jego ruchy, ale wkrótce nam się to znudziło. Statek wałęsał się pozornie bez celu, zatrzymywał przez długi czas przy coraz to innej wyspie. Opuściliśmy go i czas jakiś Takila błądziła po wodach archipelagu Batuanga, dokąd nas skierowali napotkani rybacy. Znaleźliśmy tam „szklane” skały ale nie podobne do tych z mojego widzenia. Wreszcie straciłem cierpliwość. Odnalazłem znowu „Delfina” i groźbą zatopienia statku usiłowałem wydusić informacje z kapi-

tana Blacka. Tę naszą rozmowę słyszały Mewy uwięzione w kajucie. Nie wiedziałem naturalnie nic o ich obecności.

Takila ruszyła natychmiast ku wyspie, wskazanej przez czarnobrodego kapitana. Na jej widok ogarnęło mnie wzruszenie. Już z daleka dostrzegłem dwie ostre skały — zdawały się być zrobione z kryształu. Topografia jednak zatoki, do której wpłynęliśmy, nie zgadzała się z moim widzeniem w wielu szczegółach. Nie zważałem na to.

Za pomocą małego przyrządu, który umożliwiał kierowanie Takilą na odległość, opuściliśmy ją na dno zatoki. Sami dopłynęliśmy niewielkim czółnem do brzegu i ukryliśmy je w krzakach. Trzymając promieniówki gotowe do strzału, udaliśmy się na poszukiwanie ścieżki, o której mówił Black. Znajdowała się niedaleko.

Zagłębiliśmy się w dżungłę. Panował wokół zielony półmrok, ścieżka wiła się, skręcała pod ostrym karem, aż wyprowadziła nas niespodziewanie na obszerną polanę, pełną światła. To, co zobaczyliśmy, zmroziło nam krew w żyłach. Wokół ogromnego kamienia na powtykanych w ziemię tykach szczyrzyły zęby czaszki ludzkie.

Nie zdążyliśmy jeszcze ochłonać z pierwszego wrażenia, gdy z przeciwnej strony polany wyszła bezszelestnie procesja dzikich wojowników, idąca tyłem. Posuwali się na palcach, w poprzek zgarbionych pleców trzymali dzidy. Chcieliśmy się wycofać, lecz któryś z wojowników musiał zapewne zerkać za siebie, bo wrzasnął nagie jak opętany. W jednej chwili dżungla rozbrzmiała wyciem, świsnęły w powietrzu dziryty. Jeden zranił mnie powierzchownie w lewe ramię. Ogień pistoletów promieniowych w jednej sekundzie oczyścił polankę z nieprzyjaciela, lecz dzikich była masa na ścieżce poza naszym zasięgiem. Po trzasku gałęzi i nawoływaniach zorientowaliśmy się, że zachodzą nam z boków. Rozpoczął się odwrót. Napastnicy zwinnie przedzierali się przez dżunglę, zastępowali drogę, wspinali się na drzewa. Szybkim ruchem uratowałem się przed ciosem dzidy, ale w minutę później oberwałem ciężkim orzechem po prawej łopatce. Kini był ranny w łydkę i kulał. Dotarliśmy jednakże do plaży.

Teraz wróg groził nam już tylko z jednej strony. Niemniej las roił się od ciemnoskórych „wojowników, ciskających w nas, czym się dała. Strzelaliśmy i biegliśmy co sił, niestety, mó to-



warzysz słabł i zwalniał kroku.

— Biegnij naprzód! — zawołał — i ściągnij łódkę na wodę. Ja zaraz dobiegnę.

Posłuchałem. Przy łódce powaliłem dwu dzikich, zastępujących mi drogę. Ciągnąłem ją z trudem lewą ręką, prawą strzelając bez przerwy. Dziób szalupy był już w wodzie, gdy w tył głowy uderzył mnie kamień wyrzucony z procy. Na kilka sekund zrobiło mi się ciemno przed oczyma, padłem na piasek. Chluśnięcie nadpływającej fali otrzeźwiło mnie w porę. Unieszkodliwiłem trzech dzikich, wyskakujących ku mnie spomiędzy drzew, zdołałem zepchnąć łódkę na wodę i wskoczyłem do niej.

Wtedy dopiero uprzytomniłem sobie, że promieniówka Kiniego przestała od paru chwil terkotać. Obejrzałem się. Mój przyjaciel leżał bez ruchu na piasku. W jego ciele tkwiły dwa dziury. Chciałem wysiąść z szalupy i podprowadzić ją do miejsca jego upadku. Zawrót głowy rzucił mnie na dno łodzi. Przewyciężyłem go i podniosłem się. Ujrzałem Kiniego dosłownie naspikowanego dzidami i tłum dzikich, wyłaniający się z dżungli. Wznosili dzikie okrzyki tryumfu. Puściłem w nich promienistą serię. Wielu padło. Reszta cofnęła się. Mnie było jednak

coraz gorzej. Zaczynało mnie mdlić, ręce się trzęsły. Nie było mowy o zabraniu ciała Kiniego. Z szalonym wysiłkiem chwyciłem za wiosło i począłem się oddalać od brzegu.

Na przemian wiosłując i strzelając dotarłem co środka zatoki, gdzie na dnie spoczywała Takila. Sięgnąłem do torby przemieszonej przez ramię po aparat, by wyprowadzić jacht na powierzchnię. Torba była pusta. Ostrze dzirytu rozpruło ją, cała zawartość została gdzieś na szlaku naszego odwrotu.

Ująłem znowu za wiosło — byle jak najdalej odpłynąć od tej przeklętej wyspy. Dzicy nie mieli widocznie łodzi na tym brzegu, bo nikt nie udał się za mną w pościg.

Słabłem coraz bardziej. Za ramieniem zatoki chwycił łódkę silny prąd i począł unosić coraz dalej na pełne morze.

— „Wszystko stracone — wymamrotałem tracąc przytomność — wszystko: Dorota. Kini... życie ze mnie uchodzi... o. Boże!

\* \* \*

Życia nie straciłem dzięki spotkaniu z Mewami. Leżałem teraz na pryczy w kasztelu. Głowa

pulsowała bólem, łagodnym nieco przez mokry kompres, który przykładła litościwa ręka. Nie chciałem otwierać oczu, patrzeć na świat — stracił dla mnie cały swój urok ze śmiercią Kinięgo.

— To moja wina, moja wina — szarpałem się wewnątrz — Nie posłuchałem starego czarownika. Przepowiedział, że odpokutuję... ale dlaczego w ten sposób? Co mu Kinię zawinił?

Porwał mnie gniew na amgę. Xudri wiedział, co się stanie. Czemu mnie nie przestrzegł?..

Świeży mokry okład na czoło przerwał potok myśli. Leżałem bezmyślnie, otepiały, nieszczęśliwy. Przez uchylone iluminatory dochodziły z pokładu dziewczęce głosy. Jeden z nich westchnął ciężko:

Nie będziemy już mogły więcej udawać wodnych rusalek; skończyła się nasza swoboda...

— Chcesz więc, byśmy go z powrotem wrzuciły do wody? — odezwał się drugi głos o wesołym brzmieniu. — Ja go uważam za cenny nabytek: będzie mógł za nas rąbać drzewo i palić pod kotłem.

— O, leniwcze! Ale spójrzcie, jak Ania posmutniała... Co ci? Boisz się, że stracisz władzę nad nami? Może i słusznie: mężczyzna to zaw-

sze mężczyzna, pan i władca...

— Z największą przyjemnością, Krysiu, przekażę natychmiast wszelką władzę, a szczególnie nad tobą — w przyjemnym, silnym głosie dźwięczała uraza. — Lecz szczerze przyznam, wolałam, kiedy byłyśmy same. Panowała między nami taka przyjazna koleżeńska atmosfera, boję się, by nie przysła... zaczniesz się rywalizacja

— Za kogo ty nas masz? — zabrzmiały w odpowiedzi oburzone głosy. — Za kokietki? Sama uważaj na siebie!

— Cicho, cicho, sza! Ania ma rację. Już się przez niego klóćcimy, choć nie wiadomo nawet, czy wyżyje.

Spór ucichł za ścianą.

W ładne popadłem tarapaty... pomyślałem — nie chcą mnie tu... gdybym tak mógł mieć teraz przy sobie Paciorka, Zbyszka, Wiktora, kilku dzielnych Oremangów,... odbilibyśmy ciało Kinniego i pomścili jego śmierć... a z tymi?..

Otworzyłem wreszcie oczy. Obok mnie siedziała dziewczyna o pociągłej buzi i kasztanowatych, falistych włosach. Uśmiechnęła się do mnie widząc, że wróciłem do przytomności.

— Jak się czujesz? — zapytała cicho.

— Nieźle, tylko głowa boli mnie piekielnie—  
odparłem z trudem. — Czy jesteśmy blisko  
brzegu? Statek się nie rusza.

— U wejścia do zatoki. Może...

— Czy nie widać takich gór, co wyglądają,  
jakby były ze szkła?

— Ze szkła? Nie, to jakiś stary wulkan.

— To dobrze. Jednak uważajcie. Gdyby uka-  
zali się dzicy o kędzierzawych czuprynach i na-  
szyjnikach z kości, strzelajcie bez ostrzeżenia,  
to łowcy głów, a może nawet ludożercy...

Nie mogłem więcej mówić. Głowę przeszył  
ostry ból. Zawirowało wszystko przed oczyma.

\* \* \*

Moje ostrzeżenie zaniepokoiło dziewczęta. Do-  
tąd obawiały się tylko pościgu kapitana Blacka,  
obecnie przepatrywały horyzont i brzegi wyspy;  
czy nie ukażą się dzicy. Jednakże ani w nocy,  
ani rano dnia następnego nie wydarzyło się nic,  
cc mogłoby wskazywać na grożące niebezpie-  
czeństwo. Wobec tego Ania postanowiła odno-  
wić zapasy żywności i paliwa. Na „Delfinie” po-  
została tylko Joasia i Ewa, reszta Mew ruszyła  
dwoma łódkami ku lewemu ramieniowi szeroko

rozwartej zatoki.

Utworzyły ją niegdyś dwa strumienie lawy, które wdarły się głęboko w morze, zastygły i skruszały. Powstałe w ten sposób oba wąskie półwyspy pokryła z czasem tropikalna roślinność. Dno zatoki było płytkie i piaszczyste. Tu i tam żółto-ceglaste łachy wystawały ponad powierzchnię wody. Z powodu tych płycizn „Delfin” musiał pozostać na redzie.

Basia, z łukiem w ręku, zagłębiła się w dżungłę w poszukiwaniu zwierzyny. Ania z pozostałą częścią dziewcząt zabrała się do ścinania i rąbania drzewa. Nie szło to łatwo. Bandyci, udając się na brzeg, zabrali ze sobą większość narzędzi. Na „Delfinie” pozostały tylko: tępa siekiera, wyszczerbiony tasak i stara piła, która w swym drugim żywocie potraciła jedną trzecią zębów. Nic więc dziwnego, że jeszcze koło południa sterta drzewa, przygotowana do zabrania na statek, nie osiągnęła zbyt imponujących rozmiarów. Wielki upał także nie przyspieszał tempa pracy. Mewy były zmęczone. Pierwsza zbuntowała się Krysia:

— Zostawmy to i chodźmy się kapać — rzekła, odrzucając siekierę — już nie mogę

— Dobrze, zrobimy godzinną przerwę — zgo-

dziła się skwapliwie Ania.

Kiedy jednak inne dziewczęta zanurzyły się w morzu, Ania nie poszła za ich przykładem. Usiadła w cieniu palmy z karabinem w ręku odkrytym kiedyś przy porządkowaniu magazynu „Delfina”. Miał pękniętą kolbę, przeżarty był rdzą, ale po wyczyszczeniu i znalezieniu odpowiedniej amunicji nadawał się do użytku. Dziewczyna rozglądała się bacznie po okolicy lecz wkrótce doszła do wniosku, że nie ma powodu do nadzwyczajnej czujności. Nieprzyjaciela ani śladu. Atmosferę bezpieczeństwa zwiększał jeszcze spokój, panujący w przyrodzie. Najłżejszy powiew wiatru nie porusza: gałęzi. Po zielono-żółtawej tafli morza szły ku wybrzeżu ledwo co dostrzegalna fale. Ania odstawiła więc broń i weszła w wodę. Ułożyła się leniwie w przybrzeżnej płyćźnie. Łagodna pieszczota fal usuwała zmęczenie, napełniała miłym chłodem.

I na statku panował spokój. Leżałem nadal w kasztelu. Rano napiłem się soku owocowego, zjadłem coś niecoś i z powrotem zapadłem w sen. Na sąsiedniej koi drzemała Ewa. Tylko Joasia krzątała się po kuchni, następując Zule, ale i ją coraz przemożniej ogarniała południowa ospałość. Skończyła właśnie zmywać talerze.

Podeszła do iluminatora wyłąć brudną wodę do morza. Wyrzała przy tym na zewnątrz i zastygła z wrażenia. Spoza prawego ramienia zatoki wyłaniały się trzy długie pirogi, o wysoko podniesionych dziobach, pełne krajowców. Popychane energicznymi uderzeniami wiosł mknęły błyskawicznie. W każdym czólnie było ze dwudziestu dzikich. Ponad ich głowami błyszcząły w świetle słonecznym ostrza dziurków. Ciała mieli dużo ciemniejsze niż krajowcy dotąd napotkani.

Joasia wypadła na pokład i krzyknęła ostrzegawczo ku towarzyszkom. Bawiące się w wodzie dziewczęta nie dosłyszały jednak jej nawoływań. „Delfin” stał zbyt daleko. Natomiast krzyk Joasi zaalarmował mnie i Ewę. Mimo bólu i zawrotów głowy podniosłem się i wyrzałem przez iluminator. Ewa wybiegła na pokład i orientując się szybko uruchomiła syrenę. Ostry gwizd przeszył spokojne powietrze. Odpowiedział mu bojowy okrzyk nadpływających wojowników. Rozpoznałem ich od razu. Byli to ci sami, z którymi stoczyłem tragiczną walkę kilka dni temu.

Głos syreny okrętowej poderwał Anię na nogi. Stała chwilę niepewna, co może być przyczyną alarmu, póki spoza przeciwległego przylądka



nie ukazała się pierwsza piroga.

— Do łódek! — wykrzyknęła, chwytając w biegu pozostawiony karabin.

Za nią wyskoczyły z wody inne mokre postacie. W dwie minuty Mewy były przy łódkach. Zaczęły w nie wsiadać, gdy wstrzymała je Zula:

— Basi nie ma. Nie możemy jej zostawić.

— I tak jej nie uratujemy, a same nie zdążymy, jeśli będziemy zwlekać — denerwowała się Danusia. — Jak zobaczy, co się dzieje, schowa się w lesie... ale... sama nie wiem.

— Nie, nie, musimy na nią poczekać — odpowiedziała stanowczo Ania.

Na szczęście Basia dosłyszała gwizd syreny. Ukazała się właśnie na plaży u nasady półwyspu. Biegła jak sarna.

Tymczasem dzicy dostrzegli już dziewczęta. Dwie pierwsze łodzie od razu skierowały się ku nim, trzecia sunęła ku „Delfinowi”. Wiosła mięły w rękach muskularnych wojowników.

Ania szybko oceniła sytuację.

— Do „Delfina” nie zdążymy; zdołają nas odciąć. Za głazy! Stamtąd będziemy się bronić.

Na samym cyplu lewego ramienia zatoki leżały okazałe głazy, które wulkan wyrzucił niegdyś z paszczy. Między nimi dziewczęta zajęły teraz

pozycje. Ich uzbrojenie stanowiły sztucer, pistolet odebrany Jankowi i karabin z pękniętą kolbą.

Tymczasem na „Delfinie” po wszczęciu alarmu, objęła komendę Ewa.

— Pędź do składziku po pociski do działła — zawołała do bezradnie stojącej Joasi — a ja lecę po Andrzeja.

Joasia posłusznie wytaszczyła na przedni pomost skrzynkę tak ciężką, że kiedy indziej nie odważyłaby się jej nawet ruszyć.

W drzwiach kasztelu Ewa wpadła na mnie.

— Ze mną w łódce musiał być pistolet promieniowy — zapytałem gorączkowo — gdzie on jest?

— Mamy coś lepszego: armatę, ale nie umiemy z niej strzelać. Oprzyj się na moim ramieniu i chodź.

Nie było to sprawą łatwą. Zataczałem się jak pijany, osunąłem się po stromych schodkach. Ewa podtrzymywała mnie, podnosiła. Nadbiegła z pomocą Joasia. Działko było już odsłonięte. Skrzynka amunicyjna otwarta. Usiadłem na niej na chwilę. Złapałem się z: pulsujące skronie i syczałem z bólu. Głowę jakby kto rozwał młotem.

— Szybciej; Szybciej! Na miłość Boską! — wołały obie dziewczynki. — Już są blisko.

Podniosłem się nadludzkim wysiłkiem woli. Gwałtownym szarpnięciem otworzyłem zamek. Zajrzałem do lufy.

— Ewa, ściągnij ochraniacz!

Mała wykonała polecenie.

Było to działko dość prymitywne, z grubsza obrobione, ale strzelać zeń można było.. Za sekundę nabój tkwił w lufie. Pokręciłem korba. Wymierzyłem na kierunek nadpływającej łodzi. Była z czterysta metrów od statku.

— Odsuńcie się! — zaboląłem.

— Szybciej, strzelaj! — krzyczała Joasia, tupiąc nogami.

— Spokój, bądźcie cicho!

Celowałem z uwagą. Buuum! Tak huknęło, że ogłuchliśmy na chwilę. Za czołnem wytrysła fontanna wody. Przeniosło. Z trudem otworzyłem zamek. Łuska z hałasem wypadła na pokład.

— Następny pocisk!

Łódź zatrzymała się niezdecydowanie. Tym, lepiej. Załadowałem. Mała poprawka położenia lufy, nowy odpał. Tym razem strzał był celniejszy. Słup wody wyrósł tuż koło wrażej pirogi.

Przewróciła się i zatoneła. Załoga znalazła się w toni.

Rozprawiwszy się szczęśliwie z bliższym nieprzyjacielem, skierowałem lufę działa ku dalszym łodziom. Tam również wrzał bój.

Obie pirogi płynęły prosto na pozycję Mew. Krysia strzeliła ostrzegawczo ponad głowami napastników. Nie zrobiło to na nich wrażenia. Basia, mimo szybkiego biegu, była jeszcze daleko. Zatrzymała się nagle. Widocznie wahała się, czy zdąży przed dzikimi dotrzeć do końca półwyspu.

— Basiu, szybciej, szybciej — wołała ku niej Ania.

Dziewczynka zerwała się ponownie do biegu, lecz parę drogocennych sekund zostało straconych. Jedna z łodzi sunęła teraz w jej kierunku.

— Strzelamy! — padł rozkaz Ani.

Krysia wypaliła pierwsza ze sztucera. Stojący na dziobie drugiej łodzi dzikus padł do wody. Jego towarzysze wrzasnęli wściekle, lecz nie wstrzymali pędu. Ania miała mniej szczęścia ze swoim karabinem. Słabo przyciśnięty do ramienia kopnął ją przy strzale w podbródek. Krzyknęła z bólu. Zula przejęła karabin, zmie-

rzyła i odpaliła. Starła się trafić w pirogę, odcinając Basię, ale spudłowała. Basia była już niedaleko śmignęły ku niej bezskutecznie włócznie. Pędząca co sił łowczyni wydała z siebie pisk i w kilkanaście sekund później dopadła do głazów. Zziajana legła na piasku za skałą.

Tymczasem Krysia poraziła już drugiego napastnika, a i Zula dosięgła jednego z dzikich. Równocześnie z „Delfina” zagrzmiało po raz pierwszy działo.

— Hurraaaa! — zawołały radośnie wojowniczkki.

Celne kule i wystrzał działa speszyły dzikich. Zatoczyli szeroki łuk i wylądowali na plaży w połowie półwyspu. Było jasne, że będą starali się podejść Mewy pod osłoną zarośli. Od pierwszych krzewów dzieliła je co prawda kilkudziesięciometrowa przestrzeń piachu, ale krajowcy potrafią ją przebyć kilku skokami. Ania, trąc obolały podbródek, ważyła sytuację. Biec do łódki, czy zaczekać i przyjąć walkę? Jedno i drugie było ryzykowne.

Zagrzmiało powtórnie działo. Trafiło w łódź atakującą „Delfina”. Ania odetchnęła z ulgą:

— Dzięki Bogu. Teraz będą mogli skierować ogień na tych w lesie, a my zdołamy się wyco-

fać.

W pobliskich krzakach coś poruszyło się podejrzanie. Krysia strzeliła. Odpowiedział jej krótki, bolesny krzyk. Niemal jednocześnie dziewczęta usłyszały ostry chichot niknącego pocisku. O 300 metrów od ich pozycji wykwił w zaroślach słup dymu i kurzawy.

— Za daleko! — krzyknęła Danusia, jakby na statku mogli ją dosłyszeć.

— Za następnym razem lepiej trafia! — pocieszała Ania. — Jak znowu wystrzela, skaczemy do łodzi.

Jednakże oczekiwany gwizd pocisku nie nadchodził. Mijały minuty pełne napięcia.

— Co się stało?

— Może działa się zacięło?

— Boją się nas trafić?

— Raczej czekają, żebyśmy wsiadły do łodzi... tak, tak, patrzcie... machają ku nam — zawołała Krysia.

— Dobrze — Ania podjęła decyzję — dajemy dwie salwy do lasu i biegniemy.

Kule poszły w zarośla, na chybił trafił, po czym dziewczęta wychyliły się spoza głązów. W tej samej chwili ozwał się przeraźliwy wrzask. Zza skraju dżungli ukazała się falanga dziku-

sów. Przygotowując się co ataku, zdołali pompować swe ciała w niesamowicie jaskrawe barwy. Teraz biegli, dzierżąc w dłoniach długie dziiryty.

Los Mew byłby przypieczętowany, gdyby nie zbawczy pocisk z „Delfina”. Trafił w tyły atakujących. Kilku wojowników padło zabitych, kilku wilo się z bólu. Huk wybuchu i widok niszycielskiej siły podziałały demoralizująco na pozostałych. Rozbiegli się, krzycząc z trwogi i zapominając na chwilę o pościgu. Dopiero gdy Mewy odpłynęły już kilkadziesiąt, metrów od brzegu, trzech dzikich skoczyło za nimi w morze. Brodzili po płytkiej wodzie, aż sięgnęła im do pasa. Wtedy wyrzucili dziiryty. Jedna włócznia wbiła się w tył większe łodzi, inna, nie doleciawszy, wpadła w wodę. Dziewczęta nie odpowiedziały strzałami; miały dość przelewu krwi. Płynęły co sił ku „Delfinowi”.

Na statku tymczasem zaszły wypadki, które mogły przeobrazić dotychczasowe zwycięstwo w tragiczną klęskę.

Po wystrzeleniu ostatniego pocisku z działa zwróciłem się do Ewy z prośbą, by przyniosła mój pistolet promieniowy. Obawiałem się, że dzicy mogą puścić się w pogoń za dziewczętami.

Wtedy działo nie zdałoby się na nic. Ewa zniknęła pod pokładem. Ani Joasia, ani ja nie zauważyliśmy, że zza rufy statku wychyliły się dwie ciemne głowy, trzymające w zębach prymitywne noże. Byli to rozbitkowie z łodzi, trafionej pociskiem na początku walki. Nie zauważeni dopłynęli do kutra wspięli się po zwisające; linie i obecnie zbliżali się ostrożnie do nas.

Wrażliwa Joasia musiała chyba poczuć ich wzrok na sobie, bo odwróciła się raptownie i krzyknęła. Obejrzałem się i ja. Serce skoczyło mi do gardła, Ledwo trzymający się na nogach kanonier i słaba dziewczyna nie mieli żadnych szans obrony. W mgnieniu oka napastnicy wspięli się na schodki i wzniesli noże co ciosu. Nie uderzali jednak. Może, widząc nas bezbronnymi, chcieli się napaść naszym przerażeniem. A było ono ogromne..

Na tę scenę wypadła na pokład Ewa z pistoletem promieniowym w ręku. Widząc wzniesione noże struchlała w pierwszej sekundzie, ale już w drugiej puściła serię promieni w plecy dzikusów. Cztery ciała zwały się na pomost. Ewa trafiła nie tylko wroga.

— Co ja zrobiłam? — krzyknęła i zaniósł się płaczem.



Łkającą zastały Ania i inne dziewczęta, gdy zeszły na pokład.

— Co się stało? Nie żyją! — zawołały.

Krysia podbiegła do Joasi i dotknęła jej piersi, wznoszącej się normalnym oddechem.

— Żyje — rzekła — i Andrzej żyje. Oj, ty Ewusiu, sama nam tyle opowiadałaś o tych cudownych pistoletach promieniowych, a teraz...

— O tak, tak — zawołała z radością Ewa przestając płakać — jakaż ja głupia. Naturalnie, to jest pistolet promieniowy.

Obu dzikusów zamknięto w kabinie, która uprzednio służyła za więzienie dziewczętom. Joasię i mnie przeniesiono do kasztelu.

Pozostali na brzegu dzicy schowali się w dżungli i nie było ich widać z dobrą godzinę. Potem nabrali odwagi, pozbierali twoich zabitych i rannych i wsiedli do łodzi. Pirogi opłynęły „Delfina” z daleka i wyszły na pełne morze. Gdy znikły za widnokretem, dziewczęta odetchnęły z ulgą, lecz nie było w nich upojenia zwycięstwem.

— Oto masz, Krysiu, swój raj — westchnęła Ania — cudowna przyroda, lecz człowiek ten sam co na Ziemi: żądny walki i krwi. Warunki zewnętrzne nie zmieniają naszej natury...

— To prawda — szepnęła cichutko rudowłosa dziewczynę. Była smutna z powodu śmierci i ran, które musiała zadać.

Za to Ewa czuła się bohaterką dnia i promieniowała radością i dumą.

Ocknęliśmy się z Joasią koło zachodu słońca. Uderzenie promieniami podziało nadspodziewanie dobrze. Tak silny do niedawna ból głowy znacznie się zmniejszył. Czułem się też nieco silniejszy. Dziewczęta dziękowały mi za decydujący udział w walce.

— Bronilem też i własnej skóry — odpowiedziałem. — Wszy scyśmy się zresztą sprawili dzielnie, ale największe uznanie należy się Ewie...

Słyszac pochwałę, zawstydzona Ewa zaróżowiła się, a chcąc zmienić temat rozmowy, spytała:

— Czy to ci sami dzicy, co napadli ciebie i Kinniego?

— Na pewno ta sama zgraja. Szukali mnie. Wiedzieli, w jakim kierunku porwał mnie prąd morski. Prawdopodobnie jednak wyminęli moją łódź i teraz wracali z bezskutecznego pościgu.

— Opowiedz nam swoje przygody...

— Nie dziś, nic mam jeszcze siły. A co zrobicie z jeńcami?

— Zatrzymajmy ich — zaproponowała Krysia — przydadzą się do rąbania i dźwigania drzewa, a potem użyjemy ich jako palaczy.

— Dobra myśl — przyznała Danusia — ale niebezpieczna. Mogą się wyrwać i pomordować nas której nocy. Wolałabym ich nie mieć na pokładzie „Delfina”.

— Nie będzie tal: źle — zapewniłem. — Ci krajowcy, zażarci i okrutni e walce, często stają się potulnymi jeńcami. Cóż dopiero gdy wpadli w ręce tak uroczych wojowniczek?

— Oho! Nasz chory musi się już dobrze czuć, gdy zaczyna, prawić komplementy. — Ania uśmiechnęła się, pokazując przyjemne dołki w policzkach — lecz na dzisiaj dość rozmowy. Trzeba wypocząć.

Mimo uśmiechu, wyczułem w jej głosie pewną rezerwę i przypomniała mi się rozmowa zasłyszana wczoraj. Byłem dla niej mimowolnym intruzem w tej zżytej gromadzie, a może rzeczywiście była trochę zazdrosna o swą władzę i wpływ. Muszę się zdobyć na wiele taktu i roztropności... Jednak to, co powiedziałem, nie było komplementem. Mewy posiadały wiele niezaprzeczalnego uroku, toteż podbiły mnie od razu.

## **Rozdział V**

### **Wyspa Złotej Bogini**

Po drugiej stronie wulkaniczny krater obniżał się stopniowo, aż wreszcie schodził pod powierzchnię morza. W ten sposób powstała wewnątrz lądu okrągława zatoka o średnicy kilku kilometrów. Schronił się do niej „Delfin” przed nadciągającą burzą. Nawałnica przewaliła się dość szybko nad wyspą, natomiast rozpadał się deszcz i lał niemal bez przerwy dwa dni.

Tropikalna ulewa trzymała załogę wewnątrz statku. Dało to okazję do wzajemnych wyjaśnień i opowiadań. Jak już wspomniałem, zwycięska rozprawa z dzikimi zapoczątkowała pewną więź wspólnoty między mną a Mewami, obecnie stopniała reszta lodów. Ania zdobyła się nawet na ofiarowanie mi dowództwa nad załogą i „Delfinem”. Podziękowałem żartobliwie:

— Ja kapitanem statku? Co za pomysł! W domu młodsza siostra wodziła mnie za nos, jak chciała, a tu byłbym „pod pantoflem” aż siedmiu Gracji. Skutek? — chaos, rozprzężenie, brak dyscypliny... Jednym słowem: katastrofa: Lepiej niech zostanę prostym marynarzem!

Choć na zewnątrz okazywałem humor i pogodę, w duszy nadal tkwiła bolesna świadomość utraty Kiniego i bezowocności poszukiwań. Zmniejszył się tylko żal do starego Xudri. Z opowiadania dziewcząt wywnioskowałem, że to on je sprowadził na ratunek swą tajemną mocą.

Jeśli chodzi o dalsze plany, to postanowiliśmy przede wszystkim zaopatrzyć statek obficie w paliwo, a potem postarać się u wydobycie Takili z dna morza.

Nasi dzicy jeńcy znosili swój los bez protestów. Usiłowali nawiązać z nimi rozmowę. Szło o

opornie. Znali zaledwie kilka wyrazów kuwilińskich, a ja nie miałem pojęcia o ich języku. Zdołałem więc tyle tylko od nich się dowiedzieć, że nazywali się Akil i Omud.

Trzeciego dnia po bitwie zerwałem się cichutko z koi i stwierdziłem radośnie, że krople deszczu przestały bębnić w okna kajuty. Wyszedłem na pokład. Słonecznie było i pięknie. Gładka tafla wody odbijała malowniczo zielone brzegi, parujące wilgocią i ciepłą czerwień skał. Z puszczy dochodziły słodkie wonie kwiatów i ptasi śpiew. Z rozkoszą wciągnąłem w płuca świeże powietrze. Czułem w sobie nową moc.

Na mostku kapitańskim drzemała wartowniczką Joasia.

— Idź, prześpij się! Ja postrażuję.

Usłuchała skwapliwie. Zostałem sam. Wodziłem zachwyconymi oczami po otoczeniu; wtem nad poszarpaną krawędzią krateru zaświeciło coś odbitymi promieniami słońca. Był to latający dysk. Zawisł na chwilę bez ruchu, po czym cofnął się za skały. W parę minut później błysnął znowu, lecz w innej stronic i zapadł w las. Nie zastanawiając się długo, spuściłem łódkę na wodę i popłynąłem do brzegu.

Przesuwałem się ostrożnie przez gęste zarośla;

wkrótce dziwny szum zagłuszył moje kroki. Z pięćdziesiąt metrów dalej ujrzałem dysk, przeświecający metalicznie pomiędzy drzewami. Spoczywał na płaskiej skale. Przezroczysty klosz był podniesiony. Szum szedł z naturalnego basenu skalnego, w którym z niewiadomej przyczyny woda kotłowała się i bulgotała; zdawała się gotować, choć nie widziałem pary. W basenie kąpał się Gupu. Poznałem go od razu. To on na pewno był sprawcą porwania dziewcząt, było bowiem przeprowadzone zupełnie w jego stylu. Zasłonięty gęstym krzakiem, mogłem go obserwować sam nie będąc widzianym.

Każdy Wenusjanin jest z natury istotą, amfibialną i nie przepuści żadnej okazji, by choć na chwilę nie zanurzyć się w wodzie. Tu zaś musiało być jedno z owych źródeł, przesyconych dwutlenkiem węgla. Jest ich mnóstwo na Wenus. Sam jeszcze dotąd nie miałem sposobności kąpania się w takiej „sodowej wodzie”; ale słyszałem, że to wielka przyjemność. Zastanawiałem się, czy śladem Gupu nie dać nurka, gdy naraz inna myśl przyszła rai do głowy:

— Może by tak wykorzystać odpowiedni moment i ukraść dysk? Jakby to usprawniło moja poszukiwania! Nie, nie mogę tego zrebić! Uczci-

wość przede wszystkim!

Zacząłem jednak zbliżyć się ostrożnie do aparatu. W tej chwili na kamieniach ujrzałem czerwoną popłę, a obok niej pas i hełm z okularami.

— Mam cię, ptaszku! Toś ty chciał nas podchodzić niewidzialnie, poczekaj! Lubisz żarty i ja ci zrobię kawał.

Pomyślane — zrobione. Porwałem pas i hełm. W parę sekund później maszerowałem już niewidzialny przez dżungłę ku zatoce. Na pokładzie „Delfina” nie było jeszcze nikogo. Dopłynąłem do statku. Wspiąłem się na mostek kapitański i pociągnąłem za łańcuszek od syreny. Rozległ się ostry gwizd.

Zaspane i rozczochrane, Mewy wypadły na pokład z bronią w rękę i rozglądały się ze zdziwieniem, nie dostrzegając nigdzie sprawcy alarmu. Zaśmiałem się bezgłośnie i przesunąłem do miejsca, gdzie leżał zwój lin. Na oczach dziewcząt lina podniosła się „sama” i poczęła wykonywać w powietrzu węzowe skręty.

— A kysz, duszo pokutująca! — zawołała Easia.

Krysia okazała więcej trzeźwości.

— To niewidzialny się wygłupia! — krzyknęła.



— Łapmy go!

Anim się obejrzał, gdy dziewczęta otoczyły pierścieniem mnie i linę, chwytając rękami powietrze, jak przy grze w ciuciubabkę. Usiłowałem się wymknąć, lecz złapała mnie Danusia.

— Mam go, nam go! — krzyczała przeraźliwie.

Nie chciałem się z nią szamotać. Dałem za wygraną i uwidzialniłem się.

— Andrzej!?!... To ty?!... Co ty wyprawiasz?!... Skąd ten pas i hełm?!... — posypały się pytania i wykrzykniki.

Opowiedziałem poranne zdarzenie. Pokład „Delfina” rozbrzmiał wesołym rozgwarem. Każda Mewa chciała się uniewidzialnić choć na chwilę. Zabawa szła w najlepsze, gdy ponad drzewa wyprysł latający dysk i zawisł u burty „Delfina”.

— Oddawajcie to zaraz! — zawołał Gupu, wcale nie ubawiony kawałem. — Komu po głosie hasają małpy? Nie wiecie, że za wykradzenie niewidzialnych przyrządów grozi surowa kara?

Przeprosilem go i podałem pas i hełm. Nie poprawiło mu to humoru.

— Co ty tu robisz? — spytał, spoglądając na mnie podejrzliwie — Gdzie się podział kapitan tego statku i załoga?

Opowiedziałem pokrótce przebieg wypadków. Słuchał z zainteresowaniem, rozmarszczył się nieco. Gdy skończyłem, roześmiał się i zawołał:

— Anzaj, vakkilene! (Brawo, dziewczęta!). Na mnie od razu ów Black wywarł kiepskie wrażenie, ale nie przypuszczałem, że to złoczyńca? Jak wam się Wenus podoba? Czy bardzo się gniewacie, że was zabrałem z Ziemi?

Otwierałem usta, by przetłumaczyć jego słowa, gdy najniespodzianie odezwała się Joasia:

— Xajtla middu dax kaameka (Wenus jest bardzo piękna) — mówiła wolno, jakby z trudem szukała wyrazów — dzaj kajti tenim... — tu urwała i zwróciła się do mnie:

— Powiedz mu, że dziękuję mu nie tyle za porwanie, co bardzo, bardzo serdecznie za zwrócone zdrowie.

Przetłumaczyłem. Gupu rozpromienił się.

— Kajti n'fegidu padins (dzięki za dobre słowo). Coś wam tu przywiozłem w podarunku.

To mówiąc, wyjął z wnętrza dysku zwój różnobarwnych zeli. Dar został przyjęty okrzykami wdzięczności. Gdy Mewy poszły przebierać się do kabin, ja usiłowałem namówić Gupa, by mi dopomógł odzyskać Takilę i upewnić się co do losu Kiniego. Zapytałem go także, czy nie sły-

szał czegoś o Robercie.

Słuchał z miną mało życzliwą, a kiedy skończyłem, przemówił z wyraźną niechęcią w głosie:

— Czemu ty się włóczysz po morzach i wchodzisz w drogę spokojnym ludziom? Odwiedziłem Roberta z tydzień temu, gdy szukałem dziewcząt. Skarżył mi się na ciebie. Rozpowiadasz po świecie, że jest łowcą niewolników, tymczasem wspaniale prowadzi swoją plantację; jego pracownicy są zadowoleni, bardzo go lubią...

— Ależ on jest porywaczem ludzi; przecież mówiłem ci, że uwięził swoją siostrę, Dorotę i Kobrę.

— To kłamstwo. Kobry tam nie widziałem, ale rozmawiałem z Dorti w czasie przyjęcia, wydanego na moją cześć. Zaręczyła się z Robertem, czuje się szczęśliwa, a i Mary nie wyglądała na biedną, zmaltretowaną ofiarę własnego brata. Jest tam też jej narzeczony. Znam Mgauri nie od dziś, jest typem przedsiębiorczym, może trochę niezrównoważonym, lecz szlachetnym.

Słuchałem, nie wierząc własnym uszom. Czy to był nowy żart Gupu? To nie może być prawdą!

— Gupu, nie dowcipkuj! — zawołałem błagalnie. — Przecież Dorota... przecież ja... — zabrakło mi tchu w gardle.

Młody Wenusjanin przyglądał mi się chmurnie.

— To podłe z twojej strony — rzeki ze wzgardą. — Zaczynam rozumieć twoją grę: zakochałeś się w Dorti i teraz z zazdrości szkalujesz Roberta. Gdyby Dorti była więziona wbrew swej woli, powiedziała by mi to, prosiłaby o ratunek. Mgauri był co prawda cały czas z nami, ale zawsze mogłaby dać jakiś dyskretny znak. Co do Kobry sam Robert wspomniał, że bawił u niego parę tygodni w gościnie i wyjechał po żonę i syna. Zamierza osiedlić się na stałe na Kryształowej Wyspie, piękne miejsce!

Nie rozumiałem nic. Czułem, że mi wszystko wiruje w głowie. Rozpaczliwie usiłowałem się przynajmniej dowiedzieć, gdzie leży ta nieszczęsna wyspa ze szklanymi górami. Gupu wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Zapanowało między nami przykre milczenie; za to spod pokładu dochodziły ożywione głosy dziewcząt.

Wtem Gupu odezwał się znowu:

— Ach, teraz przypominam sobie. Gdy rozmawialiśmy o tobie z Robertem, wtrąciła się

Dorti: „Gdybyś przypadkiem spotkał Andrę — powiedziała — pozdrów go ode mnie i powiedz, niech tu nie przyjeżdża, bo i po co?” Prosiła też, żebyś pozdrowił od niej serdecznie... czekaj, zapomniałem imienia... jakiegoś twojego przyjaciela...

— Pewnie Kiniego.

— Nie, to było coś na „i”: Ilok, Ilka?

— Imla, może?

— Nie, to męskie imię, Izu, Ilza?

— Chyba nie Izolk, bo on dawno nie żyje?

— A, nie wiem, to coś brzmiało jak Izolk. Nie ważne zresztą. Dla pewności pozdrów wszystkich swoich znajomych, albo nikogo, jak sobie chcesz.

Rewelacje Gupu uderzyły we mnie obuchem. Oszołomienie i przygnębienie musiały się uwiocznic na mojej twarzy, bo młody Wenusjanin, dodał nieco cieplejszym tonem:

— Głowa do góry, Andra! Nie jedna Dорти na świecie! Rozumiem, że ci przykro. Ja sam czułem do niej słabość przez pewien czas, bo to śliczna dziewczyna, ale mi już przeszło. I tobie minie, szczególnie w takim gronie jak to... mniem, mniem... — mlasnął smakowicie językiem — co za dziewczyny! Jedna w drugą ład-

niejsza!

Właśnie spod pokładu wyszła Krysia. Było jej bardzo do twarzy w kwiecistej żeli. Wkrótce i reszta dziewcząt ukazała się na deku. Mówią, że nie suknia zdobi człowieka, ale o ileż ładniej wyglądały w tych barwnych wenusjańskich strojach, niż w poprzednim odzieniu, niezgrabnym i mocno podniszczonym.

Gupu, wysłuchawszy z wyraźną przyjemnością podziękowań, polecił Mewom udać się jak najszybciej do Nowego Krakowa, dokąd były przeznaczone. Po czym odleciał.

Dziewczęta, nacieszywszy się strojami, zaczęły badać Joasię, gdzie i kiedy nauczyła się po wenusjańsku.

— Wcale się nie uczyłam. Nie wiem, jak to się stało ale rozumiałam, co Gupu mówi. Mogłam też sformułować odpowiedź.

— Coś za dużo w tobie ostatnio nadzwyczajności. Przyznaj się, po kryjomu uczyła cię Ewa.

— Ja jej nie mogłam uczyć — zapewniała mała. — Umiem dobrze po kuwilińsku, ale wenusjańskiego prawie zupełnie zapomniałam. Nie wiele zresztą nauczyłam się w obozie przejściowym; uciekaliśmy z Andrzejem z lekcji, ile cię dało.

Wdałem się w dyskusję:

— Wszystkie uczyłyście się, tylko nie pamiętacie. W czasie miesięcznego uśpienia w inkubatorze specjalny aparat poddaje każdemu pewne sugestie, a także uczy języka. Jest to tzw. hypnopedia. Po przebudzeniu świadoma nauka idzie o wiele szybciej i łatwiej, jest bowiem swego rodzaju przypominaniem.

— To wszystkie powinnyśmy umieć po wenusjańsku.

— Nie przeszłyście procesu przypominania.

— Joasia też go nie miała.

— Słusznie, ale same opowiadałyście, że po burzy grawitacyjnej czytała w myślach i widziała na odległość. Musi posiadać specjalne uczulenie parapsychofizyczne.

— Tamto znikło — przerwała mi Joasia — całe szczęście! Wolę być normalną istotą. Ale ten język wenusjański rzeczywiście tak mi przyszedł niespodzianie, jakbym go się już kiedyś uczyła. Tylko co ta burza ma z tym wszystkim wspólnego?

— Musiała te zdolności w jakiś sposób pobudzić, lecz jak? Tego nie wiem — odparłem.

— Wobec tego — zaproponowała Basia — wsiadajmy w łódki i jedźmy do brzegu, dość

siedzenia na „Delfinie”!

Gdy wylądowaliśmy na piaszczystej plaży, skierowałem dziewczęta do źródła „wody sodowej, a sam oddaliłem się. Potrzebowałem samotności. Poszedłem wzdłuż wybrzeża zatoki, póki cicho szemrząca rzeczka nie wskazała mi drogi w głąb lasu. Rosły tu wysokopienne drzewa, przypominające eukaliptusy. Miały jasną, plamistą korę, obwieszały je festony gałęzi o delikatnym liściu. Popod nogami rozesłał mi się srebrno-zielony mech, przetykany bogato kwieciem. Teren wznosił się powoli w górę, roślinność zagęszczała się. Przeciskałem się przez nurt z pasją, nie zważając, że raz po raz ostre kolce raniły mi ciało. Wzbierał we mnie coraz silniejszy żal i gniew. Już za dużo zważyło się ostatnio na moją głowę!

Posuwając się naprzód natrafiłem na ruiny starożytnej budowli, niemal zupełnie pochłoniętej przez dżunglę. Korzenie drzew, a nawet ich konary opasały popękane kolumny i okaleczały posągi, tworząc z nimi jakby jakieś nowe, niesamowite, kamienno-roślinne byty. Wielki głaz ołtarza ofiarnego zastąpił mi drogę. „Uszedłem nań i w tejże sekundzie niewidzialna siła uniosła mnie w powietrze i posadziła w ogromnej



muszli, podtrzymywanej przez postacie nadnaturalnej wielkości.

Innym razem ubawiłaby mnie ta przygoda. Teraz ze złością zsunałem się na ziemię. Drażnił mnie tępy, nie ludzki wyraz posągów, wskazujący, że ich twórcą był któryś z ludów Nauin. Szedłem dalej w puszcze. Podniosłem ułamaną gałąź i biłem nią wściekle w pnie drzew, aż rozprysła mi się w rękę. Wtedy nagle odeszły mnie siły. Rzuciłem się twarzą na mech, złamany, samotny, nieszczęśliwy.

Upłynął tak chyba z kwadrans. Zaszleściło coś w zaroślach. Nie obejrzałem się. Czyjaś dłoń spoczęła na moim ramieniu. Dopiero wtedy podniosłem się gwałtownie. Obok klęczała Basia.

— Jędreku, co ci jest?

Nie chciało mi się otwierać ust. Nie zrażona tym dziewczyna ciągnęła dalej:

— Coś ci musiał Gupu powiedzieć nieprzyjemnego. Zauważyłam, że byłeś blady...

Uczułem nagle nieodparta potrzebę wyrzucenia z siebie bólu i niepewności. Opowiedziałem Basi wszystko. Słuchała pilnie. W błękitnych, oczach błyszczała serdeczność.

— Nie wierz Gupu — rzekła. — Był zły na cie-

bie za zabranie hełmu i pasa. Może uważał, że ośmieszyles go wobec nas. Był też wyraźnie niezadowolony z twojej obecności między nami, śmieszna męska zazdrość. Chciał ci dokuczyć.

— Nie patrzył na mnie życzliwie, to prawda, bo go Robert okłamał i źle usposobił, lecz jestem przekonany, że mówił to, co naprawdę widział i słyszał. Pal sześć Roberta! Ale nie mogę zrozumieć Doroty...

— Mogła być zmuszona... czemu przesłała pozdrowienia dla nieżyjącego czarownika. — Czy to nie jakiś znak?

— Jaki? Gupu na pewno przekreślił imię, chodziło o Kiniego lub o Imlę. A nawet jeśli się nie pomylił, to Dorota może umyślnie podała osobę, której nie znał, żeby poświadczyć prawdziwość jego słów. Wiedziała, że inaczej nie uwierzę takiemu kawalarzowi.

Zamilkłem i po chwili dodałem:

— Może to ze strony Doroty jakaś ofiara, niezrozumiała dla mnie. Mogła to zrobić dla ojca, którego uwielbia, choć nie wiem po co. Kryje się w tym tajemnica; nie spocznę, aż ją rozwiążę.

— Tajemnica? — Basia zatrzymała się, jakby wahając się, czy mówić dalej. — Może to będzie bolesne dla ciebie, co powiem, ale, Jędrak, nie

ładź się zbytnio. Pamiętaj, że „kobieta zmienna jest”. Czy Robert jest przystojny?

— Nawet bardzo.

— No to mogła się w nim całkiem po prostu zakochać „na śmierć”.

— Ależ to człowiek bez sumienia

— Co to szkodzi? Tak zwana miłość bywa ślepa i szalona, wszystko potrafi wytłumaczyć na dobre i usprawiedliwić... Nie łam sobie głowy na próżno. Czy to jedna Dorota na świecie?

Wydymając zabawnie czerwone wargi, Basia powtórzyła nieświadomie słowa Gupu.

— Straciłeś ją, zyskałeś za to nas. Masz w czym wybierać, nie jesteśmy już tak znów do niczego... Ostatecznie to i ja mogłabym się machnąć za ciebie, choć zawsze wolałam brunetów...

— Co za dusza ofiarna!

— No, tak łatwo by to nie poszło; ale gdybyś mnie tak na przykład uratował z pazurów małpoluda jak Lenę, to może i moje serce nabrzmiałoby czułością... Ale na razie to nieaktualne. Odrzuć swoje smutki i pomóż mi coś upolować, bo mnie po to Ania wysłała. Już i tak przez ciebie straciłam dużo czasu.

Poszliśmy. Basia chcąc mnie rozweselić, ga-

worzyła dowcipnie. Słuchałem jej z roztargnieniem, bo myśli moje krążyły wciąż wokół Doroty. Wreszcie powiedziałem sobie: „Nie wierzę w jej zmienność, póki mi sama nie powie, że mnie przestała kochać”. Po tej wewnętrznej decyzji zrobiło mi się jaśniej na duszy i mogłem się skoncentrować na polowaniu.

Wkrótce na omszałym głazie dostrzegliśmy jaszczura „lkali”. Zwierzę to posiada pod skórą na podgardlu rurkę, z której wypuszcza na upatrzoną ofiarę śmiertelny kolec. Poluje w ten sposób na ptaki i drobne zwierzęta. Ma na długim pysku coś w rodzaju muszki celowniczej, która mu ułatwia trafienie. A nie może zbyt często pudłować, bo ma dziennie do rozporządzenia tylko trzy kolce. Przed człowiekiem ucieka, ale osaczony może być niebezpieczny i zadać nawet śmiertelną ranę. Nie to jednak w tej chwili zadecydowało o jego losie lecz fakt, że ma bardzo smaczne mięso.

Wystrzał z pistoletu promieniowego, który miałem przy sobie, pozbawił zwierzę czucia, a ostry nóż dokonał reszty myśliwskiego dzieła. Wracaliśmy zadowoleni z łatwego polowania, gdy w pobliżu zatoki Basia zatrzymała się.

— Teraz musimy się rozstać. Daj mi mięso i

nie mów Ani, że się z tobą widziałam. Ona nam zakazała przebywać z tobą na osobności...

— Bardzo słusznie — odparłem ze śmiechem — ale teraz nie będziemy robić komedii. Powiesz jej, żeśmy się przypadkiem spotkali, co jest prawdą. Przecież mnie specjalnie nie szukałaś?

— Pewnie, że nie! Ale, tak mówiąc między nami, to nasza kochana Anka przesadza w surowości.

— W tych sprawach lepiej przesadzić, niż nie dosadzić. Ania czuje się za was odpowiedzialna i dlatego strzeże mocno swoich zasad.

— I w ten sposób wykazuje, że nam nie ufa i uważa za jakieś niemoralne istoty, które trzeba nieustannie pilnować.

— To nie to. Jej chodzi bardzo o zachowanie harmonii między wami. Nawet gdyby dwie z was zaczęły trzymać się na uboczu, tylko z sobą rozmawiać i siebie wzajem adorować, więź wasza szybko by prysła. Ja sam postanowiłem, że będę was wszystkie traktował jednakowo, choćbym nawet tę, czy tamtą bardziej polubił.

— Ciekawa jestem, czy dotrzymasz?

— Z pomocą Bożą dotrzymam!

Na tym rozmowa urwała się. Za parę minut

znaleźliśmy się w gromadzie.

Reszta dnia upłynęła na słodkim nieróbstwie, za to nazajutrz już od rana ruszyliśmy do pracy. W pobliżu ruin znajdował się gaj niewielkich drzew „mkana” bardzo się nadających na paliwo do statku. Postanowiliśmy się tam udać.

Zabraliśmy do pomocy naszych jeńców. Z promieniówką w rękę wyprowadziłem ich z kajuty. Rozglądali się niespokojnie, niepewni swego losu. Byli to młodszy dorodni mężczyźni, czarnowłosi, o ciemnobrązowej skórze. Akil musiał mieć w sobie coś niecoś kuwilińskiej krwi, bo posiadał regularny nos i niebieskie oczy. Omud był typowym przedstawicielem rasy Nauin. Jego lekko przyplaszczony nos i papuańska czupryna nadawały mu dzikszys wyraz, patrzył też bardziej „spode łba”, niż jego towarzysze. Ubiór ich stanowiły dwa pęki pysznych piór; Akila miał zielono-czerwone, Omud czerwono-czarne, przypominały strusie, a pochodziły od „angu”, znanego mi wielkiego ptaka.

Udaliśmy się gęsiego w górę rzeczki i wkrótce dotarliśmy do ruin. Na widok posągów i kamienia ofiarnego dzicy padli na ziemię, mamrocząc coś niewyraźnie.

— Co im się stało? — spytała Ania.

— Prawdopodobnie są przekonani, że zaraz ofiarujemy ich bogom, jak to czynili dawni panowie tej świątyni — odparłem. — Wejdz, Aniu, na ten płaski głaz!

— Po co?

— Zobaczysz.

Zaciekawiona dziewczyna spełniła polecenie. Ledwo stąpnęła na kamień ofiarny, spotkało ją to samo, co mnie poprzedniego dnia: porwała ją w powietrze niewidzialna siła i umieściła w muszli, podtrzymywanej rękami posągów.

— O jej! Co to? — zawołała zdumiona i trochę przerażona.

— U stóp tego kamienia zabijano ludzką ofiarę i kładziono na ołtarz. Stamtąd tajemna moc wrzucała ciało do muszli, gdzie rozszarpywały je drapieżne ptaki — objaśniłem.

Dzicy patrzyli na to, co się stało, z szeroko rozwartymi oczami. Bili przed Anią pokłony i powtarzali niezrozumiałe słowo, które mnie zelektryzowało:

— Dorty! Dorty!...

— Czy to reklama nowej pasty do zębów? — zażartowała Basia.

Mnie jednak przyszło na myśl, że może przedtem zetknęli się z Dorotą, a teraz Anię uznali za

jej wcielenie. Podniecony podbiegłem do nich i... machnąłem bezradnie ręką. Jak im wytłumaczę, o co mi chodzi?

Ania zsunęła się zgrabnie w dół, po rękach kamiennych figur. Akil i Omud spoglądali na nią z zabobonna czią. Dała znak, by powstali.

— Zaawansowałaś w ich oczach na boginię — stwierdziła Krysia — nie powinno być teraz z nimi żadnego kłopotu.

Jej słowa sprawdziły się. Obaj jeńcy, uszczęśliwieni, że ich nie zabijamy, okazali się pilnymi i sprytnymi robotnikami. W lot chwyтали sens dawanych im na migi rozkazów. Dzięki nim praca postępowała rażno naprzód, ścięte i porąbane kłody drzewne spławialiśmy rzeczką do burty Delfina, a tam improwizowana winda wciągała je na pokład.

Minęło kilka dni wyteżonego wysiłku. Zapas paliwa na statku rósł szybko. Chcieliśmy zrobić przerwę w pracy, ale Ania nie zgodziła się.

— Czemu się tak spieszysz? — spytałem ją. — Co za różnica, kiedy stąd odpłyniemy?

Zdziwiła się.

— Jak to? — rzekła. — Tobie się nie spieszy? Czy zrezygnowałeś z odzyskania Doroty i upewnienia, się o losach Kiniego? Każda chwila



jest droga.

Hm, niby to i mnie chodziło o pośpiech, ale tak naprawdę to wolałbym odłożyć chwilę odjazdu jak najdalej. Bałem się konfrontacji z rzeczywistością. Byłem jak ten chory, który waha się udać do lekarza, żeby nie odkrył w nim schorzenia. Teraz żyłem jeszcze nadzieją; co będzie, jak okaże się złudzeniem.

Zastanawiałem się, co odpowiedzieć. Tymczasem Ania, jakby odgadując moje myśli, dodała:

— Wstyd, nie wolno ci się załamywać... tym bardziej, że nie jesteś sam: my ci pomożemy... Nam osobiście wcale by się nie spieszyło. Tu tak ładnie!

— On pewnie nie wiele liczy — wtrąciła swoje trzy grosze Basia — na pomoc takiego babskiego wojska. Ale pamiętaj, Jędrek, gdzie diabeł nie może...

— Tfu, tfu! — przerwała jej gwałtownie Ania. — Też pomysł, wspominać złego ducha w dobrym zamierzeniu!

Podziękowałem zacnym dziewczętom za przejęcie się moją sprawą i już nie protestowałem przeciw pośpiechowi.

Dzień później ukończyliśmy pracę gromadzenia paliwa. Drewniane kłody zapełniały nie tyl-

ko pomieszczenie do tego przeznaczone, ale i nie używane na mieszkanie kajuty i różne zakamarki statku. Delfin jednak nie odpływał jeszcze. Na jednej z wypraw rybackich nasza większa, łódź wpadła na podwodną skałę i zatonała. Wskutek tego Ania poleciła jeńcom sporządzenie nowej. Zabrali się do tego dzieła gorliwie i wkrótce szalupa była na ukończeniu. Wtedy to zaszło brzemienne w skutki wydarzenie.

Dochodziło właśnie południe. Ania, siedząc na głazie w pobliżu rum świątyni, dozorowała dziłkich i obserwowała zbierające się chmury. Groził deszcz. Z godzinę temu zerwał się wiatr i przybierał na sile. Danusia trzy kroki dalej pluła się w rzece. Krysia z Ewą myszkowały wśród ruin. Reszta załogi „Delfina” znajdowała się w innej stronie wyspy.

Ania zastanawiała się, czy dać hasło do powrotu na statek, czy jeszcze pozostać, nie przejmując się możliwością prysznicu, gdy naraż z lasu dobiegło wołanie Krysi:

— Chodźcie, chodźcie! Cośmy znalazły.

Ania z Danutą pobiegły ku ruinom, skąd głos dochodził. Rudowłosa dziewczyna odgrzebywała spośród kamieni i piasku złoty posążek metro-

wej długości. Była to jakaś wenusjańska bogini o wdzięcznych kształtach i wielkich szafirowych oczach wykonanych z kosztownego kamienia. Ręce miała rozłożone i nieco wzniesione ku górze.

— Jakaż ona ładna! Trzeba ją zabrać na pokład!

Wspólnymi siłami wyciągnięto posążek z ziemi; był bardzo ciężki.

— Akil! Omud! — wołała Ania, po czym zwróciła się do koleżanek — niech oni zaniósą figurę na statek, bo same nie damy rady. I tak trzeba wracać, bo deszcz nadchodzi.

Dzicy zjawili się natychmiast, ale widząc, czego się od nich żąda, wpadli w przerażenie. Nie chcieli się nawet zbliżyć do bogini.

— Mgabul, mgabul — mówili, kiwając głowami.

— Cokolwiek to mgabul ma znaczyć — stwierdziła Danką — ci brązowi dżentelmeni nie wykazują ochoty do pomocy. Zaniesiemy figurę same.

Dziewczęta pochyliły się nad leżącym posągiem. Jednocześnie silny podmuch wpadł w ruiny z potępieńczym gwizdem. Uderzenie wiatru oderwało od wysokiej ściany potężny głaz. Szy-

kował się do skoku tysiące lat i wreszcie nadzedł moment: runął z łoskotem, ciągnąc lawinę drobniejszych kamieni. Odbił się od gruzowiska i potoczył z hukiem ku dziewczętom. Szczęśliwie zdążyły uskoczyć na bok.

Na ten widomy znak niezadowolenia bogów, Akil i Omud z krzykiem trwogi rzucili się ku rzece, przepłynęli ją i przepadli w dżungli.

Na chwilę i Mewy przejął zabobonny lęk. Opanowały go szybko i ponownie pochyliły się nad figurą. Ze zdumieniem skonstatowały fakt, że bogini, postawiona pionowo, niemal straciła ciężar. Bez żadnego trudu przeniosły drogocenną zdobycz na pokład. Nie mogły się tam dość nacieszyć piękną statua. Oczyściły ją i wypolerowały.

Pierwsze krople deszczu zagnały na statek i mnie z Bašką i Joasią. Wróciliśmy z wyprawy myśliwskiej. Przyniesiony łup nie był tak cenny jak złota bogini, ale praktyczniejszy, jeśli chodzi o najbliższą przyszłość: dwie wenusjańskie świnki o słoniowych uszach.

Joasia, ujrawszy boginię, pobladła.

— Po co wciągnęłyście to paskudztwo na pokład? Przyniesie tylko nieszczęście.

Spojrzeliśmy ze zdziwieniem na dziewczynkę.

Co jej się stało?

— Nie mówiłam wam... dwa dni temu miałem dziwny sen, bardzo wyraźny. Byłyśmy wszystkie na pięknej łące, nad którą Akil i Omud unosili się na motylkowych skrzydełkach. Wyglądali tak śmiesznie, że się śmiałam... Pamiętasz. Danusiu? Pytałaś mnie potem, co mi się takiego wesołego przyśniło. Nagle na łące pokazała się ona — Joasia wskazała na boginię — żywa. Dotknęła naszych dzikich, przemienili się natychmiast w dwa jaszczury i rzucili się na nas... obudziłam się

— Ale także: „Strzeżonego Pan Bóg strzeże — dodałem poważnie. — Lepiej się mieć na baczności. Nigdy nie wiadomo, co się w tych dzikich głowach może wylęgnać, szczególnie gdy w grę wchodzi zabobon.

Omud i Akil nie pokazali się tego dnia. Nie wrócili i nazajutrz. Ruszyła wyprawa na poszukiwanie zbiegów, ale stwierdziła tylko, że prawie wykonane czółno zniknęło. Wyprowadziliśmy stąd prosty wniosek, że puścili się oni w drogę ku rodzinnej wyspie, wykorzystując ciemności ostatniej dżdżystej nocy. Nie zamierzaliśmy ich ścigać. Ich obecność stanowiła zawsze nieobliczalne niebezpieczeństwo, choć

zachowywali się potulnie, a ostatnio nawet przyjaźnie.

Bez naszych jeńców wyspa wydała nam się teraz jeszcze piękniejsza i miłsza. Choć już właściwie wszystko było gotowe do drogi, nie chciało nam się odjeżdżać. Nawet Ania jakoś nie piliła. Znaleźliśmy zresztą pretekst do dłuższego pozostawania : należało sporządzić nową łódź na miejsce skradzionej. Zabrałem się do tego z pomocą dziewcząt, lecz robota szła opornie i niezgrabnie. Z ulgą powitaliśmy nadejście niedzieli. Dnia wolnego od pracy. Nie byliśmy co prawda pewni, czy to akurat niedziela, Straciłem już dawno rachubę dni, a dziewczęta nigdy nie zetknęły się z kalendarzem wenusjańskim. Kontynuowały jednak skrupulatnie ziemskie zastępstwo dni tygodnia.

W taką więc właśnie „niedzielę”, po porannych modlitwach, które musiały nam zastąpić obecność na Mszy Św., ruszyliśmy na wycieczkę w nieznaną dotąd część wyspy. Morze wdarłszy się do wnętrza krateru, zalało zaledwie jedną czwartą jego dna. Resztę pokrywały lasy. Szliśmy początkowo brzegiem zatoki, potem, napotkawszy ujście sporej rzeki, udaliśmy się w górę jej biegu. Basia z Joasią szły w przedniej czuj-

ce, ja z Ewą na końcu. Brzeg był początkowo łatwy do marszu, ale stopniowo przeszedł w trzęsawisko. Basia, widząc po drugiej stronie możliwość wygodniejszej drogi, postanowiła przepłynąć rzekę. Weszła do wody, i tracąc szybko grunt pod nogami, zaczęła płynąć. Joasia już miała pójść w je ślady, gdy nagle wydała z siebie okrzyk trwogi. Ujrzała na wodzie trzy krokodyle, sunące złowrogo ku Basi, która dopływała prawie do środka nurtu.

Słyszając przeraźliwy wrzask przed nami, puściliśmy się co sił naprzód. Gdy dobiegłem do miejsca przeprawy, zobaczyłem Basię, oganiającą dwu niewinnym krokodylom–dziobakom, które uważały to zapewne za świetną zabawę. Trzeci wylądował na brzegu i zapraszająco bił ogonem o wodę.

— Strzelaj! Strzelaj! — wołały ku mnie przerażone dziewczęta.

Ja jednak, ku ich niepomiernemu zdumieniu rzuciłem promieniówkę na trawę, a sam, z gołymi rękami dopadłem do leżącego na skraju zurari. W chwilę później płynąłem już na jego grzbiecie ku śmiertelnie przerażonej Basi.

— Nie bój się! — wołałem. — Nic ci nie zrobią!  
Dziewczyna kurczowo uczepiła się mej ręki.

Była blada i trzęsąca się. Z trudem posadziłem ją za sobą. Krokodyl, nie zrażony podwójnym ciężarem, usłużnie dopływał z powrotem do brzegu.

Krysia pierwsza, a za nią inne dziewczęta, widząc, że zurari nie tylko nie są groźne, lecz dają możliwość świetnej zabawy, dosiadły wodnych rumaków. Rzeka rozbrzmiała śmiechem i wszawą.

Tymczasem na brzegu kilka kropel nektaru ze „świętych kwiatów” , które rosły w pobliżu, przywróciły Basi siły.

— Trzymam cię a słowo — powiedziałem jej z uśmiechem — widzisz, wyratowałem cię; choć nie z łap małpoluda, ale z paszczy aż trzech krokodyli...

— Które okazały się zupełnie nieszkodliwe... i ty wiedziałeś o tym. To nią nie liczy — odpowiedział Basia energicznie, odzyskując zwykłą werwę. — Ale dziękuję ci, bo ja z samego strachu o mało się nie utopiłam.

— O jakie to „słowo” chodzi? — spytała ciekawie Joasia, która wraz ze mną udzielała Basi pierwszej pomocy.

— Mamy swoje tajemnice z Basią — odpowiedziałem — lecz czy zauważyłaś, jak ciekawie w



twoim „proroczym śnie” połączyły się dwa niezależne fakty: ucieczka dzikich na skutek znalezienia bogini i dzisiejsze zdarzenie z zurari. Tym bardziej jestem pewny, że Akil i Omud odjechali i nie grożą nam zasadzką.

— Pewnie masz rację — odpowiedziała tez przekonania w głosie. Ona jedna nie wierzyła w odjazd dzikich i przeczuwała niebezpieczeństwo.

— Dziwny jest ten świat snów — dodała w zamyśleniu Basia — i ja też śniłam parokrotnie o wydarzeniach, które się potem urzeczywistniły.

— A mnie się nigdy nic nie wyśniło — odrzekłem z poczuciem niższości — a przynajmniej nic takiego nie pamiętam.

Od przygody z zurari mijały dni. Powinniśmy już byli dawno odpłynąć od wyspy, ale stale znajdowaliśmy wymówki, by na niej dłużej pozostać. Była tak piękna i zdawała się bezpieczna. Z północy szedł teraz chłodnący wietrzyk, który docierał nawet do wnętrza krateru i łagodził zwykły na Wenus upał. Niebo przyjęło złotopółkową barwę w dzień, po nocach zaś szalały na nim tęczowe, rozedrgane łuny. Widno było jak przy palni księżyca, tylko barwa światła bo-

gatsza i cieplejsza. Chodziliśmy bardzo późno spać, nie mogąc oderwać oczu od tych pysznych zjawisk, niebieskich. Rano zaś trudno było poderwać się ze snu.

Na dodatek rozkwitły właśnie na całej wyspie olbrzymie liliowe kwiaty, roztaczając wokół upajające wonie. Coś musiało być w tym zapachu, co rozleniwiało. Czuliśmy wstręt do wszelkiego wysiłku i — choć nie bez wałki — poddałiśmy się temu słodkiemu nieróbstwu. Nawet Ania dała za wygraną i nie nagliła do pracy. Nikt by jej zresztą nie posłuchał. Łódź pozostała nie wykończona, zaniechaliśmy polowań. Wystarczały owoce i grzyby. Najchętniej wylegiwało się na plaży lub na miękkim ruchu i marząc, słuchało pluskania fal i śpiewu ptaków.

Narkotyczny zapach kwiatów wprowadził nas przy tym w stan dziwnego oszołomienia. Nic nas nie obchodził cały świat. Zapomnieliśmy, co było kiedyś, nie myślało się o przyszłości, trwało tylko przyjemne dziś. Wreszcie po dwóch tygodniach kwiaty zwiędły, jednocześnie prysł zły czar. Wróciła chęć do pracy, do działania. Byliśmy z powrotem sobą.

Któregoś dnia rano Ania wyznaczała prace na cały dzień. Niespodzianie oparła jej się Krysia:

— Mnie się dziś nie chce stróżować na statku, to za nudne na mój temperament i niepotrzebne. Przedwczoraj natrafiłam na gniazda tych smacznych niby-ptaków, którymiśmy się tak zajadały. Obiecałam Basi, że jej pokażę...

— Możesz jej powiedzieć, gdzie to jest i Joasia z nią pójdzie — odparła niecierpliwie Ania

— Gadaj, co chcesz, a ja pójdę!

— Ja mogę zostać na statku, mnie jest, wszystko jedno — ofiarowała się Joasia.

— Nie, Krysia nie pójdzie, choćby dla samej zasady — uparła się Ania. — Jest posłuszeństwo, albo go nie ma?

— Gwizdzę sobie na posłuszeństwo i co mi zrobisz? — odparła w coraz niegrzeczniejszym tonie rudowłosa dziewczyna.

Wtedy Ania zwróciła się co mnie:

— Andrzej, powiedz jej parę słów prawdy, bo a już nie mogę sobie z nią poradzić.

Czyściłem właśnie działko, które w kilku miejscach poczyniała pokrywać rdza. Nie przerywając roboty, odparłem:

— Załatwiajcie same spory między sobą. Jestem zwykłym członkiem załogi, a nie sądem apelacyjnym.

Podenerwowana już Anię moja odpowiedź roz-

gniewała na dobre.

— Nie chcesz przyznać mi racji, bo trzymasz z Krysią — zaparzyła się, — no tak, ten rudzielec i w Nowym Jorku miał szalone powodzenie. Ja nie mam takich płomienistych włosów i...

— Za to masz śliczne szare oczy i płomienną duszę.

Dziewczęta zaczęły chichotać, a biedna Ania rzuciła na mnie spłoszone spojrzenie, nie wiedząc, czy moje słowa przyjąć za żart, czy za dobrą monetę. Zarumieniła się.

— A, jak chcesz iść z Basią, to idź — rzekła, zwracając się do Krysi — ale wiedz, że jesteś niedobra.

Krysi widocznie zrobiło się nieprzyjemnie, bo spuściła głowę, wymamrotała coś niezrozumiałego, co równie dobrze mogło być gniewliwym burknięciem jak i przeproszeniem i czym prędzej oddaliła się z Basią. Pozostałe udały się do wyznaczonych obowiązków. Nowa łódź przybierała już coraz wyraźniejsze kształty — niezbyt zgrabne, ale miałem nadzieję, że po spuszczeniu na wodę nie zatonie od razu.

Pracując, zastanawiałem się nad poranną awanturą. Wydawało mi się, że postąpiłem słusznie, nie chcąc się mieszać do sporu. Lecz

czemu Ania tak wybuchła? Czyżby była zazdrośna? Poprzedniego dnia gawędziłem z Krysią na pokładzie aż do późna w nocy. Lubilem tę dziewczynę, gdyż świetnie się z nią dyskutowało, miała najczęściej poglądy biegunowo przeciwne od moich, była inteligentna, umiała argumentować. Walczyła nieraz w obronie z góry przegranej sprawy dla samego sportu. Dochodziliśmy jednak często do porozumienia, bo potrafiła ustąpić, uznając rację strony przeciwnej.

Wczorajsza dyskusja rozpoczęła się na temat „burzy grawitacyjnej”. Krysia twierdziła, że gdyby dziewczęta w czasie tego zjawiska przestały być przyciągane przez Wenus, siłą odśrodkowa powstała wskutek obrotu planety wokół jej osi, wyrzuciłaby je w przestrzeń i przywiązanie się liną do statku nic by nie pomogło. Zresztą poleciałby i statek. Wobec tego owe kuliste pioruny nie mogły, jak twierdziłem, zawierać jakichś „antrygrawitacyjnych ładunków”, lecz musiały tu działać inne siły. Zaczęliśmy dyskutować, obliczać, i rysować. Niestety oboje okazaliśmy się bardzo słabymi matematykami i nie doszliśmy do żadnych określonych konkluzji. W każdym razie ożywiona dysputa przeciągnęła się późno w noc i Ania parokrotnie na próżno wzy-

wała nas na spoczynek. Stąd też pewnie i dzisiejsza poranna „scena”. Powiniennem bardziej uważać i ukrócić wszelkie dyskusje „we dwójkę”, choćby się nawet odbywały na oczach wszystkich. Zależało mi wszak bardzo, by swą obecnością nic psuć zgody w tej zacnej gromadzie.

Kiedy tak to sobie rozważałem, podeszła do mnie nieśmiało Ania.

— Andrzej — rzekła — przepraszam za to, co powiedziałam, to było głupie i niesprawiedliwe...

— Wcale się nie gniewam. Zresztą miałaś rację oburzając się na Krysie za nieposłuszeństwo, ale pojmij, że nie mogę mieszać cię w wasze spory.

— Ja to rozumiem...

Nastąpiła chwila trochę kłopotliwego milczenia. Czuję, że Ania chce coś powiedzieć, lecz waha się. Wreszcie zaczęła cicho:

— Andrzej, wytłumacz mi, dlaczego tak się dzieje. Z moich koleżanek jestem może najbardziej religijnie nastawiona, staram się pracować nad sobą, a mimo tego mam chyba najwięcej wad. Tak często jestem niecierpliwa, zazdrosna o swą władzę, tyle jest we mnie miłości własnej,

ujawniającej się przy lada okazji...

— Ależ Aniu, ty jesteś najlepsza z nas! — zaprotestowała żywo poczciwa Zula, przesłuchująca się rozmowie.

— Najlepsza, nie najlepsza — odpowiedziałem. — Jeden Bóg wie, jak jest z nami naprawdę. Ale, Aniu, nie martw się niepowodzeniem. Gdyby ci wszystko szło „szybko, łatwo i przyjemnie”, stałabyś się wkrótce zarozumiałą pannicą, przypisującą wyniki sobie, a nie Bogu. Dopiero wtedy nie moglibyśmy z tobą wytrzymać. Wpatrzona w siebie „doskonałość” to coś okropnego! Tak zaś musisz z sobą walczyć i szukać Bożej pomocy...

— Ja jej szukam i proszę, ale to jakoś nic nie pomaga.

— Mylisz się. Jeśli mamy dobrą wolę, Bóg w naszych duszach tworzy mnóstwo wspaniałych rzeczy, lecz je pilnie chowa przed nami. Woli, byśmy o nich nie wiedzieli. Natomiast coraz wyraźniej ukazuje nam nasze przewinienia, błędy i śmieszności. Im więcej ich widzisz, tym lepiej. A więc, Aniu, śmiało naprzód, pogodnie i z humorem!

Twarz dziewczyny rozjaśniła się. W jej szarych oczach błysnęła wdzięczność.

— Dziękuję — rzuciła i oddaliła cię.

— Dzielne dziewczę — pomyślałem i wróciłem do pracy.

Krysia i Basia nie wróciły w południe. Nie było ich jeszcze, gdy zapadła noc. Zaczęliśmy się o nie poważnie obawiać. Mimo ciemności i deszczu, udałem się z Zulą w kierunku, w którym poszły. Szukaliśmy, nawoływaliśmy — na próżno. Gdy i w godzinach rannych nie pojawiły się, niepokój doszedł do szczytu. O wschodzie słońca ponowiliśmy poszukiwania. Trwały cały dzień. O zachodzie wróciliśmy z niczym, znaczeni i przygnębieni.

Najprawdopodobniejsze było przypuszczenie porwania przez Akila i Omuda, którzy wbrew naszemu przekonaniu nie odpłynęli od wyspy, lecz przyczaili się gdzieś w dżungli. Może chcieli powrócić do domu jak owi Budrysi z lechickimi brankami.

Nikt nie chciał wypowiedzieć głośno innej, okropnej ewentualności, która się każdemu nasuwała. Czy ci kanibale nie urządzili gdzieś w puszczy okropnej uczyty według swego potwornego zwyczaju.

Wahaliśmy się, czy nadal przetrząsać dżunglę, czy raczej wyjechać na morze i starać się do-



gnać uciekających ewentualnie dzikich. Ostatecznie postanowiliśmy poświęcić na poszukiwania jeszcze pół dnia. Tym razem zbadaliśmy brzeg w cieśninie pomiędzy zatoką i morzem i wybrzeża po zewnętrznej stronie wyspy. Na czerwonym piasku odkryliśmy szczęśliwie zatarłe już nieco ślady czterech par nóg. Prowadziły ku wodzie. —Joasia, cofając się po śladach co lasu, dostrzegła na krzaku mocno wypłowiałą, czerwoną wstążkę Basi, która zawiązywała swój „koński ogon” w tyle głowy.

Nie zwlekając ani chwili Delfin ruszył w pościg na pełne morze.

Płynęliśmy przeciw prądowi, który mnie przed paroma tygodniami przyniósł w pobliże wyspy. Powinien nas być teraz zaprowadzić do siedziby ludożerców, dokąd też na pewno skierowali się Akil i Omud ze swoimi brankami. W dzień nie mieliśmy kłopotu z utrzymaniem Delfina na właściwym kursie. Szeroka rzeka prądu odcinała się jaśniejszą zielonością od reszty morza. Gdy jednak zapadły ciemności i to takie, że własnej ręki nie można było dojrzeć, szliśmy już tylko za wskazówkami igły kompani. Pozwalało to utrzymać stale ten sam kierunek, lecz nie mieliśmy pewności, czy prąd nie skręcił i czy

nie wpadniemy na jakąś skałę podwodną, łachę piaszczystą lub na brzeg którejś z wysp. Mapa wskazywała, że możemy posuwać się bezpiecznie, ale czy właściwie określiliśmy na niej swe położenie?

Na pokładzie nikt nie spał. Panowała atmosfera niepewności, wszyscy milczeli. Niektóre usta szeptały cicho modlitwę.

— Może byśmy tak wspólnie odmówili różaniec? — zaproponowała Ania.

Zgodziliśmy się bez słowa. Przewodniczyła Ania, przesuając w palcach koronkę, sporządzoną przez nią z ziaren palmowych. Odpowiadał jej zgodny chór młodych głosów. Modlitwa dodała otuchy sercom. Uświadomiliśmy sobie, że jest z nami Ktoś, bez Którego zezwolenia i włos z głowy nie spada.

Noc minęła bez wydarzeń.

Ranek wstał chmurny i mglisty. Jak na złość widoczność była bardzo słaba. Ewa wdrapała się na maszt, ale nie wiele więcej mogła objąć okiem niż my z pokładu. Wtem z oparów mgły wyłoniły się dwie wielkie łodzie krajowców. Sunęły szybko ku statkowi, na którym powstał popłoch.

— Ludożercy, ludożercy! — zabrzmiały.

Skoczyliśmy po broń.

## Rozdział VI

### Taniec księżyca

Broń jednakże okazała się zbędna. Statek otoczyło wkrótce dziesięć łodzi krajowców, ale nie sypały się z nich wraże pociski, ani nie wznosiły bojowe okrzyki. Machały tylko ku nam przyjaźnie ręce mężczyzn, kobiet i dzieci, natłoczonych na wąskich pokładach. Byli to Kuwilińczycy, jak o tym świadczyła ich mowa, jasnobrązowy odcień skóry, wiele jasnych czupryn i jasnych oczu.

Zatrzymaliśmy turbinę statku. Należało się dowiedzieć, skąd i dekad płynęli i czy przypadkiem nie napotkali łodzi z naszymi uciekinierami. Wychyliłem się za burtę i nabierałem powietrza w płuca, by przemówić, gdy nagle głos utkwił mi w gardle z wielkiej radości. W czólnie, które właśnie zbliżyło się do boku statku, w tłumie dzikusów siedziały całe i zdrowe Baśka i Krysia. Gdy znalazły się na Delfinie, powitań i radości nie było końca.

— Co się z wami działo? Czy ci dzicy was uratowali? Gdzie Akil i Cmud? — padały pytania.

— Zaraz, zaraz wam wszystko opowiemy —

odpowiedziała Krysia — lecz najprzód musimy wam przedstawić wodza tego plamienia. Zawdzięczamy mu ratunek.

Statek pełen był już brązowych chłopców o roześmianych od ucha do ucha buziach i iskrzących się oczach, którzy wdarli się na pokład w ślad za odnalezionymi szczęśliwie naszymi zgubami. Za nimi wspiął się na pokład młody mężczyzna. Długie ciemnoblonde włosy spinała złota kłamra na czubku głowy. Piwne oczy spoglądały pogodnie i rozumnie. Z szerokiego czerwonego pasa, przetykanego złotymi nićmi, spadała poniżej kolan zielona szarfa. Ubioru dopełniały złote bransolety na rękach i nogach.

To jest Szilu, wódz plemienia Arajów — przedstawiła przybyłego. — Uciekają przed ludożercami. Pierwszy ich postój wypada zdaje się, na naszej Wyspie Złotej Bogini.

— To i my tam chyba zawrócimy? — powiedziała pytająco Ania.

Wszystkim nam ta propozycja przypadła do gustu. Wkrótce turbina zaterkotała na nowo i cała flotylla ruszyła na północny-zachód.

Tymczasem szef plemienia przywitał się z żoną Delfina, nadgryzając delikatnie prawe ucho każdej z przedstawianych mu osób. Po tej

ceremonii zasypałem go pytaniami. Ruchem ręki zatrzymał mój potok wymowy.

— Porozmawiamy później — rzekł stanowczo — posłuchajcie najprzód tych dwóch dziewcząt. Widzę, że pałą się z chęci opowiedzenia swych przygód.

Zaczęła Basia. W dniu porwania, jak wiemy, wybrały się na polowanie. Poszło pomyślnie i dwie myśliwe wracały obładowane kilkunastoma sztukami zwierząt, które miały ptasie dzioby i prasio nogi, ale były bezskrzydłe i pokrywała je sierść. Dzień był upalny i dźwiganie łupu nie było rzeczy łatwą. Zmęczyły się wkrótce i zgrzały, toteż gdy doszły do źródła „wody sodowej”, bez namysłu zanurzyły się w ochładzającej kipieli. Nie „wiedziały, że za krzakami czaili się Akil i Omud, którzy wbrew naszemu mniemaniu nie odpłynęli z wyspy.

— Gdyśmy wyszły z wody — mówiła Basia — rzuciły się na nas te dwa szatany z pałkami w łapach. Za późno było chwycić za broń. Szarpałyśmy się z nimi i Krysia darła się przeraźliwie, jak stare prześcieradło...

— A ty niby nie? — sprostowała z oburzeniem Krycia.

— Ja się nie darłam, tylko wołałam pomocy...

ale mniejsza o to, bo i tak się na nic nie zdało. Chwycili nas za włosy i przejechali pałką tam, gdzie się kończą plecy, a nie zaczęły jeszcze nogi. Potem zabrali nam łuki i strzały oraz myśliwską zdobycz i wciągnęli w puszcze. Chcąc zyskać na czasie, opóźniałyśmy marsz, ile było można, lecz Akil, który szedł za mną, zdzielił mnie parę razy pięścią po placach... brutal... Nie chcąc narażać się na siniaki, przyspieszyłam kroku. Kiedy jednak przeskakiwałyśmy wielki pień drzewa, wywróciłam się umyślnie, wywróciłam niby z bólu, płakałam i chwytalam się za stopę.

— Zawsze z ciebie była dobra komediantka — mruknęła Ania.

— Co mówisz?

— Nic.

— No to nie przeszkadzaj. Akil i Omud chcieli mnie zmusić do dalszego marszu, ale gdy nadal udawałam, uwierzyli. Coś tam poszwargotali między sobą i Akil wziął mnie na rękę.

— Jak romantycznie...

— Nie było to zbyt romantycznie dla niego, bo robiłam wszystko, by mu słodki ciężar uczynić gorzkim. Dopięłam wreszcie swego, bo cisnął mnie na ziemię i odmówił dalszego pochodu.

Chciał pewnie, żeby Omud mnie teraz podźwi-  
gał, ale ten nie okazywał do tego żadnej pomo-  
cy. Klócili się i omal nie pobili, co przyjęłyby-  
śmy z radością. Niestety doszło między nimi do  
zgody. Pozostaliśmy na miejscu. Niezadługo za-  
czął padać deszcz i lał całą noc. Ciemno było  
choć oko wykol. I wtedy gdzieś po północy uda-  
ło się Krysi uciec. Opowiadaj teraz ty...

— Dzicy czuwali bardzo długo; wreszcie po-  
snęli. Zdołałam się wtedy wysunąć w las.  
Deszcz głużył kroki. Było jednak tak ciemno,  
że zabłądziłam. Po dziesięciu minutach nie-  
świadomie wróciłam w to samo miejsce i wpa-  
dłam wprost na Akila. Pobudzili się, no i szansa  
przepadła.

— A ty nie próbowałaś uciekać? — zwróciłem  
się do Basi.

— Zamierzałam, ale usnęłam jak kamień i do-  
piero niefortunny powrót Krysi mnie zbudził.  
Od rana komedia rozpoczęła się na nowo. Akil  
musiał mnie nieść, a i Krysia zaczęła kuleć, na-  
si prześladowcy byli wściekli, lecz bezsilni. Do-  
piero nad wieczorem dotarliśmy do miejsca na  
zewewnętrznej stronie wyspy, gdzie w krzakach  
ukryta była łódź i wiosła. Tam, korzystając z  
chwili nieuwagi dzikich, zawiesiłam wstążkę na



gałęzi, jako znak dla was. Także idąc po piasku nadmorskim starałyśmy się z Krysią zostawiać jak najwyraźniejsze ślady.

— Przecież udawałeś, że masz skręconą nogę?  
— zwróciła uwagę. Ewa.

— Już nie było po co odstawiać komedii. Nagle odzyskałam władzę w nogach, co Akila doprowadziło do szału. Bałam się przez chwilę, że mnie zabije. Te pręgi na plecach to pamiątka po nim. Na szczęście, gdy mnie huknął parę razy, ulżyło mu widocznie, do się uspokoił. Dzicy napchali naprędce łódź owocami i zaraz odjechaliśmy. Kazali nam początkowo pomagać w wiosłowaniu, ale zorientowawszy się, że wiosłujemy w odwrotną stronę, dali znak, byśmy zaprzestały.

— Tak jechaliśmy całą noc. — ciągnęła dalej Basia — cały dzień i znowu noc. Nadeszło wreszcie krytyczne południe. Było bardzo gorąco, pić nam się chciało potwornie, lecz nasi nieproszeni wielbiciele bardzo skąpo wydzielali soczyste owoce, bo ich było mało. Wreszcie straciliśmy cały zapas... lecz niech to opowie Krysią, bo to był jej pomysł.

— Nie mogłam się pogodzić z myślą, — podjęła opowiadanie rudowłosa dziewczyna — że nas

wiozą jak barany, a my nic. Postanowiłam zaryzykować. Siedziałyśmy pośrodku łodzi. Akil tyłem do nas na przodzie czółna. Omud frontem do nas wiosłował na rufie. Porozumiałam się z Basią — nie przeszkadzali nam rozmawiać. Powiedziałam jej, żeby na „raz, dwa, trzy” chwyciła za wiosło i walnęła z całych sił Akila w łeb, a ja to samo zrobię z Omudem. Ten ostatni co prawda przedstawiał trudniejszy problem, bo stale na nas patrzył. Obaj jednak byli już mocno wyczerpani nieustannym wiosłowaniem. Podziwiałam ich, że dotąd się nie załamali tym bardziej, iż płynęliśmy pod prąd. Basia od razu przystała na mój plan...

— Bo i we mnie tkwi duch bohaterski — wtrąciła z przechwałą Baśka, poruszając przy tym komicznie noskiem, co było jej specjalnością.

— Samochwała w kącie stała... — zaczęła Ewa.

— Cicho, nie przeszkadzaj w najciekawszym miejscu! — przerwała jej Zula, a Krysia ciągnęła dalej:

— Wolno, od niechcienia, niby bezmyślnie zaczęłam się bawić wiosłem. Poprawiłam się na siedzeniu przybrawszy najkorzystniejszą postawę do akcji. „Raz” powiedziałam i ziewnę-

łam. „Dwa”..., wreszcie „trzy”. Zamachnęłam się do ciosu, ale Omud był szybszy. Schwycił moje wiosło w powietrzu, tuż zanim dotknęło jego głowy i wyszarpnął mi je z ręki. Łódź zakołysała się i to ocaliło z kolei Akila. Basia spuszczała swoje wiosło na głowę dzikiego parę sekund po mnie, właśnie wtedy, gdy czołno przechyliło się. Straciła równowagę i zamiast w czubek głowy uderzyła go w ramię. Ja tymczasem zaczęłam się rozpaczliwie szarpać z Omudem i ani nie wiem, jak wszyscy znaleźliśmy się w wodzie. Łódź przewróciła się. Dzicy odwrócili ją i z powrotem znaleźliśmy się w jej wnętrzu. Akil wyłowił wiosła, ale żywność poszła na pokarm rybkom. Dzicy byli chyba zbyt zmęczeni, żeby czynem wywrzeć swoją złość na nas. Za to wykrzywiali się i krzyczeli. Były to pewnie okropne przekleństwa, ale nie zrobiły na nas żadnego wrażenia, bośmy ich i tak nie rozumiały. Tyle o moim niefortunnym wyczynie. Baśka, opowiadaj dalej...

— W jakąś godzinę po tej przygodzie ujrzelismy dwie łodzie krajowców, pędzące w naszym kierunku. Za nimi ukazały się inne. Nasi dzicy usiłowali uciec, ale przeciwnicy wiosłowali szybciej. Widząc, że nie umkną, Akil i Omud

zatrzymali czółno. Rozmawiali gorączkowo, zdawali się kłócić. Obce łodzie były już blisko. Widziałyśmy wycelowane w naszym kierunku łuki. Zaczęłyśmy krzyczeć: „agna! agna!” (na pomoc!). Rozwścieczyło to Omuda. Podniósł nagle wiosło z wyraźną chęcią przekonania się, czy w głowie Krysi jest siano czy fijołki, lecz nie dopełnił naukowego eksperymentu. Dostał strzałę w pierś i zwałił się do wody, Akil też został postrzelony i upadł na dno łodzi. Nas wybawiciele zabrali na swoje czółno. Z naszym bogatym zasobem słów kuwilińskich, w liczbie dziesięciu i pół, miałyśmy niemałą trudność z wyjaśnieniem kim jesteśmy i skąd wzięłyśmy się v towarzystwie tak nieodpowiednim dla młodymi panienek. Oni jednak ustosunkowali się do nas bardzo dobrze. W każdym razie zrozumieli, że nie z własnej chęci uciekłyśmy z tymi skądinąd przystojnymi kawalerami. Na tym miejscu składam podziękowanie Andrzejowi i Ewie za kurs języka kuwilińskiego, któryśmy przeszły na Wyspie Złotej Bogini.

— Nie ma za co — odpowiedzieliśmy jednocześnie z Ewą.

Po skończonym opowiadaniu dziewcząt zabrałem się do rozmowy z wodzem Szilu. Jak słusz-

nie powiedziała Krysia, Arajowie uciekali przed ludożercami, którzy byli ich bliskimi sąsiadami. Póki plemię Arajów było silne, dawało sobie z nimi radę. Ludożercy jednak zyskali niedawno potężnego sprzymierzeńca. Pojawił się na tych wodach statek z czarnobrodym dowódcą na pokładzie. Krajowcy nazywali go Kan-Blaka, w czym nie trudno było domyślić się przekreconego imienia byłego kapitana Delfina. Wspólnie z ludożerczym plemieniem Brabajów urządzał on napady na spokojne plemiona kuwilińskie w celu zdobycia niewolnika. Co silniejsze sztuki zabierał sam, co „smaczniejsze” oddawał Brabajom.

Jeden z takich napadów zredukował prawie do połowy plemię Arajow. Niedawno Brabajowie znowu ich najechali. Udało się odeprzeć atak, ale z takimi stratami, że Szilu ze swoją radą zdecydowali opuszczenie niebezpiecznego sąsiedztwa.

— Kiedy dziś rano wasz statek wyłonił się ze mgły — kończył swe smutne opowiadanie Szilu — myśleliśmy, że to Kan-Blaka, i że wszystko stracone. Dopiero wasze „vakkilene” uspokoiły nas.

— Dokąd jedziecie? — Spytałem.

— Na Wyspę Gór Kryształowych, gdzie rządzi mądry i potężny czarownik Mgauri...

— Mgauri? — wykrzyknąłem. — Przecież to łotr i łowca niewolników.

— O nie, — zaprotestował gorąco wódz plemienia — to nie Kan-Blaka, zły i okrutny. Mgauri jest dobry, bardzo dobry i wielki czarownik. Potrafi ludzi zmieniać w olbrzymów. I my ubłagamy go, by nas przemienił. Wtedy wrócimy z powrotem do naszych siedzib, a Brabejowie będą się nas bali. O, jak bali! — dokończył śpiewnie.

Patrzałem na mego niepewnie. Nie zrobiły na mnie wrażenia słowa o domniemanej czarodziejskiej potędze Roberta, ale o jego rzekomej dobroci. W jednych stronach imieniem Mgauri matki straszą dzieci, a tu uchodzi za opiekuńczego ducha. Czyżbyśmy mieli do czynienia z dwoma innymi ludźmi? Zasypałem Szilu pytaniami, ale jego odpowiedzi nic mi nie wyjaśniły.

Tymczasem wódz plemienia prosił, żebyśmy wzięli na pokład część kobiet i dzieci z przepelnionych łodzi, na co chętnie zgodziliśmy się. Na czółnach pozostali głównie tylko wojownicy, za to „Delfin” zaroił się gwarną, gromadą. Nasze dziewczęta uwijały się wśród niespodziewanych

gości, rozdając hojnie zapasy śpizarniane statku. Nic chcąc przeciążać czólen, dzicy zabrali ze sobą niewiele żywności i poczynął dokuczać im głód.

Mewom sympatyczni dzicy bardzo się podoba-  
li; tylko na twarzy Ani, stojącej przy kole stero-  
wym, malował się wyraz niesmaku.

— Co się tak krzywisz, jakbyś się napiła pio-  
łunu? — spytała ją Krysia, przechodząc mimo.

— Ciebie to na pewno nie razi, ale ja z przy-  
krością patrzę na nagość tych dzikusów. Jakaż  
pierwotność!

— A! — Krysia lekceważąco machnęła ręką.

— Na nasz europejski standard — wtrąciłem  
się — nie wiele mają na sobie, ale chciałbym,  
żebyśmy my, przybysze z Ziemi, posiadali taki,  
jak oni, szacunek dla ciała i ukrytej w nim du-  
szy.

Dość długo obracam się między kuwilińskimi  
plemionami i nie zauważyłem u nich nigdy ja-  
kiejś świadomej nieprzyzwoitości, dwuznaczno-  
ści w mowie lub obleśnych żartów, v których  
tak celuje nasz „cywilizowany” człowiek.

— Czy wobec tego i nam zalecisz trawiaste  
spódniczki? — z przekąsem odpowiedziała  
Ania.

— Może by wam w nich było i do twarzy — odpowiedziałem żartobliwie i dodałem poważniej:

— Tak się dziwnie dzieje, że człowiek, wspinając się coraz wyżej po szczeblach, cywilizacji, jednocześnie traci prostotę spojrzenia, komplikuje się wewnątrz. Wzrasta w nim możliwość dobra, ale i możliwość zła. Czyż nie potrafimy zaszargać i splugawić najpiękniejszych nawet przejawów człowieczeństwa, jak miłość dwojga ludzi, małżeństwo, ojcostwo? Czy nie wykorzystujemy ciała, które samo w sobie jest dobre i piękne, dla rozbudzania niskich namiętności? I właśnie dla tego naszego zepsucia i moralnej słabości potrzebujemy surowszych norm przyzwoitości ubioru i powinniśmy ich przestrzegać. Ale ci dzicy?...

— Coś mi ich zanadto idealizujesz — odparła Ania — przecież i w nich tkwi grzech pierworodny.

— Oczywiście, ale nie w każdym człowieku czy narodzie i ego skutki ujawniają się z równą siłą...

— To po prostu życie na łonie natury czyni ich lepszymi od nas — wtrąciła Krysia. — Zawsze wszystkich do tego zachęcałam.



— Brabajowie i inne plemiona Nauin — odpowiedziałem — też żyją w bezpośredniej styczności z naturą, a hołdują ludożerstwu i przelewowi krwi. Nie, to nie to...

— A więc?

— Powiem tylko, że tajemnicze są drogi Opatrzności Bożej. Podobnie jak Bóg strzegł narodu izraelskiego na Ziemi, tak widocznie w sposób specjalny opiekował się Kamiryjczykami i Kuwilińczykami na Wenus. Ponadto trzeba dodać, że przybyli oni na tę planetę Jeszcze w tym czasie, gdy pierwotne objawienie Boże świeże było wśród ludów. Kauin zjawili się już o wiele później, gdy powszechne zepsucie na Ziemi zaszło tak daleko, że potrzeba było aż oczyszczającego potopu.

— Ciekawe to wszystko — stwierdziła Ania — ale wytłumacz mi jeszcze jedną rzecz: dlaczego pośród dzikich, których dotąd spotkaliśmy, nie widziałam ludzi starych. Czyżby ich zabijano w pewnym określonym wieku?

— Co za potworne podejrzenie! Czy nie widzisz siwych głów? O, choćby tamta zażywna jejmość, siedząca pod masztem. Jestem pewny, że ma ze sto lat.

— Co ty gadasz? Cera brzoskwiniowa, ani śla-

du zmarszczki...

— Mówiłem wam przecież o specjalnych urządzeniach w Kamiru, które wysyłają promienie zabezpieczające od chorób i przedłużające życie.

— Od chorób, to uwierzę — przytaknęła Krysia. — Gdybym tak na Ziemi spędziła całą noc na deszczu, następnego dnia byłoby zapalenie płuc, a przynajmniej dwutygodniowa grypa. A tu: ani kichnęłam. Lecz w takim razie „na co” się umiera?

— Można od wypadku, można od starości. Człowiek trzyma się niemal do końca w pełni sił i nagle ogarnia go obezwładniająca słabość. Trwa to tydzień, lub dwa, po czym dusza spokojnie przechodzi do wieczności. Jedni żyją dłużej, inni krócej. Można dożyć i 150 naszych ziemskich lat. Okropne!

— Nie powiem. A przybysze z Ziemi?

— Na ogół nie osiągają aż tak późnego wieku, lecz przebieg całej sprawy jest podobny.

— Ho, ho, to mamy przed sobą obiecujące perspektywy...

— Jeśli nas przedtem ludożercy nie zjedzą...

Na zakończenie naszej rozmowy nadeszła Zula i przysłuchiwała się w milczeniu.

— A ja wam powiem, że ta bezbolesna starość i ten brak chorób — rzekła niespodzianie — nie za bardzo mi się podobają... To, że na Ziemi przezywamy różne fizyczne dolegliwości, to że musimy przychodzić z pomocą wszelkiej nędzy, czyni nas bardziej ludźmi. Ileż prawdziwej miłości, poświęcenia, heroizmu może wykrzesać z człowieka nieszczęście bliźniego! Ale ilu ludzi uświęciło się przez cierpliwe znoszenie własnej choroby!

— Jak kto lubi się tak poświęcać jak ty — odpowiedziała jej Krysia — to pewnie, że mu lepiej będzie na Ziemi, ale ja wolę Wenus.

— Nie wszystkich też cierpienie uszlachetnia — dodałem.

Jednak wypowiedź Żuli zrobiła na nas wszystkich wrażenie. Przyznam, że nie spodziewałem, się w tej tłuściutkiej dziewczynce z bardzo dziecinnym jeszcze warkoczykiem i poczciwą buzią takiej dojrzałości.

Nad wieczorem Delfin wraz z eskortą wpłynął do zatoki we wnętrzu Wyspy Złotej Bogini.

Po wylądowaniu zobaczyłem między krajowcami Akila ze związanymi z tyłu rękami. On tylko przeżył zetknięcie z Arajami, bo Omud, trafiony strzałą, wpadł do wody i utopił się. Po-

deszliśmy z Anią do dzikiego. Na nasz widok rzucił się na ziemię i zaczął wołać swoje „dortil, dortil”.

— Co to znaczy? — spytałem towarzyszącego nam Szilu.

— To znaczy „litości” — odparł. — Co chcecie z nim zrobić?

— My? Nic. Możecie go sobie zabrać, jeśli się wam na coś przyda.

— Dobrze — zgodził się Szilu. — Płynie w nim trochę krwi kuwilińskiej, a myśmy tylu wojowników stracili... Może się zżyje z naszym plemiem.

— Zapytaj się — poprosiłem — co wpłynęło na jego zmianę w stosunku do nas. On i Omud zdawali się już zupełnie obłaskawieni.

Szilu, znający dobrze język Brabajów, wdał się z Akilem w dłuższą pogawędkę. Wynikło z niej, że obaj dzicy uciekli ze strachu na widok złej bogini i spadającego głazu. Potem po prostu zasmakowali w wolności. Fakt, że nie mogliśmy ich odnaleźć, obdarł nas z nimbu nadprzyrodzoności. Ponieważ zaś nasze dziewczęta bardzo odpowiadały ich młodzieńczym tęsknotom, postanowili nie wracać sami. Wyczekiwali na sprzyjający moment i dalej już wiemy, co na-

stąpiło.

\* \* \*

Minęło kilka dni. Urocza wyspa wrzała życiem. Arajom nie spieszyło się znowu do dalszej podróży. Czuli się tu dość bezpiecznie. Trzeba było zresztą sporządzić więcej łodzi i zgromadzić zapasy żywności.

Przebiegałem wyspę wzdłuż i wszerz z zastępem młodych myśliwych. Ich obecność była dla mnie dużym odprężeniem. Zaczynało mnie już bowiem męczyć, a trochę i denerwować, stałe przebywanie w dziewczęcym towarzystwie. Pokochałem „Mewy” jak rodzone siostry, ale ich świat różnił się od mojego, męskiego. Był bardziej uczuciowy, drobiazgowy, skomplikowany i zdawał mi się ciaśniejszy. Z radością wyrwałem się „na swobodę”.

Dziewczęta też na pewno „odpoczęły” ode mnie. Fascynowało je zetknięcie z prymitywnym ludem. Interesował je każdy szczegół życia i obyczajów plemienia. Nauczyły się niejednej praktycznej sztuki od arajskich kobiet, a przede wszystkim wprawiły się w używaniu języka kuwili.

Kilkakrotnie jeszcze wypytywałem się Szilu o „wielkiego czarownika” Mgauri. Staralem się też bezskutecznie zachwiać jego ślepa wiara w rzekomą dobroć Roberta. Wyszło przy tym na jaw, że głównym informatorem plemienia był Auxi, brat Szilu. Został on złapany w czasie napadu kapitana Blacka, a następnie „wyzwolony” przez „szlachetnego” Mgauri. Obecnie opowiadał nadzwyczajne historie o swym dobroczyńcy i był autorem pomysłu oddania plemienia pod jego opiekę.

Z kolei przeprowadziłem kilka rozmów z Auxi. Robił wrażenie spryciarza; jego niespokojne, rozlatane oczy nie budziły zaufania. Jednak z rozmowy nie mogłem wywnioskować, czy wierzył, naprawdę w opowiadane przez siebie bzdury, czy też kłamał w jakimś określonym celu. W każdym razie te nasze pogwarki miały tę dodatnią stronę, że dowiedziałem się od niego dokładnie położenia owej Kryształowej Wyspy. Po wydobyciu Takili z dna morskiego i upewnieniu się o losach Kiniego postanowiłem natychmiast się tam udać.

Nadeszła, wreszcie wigilia odjazdu naszych nowych przyjaciół. Z okazji rozstania miała się odbyć pożegnalna uczta. Gały dzień zabrało

przygotowanie do niej. Uroczystości rozpoczęły się na godzinę przed zachodem słońca na obszernej łące w pobliżu zatoki. Biesiadnicy rozsiadli się, a raczej rozłożyli wokół liściastego obrusu, spoczywającego po prostu na trawie i mchu. Ów nieskomplikowany stół pokrywały kwiaty, owoce i smaczne mięsiwo. W tykwach z kory drzewnej złociły się i czerwieniły orzeźwiająjące napoje. Tej nocy strój Arajów zadowolił chyba nawet wymagającą Anię. Okrywały ich nie tylko barwne szarfy, przepaski i spódniczki, ale obwiesili się też takim mnóstwem złotych kółek, monet, łańcuchów, bransoletek, dźwięczących przy każdym ruchu, że niektórzy wyglądali jak rycerze w ozdobnych kolczugach.

Chociaż potrawy nęciły podniebienie, nikt nie zabierał się do jedzenia. Przed siedzącymi wypadł mężczyzna w ohydnej masce, pomalowany od stóp do głowy w czarno-żółte pasy. W rękę trzymał długą włócznię. Zaczął niesamowity taniec: skakał, przysiadał, czał się, wygrażał niewidzialnym wrogom, przebijał ich ostrzem dzidy, deptał nogami. Wszystko to odbywało się w zupełnej ciszy. Na twarzach obecnych malowało się skupienie i powaga. Dopiero gdy ostatni wyimaginowany upiór, który mógłby za-

szkodzić biesiadnikom, został unieszkodliwiony, Arajowie ożywili się. Zapanował wesoły gwar. Wychyłano przede wszystkim słodkie akuri. Ostrzegłem moje dziewczęta, by nie piły za dużo, ale jak zastosować się do tej rady, gdy otoczenie zaprasza gościnnie, a napój jest świetny. Już po kilku łykach odczuwa, się w przelyku, piersiach i w żołądku rozkoszny chłód; rozchodzi się on po chwili po całym ciele przemieniając w jakieś nieokreślone, lecz niezwykle przyjemne uczucie lekkości. Chciało by się śmiać, śpiewać, cały świat przycisnąć do serca.

Pito i napychano się jadłem, aż wielka plama wenusjańskiego słońca dotknęła krawędzi wulkanu. W tym samym momencie zadudniły skórzane bębenki. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Wszyscy pochylili się, wyciągając ku gasnącemu słońcu dłonie w niemym pożegnaniu. Gdy znikło zupełnie, zapalono olbrzymi stos. Trwała nadal absolutna cisza. Skwierczało tylko i trzaskało płonące drzewo.

Wtem, z lewej i prawej strony dopłynął monotonny śpiew dziecięcych głosów. Wzmagał się, rósł w siłę z minuty na minutę. Z obu stron lasu wyłoniły się dwa długie szeregi. Prawy



chłopców, lewy dziewczynek. Najmniejsze dzieci szły na przodzie, potem szereg wzrastał, aż kończył się na dwunasto – trzynastolatkach. Każde dziecko trzymało ręce na ramionach poprzedników. Lśniące czerwono w blaskach ognia ciała pokrywały girlandy kwiatów.

Oba szeregi, wciąż śpiewając doszły do ogniska. Rozpoczął się taniec. Wąż małych ciał kołysał się miarowo na obie strony, wyginał rytmicznie z niezwykłą powagą, nieomal patosem. W towarzyszącej pieśni brzmiała jakaś bolesna skarga, jakaś prośba nieśmiała i smutna.

Bębny wybijały takt coraz szybszy. Dziecinne ręce wzniosły się w górę, falowały; małe dłonie wykonywały ruchy coraz szybsze. Pieśń przybrała na gwałtowności — ton pokornej prośby zmieniał się w żądanie, chwilami przechodził w krzyk, potem znowu łagodniał.

Ania nachyliła się nad moim uchem.

— Co to jest? Co ma znaczyć ten taniec? Odszepnąłem:

— Jest to „taniec księżycy”. Przybysze na Wenus i po tysiącach lat nie zapomnieli tej ozdoby ziemskich nocy. Tęsknią za nią i proszą, siły niewidzialne, by w zamian zapaliły zorzę magnetyczną.

— Rzeczywiście dziś jej nie ma. Czy się ukaże? Dwa płasające szeregi rozprysły się nagle, mieszały i utworzyły wokół stosu wielkie koło. Wtedy na firmamencie wytrysły purpurowe promienie, jakby ktoś nagle zapalił gigantyczne reflektory. Na ten widok radość ogarnęła wszystkich. Mali tancerze rozerwali koło i wmieszali się w ucztujących. Dopiero teraz mogli wziąć udział w biesiadzie. Pozapalano wszystkie ogniska. W ich świetle starsi zabrali się do wesołych płasów. Coraz więcej par przybywało. Dudniły bębunki, piszczały fujarki, brzdąkał instrument, przypominający lirę. Taniec był ognisty, szybki, żywiołowy. I załogę Delfina porwał w swój wir. Ulegliśmy porywającemu czarowi nocy. Dziewczęta instynktownie chwyciły pierwotny rytm i wkrótce tańczyły, jakby od dzieciństwa wychowywały się wśród Arajów. Wypite akuri dodawało lotności członkom. Lecz uczta i taniec nie przemieniły się ani na chwilę w dziką orgię, w rozpisanie niskich instynktów. Kuwilińczycy mają na to zbyt dużą siłę moralnej tradycji, wyrytej w umysłach i sercach.

Zabawa przeciągnęła się poza północ, ale nie dotrwała do rana. Akuri, zwiększając począt-

kowo żywotność, przenikało po pewnym czasie mięśnie i nerwy słodką sennością. Raz po raz usuwał się ktoś od tanecznego koła i zasypiał na miejscu. Nasza gromadka w tej dziedzinie zdobyła sobie niewątpliwe pierwszeństwo. Ja sam nie wiem, czy dotrwałem do północy.

Gdy poranne słońce oświetliło zieloną łąkę wyglądała jak pobojuwisko, z tą różnicą, że z leżących ciał dobywał się spokojny, równy oddech ludzi żywych. Zbudziliśmy się dość wcześnie. Akuri nie pozostawiło po sobie złych następstw. Wstawano wesoło, przypominając sobie ze śmiechem szczegóły ostatniej nocy, po czym cała gromada zanurzyła się w miękkich falach laguny. Koło południa krajowcy ruszyli z prądem morskim Delfin, zaś przeciw niemu Płynęliśmy ku zatopionej Takili.

\* \* \*

Wyspa Ina-Kilik śmiała się ku nam jaskrawymi barwami olbrzymich kwiatów, śpiewała głosem tysięcy ptaków. Trudno nam było sobie uświadomić, że za tym pięknem kryje się ponure niebezpieczeństwo — człowiek. Dwie ostre skały zdawały się być olbrzymimi soplami lodu,

które przez dziwny figiel natury trafiły w równikową strefę. Przyglądając się im teraz uważnie, dochodziłem do coraz większej pewności, że nie były górami, na które patrzyłem w widzeniu. Tamte przede wszystkim znajdowały się z lewej strony zatoki, te z prawej.

— Obok nich widać jeszcze trzecią, małą — zawołała Ewa ze swego ulubionego miejsca na bocianim gnieździe.

— A na horyzoncie czy nie ma całego łańcucha takich szklanych gór? — zapytałem.

— Ani śladu. Widzę kilka szczytów, ale takich „normalnych”.

Gdy ja zwróciłem uwagę na góry, Ania uważnie lustrowała brzegi lornetką w poszukiwaniu ludzkiej obecności. Bron leżała w pogotowiu pod ręką. Działko groźnie zwracało gładką lufę ku zielonemu gąszczowi. Lecz ludożerców nie można było wypatrzeć.

Kuter zatrzymał się w pobliżu miejsca, gdzie na dnie zatoki powinna była spoczywać Takila. Ewa z masztu wołała, że ją dostrzega, ale jak zebrać się do jej wydobycia? Żadnego sprzętu do nurkowania nie było na Delfinie.

Skoczyłem z pokładu w głębie morską. Towarzyszyła mi świetna pływaczka Ania. Biały ka-

dłub Takili zajaśniał wyraźnie w migotliwej topieli. Podpłynąłem do rufy, gdzie mieściła się komora wodna, przekręciłem wystającą rączkę. Ukazał się mały otwór, z którego poczęły się z głośnym bulgotem wydobywać bańki powietrza. W ślad za nimi i ja wyprysłem na powierzchnię, parskając i oddychając gwałtownie.

— Jest, jest! — wołałem triumfująco co wy-czekujących dziew cząt — tym razem otworzę klapę wejściową komory, dostanę się do wnętrza i... jeśli Takila nie wypłynie za parę minut na powierzchnię, zmówcie paciorek za moją biedną duszę!

— Czy mogę ci w czym pomóc? — zapytała Ania.

— Tak. Jak zamknę za sobą klapę, dotknij jej ręką. Jeśli wyczujesz drżenie, to wszystko w porządku: urządzenie wypompowujące wodę działa. Jeśli nie, poczekaj parę sekund, otwórz ja i wyciągaj topielca za włosy.

— O, tak źle nie będzie.

Daliśmy nurka. Szarpnąłem za metalowe ucho. Klapa otworzyła się ukazując czworokątny otwór, oświetlony od wnętrza.

— Teraz „wóz albo przewóz” — pomyślałem i wpłynąłem do wnętrza. Ania zatrzasnęła klapę,

W komorze tur pod klapą mieściła się niewielka dźwignia. Chwyciłem ją i pociągnąłem w dół. Ani drgnęła. Raz, drugi, trzeci. O Boże! Płucom braknie powietrza. Na szczęście zostało go trochę pod samym sufitem komory. Krztusząc się, uchwyciłem kilka zbawczych łyków. Znowu spróbowałem dźwigni — bez skutku.

Klapa otworzyła się. To Ania, nie mogąc doczekać się owego zapowiedzianego drżenia, pociągnęła ją ku sobie. Rzuciłem się w otwór i poszybowałem ku powierzchni. Przede mną migaly smukłe nogi Ani, która już i tak zbyt długo siedziała pod wodą. Na powierzchni zrobiło nam się obojgu słabo. Przytrzymały nas ręce Krysi i Basi, krążących w łódce.

Gdy przyszliśmy do siebie, padły pytania:

— Co się stało?

— Dźwignia, włączająca aparaturę do wypompowania wody, nie działa — odparłem. — Nie wiem, dlaczego... Och, co za osioł ze mnie! — krzyknąłem w nagłym olśnieniu.

— Co za wzruszająca szczerłość — mruknęła Basia, nie mogąc się powstrzymać od zrobienia uwagi.

Przypomniałem sobie dopiero teraz, że podstawiliśmy pod dźwignię kołeczek, gdyż paro-

krotnie obsuwała się samorzutnie, włączając pompę w najbardziej niepożądanym momencie. Wspiąłem się na pokład, by mieć dogodniejszą pozycję do nurkowania i ponownie zagłębiłem się w morze. Tym razem poszło sprawnie. Wyrwałem kóleczek. Pocisnąłem dźwignię w dół. Za chwilę komorę wypełniło powietrze. Zarygłowałem klapę i otworzyłem drzwiczki. Prowadzące co wnętrza jachtu. Jak przyjemnie i swojsko znaleźć się w starej kochanej Takili!

Udałem się przede wszystkim do swojej kajuty. Zrzuciłem mokrą i postrzępioną w wielu miejscach popłę, wziąłem krótki, ciepły prysznic. Odświeżony, uczesany, założyłem długą czerwoną zanę w złote geometryczne figury. Podarował mi ją Zbyszek w Nowym Krakowie. Miałem jeszcze ochotę włożyć na szyję ozdobny łańcuch, a na ręce bransolety, ale coś mi szepnęło w ucho:

— Nie rób z siebie pajaca!

Odłożyłem je więc z pewne niechęcią i udałem się do sterowniczej budki. Tam przez okienko zauważyłem Krysię, dającą znaki, bym wypływał.

Pojawienie się Takili na powierzchni przyjęto gromkim „huraaa”. Za chwilę jacht był pełen

dziewcząt, oglądających wszystko z podziwem. Nie było końca zachwytom. O ileż przyjemniej będzie teraz odbywać podróż morską w komforcie na zgrabnym statku, niż na tamtym starym gracie, zwanym „Delfinem”, chyba na pośmiewisko.

Podczas, gdy dziewczęta przenosiły na Takile swoje rzeczy — ubogie z wyjątkiem złotej bogini — ja zająłem się przygotowaniem obiadu. Spiżarnia statku obfitowała w różne smakołyki, niektóre włożone tam jeszcze w Nowym Krakowie przez pocziwą Magdę, toteż uczta wypadła wspaniale. Miły nastrój potęgowała muzyka z małego patefonu.

— A jednak cywilizacja ma swoje dobre strony — stwierdziła z uznaniem Danusia, rozsiadając się po obiedzie w wygodnym fotelu.

— Poczekaj do nocy — odpowiedziała jej Joasia — co to będzie za rozkosz położyć się wreszcie na miękkim materacu we własnej kajucie?

— Jesteście nazbyt przyziemne — wtrąciła swoje Ania. — Dla mnie stanowi największą przyjemność, że mogę wreszcie wziąć książkę do ręki i przenieść się w świat ducha.

Ania pierwsza przewertowała moją podręczną biblioteczkę, i teraz znajdowała się już na trzy-



dziestej stronie kupionej w Nowym Krakowie „Filozofii Kamiriańskiej”.

— Chyba to ze snobizmu czytasz, nie rozumiejąc ani słowa — rzekła z powątpiewaniem Krysia.

W odpowiedzi Ania przesłała jej tylko tzw. po angielsku „dirty took” czyli niezbyt życzliwe spojrzenie i czytała dalej.

Wczesnym popołudniem pokazałem moim paniom, jak się kieruje Takilą. Odbyliśmy próbną jazdę z opuszczeniem się pod wodę. Wtajemniczyłem je też w użycie strojów nurkowych. Tylko lekcja strzelania z promieniowej broni ograniczyła się do teoretycznego wykładu. Nie chcieliśmy niepotrzebnym rykiem dawać znaku naszej obecności. Pewny byłem co prawda, że i tak dzicy nas już zauważyli, lecz jeśli nie, to po co wywoływać samemu wilka z lasu.

— Dlaczego tak nas forsownie ćwiczysz? — zapytała Krysia. — będzie jutro czas na to.

Nie chciałem powiedzieć prawdy, więc milczałem, ale wyręczyła mnie Ania.

— Jak to? Jutro od rana wysadzamy desant na brzegu, żeby się upewnić o losach Kiniego. Trzeba się do tego przygotować.

Posypały się jak z rękawa plany inwazji na

Ina–Kilik. Przytakiwałem, podziwiałem zapał bojowy moich Amazonek, ale w myśli świecił mi własny projekt, z którym nie zamierzałem się zdradzać.

Kiedy zjedliśmy kolację, wyszedłem na pokład. Słońce już zaszło, było bardzo ciemno. Zbierało się na deszcz. Na tle czarnego nieboskłonu świeciły fosforycznie owe dwie ostre skały. Ich odbicia w spokojnej wodzie zatoki niemal sięgały Takili. Tu i tam błyszczały świeciszki w atramentowej dżungli. Szedł od niej mocny zapach; od czasu do czasu dolatywał krzyk nocnego ptaka, poza tym panowała cisza.

Patrzyłem w zamyśleniu na ledwie widoczną linię plaży, gdzie rozegrała się niegdyś dramatyczna walka. Poruszył się na niej jakiś niewyraźny kształt. Duch Kiniego? — przeleciało mi przez głowę. Może czeka na swego druha?... Choć było gorąco i parno, wstrząsnął mną zimny dreszcz.

Zjawa znikła. „Pewnie był to jakiś zwierzak nocny” — powiedziałem sobie na uspokojenie, lecz w tejże chwili wydało mi się, że słyszę wyraźnie znajomy głos:

— Chodź! Chodź!

Przeszły mnie ciarki. „Złudzenie” — szepną-

łem, lecz nie dodało mi to odwagi.

Co prawda i bez tego tajemniczego wezwania wiedziałem, że trzeba iść. Od dawna zamierzałem wyprawić się nocą do kamienia ofiarnego, by zbadać, czy tkwi tam na tyce głowa Kiniego. Teraz nadeszła odpowiednia chwila. Szilu twierdził, że Brabajowie boją się nocy i niechętnie opuszczają wtedy swoje siedziby. Panuje między nimi wiara, że po zmierzchu dechy pożartych ofiar krążą w pobliżu, szukając pomsty. Noc więc była najwłaściwszą porą, choć nie dawała pewnej rękojmi bezpieczeństwa. Jeśli dzicy widzieli nasze przybycie, mogli mimo wszystko czyhać na brzegu.

Jednak nie tyle ludożercy napełniali mnie strachem, co myśl spotkania z duchem Kiniego. Jak głęboko zakorzeniona jest w człowieku obawa przed wszystkim, co przychodzi z „tamtego świata” i jak bardzo wytwory własnej fantazji tyranizują nasz rozum i wolę! Nic to, że usiłowałem sam siebie zawstydzić i przekonać o irracjonalności swego strachu. Czułem, że za żadną cenę nie opuszczę tej nocy pokładu Takili.

Ktoś dotknął mojej ręki. Omal nie krzyknąłem. Obejrzałem się gwałtownie: w ciemności

majaczyła postać Joasi.

— Czemu tak drżysz? — spytała szeptem. —  
Boisz się?

— Tak.

— Czego?

— ...

— Ja wiem, Andrzej. Ty sam chcesz dziś w  
nocy ruszyć na wyprawę. Pójdę z tobą.

— Nie... Co ci przychodzi do głowy? Idź spać!

Od wyspy doleciało przeciągłe wycie. Potem  
ostry kwik. Wzdrygnąłem się mimo woli. Joasie;  
nie wypuszczała, mej ręki.

— Pójdę z tobą — powtórzyła.

— Głupstwa pleciesz — odburknąłem opry-  
skliwie. — Chodźmy pod pokład! Opuszczę na  
noc Takilę pod wodę Będzie bezpieczniej.

Za naciśnięciem guzika zatrzęsnęły się  
wszystkie drzwi i iluminatory. Jacht opadł lek-  
ko na dno. Dziewczęta udały się do swoich ka-  
bin. Chciałem odstąpić swoją kapitańską Ani,  
lecz nie zgodziła się. Leżałem teraz na szerokim  
tapczanie, czekając na zaśnięcie Mew. Drżenie  
już przeszło, ale tak bardzo nie miałem ochoty  
ruszać na nocną wyprawę. Narażać się dla nie-  
żyjącego? Przecież go nie wskrzeszę...

Minęła godzina. We wnętrzu Takili panowała

zupełna cisza. Wstałem. Założyłem na biodra obcisłą przepaskę, dogodniejszą do wyprawy, niż zaza lub popła. Otworzyłem ostrożnie drzwi. Z podłogi korytarzyka poderwał się cień.

— Joasiu, co ty tu robisz?

— Idę z tobą.

Wciągnąłem dziewczynkę do kajuty.

— Słusznie odgadłaś, idę na wyprawę. Niestety nie mogę cię zabrać ze sobą. Wykluczone!

— Ale...

— Nie ma żadnego „ale”, to jest moja własna sprawa, i idę sam.

— Jak chcesz... lecz, Andrzeju, chyba umrę z niepokoju, czekając na twój powrót.

— Nie ma powodu do obawy. Dzicy nie szwendają się po nocy. Dojdę tylko do kamienia ofiarnego i zaraz wracam. A, żebyś się niepotrzebnie nie denerwowała...

Wyciągnąłem z szafy flakonik z białymi pastylkami.

— Weź jedną, świetnie uspakaja... ja też zażyję — skłamałem.

Joasia przełknęła, nic nie podejrzewając. W minutę później wziąłem ślaniającą się na ręce i ułożyłem na tapczanie. Spała.

Nie upłynął kwadrans, a już płynąłem ku

brzegowi w nurkowej masce, z nożem przy pasie i pistoletem promieniowym na plecach. Wyszedłem na powierzchnię w pobliżu znanej mi ścieżki, ciekli świecącym skałom odnalazłem ją dość łatwo. Natomiast w głębi lasu ogarnęła mnie prawie nieprzenikniona ciemność. Mżył deszczyk, więc się świeciszki pozamykały. Wyczuwałem jednak drogę bosymi stopami.

Strach już minął. Przemawiałem nawet w duchu do niewidzialnego Kiniego: Nie chciałem kiedyś, druha kochany, umierać za ciebie, ale teraz wyrównuję rachunek. Jeśli zginąłeś pogrzebię to, co z ciebie zostało. Jeśli żyjesz, uratuję cię. Ogarnęło mnie uniesienie i pewność siebie. Gotów byłem iść nawet w samo piekło.

W takim to właśnie odważnym nastroju wpadłem prosto do wilczego dołu, wykopanego świeżo przez dzikich.

## **Rozdział VII**

### **Pułapka**

Przykre to uczucie, gdy stawiana stopa zamiast na twardej gruncie trafia w próżnię. Ale jeszcze przykrzej, gdy z głębokiego na 3 metry dołu w żaden sposób nie można się wydobyć. Spadłem nie bardzo się potłukłszy. Zerwałem się natychmiast i poświeciłem wokół latarką. Pułapka była wąska, ściany jej pochylone w ten sposób, że podłoga była szersza, niż otwór, przez który wpadłem. Co gorsza jednak, to boki obłożono tak szczelnie kolczastą rośliną, że ich dotrzeć w ogóle nie było można. Gdyby nie pochyłość ścian, długie na palec kolce poraniłyby mnie przy upadku okropnie.

Przeklinałem w duchu wenusjański zwyczaj

chodzenia boso. Gdybym miał na nogach solidne buty, mógłbym może coś zdziałać. Zsuwałbym kolczaste krzaki pod siebie i na nich wznosił się coraz wyżej. I tak, używając noża i kolby pistoletu, usiłowałem odciągać ciernie od ściany. „Jak dostanę się do ziemi, zrobię przekop na wolność” — kombinowałem. Nie było to takie proste. Kolczasta konstrukcja, tu i tam sprytnie wzmocniona bambusowymi prętami, powstrzymywała pochyloną ścianę przed obsunięciem się. Zorientowałem się szybko, że jeśli będę usiłował urzeczywistnić swój pomysł, mogę zostać żywcem pogrzebany pod warstwą ciernia i ziemi. Zaprzestałem więc bezskutecznych wysiłków.

Nie pozostawało nic innego, jak siedzieć niby przysłowiowy „nagi w pokrzywach” i czekać, aż mnie sami Brabajowie łaskawie stąd wyciągną, żałowałem ponieważ, że nie zgodziłem się zabrać Joasi ze sobą, lub że w ogóle nie porozumiałem się z dziewczętami. Teraz nie mogłem liczyć na ich pomoc. Nawet później, gdy się obudzą, nie było szansy na skomunikowanie się z nimi, gdyż aparacik radiowy w masce nurkowej nie działał. Całe urządzenie radiowe w Takili zostało uszkodzone z niewiadomego



powodu. W słuchawkach słychać było straszliwy pisk i nic więcej. Wkrótce po wydobyciu jachtu z wody chciałem się skontaktować z Kamiru, lecz nic z tego nie wyszło.

Mijały godziny. Ogarniała mnie coraz większa senność, ale i usiąść nie było można, bo z powodu deszczu coraz więcej wody zbierało się na dnie jamy, ani oprzeć pleców o ścianę ze względu na kolce. Otwierałem więc szeroko oczy, szczypałem się i odmawiałem nieskończoną ilość pacierzy. Wreszcie zaczęło zszarzeć i wkrótce potem zrobiło się jasno.

Nie potrzebowałem długo czekać na dzikich. Zobaczyłem najpierw ostrza dzid, a potem bryzowe twarze, bardziej ciekawe, niż groźne. Przyglądali mi się z piętnaście minut, coś tam między sobą pogadali, po czym na dno pułapki spuściła się gruba lina. Uchwyciłem ją i chciałem się windować w górę, ale Brabajowie powstrzymali mnie krzykiem. Z ich gestów zrozumiałem, że mam najpierw przywiązać do liny wszystkie swoje przynależności. Chcąc nie chcąc pozbyłem się broni, maski i latarki, ale to nie zadowoliło dzikich. Musiałem dołożyć i swoją opaskę, widocznie obawiali się, że mogę kryć za nią jakieś mordercze narzędzie. Wreszcie i ja

wydostałem się na powierzchnię. Otrzymałem z powrotem swój nieskomplikowany strój i w milczeniu udaliśmy się w kierunku kamienia ofiarnego. Kilku krajowców pozostało, by z powrotem pokryć pułapkę darnią i liśćmi.

Niespokojnym okiem rzuciłem na zatknięte na tykach czaszki. Wydało mi się, że ich ilość zwiększyła się od ostatniego razu. Niepodobieństwem jednak było stwierdzić, czy która z nich należała kiedyś do Kiniego. Gdy je widziałem po raz pierwszy, wiele z nich pokrywała jeszcze skóra i włosy. Obecnie pozostała tylko gładka kość. Pewnie się do nich dobrały mrówki-czyścicielki.

Ścieżka wiła się pośród gęstych zarośli, schodziła w głęboki wąwóz. Gdyśmy z niego wyszli, ujrzałem obszerną dolinę, otoczoną zewsząd błękitnawymi skałami, które z upodobaniem przyglądały się swemu odbiciu w gładkiej tafli obszernego jeziora. Nad wodą rozsiadła się wioska Brabajów, trzcinowe chatki o kopulastym kształcie staropolskich uli ciągnęły się równą linią, aż do wielkiej budowli z dachem w formie ogromnej cebuli, podpartym czerwonymi kolumnkami. Dach upleciony był też z trzciny, ale różnobarwnej, tworzącej zgrabne, geometryczne

desenie. Między wioską, a skałami ciągnęły się uprawne pola i pasma lasu.

Na spotkanie wybiegł nam z wrzawą tłum dzikich, przybranych w skóry zwierzęce lub trawiaste przepaski. Podskakiwali śmiesznie, wyrzucając ręce ku górze i wykrzywiając twarze w okropnych grymasach, co zapewne oznaczało radość ze schwytania nieprzyjaciela.

Otoczeni tym rozentuzjasmowanym ludkiem przeszliśmy całą wioskę aż do cebulastej konstrukcji. U jej wejścia, pod liściastym baldachimem, stały dwa trony. Na wyższym, rzeźbionym misternie w czarnym drzewie, siedziała władczyni tego ludu — jejmość o wielkiej tuszy. Nie była jeszcze stara i nie byłaby wcale brzydka, gdyby nie ta nadmierna otyłość. Na głowie miała wspaniałą diadem z piór, takież naszyjnik i spódniczkę. Spojrzenie moje zatrzymało się na niej zaledwie na sekundę i zaraz przeniosło na niższy tron. Siedział na nim przybrany w barwne pióra... Kini. Utył, urosły mu dłuższe włosy, ale niewątpliwie był to ten sam Kini, cały i zdrowy. Aż mi dech w piersi zaparło na chwilę z wielkiego zdumienia i radości.

Tylko czemu we wzroku przyjaciela nie zapaliła się najmniejsza nawet iskra rozeznania?

Mógłby chociaż mrugnąć porozumiewawczo okiem. A może...? Obojętne spojrzenie, które ze dwa razy ześliznęło się po mnie, było dziwnie mętne, obce, bez wyrazu. Czyżby Kini wskutek zadanych w walce ran postradał władze umysłowe?

Nie. Przypomniałem sobie w tej chwili, co opowiadał Szilu. Brabajowie umieli sporządzać płyn, zwany „lumsrą”, który po wypiciu odbiera człowiekowi wolę, czyni go automatem niewolniczo posłusznym swemu panu.

W tej chwili tłusta władczyni zerwała się z trenu, podeszła do mnie i wykrzywiając królewskie oblicze odsłoniła dwa rzędy białych, mocnych zębów. Wskazującym palcem dotknęła kilkakrotnie mego ciała.

„Obmacuje mnie jak prosię na jarmarku” — pomyślałem, nie mając żadnych złudzeń co do celu tych oględzin.

Grubaska tymczasem przemówiła coś do zebranych, co przyjęto okrzykami zachwytu. Jeden z dzikich włożył mi przez głowę rodzaj ornatu, zrobionego z dwóch skór zurari, których łapy połączono ze sobą. Sama zaś monarchini zawiesiła mi na szyi, na skórzanym sznurku, wielki róg zwierzęcia kiri. Z całego obrzędu to

ostatnie najbardziej mi się podobało. Ostry róg był rodzajem broni. Zawsze może się przydać.

W czasie trwania tego rytuału twarz Kiniego pozostała nadal kamienna, bez cienia zainteresowania.

Królowa zasiadła z powrotem na tronie. Wokół mnie zrobiło się pusto. Stałem pośrodku wielkiego koła dzikich, którzy podrygiwali w miejscu i śpiewnym głosem powtarzali dwa tylko słowa „braba o’kuli, braba o’kuli”. Przyglądałem się im niepewnie, zastanawiając się, co nastąpi za chwilę, gdy moją uwagę zwrócił dwunastoletni może chłopak, o kędzierzawej czuprynie orzechowego koloru. Podrygując wraz z innymi i wymachując rękami, zdawał się dawać jakieś znaki. Najpierw wskazywał na serce, potem położył palec na ustach, wreszcie strzelił z palców ku dzikim, jak to czynią dzieci, gdy bawią się w kowbojów.

Odgadłem, że musi to być Europejczyk schwyty w niewolę. Wskazywał też na to fakt, że podczas gdy większość dzieci, według wyrażenie jednego podróżnika, odziana była tylko „słońcem i powietrzem”, ów chłopiec miał na sobie fartuszek ze skóry jaszczurczej. Poczulem się lepiej. Zawsze to przyjemnie odkryć sprzymie-

rzeńca w obozie nieprzyjaciela. Posłałem mu porozumiewawcze „perskie oko”, na które odpowiedział podobnym.

Kiedy się dzicy wyskakali co syta, zaprowadzono mnie w uroczystym pochodzie do więzienia. Po drodze potknąłem się dwukrotnie o ogon krokodylej skóry, stanowiącej obecnie moje okrycie co Brabajowie przyjęli wybuchami radości.

Zamknięto mnie w obszernej klatce z bambusowych prętów, krytej palmowym daszkiem. Drzwi podparto dwoma drągami. Wewnątrz klatki leżała skora, a obok niej stała tykwa z napojem i misa znanych mi jeszcze z Lejli tużących grzybków.

„Dobrze — pomyślałem — najwidoczniej chcą mnie podpaść, a więc nie od razu nastąpi ubój rytualny”. Usiadłem na skórze. Dopiero teraz poczułem, jak jestem zmęczony i senny.

Starsi rozeszli się do swoich zajęć. Klatkę obsiadły dzieci, przyglądające mi się z ciekawością. Odczuwając ogromne pragnienie, chwyciłem za tykwę z napojem.

— Nie pij! — krzyknął ostrzegawczo chłopiec o orzechowych włosach.

Drgnęła mi ręka, niemniej podniosłem naczy-

nie do ust. Poczulem znajomy zapach. Przez chwilę nie mogłem się zorientować, gdzie wałęchałem go przedtem. Udawałem, że piję, po czym odstawiłem tykwę, a wziąłem się za grzybki. Wtedy przypomniało mi się. Napój miał ten sam zapach, co owe niebieskie kwiaty na Wyspie Złotej Bogini, które pozbawiły nas na tydzień ochoty do wszelkiej inicjatywy. Prawdopodobnie z owych kwiatów wyrabiano ten napój.

Zaspokoiwszy głód, położyłem się na skórze i wkrótce zasnąłem mimo dziecięcego rozgwaru. Obudziłem się już dobrze po południu, wypoczęty, ale z coraz większym pragnieniem. Musiałem już użyć całej siły woli, by nie wypić chociaż kilku łyków zdradzieckiej cieczy. Dzieci w dalszym ciągu otaczały klatkę. Nie wstając z posłania, rozważałem niewesołą sytuację. Jak się stąd wydostać? Moi mali dozorczy na pewno pójdą spać o zmierzchu, lecz nawet jeśli nie będzie żadnej straży, nie zdołam rozbić ściany, czy dachu. Grube bambusowe belki były mocno wbite w ziemię i przeplecione solidnymi lianami. Drzwi w dodatku pokrywała gruba skóra tak, żeby więzień nie mógł dosięgnąć podpierających je drągów. Niejednego tu pewnie jeńca

trzymano i dzicy mieli doświadczenie w tym względzie.

Sięgnąłem myślą w przeszłość. Ileż to widziałem filmów o Tarzanie, o ludożercach, o uwięzieniu przez dzikich? Gdy byłem dzieckiem, z wypiekami na twarzy przeżywałem każdym nerwem owe sceny mrozące krew w żyłach. I później lubiłem uczęszczać na ten rodzaj filmów, choć przyglądałem się im z pobłażliwym uśmiechem, bawiąc się nieprawdopodobieństwem sytuacji i oczekując zwykłego „happy end’u” — to jest albo niespodziewanej odsieczy z zewnątrz, albo zjawienia się pięknej dziewczyny, która, zakochana w bohaterze, ratowała go z rąk krwiożerczych współplemieńców.

Czy choć na chwilę przyszło mi wtedy na myśl, że sam znajdę się kiedyś w podobnej sytuacji, ale z minimalną szansą na szczęśliwe zakończenie. Moje Mewy nie zjawią się na odsiecz, bo by ich przedtem dzicy wybili w dżungli. A miejscowe piękności? Owszem, sporo ich było, ale w ich spojrzeniach rzucanych na mnie malowała się jedynie gastronomiczna namiętność. Miałem co prawda sprzymierzeńca w obozie wroga, ale co taki malec może pomóc?

Trzeba więc liczyć na siebie. „Ha, ha” — gorz-



ko się w tym momencie zaśmiałem. „Na siebie. Siedzę jak małpa w klatce i...” — w bezsilnym gniewie uderzyłem ziemię trzymanym w rękę rogiem. Wbił się prawie do połowy. Grunt był miękki. Uderzyłem jeszcze parę razy. Uśmiechnąłem się z zadowoleniem. Podkop. To była idea! Nie teraz naturalnie, z tą młodocianą widownią naokoło, ale w nocy. Przecież chyba pójdą spać. Niecierpliwie oczekiwałem zachodu słońca.

Gdy się ściemniło, dzicy zasiedli koło ognisk. Jedli, potem tańczyli i śpiewali. Dzieci rozeszły się. Nikt na mnie nie zwracał uwagi. Bałem się jednak zaczynać pracy. Mógł ktoś zajrzeć do wnętrza nakryć mnie na gorącym uczynku. Gdy ogniska poczęły dogasać i dzicy udali się na spoczynek, do klatki podszedł wielki Brabaj z dzidą i tarczą. Udawałem śpiącego. Obszedł klatkę kilkakrotnie dokoła, po czym rozsiadł się wygodnie w pobliżu wejścia, opierając niebacznie plecy o ścianę. Mogłem go łatwo zabić rogiem, ale na co by się to zdało? W niedługim czasie dozorca zasnął, o czym świadczył jego głośny i równy oddech.

Natychmiast przystąpiłem do dzieła w najdalszym kącie klatki. Bambusowe pale umocnio-

ne były kamieniami, co nawet przyspieszało kopanie. Pracowałem jak szalony, społem się niemiłosiernie, pić mi się chciało okropnie, lecz nie zważałem na to. Jasne było, że albo wydo- stanę się teraz, albo nigdy. Przerzywałem więc robotę tylko po to, żeby się upewnić, czy war- townik śpi.

Po godzinie dokopałem się już na głębokość pali, ale grunt stawał się coraz trudniejszy, żwi- rowaty. Modliłem się, żeby się spod niego nie ukazała lita skała. Musiałem raz przerwać pra- cę, gdy strażnik zbudził się. Coś sobie z kwa- drans nucił pod nosem, wreszcie westchnął głęboko i zasnął ponownie. Podważałem wła- śnie większy kamień. Byłem zbyt niecierpliwy i nie okopałem go dostatecznie. Siedział mocno. Wysiłem wszystkie siły i... róg pękł w połowie. „Psia...” zakląłem, gdy uszu moich doszedł ci- chy szelest. Mały cień przysunął się do ściany.

— Pst!

— Jestem.

Przez pręty klatki wsunęła się ręka z moim własnym nożem.

— Masz. Przekłuj tego dzikiego. Ja otworzę klatkę i uciekamy.

Był to malec o orzechowych włosach.

Jakoś nie mogłem się zdobyć na zabicie dziękiego zdradzieckim ciosem w plecy. Wybrałem więc długi kamień i spuściłem mu go z rozmachem na głowę poprzez pręty klatki.

Chłopak w mig odsunął drągi, przytrzymujące drzwi. Pomógł mi wciągnąć do wnętrza nieprzytomnego wartownika. Wsączał mu do ust; oszłamiającą „lumbkę” z tykwy, a ja przez ten czas zdołałem za pomocą noża odciąć oba ogony od swego krokodylego strofa, by nie przeszkadzały w ucieczce. Zastawiliśmy z powrotem wejście drągami.

— A teraz do łódek! — szepnął chłopak.

— Nie! — zaproponowałem — chodź za mną!

Posłuchał bez słowa. Zabrałem tarczę i dzidę i skierowałem się ku wąwozowi, którym mnie sprowadzone. Zatoczyliśmy szeroki łuk poza chatami i bez przeszkód dotarliśmy do wąwozu. Na niebie świeciła wątła zorza: dzięki niej coś niecoś było widać. Gdy znaleźliśmy się w połowie wąwozu, wyciągnąłem rękę do chłopca.

— Dziękuję ci za ratunek. Nazywam się Andrzej.

— Jurek Jastroń. Gdzie my idziemy? Lepiej było uciekać łódką.

— Po drugiej stronie wyspy czeka na mnie

jacht. To niedaleko; na nim będziemy bezpieczni.

Czy czeka? A co będzie jeśli Mewy gdzie odjechały? Cały dzień obawiałem się, że dla mego ratunku mogą zrobić, jakiś nieroztropny krok. Trudne zresztą przypuścić.— by siedziały bezczynnie. Obyśmy się gdzieś nie rozminęli! Przyspieszyłem kroku. Tymczasem Jurek odezwał się za mną:

— Dzicy mówili, że jakiś biały statek stoi na kotwicy, ale na nim podobno same dziewczyny — ostatnie słowo wymówił pytająco i trochę jakby z drwiną lub pogardą, w głosie.

— Tak — odpowiedziałem niechętnie — ale nie gadajmy teraz. Nie jest wykluczone, że dzicy pilnują wyjścia z wąwozu.

— Chyba nie. Po nocy boją się wydalać ze wsi.

Rzeczywiście nie napotkaliśmy nikogo. Wkrótce zagroził nam drogę kamień ofiarny. Coś zaszleściło w krzakach. Zatrzymaliśmy się. Wydało mi się, że słyszę szept, się puszcza wokół gadała różnymi głosami nocy i trudno było coś wyraźnego odróżnić. Trzymałem dziryt w pogotowiu. Choć szept nie powtórzył się szóstym zmysłem wyczuwałem obecność jakichś istot.

Postąpiłem parę kroków naprzód. Jurek za

mną. Wyszliśmy na środek polanki. W tejże chwili: usłyszałem świst strzały i uczułem mocne ukłucie w okolicy lewej łopatki; padłem nieprzytomny na ziemię.

W sześć godzin później otworzyłem oczy w swojej kajucie. Właśnie zaglądała do niej Ania.

— Która z was mnie tak urządziła? — zapytałem zamiast przywitania.

— Nasza niezawodna strzelczyni Basia. Gdy nie wróciłeś, cały dzień czułyśmy się jak na szpilkach, a z zapadnięciem nocy poszliśmy sprawdzić, czy twoja głowa nie zawisała na tyczce. Głowy nie było, ale za to z dżungli wylazł dzikus z dzidą...

— Całe szczęście, że namówiłem Basię do zmiany dawnych śmiercionośnych strzał na zatrute odurzającym jadem. Co stało się z Jurkiem?

— Najprzód czmychnął w las, ale potem, słysząc naszą rozmowę, pojawił się z powrotem. Jest na pokładzie.

Przekąsawszy naprędce coś niecoś, wyszedłem na pokład. Jurek siedział w otoczeniu Mew, opowiadając z zapalem. Na mój widok poderwał się i z uśmiechem w piwnych oczach rzekł:

— Vajni Andra! Przynoszę ci poselstwo od.

Doroty, śpiesz jej czym prędzej na pomoc!

— Od Doroty? Gdzie ona jest? — serce zabiło mi mocno.

— Na wyspie Szklanych Gór walczy z Mgauri i jego zbirami. Ale opowiem ci wszystko od początku. Dobrze?

— Ależ naturalnie. Zamieniam się cały w słuch.

— Więc... — chrząknął — było to tak. Po zakończeniu roku szkolnego jechałem z Nowego Krakowa do dziadków na Lejlę. Tymczasem wybuchła straszna burza i nasz statek utkwił beznadziejnie na rafie. Zaczęliśmy się już przeprawiać do przeprawiać do pobliskiej wyspy, gdy nadpłynął „Massachusetts”, i zabrał nas na swój pokład. Nasza początkowa radość zmieniła się wkrótce w przykre rozczarowanie, gdy dowódca statku, ten twój Robert McGuire, ukazał swoje prawdziwe oblicze. Z punktu zamknął nas na dnie żaglowca wraz ze znajdującymi się tam niewolnikami. Wśród nich był Aba, z którym się bardzo zaprzyjaźniłem. On mi to pierwszy opowiedział o tobie i waszych przygodach. Ta podróż w zamknięciu i duszności była okropna, ale mnie polubił taki grubas, Mr. Bloom, zastępca Roberta, i w ciągu dnia pozwalał

mi chodzić po statku To już było przyjemniej.

— A co z Dorotą? — przerwałem niecierpliwie.

— Poczekaj. Dojechaliśmy wreszcie do wyspy ze Szklanymi Górami i żaglowiec opuścił kotwicę u wąskiego przesmyku, prowadzącego do zatoki. Dał silny wiatr, morze było wzburzone i Robert obawiał się wprowadzać statek przez wąską gardziel. Kiedy więc od strony lądu przybyła motorówka, wsiadł w nią z Kobrą, Mary i jej narzeczonym, a myśmy pozostali na kotwicy... — tu Jurek zatrzymał się i po błysku w oczach i wypiekach na twarzy widać było, że przechodzi do punktu kulminacyjnego.

— Więc... — nabrał oddechu w płuca — kiedy wszyscy byli na pokładzie i nikt na mnie nie zwracał uwagi, podbiegiem na dół i odsunąłem zasuwę od ciężkiej klapy, zamykającej więźniów. Gdy oni wyszli, rozpoczęła się walka, było takie zamieszanie, że nie wiedziałem, kto zwycięża, i to było okropne, tyle trupów i krwi, ale wreszcie żaglowiec był nasz. Szkoda tylko że ten grubas Bloom zginął, bo go lubiłem.

— A co Robert, gdy zobaczył, co się dzieje?

— Nic nie widział, bo walka się rozpoczęła gdy on już zniknął za skałami. Po zwycięstwie Dorota zaraz objęła komendę, ona jest bardzo dziel-

na, chociaż dziewczyna, i kazała podnieść koticę. Jednak nikt dodrze nie znalazł się na prowadzeniu żaglowca i ze dwie mile dalej wpakowaliśmy się na przybrzeżne skały. Trzeba było lądować na wyspie. Robert zaraz wysłał przeciw nam swoich ludzi, aleśmy im dali „wciere”, aż miło. Pomagali nam miejscowi krajowcy, nie-nawidzący Mgauriego całą duszą. Rozpoczęła się odtąd stała walka podjazdowa. Dorota chciała za wszelką cenę odbić ojca, ale na próżno. Plantacji Roberta strzeże niewidzialny wał, którego nie mogliśmy przekroczyć.

— Co dalej się działo, — ciągnął opowiadanie Jurek — nie wiem. Nasi partyzanci zbudowali wielką łódź, która wyruszyła do Lejli, żeby ciębie zawiadomić i ściągnąć pomoc. Mnie Dorota wysłała też. Wszystko szło początkowo dobrze, wiały pomyślne wiatry i dopiero tu niedaleko opadli nas Brabajowie...

— Myśmy już ustaliły — wtrąciła Basia — że to najpewniej było wtedy, kiedy daliśmy im łupnia przy wyspie Złotej Bogini i wracali do siebie.

— Po zaciętej walce zwyciężyli nas — podjął swą opowieść chłopiec — załogę łodzi pożarto, ale mnie nie i tak wałęsałem się między nimi,



aż ciebie przyprowadzono.

Słuchałem opowiadania z zapartym oddechem. Serce wystukiwało we mnie radosny takt. A więc Gupu kłamał. Dорти walczyła przeciw Robertowi, a moje widzenie na wyspie dobrych amgów było prawdziwe!

— A czy wiesz — zapytałem Jurka — jak to się stało, że Kini nie zesłał zjedzony, ale zrobiono go królem?

— Oni zjadają tylko tych, co padną w walce. Rannych nie zabijają. Gdy się któremu uda wylizać z ran, robią go takim malowanym monarchą.

— To i mnie by nie zjedli.

— Obawiam, się, że tak, bo pozwoliliby ci polec w bohaterskim pojedynku. Wiesz, po co był ten róg na szyi?

— Nie.

— To była broń, którą musiałbyś walczyć o swoje życie. Gdybyś pokonał po kolei trzech wojowników, odzyskałbyś wolność. Ale to prawie niemożliwe zwyciężać takim rogiem przeciwników, uzbrojonych po zęby. Widziałem raz taką walkę. Biedna ofiara padła prawie natychmiast, przebita dziirytem. I bohaterski Andra nie dałby rady... całe szczęście, że udało nam się uciec.

Chciałbym oglądać ich miny...

— Masz po temu okazję — odezwała się Ania — już od paru minut pełno ich na brzegu. Weź lornetkę.

Rzeczywiście z dżungli wyłonili się Brabajowie i wymachiwali ku nam ze złością dzidami. Jurek ze satysfakcją pokazał im język, a Ewa namawiała mnie, żeby posłać ku nim promienio-  
wą salwę. Oparłem się jej. Nie chciałem przyzwyczajając dzikich do huków i terkotów naszej broni. W głowie świtał mi już plan ratowania Kiniego. Jezioro, nad którym leżała wioska Brabajów, jak nas poinformował Jurek, miało połączenie z morzem poprzez dość szeroki wodny tunel. Prawdopodobnie nawet Takila będzie mogła przezeń przepłynąć. Wtedy rozprawa z dzikimi nie przedstawiałaby trudności. W każdym razie można będzie dostać się do wioski pod wodą, dzięki przyrządom do nurkowania i porwać Kiniego.

Pozostawiliśmy więc Delfina na kotwicy, zabrawszy przedtem z niego wszystko, co mogło nam się przydać. Zastanawialiśmy się nawet, czy go nie zatopić, ale było nam szkoda starego statku — służył nam aż dotąd wiernie. Kto wie zresztą, może się jeszcze przyda? Z tą samą

myślą pozostawiliśmy na nim działko i amunicję w składziku.

Takila ruszyła bez zwłoki, okrążając wyspę ruchem odwrotnym do wskazówek zegara. W języku wenusjańskim okrągła wyspa nosi nazwę „ava”, podłużna „ina”. Ina–Kilk była więc wąska i długa. Osada Brabajów mieściła się mniej więcej w jej środku. Przy pięknej pogodzie Takila pędziła jak na skrzydłach. W półtorej godziny od wyruszenia znaleźliśmy się po przeciwległej stronie wyspy. W miarę jej okrążania brzeg stawał się coraz bardziej skalisty, trudno dostępny. Niełatwo było znaleźć przejście, prowadzące do wioski, żółto–czerwone skały z niebieskimi żyłami schodziły prostopadle w wodę. Pełno było w nich pęknięć, rozpadlin o różnych kształtach — wprost niepodobieństwo zbadać je wszystkie. Jurka przywieziono w nocy tak, że nie był w stanie zapamiętać miejsca. Parokrotnie już nurkowałem. Odkryłem przy tym kilka ślicznych grot podwodnych, dwa małe fiordy, ale nie one stanowiły poszukiwane przejście.

Na szczęście sami dzicy przyszli nam niespodzianie z pomocą. Jechaliśmy bardzo wolno, lawirując pomiędzy sterczącym, z wody głazami, gdy Ewa Jurek, stojący na przodzie statku,

ujrzeli podłużne czółno. Wychyliło się spomiędzy skał i na nasz widok cofnęło się co prędzej.

Podjechaliśmy bliżej. Pomiedzy skałami otwierała się rozpadlina dość szeroka, by Takila mogła w nią wpływać. Znaleźliśmy się za chwilę w obszernym fiordzie, długim na pół kilometra i otoczonym niedostępnymi skałami. Uciekający krajowcy w dalszym ciągu wskazywali nam drogę aż wreszcie znikli w ciemnym otworze, który okazał się wejściem to podziemnego tunelu. Był tak niski, że nie było mowy, by Takila mogła się w nim zmieścić.

Chciałem już skakać w wodę, ale okazało się, że jest więcej kandydatów, a właściwie kandydatek na wyprawę.

— Skończyły się twoje samotne wędrówki — posiedziała stanowczo Ania. — Niech Krysia obejmie dowództwo nad statkiem, a ja popłynę z tobą.

Wahałem się chwilę, ale wyprawa nie zdawała się pociągać za sobą zbyt wielkiego ryzyka.

— Mogę wziąć jedną z was, ale nie Anię. Powinna zostać na Takili.

Zrobiło się niesamowite zamieszanie, bo wszystkie zgłosiły się na ochotnika, a najgłośniej zachwalała swoje cnoty zwiadowcze Kry-

sia.

— Wezmę Basię — powiedziałem krótko.

— Dlaczego nie mnie? zaproponowała z wyrzutem Krysia — ja dużo lepiej...

— Basia jest bardziej zdyscyplinowana, a w takiej wyprawie nie czas na dyskusje i indywidualne pomysły.

Krysia się zaczerwieniła i nic nie odpowiedziała. Basia, uszczęśliwiona wyborem, szybko włożyła maskę nurkową i pas z nożem. Przez plecy oboje przerzuciliśmy pistolety promieniowe i zanurzyliśmy się pod wodę. O ile sklepienie tunelu było bardzo niskie, o tyle jego podwodna część szła daleko w głąb i rozszerzała się. Po pięciu minutach ujrzelśmy nad sobą dno czółna. Stało bez ruchu. Widocznie dzicy czekali na dalszy rozwój wypadków. Przepłynęliśmy pod nimi nie niezauważeni. Tunel miał ze sto metrów długości i wychodził prosto na owe jezioro, nad którym leżała osada Brabajów.

Wychyliłem się pod osłoną wielkiego głazu. Wioska wrzała normalnym życiem, ani znaku jakiegoś alarmu, czy niepokoju. Popłynęliśmy w kierunku brzegu. O ile w pobliżu Takili porozumienie radiowe było niemożliwe ze względu na silny szum w słuchawkach, tutaj mogłem z

Basią rozmawiać swobodnie. Szum prawie zanikł. Źródło więc zakłóceń musiało znajdować się na statku.

Nieco w lewo od „królewskiego pałacu” znajdowało się na brzegu skupisko łodzi. W ich cieniu wysunęliśmy głowy ponad powierzchnię. Był to wyśmienity punkt obserwacyjny. Nie dalej niż 80 m. od nas stała gruba królowa ze swym nieodłącznym cieniem — Kinim. Wskazałem go Basi. Odbyliśmy krótką naradę. Naszą pierwszą myślą było wyskoczyć na brzeg, plunąć na dzikich ogniem promieniowych pistoletów. Łapać Kiniego i uciekać z na jednej z łodzi. Powstrzymała nas od tego pamięć o czólnie czekającym w tunelu i niepewność, jak się zachowa Kini. Jeśli zacznie uciekać z innymi, trzeba go będzie „ustrzelić”, a perspektywa dźwigania ciężkiego mężczyzny i zarazem walki z dzikimi nie bardzo nam się uśmiechała. Lepiej przyjechać tu Takilą — stwierdziliśmy, że zdoła przejechać przez tunel pod wodą — i działać „na pewniaka”. mniej bohatersko lecz roztropniej.

Chcieliśmy się już wycofać, gdy zaszło coś nieprzewidzianego. Ni stąd ni z owad stanął przed nami mały nagusek. Przez ułamek se-

kundy patrzyliśmy na siebie w osłupieniu. Chłopcu powiększyły się oczy z wielkiego zdziwienia i strachu. Zaczął przeraźliwie krzyczeć.

Nasunęliśmy maski na twarze i dali głębokiego nurka ku środkowi jeziora. Wtem lustrzana granica powietrza i wody pękła nad nami tysiącem białych pęcherzyków. Spomiędzy nich wyłoniły się ciemne sylwetki z nożami w rękach.

— Przykro mi, ale nie ma innej rady — mruknąłem sam do siebie i posłałem w kierunku nurków wiązkę promieni.

Ciała dzikich przeszedł dreszcz. Zawisły natchmiast bezwładnie w wodnej przestrzeni.

Ponad nimi jednak ukazały się czarne dna czółen, a z nich posypał się deszcz dzirytów. Byliśmy jednak zbyt głęboko, by mogli nas widzieć. Rzucali na oślep, nie trafiając.

Chcieliśmy sunąć co sił ku otworowi tunelu, ale ja wskazałem jeden kierunek a Basia drugi, po czym popatrzyliśmy niepewnie po sobie.

— Na razie uciekajmy byle dalej od czółen. Potem wychylę, się na chwilę — rzuciłem w mikrofon.

Dno podniosło się nagle. Ponad powierzchnię wystawały głązy. Wyjrzałem na zewnątrz. Znajdowaliśmy się ze sto metrów na lewo od wejścia

do kanału. Jedno czółno zastąpiło nam drogę. Trzy inne krążyły po jeziorze. Na brzegu cała gromada dzikich przyglądała się pościgowi.

— Wychył się i ty — zwróciłem się do Basi — trzeba sobie utorować drogę.

Zaterkotały pistolety promieniowe. Kosiły dzikich na łodziach i na brzegu. Wszczął się tam niesamowity popłoch. Brązowa brać wiała ile sił w nogach, kryjąc się za chaty.

Zanurzyliśmy się ponownie. Za chwilę byliśmy w kanale. Staraliśmy się trzymać najbliżej jego dna. Było ciemno, ale nie na tyle, żeby nie widzieć nic przed sobą. Ujrzeliśmy w tym samym miejscu co uprzednio spod cierpliwie pilnującej łodzi. Szczęśliwie dotarliśmy do Takili.

— Dziś już nie będziemy atakować, zabrakło by nam elementu zaskoczenia — powiedziałem na zakończenie sprawozdania z wyprawy. — odpłyniemy teraz ostentacyjnie, ale gdy noc zapadnie, wrócimy...

— Spędzimy ją na dnie jeziora, rano wynurzymy się i przeprowadzimy desant po uprzednim przygotowaniu ogniowym — dokończyła za mnie Basia, chcąc podkreślić, że została już wcześniej wtajemniczona w plan działania.

Wyplłynęliśmy z fiordu i skierowaliśmy się na



otwarte morze. Gdy odległość od brzegu dawała rękojmię, że nas już nikt dojrzeć nie może, Takila opuściła się pod wodę i zawróciła w kierunku lądu. Dziewczęta i Jurek z ciekawością przywarli do iluminatorów, obserwując szmaragdową toń wody w której migwały tysiące różnobarwnych ryb, zwiewnych meduz i dziwacznych wodorostów. W odległości ćwierć kilometra od przejścia w głąb wyspy zatrzymałem statek. Czekaliśmy na zachód słońca.

Gdy zrobiło się ciemno, zjedliśmy wpiery kolację, przygotowaną jak zwykle przez Zulę. Następnie przepłynęliśmy fiord i weszliśmy w tunel. Takila posuwała się ostrożnie, macając przed sobą radarem. „Peryskop” nie wykazał obecności dzikich w kanale. Bez przeszkód dostaliśmy się do jeziora i opadliśmy na jego dno. Na ekranie widoczne były ogniska na brzegu i sylwetki tańczących wokół nich Brabajów.

Dzięki zaciemnionym iluminatorom i ciszy, panującej w głębinach jeziora, spaliśmy naza jutrz długo. Kiedy włączyłem ekran peryskopu, ujrzałem wioskę, pełną pracowitej krzątaczki. Poza „pałacem” dzicy wzniesli wysoki stos, na którym leżały dwa ciała — prawdopodobnie wojowników, którzy ubiegłego dnia stracili życie w

pościgu za mną i Basią. Wokół stosu zbierał się coraz większy tłum. Obrzędy pogrzebowe powinny się były rozpocząć za chwilę. W gromadzie ludzkiej nie mogłem rozróżnić Kiniego, ale na pewno nie mogło go zabraknąć wraz z królewską małżonką przy takiej uroczystości. Kiedy jednak wynurzymy się i zaczniemy strzelać, dzicy rzucą się do ucieczki — wszystkich nie zdołamy obezwładnić. — Kini, żywy automat, może zbiec z innymi i wtedy cała nasza akcja na nic. Żeby temu zapobiec, postanowiłem z dwiema dziewczętami wysiąść niepostrzeżenie na ląd i odciąć Brabajom możliwość ucieczki.

Można to było dość łatwo przeprowadzić, jezioro bowiem miało kształt sierpa. Zakreślało za królewską budowlą i wchodziło w pola pokryte jakąś wysoką rośliną. Wraz z Basią i Krysią uzbrojeni w pistolety promieniowe, wypłynęliśmy z Takili, polecając Ani rozpocząć za dwadzieścia minut działania zaczepne ze statku.

Sunęliśmy blisko powierzchni. Nad nami unosiły się pływające wysepki wodnej rośliny. Nie zauważyłem ich dnia poprzedniego, gdyż przypływ, dający się odczuwać i na jeziorze, zepchnął wodorosty w najdalszy jego kąt. Przy odpływie natomiast zielone kępy rozprzestrze-

niały się po całej powierzchni. Pod osłoną jednej z nich dopłynęliśmy do brzegu i i obejrzeliśmy się w sytuacji. Nie było stąd widać placu ze stosem i z dzikimi, lecz unoszący się w górę dym i smutne zawodzenia wskazywały, że obrzęd się rozpoczął. Wydostaliśmy się na brzeg i podsunęliśmy się możliwie blisko dzikich, wykorzystując obsiane pola, skały i krzewy. Rozłożysty krzak, przytulony do wielkiego głazu, stał się doskonałym punktem obserwacyjnym i bazą działania. Dzicy utworzyli wokół ogniska szeroki krąg. Królowa i Kini siedzieli na wyniosłych tronach. Świetnie!

Takila wyłoniła się z wody punktualnie. Wyglądała na jakiś dziwny stwór wodny, gdyż Ania podjechała specjalnie pod pływającą wysepkę i uniosła ją w górę. Plunęło promieniami działko, zastukała broń maszynowa. Ania i Zula pozostały w wieżyczce statku, reszta załogi wybiegła na pokład i raziła dzikich ręczną bronią. Brabajowie padali, jak cięty kosą łan zboża. Kogo nie dosięgły jeszcze promienie, ten biegł w popłochu szukać schronienia ku polom i wznoszącemu się za nimi lasowi. Lecz tutaj spotykał go nasz promieniowy „ogień”. Widząc tę drogę do ucieczki odciętą, wielu dzikich skoczyło w wodę

jeziora i dotarło do przeciwległego brzegu. Nie strzelaliśmy do płynących, nie chcąc ich potopić.

Niektórzy Brabajowie usiłowali się schronić w wiosce. Budynek królewski jednak wznosił się trochę na uboczu i mało kto zdołał przebiec pustą przestrzeń pod ostrzałem ze statku. Na dodatek „pałac” stanął w ogniu. Ania pierwszy strzał z promieniowego działka oddała w płonący stos. Trysnęła w górę fontanna iskier, palących się szczap, z których jedna opadła na dach pałacowy. Sucha trzcina zajęła się w jednej chwili. Na widok ognia i dymu odczułem dziwną satysfakcję. Jak silny jest w człowieku instynkt niszczenia! Ten pożar jakby koronował nasze zwycięstwo, łatwe zresztą i zupełne.

Biegłem ku płonącemu pałacowi, przeskakując, po drodze przez bezwładne ciała. Uderzeni promieniami Kini i królowa zsunęli się z tronów i leżeli nieprzytomni w niebezpiecznej bliskości ognia. Odciągnąłem czym prędzej druha z zagrożonej strefy, po czym zrobiliśmy to samo z tłustą monarchinią. Pozostało jeszcze jednak z kilkunastu dzikich, którym groziło spalenie lub poparzenie. Na pomoc przyszła nam załoga statku z Anią na czele. Z jej rozkazu na Takili

pozostał tylko Jurek i Ewa.

Zasłaniając twarze od żaru pełniliśmy chrześcijańskie dzieło. Budynek wydzielał teraz mniej ognia, lecz za to dużo ciężkiego, żółtawego dymu. Silniejszy podmuch wiatru zwał go ku nam. Poczulem silny zawrót słowy i w sekundę później zwałem się bez czucia na ziemię. To samo spotkało moje towarzyszki.

Jurek i Ewa nie od razu spostrzegli, co się stało. Niezadowoleni z rozkazu pozostania na Takili postanowili sobie to wynagrodzić w inny sposób. Weszli do wieżyczki, uruchomili Takilę i jadąc wzdłuż brzegu ostrzeliwali poszczególne chatki, więcej dla zabawy niż z konieczności. Dopiero gdy zawrócili i znaleźli się znowu naprzeciw głównego pola bitwy z przerażeniem zobaczyli nasze bezwładne ciała odbijające kolorowymi plamami jaskrawych strojów od brązowych, nagich ciał krajowców.

— Co im się stało? — wykrzyknęła Swa.

— Gdzieś się zaczęło kilku dzikich i ustrzelili ich z dmuchawek — wysunął rozwiązanie tajemnicy Jurek. — O. może siedzą za tą kępą krzaków. Trzeba „rąbnać” tam z działka.

Rzeczywiście po wystrzale zza owej kępy wyskoczył dzikus i zmykał co sił ku pobliskiej

skale. Dosięgnął go „karabin maszynowy” z rufy Takili.

— Brawo, Ewo! — zawołał z uznaniem Jurek — możemy teraz bezpiecznie przeprowadzić desant. Trzeba będzie wciągnąć naszych na pokład.

Nie doszło jednak do tego. Ledwo dzieciaki zbliżyły się do miejsca, gdzie leżeliśmy, ogarnął ich fatalny dym. Osunęły się też bezwładnie.

I tak zwyciężeni i zwycięzcy legli zgodnie na pobojuwisku. A pałac dopalał się powoli i dymił na potęgę.

## Niezwykły turniej

Pierwszą rzeczą, na którą padł mój wzrok, był dzikus z dzidą w ręku, stojący nade mną. Usiłowalem usiąść, lecz ostrze dzirytu zmusiło mnie do pozostania w pozycji leżącej. Rozejrzałem się. Po obu stronach leżały moje towarzyski, przybrane jak ja uprzednio w krokodyli strój. Mnie pozostawiono popkę.

Słońce przechyliło się na zachodnią stronę nieba. Mogło upłynąć ze cztery godziny od chwila zemdlenia. Większość dzikich była już przytomna. Naszą broń promieniową nastawiliśmy tylko na trzygodzinne obezwładnienie. Pałac królewski jeszcze trochę dymił. Na wodzie widziałem Takilę, pokrytą płaszczem wodorostów. Kto jej ostatni używał, zapomniał zakotwiczyć. Prąd i wiatr przesunął statek z miejsca na miejsce.

Od strony wioski nadbiegła teraz z wrzawy gromada dzieci. Otoczyły nas, śmiejąc się i popychając. Jeden z chłopców podszedł do leżącej obok mnie Krysi, zdźbłem trawy połaskotał ją w dziurkę od nosa. Dziewczyna kichnęła, co nappełniło szaloną radością brązowych nagusów. Obróciłem się ku niej. Krysia otworzyła oczy,

chciała się podnieść, ale przeszkodził jej w tym strażnik.

— Co się stało? — zapytała, widząc, że mam otwarte oczy.

— Przypuszczam, że w tej budzie, co się zapaliła, był skład „karapy”, owego zioła, które usypia.

— Co z nami zrobią?

— Was nie zjedzą, pożerają tylko wojowników, by posiąść ich męstwo. Mnie na pewno czeka rożen.

— Musimy coś wymyślić.

— Myśl!

Z kolei Basia otworzyła zdumione oczy,.

— „Nosił wilk, ponieśli i wilka” — rzekła — albo lepiej: „Złapał kozak tatarzyna, a tatarzyn za łeb trzyma”. To nas ten cholerny dymek uśpił?

— Licz się ze słowami, tu są dzieci — z wisielczym humorem odburknęła jej Krysia. — Ej, stuknij w bok Anię, niech się obudzi. Ile można spać?

Basia wykonała polecenie. Poskutkowało.

— Halo, śpiochu! — powitała Anię. — Miałaś przyjemne sny?

Dziki strażnik nie przeszkadzał nam w rozmowie, której obcym dźwiękom dzieci przysłu-



chiwały się z zainteresowaniem. W pół godziny później cała nasza gromadka doszła do przytomności. Jurka i Ewę tubylcza diatwa zaraz wzięła między siebie. Sensację budziły długie warkocze Ewusi. Dziewczynki brabajskie nie plotły włosów, związywały je na tyle głowy kawałkiem rzemyka lub trawy. Teraz wszystkie naraz zachciały nosić nową fryzurę. Ewa, pragnąc je sobie zjednać, wprawnymi palcami rozpoczęła dzieło.

Tymczasem zjawilo się więcej uzbrojonych wojowników. Kazano nam powstać i poprowadzono przed królową. Siedziała na tronie, przed jedną z chat z nieodłącznym Kinim o martwym nadal spojrzeniu. Mieszkańcy wioski otoczyli nas kołem. Tuścioszka długo coś przemawiała, raz po raz wskazując na mnie. Od tych wyróżnień cierpła mi skóra na grzbiecie...

Po skończonym przemówieniu władczyni podeszła do Kiniego, zerwała mu z głowy czerwony pióropusz i wśród entuzjastycznego wycie tłumy włożyła go na moje skronie.

— Winszuję ci — syknęła poza mną Basia, która od razu zorientowała się ku czemu zmierzła ceremonia.

Otrzymałem resztę królewskiego przyodziewku

Kiniego. Jemu w zamian założono krokodylę skóry i róg i odprowadzono do klatki, gdzie byłem poprzednio więziony. Ta degradacja nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, zachowywał się jak automat.

Z głupią miną czekałem na swoją intronizację. Za plecami Basia nie przestawała mi dokuczać:

— Nie chciałeś żadnej z nas, teraz za to otrzymasz prześliczną małżonkę. Gratulacje!

Dziewczęta chichotały. Klnie złościła śmieszność sytuacji, ale cieszyłem się, że nie od razu idę do kotła.

Tymczasem jeden z dzikich przyniósł ogromny dzban, zakończony lejkiem i rozpoczął wlewać w nasze gardła otumaniający płyn. Dziewczęta opierały się lub próbowały symulować picie, lecz to się nie udało. Wlano im płyn przemocą w usta. Działał błyskawicznie. Ich oczy przyjmowały natychmiast tępy, bezosobowy wyraz.

Na końcu dziki podszedł do mnie. Nie opierałem się. Mlaskałem wargami, ruszałem przełykiem, zatkawszy przedtem językiem otwór lejka. Poznali się jednak od razu na udawaniu i zmusili do wypicia odpowiedniej porcji. W oka mgnieniu ogarnęła mnie zupełna apatia. Umysł nie przestał działać. Notował w dalszym ciągu

wszystko, co się działo wokół, ale to wszystko stało mi się najzupełniej obojętne. Byłem automatem myślącym, lecz niezdolnym do jakiegokolwiek inicjatywy, pozbawionym wszelkich uczuć. Przestałem być sobą, podmiotem działania. Pozostał bezduszny, elektronowy mózg.

Nowokreowany małżonek królowej musiał zasiąść na tronie wśród radosnych owacji poddanych. Brabajowie bawili się potem do późna w noc. Pierwsza zapragnęła snu królowe. Ponieważ jej pałac spłonął, zamieszkała w odstąpionej chacie w kształcie ula. Mnie kazano położyć się w przedsionku na rozpostartej skórze.

Płynęły dni. Można by je dosłownie nazwać „szarymi”, gdyż welon, otaczający planetę, zgęstniał ostatnio. Tonęliśmy w złoto-szarym półmroku, tak bardzo harmonizującym z tym stanem półświadomości, w którym się znalazłem. Całe godziny spędzałem siedząc obok królowej i obojętnie przyglądając się życiu wioski.

Brabajowie przez kilka dni pracowali zbiorowo nad odbudowaniem „królewskiego pałacu”, potem wrócili do normalnych zajęć. Kobiety pracowały głównie w polu, mężczyźni najczęściej ruszali na morze w długich łodziach lub szli na

wyprawy myśliwskie w głąb dżungli. Dziewcząt naszych używano do pomocy w pracy domowej — przeważnie do niańczenia małych dzieci. Musiały się dobrze napocić w krokodylich skórach i nieraz widziałem, jak się potykały o długie ogony. Jaki był sens zaszywania jeńców w taki niepraktyczny strój? Dowiedziałem się później, że miało to znaczenie symboliczne. Podczas gdy plemiona kuwilińskie żyły w przyjaźni z wesołymi „zurari”, Brabajowie i ludy im pokrewne czuły wstręt do tego zwierzęcia i tępiły je jak mogły. Jeńców ubierano w te skóry na znak pogardy. O ile jednak Kiniego i mnie czekała wcześniej czy później śmierć, kobiety po kilku miesiącach przestawały należeć do klasy niewolniczej i wchodziły w skład plemienia, W wiosce widziałem niejedną kobietę, która na pewno była Kuwilinką z pochodzenia. Płyn, którym nas pojono każdego dnia, nie tylko wprowadzał w stan automatyzmu. Po dwóch, trzech miesiącach powodował zupełną amnezję. Gdy przerwano dawkowanie, wracała świadomość siebie, ale nie pamiętało się zupełnie przeszłości. Człowiek przyjmował obecne środowisko jako swoje własne, nie pamiętając, kim był niegdyś.

Jurka i Ewy nie napojono otumaniającym płynem. Brabajowie uważali, że i tak nie uciekną, a z czasem wejdą zupełnie w życie ich plemienia. Naturalnie mała para od samego początku przemyśliwała nad sposobami wyrwania nas z upokarzającej sytuacji, lecz nie na wiele się to zdało. Takile dzicy gdzieś skryli między skałami; zdobyte promieniówki zawieszono w grocie świątyni, dokąd niepowołanym wstęp był wzbroniony pod karą śmierci. Jurek i Ewa zresztą nie wiedzieli; że tam umieszczono naszą broń. Chłopiec poza tym bał się narażać Brabajom. Za ucieczkę i późniejszy udział w walce przeciw nim dostał straszliwe baty. Przez kilka dni nosił sine pręgi tam, gdzie, według wyrażenia Basi, „kończą się plecy, a jeszcze nie zaczęły się nogi” i nie oponował zbytnio, gdy Ewusia podjęła się roli miłosiernej samarytanki, przykładając kompresy z piasku, nasiąkniętego sokiem owocu „bali”, o gojących właściwościach.

Jako malowany król Brabajów miałem wstęp do świątyni. Udawałem się tam co dzień rano z królową w otoczeniu starszyzny plemienia. Wąski kanion o wysokich ścianach prowadził do olbrzymiej groty. Pośrodku jej wisiała w powietrzu, niczym nie podtrzymywana, złota figura

bogini, zupełnie podobna do tej, którą mieliśmy na Takili, tylko większa. Palił się przed nią ogień. Na ścianach i na podłodze umieszczano wszelki łup wojenny. Ujrzałem tam też nasze promieniówki, zele dziewcząt, popłę moją i Jurka. Wisiały niby zdobyczne sztandary.

Widok broni nie spowodował we mnie żadnej uczuciowej reakcji, po prostu mózg zanotował chłodno jej obecność i na tym koniec.

Minęło z dziesięć dni od naszej niespodziewanej klęski, gdy wioska ożywiła się niezwykle. Z tunelu, łączącego jezioro z morzem, wypadła łódź, z której coś krzyczano. Królowa rzuciła rozkaz dwu wojownikom. Natychmiast zabrali nasze dziewczęta z Jurkiem i odprowadzili w głąb lasu. W kwadrans później usłyszałem warkot motoru i na jeziorze ukazała się niewielka motorówka. Gdy dopływała do brzegu, Brabajowie wybiegli na spotkanie z okrzykami powitania. Z łódki wysiadło dwóch ludzi w europejskich białych ubraniach i dwóch krajowców Nauin, o budowie gigantów, dzierżących w ogromnych łapskach karabiny. Przybysze podeszli do tronów i oddali nam pokłon. Mój mózg zanotował beznamiętnie:

— Ten pierwszy to McGuire, tego drugiego nie

znam.

Robert zamienił kilka słów z królową, po czym zaczął mi się badawczo przyglądać. Wreszcie twarz rozjaśnił mu błysk rozeznania.

— Ha, ha, ha — zaśmiał się hałaśliwie — toż to nasz Andra! Ależ zrobił karierę... Ha, ha, ha!

Zwrócił się do swego towarzysza, szczupłego młodzieńca o krogulczym nosie i wąskich ostrych wargach:

— Wyobrażam sobie minę. Doroty, jak jej to opowiem.

— Yes, that's very funny (tak, bardzo śmieszne) — odpowiedział młodzieniec, potrząsając nerwowo kędzierzawą, czarną czupryną. Jego warg nie wykrzywił jednakże nawet cień uśmiechu. Ciemne oczy rzuciły mi obojętne spojrzenie i skierowały się na baldachim ponad nami.

Robert długo rozmawiał z królową i kilku starszymi Brabajami — nie rozumiałem z tego ani słowa. Obecność Roberta nie wywołała we mnie żadnego żywszego drgnienia. Był mi obojętny on, ja sam i cały świat.

Po skończonej rozmowie Robert przechadzał się po wiosce, zagadywał kobiety i dzieci. Zdawał się być tu zadomowionym gościem. Królowa śledziła go wzrokiem z tronu. Nagle podniosła

się i zaczęła dawać rozpaczliwe znaki grupie kobiet, które wyłoniły się przed chwilą z wąwozu wiodącego do kamienia z czaszkami. Przybyły zbyt jednak były zaabsorbowane widokiem Roberta i jego towarzysza, by zauważyć znaki swej monarchini. Biegły jak szalone, a między nimi, potykając się o krokodyli ogon, biegła Danusia. Nie była ona w grupie dziewcząt, które wyprawiono do puszczy przed przybyciem Roberta. Ten zauważył ją momentalnie. Gdy się zbliżyła, chwycił ją za rękę, przemówił, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Niecierpliwym krokiem podszedł do tronu i czynił królowej jakieś wymówki. Monarchini się tłumaczyła, rozkładała ręce, wznosiła oczy w niebo.

Incydent skończył się w ten sposób, że Robert zabrał Danusię, wsadził do motorówki i odjechał wraz ze swymi towarzyszami.

Gdy zniknął, królowa przywołała winowajczynię, krzyczała na nie, a w końcu kazała im spuścić baty, na co cała wioska, a szczególnie dzieciarnia, patrzyła z wyraźnym entuzjazmem, a bez cienia współczucia.

Nad wieczorem sprowadzono z dżungli resztę dziewcząt i Jurka. Znowu mijały dni bez szczególnych wydarzeń. Godzinami wysiadywałem



na tronie i tyłem na potęgę.

Wreszcie jednak nadszedł moment zwrotny, a zaczął się od nagłego błysku szczęśliwej myśli w główce Ewusi. Dziewczynka naraz przypomniała sobie, jak Szilu, mówiąc o ogłupiającym płynie Brabajów, wspomniał, że doskonałą nań odtrutką jest napicie się wody morskiej. Ewa podzieliła się tą myślą z Jurkiem i odtąd, czekali oboje na okazję doprowadzenia nas w ten prosty sposób do przytomności.

Sposobność zdarzyła się następnego dnia rano. Brabajowie, jak przystało na kochających wodę Wenusjan, kąpali się przynajmniej trzy razy dziennie: rano po obudzeniu, w południe i wieczorem przed udaniem się na spoczynek. Był to cały obrzęd. Najpierw w fale jeziora wchodziła królowa ze swym „małżonkiem”, potem wojownicy, wreszcie kobiety i dzieci. Gdy już wszyscy znaleźli się w wodzie, żaden porządek nie obowiązywał, rozpoczynała się hałaśliwa zabawa.

Królowa pływała jak rybka mimo swej tuszy. Ja w stanie ogłupienia wchodziłem na rozkaz posłusznie do wody i stałem zanurzony po piersi, aż mi polecono wyjść. Tego ranka korzystając z ogólnego zamieszania, Jurek podpłynął do

mnie i rzucił:

— Napij się wody!

Posłuchałem natychmiast. Była gorzkawosłona, obrzydliwa, ale w stanie, w którym się znajdowałem, zjadłbym na rozkaz najgorsze pa-skudztwo. Przełknąłem jeden łyk, dwa i piłbym dalej gdyby nie to, że Jurek ponownie przemknął obok i szepnął:

— Dość!

Nie upłynęło pięć minut, a we mnie zaszła radykalna przemiana. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zbudziła się świadomość siebie, swej sytuacji i wola działania. Zachowałem jednak zewnętrzne pozory automatu, a oczom starałem się nadać jak najbardziej bezmyślny wygląd. W tym samym czasie w dalszej części jeziora udało się Ewie doprowadzić Anię do przytomności. Z innymi dziewczętami nie próbowała eksperymentu, w obawie, że mogą się przedwcześnie zdradzić.

Stałem nadal w wodzie bez ruchu, mrugnąłem tylko porozumiewawczo okiem do przepływającego Jurka. Chłopiec dał nurka i wychylił się na moment tuż koło mnie:

— Dziś w nocy przyjdę do ciebie — wyrzucił szybko i oddalił się.

Przez resztę dnia myśl moja pracowała gorączkowo, starając się ułożyć plan działania. A należało się spieszyć. Z pewnych przygotowań, doszedłem do wniosku, że już nazajutrz Kini będzie musiał stoczyć beznadziejną walkę o swoje życie. Na placyku przed „pałacem” wyznaczone okrągłymi kamieniami obszerne koło. Za nim ułożono kilka stosów drzewa, na których miano piec poćwiartowane ciało.

Wszystkie moje rozważania doprowadziły do jednej konkluzji: zasadnicze zadanie wykradzenia naszej broni musi przypaść Jurkowi.

Gdy zapadła noc i królowa udała się na spoczynek, wszedł za nią do sypialni Jurek. W chwilę później zza trzciniowego przepierzenia doleciało mnie lekkie skrzypienie wielkiego wachlarza, zawieszzonego nad jej posłaniem. Każdego wieczora inny dzieciak był wyznaczany do poruszania tego wentylatora, póki monarchini nie zasnęła. Tej nocy Jurek zgłosił się sam na ochotnika.

Nie upłynął kwadrans, gdy skrzypienie ustało. Jurek wśliznął się bezszelestnie do mego pomieszczenia.

— Co się dzieje a Kinim? — Było moje pierwsze pytanie. — Czy nie udało by ci się jego

uwolnić? Jeśli ma jutro walczyć, na pewno przestali weń wlewać „lumbę”.

— Jest już przytomny, ale nie mogę się do niego zbliżyć. Nauczeni doświadczeniem lepiej teraz pilnują. Stałe dwóch strażników pełni służbę i ognisko pali się całą noc...

— Słuchaj więc, musisz koniecznie dziś w nocy zakraść się do świątyni i przynieść stamtąd nasze promieniówki...

— Ja... — zaczął chłopiec i przerwał, bo zza przepierzenia doleciało głośne stęknienie, potem gniewliwe mruczenie.

Jurek zarwał się i pobiegł do królowej, która mu coś ostro powiedziała. Skrzypienie wachlarza trwało teraz z pół godziny, wreszcie ustało. Czekałem na Jurka, nie nadchodził. Podniosłem się z posłania i zajrzałem za przepierzenie. W świetle migotliwego kaganka dostrzegłem mego zucha smacznie śpiącego, z głową opartą poufale o tłuste udo władczyni. Sprawa była beznadziejna: nie zbudzi się na pewno do rana.

Cofnąłem się, po czym z największą ostrożnością wyjrzałem na zewnątrz. Jak na złość po niebie migiała zorza magnetyczna, oświetlając wioskę silnym światłem. Raz po raz robiło się widniej, niż w noc księżycową na Ziemi. Wielu

Brabajów spało wprost na ulicy, woleli to, niż duszne chaty. Bałem się ryzykować wyjścia. Gdyby się kto przebudził i rozpoznał mnie, od razu by się domyślił, że płyn przestał działać. Napojono by mnie natychmiast i „do widzenia rozumie!” — wszystko byłoby stracone.

Położyłem się, rozważając dalej sytuację. Roztropność kazała czekać, ale jak teraz nie zdecyduję się na działanie, to w dzień tym bardziej nic nie zrobię. A wtedy ze świadomości zostanie jedyna wątpliwa korzyść: będę przytomnie przyglądał się śmierci i pożarciu przyjaciela. Lepiej teraz postawić wszystko na jedną kartę! Zdecydowałem się.

Podnosiłem się właśnie z posłania, gdy z zewnątrz dobiegł krzyk, szamotanie się. Za chwilę cała wioska zbudziła się, wołano coś, biegano. Królowa i Jurek wybiegli przed budynek. Ja leżałem jak kłoda, udając obojętność. Zamieszanie trwało z godzinę. Jak się później dowiedziałem, Ania, którą Ewa doprowadziła do przytomności, postanowiła także działać, świetna pływaczka, chciała przepłynąć jezioro i poszukać Takili. Ktoś ją rozpoznał po krokodylim stroju. Schwymano ją natychmiast i wiano w gardło nieszczęsny napój. Dziki, który miał po-

lecone codziennie rano pojenie jeńców, przysięgał, że nie zapomniał spełnić swego obowiązku. Nie chciano mu wierzyć. Dostał 99 uderzeń trzcina — była to u Brabajów liczba symboliczna — po czym po kolei napojono dla pewności wszystkich jeńców. Ominęło to tylko Jurka, Ewę i mnie. Moją poicielką była sama królowa i pewna była wypełnionego obowiązku.

Rozbudzona wieś nie uspokoiła się już do świtu. Okazja przepadła.

Dzień zaczął się jasny i piękny. Słońce widoczne było w całej swej krasie. Otaczały je tęczowe koła — znak pokoju. Dziś jednak Ina-Kilik krwawy turniej miał się rozegrać w samo południe.

Siedziałem obok władczyni pod daszkiem, u wejścia do odbudowanego „pałacu”. Przed nam: zgromadzone było już całe plemię. Brązowe zwykle ciała pokrywały dziś kunsztowne, barwne malowidła. Pracowano nad tym od samego wschodu słońca i trzeba przyznać, że Brabajawie okazali się nie byle jakimi artystami. Ja sam otrzymałem na piersi wspaniałego ptaka. Resztę ciała pomalowano mi w jaskrawe wzory. Władczyni obok mnie przemieniła się w kwietny ogród, przez który przewijały się fanta-

stycznie posplatane węże. Nawet dzieci wymalowano od stóp do głów. Ewę upstrzyły niebieskie gwiazdki. Jurek mignął mi tylko z daleka, ale zauważyłem, że przeważał na nim kolor czerwony. Wojownicy stali uzbrojeni jak do bitwy w tarcze i dzidy. Wszyscy otaczali zwartym kołem krąg przed nami, gdzie miał się odbyć pojedynek.

Ujrzałem wreszcie mego druha. Szedł spokojnym krokiem. Rzucił mi serdeczne spojrzenie, ale odpowiedziałem mu matowym wzrokiem, bojąc się zdradzić. Przybrany był w dwie krokodyle skóry. W ręku trzymał jedyną broń, którą miał wywalczyć sobie wolność: róg kiri. Naprzeciw niego wyszedł Brabaj, pokryty malowidłami potwornych twarzy. Miał długi dzirynt i podłużną skórzaną tarczę. Nie zaczynał walki. Czekał na znak królowej. Ta jednak nie śpieszyła. Przeciwników należało najpierw zagrzać do walki.

Obecni rozpoczęli dziką pieśń, której towarzyszyło tupanie nogami o ziemię i podskoki. Wtedy to Kini zrobił rzecz niespodziewaną. Szybkim ruchem zerwał krokodyli strój, zwinął go i utworzył z niego zaimprovizowaną tarczę. Następnie pochylił się i w otwór rogu, wsypał garść piasku.

Tłum przerwał pieśń. Patrzano niepewnie na władczynię, jak zareaguje na takie niezwykcyjne zachowanie. Ta jednak, zaciekawiona widocznym postępkim Kiniego, dała znak, by mu się nie sprzeciwiano. Dzicy podjęli przerwana melodię, krzyczeli coraz głośniej, wprowadzając się w silniejsze podniecenie. Udzieliło się ono brabajskiemu wojownikowi. Podskakiwał niecierpliwie, wykonywał szybkie ruchy tarczą i dzidą, rzucał niecierpliwe spojrzenia ku królowej.

Kini przeżegnał się, po czym stał spokojny, opanowany. Na twarzy błąkał mu się melancholijny uśmiech. Jego zgrabne, muskularne ciało, niby greckiego boga, zdawało się wykute dłutem Fidiasza. To, że przytył, nie zeszpeciło go; dodało nawet wrażenia siły. Dawno nie strzyżone długie włosy opadały aż na plecy.

Królowa dała znak. Zatętniły skórzane bębunki. Kini począł wykonywać szybkie uskoki w lewo, w prawo, do przodu i tyłu, by utrudnić cel przeciwnikowi. Brataj też poruszał się szybko, kilkakrotnie zdawało się, że już rzuca dzirytem, ale chodziło mu tylko o wybadanie reakcji przeciwnika. Wreszcie cisnął. Wykonał to tak szybko, że dojrzałem dopiero lecący dzirynt. Skierowany był w pierś Kiniego, lecz mój druh bły-



skawicznie nadstawił improwizowaną tarczę. Ostrze uderzyło w swobodnie zwisającą skórę, utkwilo w niej, straciło impet. Kini odrzucając skórę i dziryt jak tygrys skoczył ku przeciwnikowi.

Brabaj, widząc, że jego cios nie wywarł zamierzonego skutku, wyciągnął rękę ku współplemieńcom po nową dzidę. Rzucono mu ją natychmiast. W tej samej sekundzie, gdy chwycił podawaną broń. Kini wpadł nań całym ciężarem swego ciała. Dziki odparował uderzenie tarczą, ale Kiniemu nie chodziło wcale o zwalenie go z nóg... Sypnął piaskiem z rogu w nieosłonięte oczy Brabaja, oślepiając go na chwilę. Dziki instynktownie podniósł na wysokość zaproszonych oczu swą tarczę. Kini uchwycił lewą ręką za jej spód, poderwał w górę i wbił zastrzony róg między żebra przeciwnika. Zalany krwią Brabaj osunął się na ziemię. Na placu panowała kompletna cisza.

Kini pochylił się, zabrał pokonanemu tarczę i dzidę, cofnął się kilka kroków. Na twarzy jego nie widziałem tryumfu, raczej smutek. Znając go doskonale, byłem pewny, że żałuje zabitego.

Dopiero teraz zawrzało wśród dzikich. Mój druh zdobył sobie ich uznanie, powiewali ku

niemu rękami, wołali. Trupa wniesiono z areny.

Zwycięstwo przyjaciela nie napełniło mnie wielką otuchą. Udał mu się podstęp z piaskiem. — zapamiętał go na pewno z moich opowiadań — lecz teraz go nie powtórzy, bo przeciwnik będzie się miał na baczności. Kini uzbroił się co prawda w zdobytą dzidę i tarczę, ale Oremangowie, mistrzowie w strzelaniu z łuku, nie umieli się zbyt wprawnie posługiwać dzirytem.

Wystąpił drugi przeciwnik, prawdziwy olbrzym. Ciało pokrywał mu misterny rysunek barwnych ryb. Na lewym ręku niósł tarczę, zrobioną z ogromnej muszli morskiej, w prawym dzierżył drewnianą maczugę, nabijaną ostrymi kamieniami i ośćmi ryb. Na głowie, niby hełm, sterczał mu ogon wielkiej ryby.

Kini nie ryzykował niepewnego rzutu dzirytem. Posługiwał się nim tylko do utrzymania przeciwnika w bezpiecznej odległości. Ten jednak skoczył w przód, wprawnym ruchem tarczy odsunął na bok ostrze dzidy i z zamachem uderzył maczugą. Kini zastawił się tarczą. Skóra wszakże nie wytrzymała uderzenia, pękła. Ostre kamienie i ości dosięgły ręki, pokazała się krew. Po widowni przeszedł szmer.

Kini odskoczył, grożąc ponownie przeciwniko-

wi dziirytem. Zapaśnicy obchodzili się nawzajem, szukając odpowiedniego momentu do ataku. Nagle Kini cofnął się o krok i przerzucił dziiryt do lewej, tarczę zaś do prawej ręki. Tarcza — była to elipsoidalna drewniana rama, obciągnięta skora, którą obecnie rozdarło uderzenie maczugi. Do czego zmierzał Kini? Może lepiej rzucał lewą ręką? Nigdy o tym nie mówił. Rzeczywiście wzniosł dziiryt, zamachnął się raz. Nie rzucił. Wtem opuścił ostrze ku dołowi i skierował je w kolano przeciwnika.

Brabaj śledził uważnie manewry Oremanga. Buławę trzymał wzniesioną do uderzenia, tarczę wysunął do przodu. Gdy Kini zniżył ostrze dzidy i pchnął, dziki szybkim ruchem pochylił tarczę da odparcia ciosu. Ostrze osunęło się ku ziemi i wbiło w piasek. Brabaj uderzył piętą tuż u jego nasady. Drzewce dziirytu pękło. Zdawało się, że los Kiniego jest przypieczętowany, lecz jemu właśnie o to chodziło, by Brabaj całą uwagę zwrócił na dzidę i choć na moment odsłonił pierś i szyję. Kierując ostrze w kolano wroga uniósł zarazem koniec swej tarczy nieco w górę, a teraz błyskawicznie podniósł ją do pozycji poziomej i z całej siły uderzył krawędzią w nieosłonięte gardło przeciwnika. Dziki odru-

chowo walnął maczugą w tarczę, ale o ułamek sekundy za późno, by mogło to odnieść skutek. Ze zduszonej tchawicy wydobyło mu się chrapiwe rżenie; zsiniał i wypuszczając tarczę i maczugę, chwycił się obiema dłońmi za szyję. Na darmo usiłował złapać oddech. Zwalił się na ziemię wijąc się i krztusząc.

Kini natychmiast podjął jego broń, ale nie uderzał.

Brabaj zdołał wreszcie odetchnąć; podniósł się ociężale i stał bezbronny, rozglądając się niepewnie. Tłum dzikich po paru chwilach osłupienia krzyczał teraz i wiwatował na cześć Kiniego i, jak mi się wydawało, wzywał go do zadania śmiertelnego ciosu. Mój druh wszakże nie miał wcale ochoty zabijać bezbronnego. Trzymaną w ręku maczugą dał mu znak do odejścia. Dziki zdawał się nie rozumieć. Wtedy Kini zrobił dwa kroki naprzód. Brabaj przerażony tym ruchem odwrócił się i rzucił w tłum. Ale nie rozwarł się przed nim mur ciał współplemieńców. Z krzykiem i wyciem pchnięto go z powrotem na pole walki. Dziki spróbował szczęścia w innym miejscu. Na próżno. Pobratymcy żądali jego krwi. Zrezygnowany, powolnym ruchem zbliżył się do Kiniego. Zwycięzca

jednakże nadal odmawiał zabicia pokonanego.

Dzikim nie podobała się ta wspaniałomyślność, ale ciekawi dalszego ciągu niezwykłego turnieju ustąpili. Z pochyloną głową nieszczęśnik opuścił krąg, wsiadł w łódź i skierował się ku morzu.

Tymczasem, w ostatniej fazie walki, zupełnie zapomniałem o konieczności udawania. Gdy Brabaj padł, aż podskoczyłem na tronie. Zauważyła to niemniej ode mnie podniecona monarchini.

W czarnych oczach odbiło się zdziwienie. Wahała się parą sekund, po czym szeroki uśmiech okraślił jej twarz, uderzyła mnie tłustym łapskiem po kolanie i powiedziała coś, czego nie zrozumiałem. Następnie całą uwagę zwróciła znów na arenę.

Dopiero teraz zauważyłem, że tuż koło mnie stoi Ewa. Pod niebieskim gwiazdkami, pokrywającymi jej policzki, widać było czerwień wypieków, aż drżała z wrażenia. Tuż za nią trzymała się Joasia. Porozumiewawczym spojrzeniem dała mi znać, że jest przytomna. Lecz cóż nam z tej przytomności, gdy nie mamy broni?

Na plac boju w tej chwili wyszedł trzeci przeciwnik. Zdumiałem się. Był to żart? Czy też Ki-

niemu oszczędzono dalszej walki? Naprzeciw bohaterskiego Oremanga stała teraz dziewczynka, mająca nie więcej, niż trzynaście lat, pomalowana w barwne kwiaty. W rękach trzymała trzy dziwne owoce na długich grubych łodygach, Szaro-srebrne liście, nad nimi biała kreza, jak na szyi pazia, i złocista kula. W czarnych, papuasich włosach dziewczyny tkwił nóż.

Kini zapewne od razu wiedział, o co chodzi, gdyż drgnął niespokojnie. Dziewczynka tanecznymi, bardzo szybkimi krokami przeskakiwała z miejsca na miejsce, nie zatrzymując się ani na chwilę. Dwie łodygi ze złotymi kulami trzymała w lewej ręce, jedną w prawej, szykując się wyraźnie do rzucenia tą dziwną bronią w Kiniego. Mój druh wahał się widocznie. Wydało mi się, że parokrotnie gotował się do ciśnięcia maczugą w dziewczynkę, ale zaniechał zamiaru. Jego przeciwniczka była zresztą tak lekka i szybka, że na pewno uchyliłaby się od ciosu. Dlaczego nie atakował jej wprost? Co za groźba kryła się w tych złotych kulach? Przypuszczałem początkowo, że zawierają jakąś obezwładniającą truciznę, działającą przy zetknięciu z ciałem, lecz Kini miał przecież tarczę i maczu-

gę... Może po prostu poczucie; rycerskości nie pozwalało mu na walkę z dziewczynką i postanowił się tylko bronić?

Przeciwniczka zbliżyła się do Kiniego, zachowując jednak taki odstęp, by nie mógł jej dosięgnąć maczugą. Palcami u nóg zdawała się zaledwie dotykać ziemi, prawą ręką wykonywała nieprawdopodobnie szybkie ruchy; nie zauważyłem, wprost, kiedy cisnęła złotą kulę. Oremang wyrzucił jej tarczę naprzeciw. Oba narzędzia walki spotkały się, odbiły i padły w piasek lecz zanim to nastąpiło, dziewczynka wysłała już drugą kulę w ślad za pierwszą. Kim u ostatniej sekundzie zdążył zasłonić się maczugą, ale to go nie uratowało. Choć kula pękła, jak mydlana bańka, przez ciało mego druha przeszło drżenie, jakby poraził go prąd elektryczny, osunął się na ziemię.

Z piersi dzikich wybiegł okrzyk tryumfu, tymczasem brabajska Salome wyciągnęła nóż i zaczęła tańczyć wokół powalonego, zbliżając się doń coraz bardziej. Zrobiła się zupełna cisza, ale ja nie zamierzałem czekać na ostatni akt dramatu. Salwą z podanego mi właśnie przez Jurka pistoletu powaliłem dziewczynkę, a potem wodziłem obezwładniającymi promieniami

po dzikich, wtórował mi suchy terkot promieniówek z rąk: Jurka, Joasi i Ewy.

Na placu wrzało jak w ulu. Kilku wojowników cisnęło w nas dzirytami, ale nie trafili. Potracił ich i uniósł uciekający tłum. A nasze pistolety kładły wszystkich pokotem. Powtórzyła się scena z poprzedniego ataku, w kilka minut cała ludność wioski leżała bezwładnie rozrzucona po ulicy, na placu, po polach i między chatkami. Było coś niesamowitego w tym raptownym przejściu od gwarneho życia do tego pozoru śmierci. Uderzenie złotą kulą nie długo działało na Kiniego. Ledwo ucichł stukot promieniówek, podniósł się i ze zdziwieniem rozglądał po otoczeniu które tak nagle zmieniło swój wygląd. Podbiegłem do niego. Przez chwilę nie mogliśmy przemówić, ogarnęło nas zbytne wzruszenie.

— Andra, Andra — wyszeptał wreszcie — myślałem, że się już nie zobaczymy na tym świecie.

— Ja też — odparłem. — Gdy widziałem cię naszpikowanego dzirytami tam na plaży, byłem pewny, że nie żyjesz.

— Więcej ich było wbitych w piasek koło mnie, niż we mnie... ale dzicy, zabierając mnie, na pewno byli przekonani, że dźwigają trupa.



Tymczasem mój duch jakoś nie chciał rozstać się z ciałem... przeżyłem...

— Bogu niech będą dzięki!... Nadbiegła ku nam Ewusia.

— Jak twoja ręka? Czy bardzo boli? — zwróciła się do Kiniego — pozwól, że ją opatrzę.

— Ewa! A skąd tyś się tu wzięła? Nic nie rozumiem.

To mówiąc młody Oremang podniósł dziewczynkę w górę i na jej policzkach wycisnął dwa serdeczne pocałunki.

— Na opowiadanie, co i jak, będzie czas później — wtrąciłem — teraz musimy pozbierać nasze dziewczynki.

— Co za dziewczynki? — zapytał Kini, ale mu nie odpowiedziałem i pobiegłem pomagać Joasi, która właśnie usiłowała wyciągnąć Anię spod stosu ciał.

Przyszedł nam też w sukurs Jurek, który do-  
tąd biegał po wsi, strzelając na lewo i prawo. Za  
jedną z chat odkrył grupę swoich rówieśników,  
wspaniałomyślnie nie pozbawił ich przytomno-  
ści i sprowadził teraz, by nam pomogli. Pod-  
rostki, którym, zdaje się, ta cała zabawa w woj-  
nę bardzo się podobała, usłużnie zabrali się do  
pracy. Dołączyła do nich garstka innych dzieci,

które powyłaziły z kryjówek, a nawet dwóch młodych wojowników. Poznaliśmy nasze nieprzytomne towarzyszki w jedne miejsce nad wodą, przy kępie śmiesznych, drzew, które wyglądały jak olbrzymie marchwie, wetknięte koniuszkiem w ziemię. Ewa opatrzyła rękę Kinie-mu. Rana okazała się powierzchowna. Na końcu przywlekliśmy też grubą królową.

— Tak ci się spodobała, że ją chcesz zabrać ze sobą? — zapytała Joasia z filuternym uśmiechem. — Słusznie, słusznie, żony nie można zostawiać.

— A, uspokój się! — odparłem niecierpliwie. — Zatrzymamy ją czasowo jako zakładniczkę. Pragnę się też dowiedzieć, jakie stosunki ją łączą z Mgaurim.

— Wszystko można uzasadnić wyższą koniecznością — nie dawała za wygraną Joasia.

— No więc dobrze, dobrze. Zakochałem się w niej na śmierć i zabieram ją ze sobą. Zazdrościsz?... Ale, żeby stąd odpłynąć, trzeba znaleźć Takilę. Chodź, Jurek! Pójdziemy jej poszukać, póki to bractwo jest unieszkodliwione.

Szliśmy bardzo uważnie, obawiając się zasadzki. Strzelaliśmy też dla pewności po wszystkich krzakach i skałach, skąd niespodzianie mógł

ku nam wypaść ostry dziuryt. Część dzikich na pewno uciekła i kryła się po charczące i załamach terenu. Udałem się najpierw do świątyni zabrać nasze cywilizowane stroje, resztę promieniówek i trzy maski do nurkowania, które takie tam złożono w darze bogini. Przy wyjściu z groty zauważyłem wąskie przejście między skałami. Prowadziło do wąskiego fiordu, gdzie odkryliśmy Takilę. Przykrywała ją jeszcze roślinna wysepka, zeschnęła już w niektórych miejscach, żeby się od niej uwolnić, trzeba było opuścić się pod wodę. Wnętrze statku znaleźliśmy nietknięte. Widać dzicy nie mieli odwagi tu zajrzeć. Chciałem już wyprowadzić Takilę na jezioro, gdy Jurek wysunął propozycję:

— A może tak zabierzemy boginię ze świątyni, wygląda jak ze szczerego złota. Będziemy mieli dwie.

Dałem się skusić. Przeniesienie jej nie przedstawiało żadnej trudności. Nie podlegała zupełnie prawu ciężkości w pozycji stojącej. Dopiero gdyśmy ją złożyli na dnie statku, stała się normalnie ciężką.

Przybijając do brzegu, nad którym leżała wioska, ujrzałem rozpalone ognisko. Kini z miną znawcy piekła na nim kawał mięsa. Poczulem

ślinę w ustach. Byłem głodny. Joasia i Ewa siedziały obok Kiniego i opowiadały nasze przygody. Gromada dzieci i dwaj wojownicy krzatali się, zbierając z polecenia Kiniego porzuconą broń. Utworzył się z niej okazały stos w pobliżu ogniska. Nieprzyjaciół był pokonany i rozbrojony.

## **Rozdział IX**

### **Spotkanie z Umpą**

— Ha, ha, ha! — śmiała się Basia po oprzytomnieniu. — Ależ jesteście śmiesznie pomalowani!

— Dopiero teraz się śmiejesz — odparłem. —

przecież nas przedtem widziałaś?

— Widziałam, lecz w tamtym stanie „zamroczonej świadomości” wcale mnie to nie śmieszyło.

— Uważam — wtrąciła Krysia, która też przed chwilą otworzyła oczy — że te malowidła są bardzo ładne, nawet artystyczne.

— Może są ładne — zauważyłem — nie mniej chętnie bym się ich pozbył. Wodą ich zmyć nie można, próbowałem. Nie wiesz, Jurku, co zrobić?

— Nie zauważyłem, żeby dzicy je kiedy ścierali. Po pewnym czasie zanikają same.

Rzeczywiście musieliśmy z dobry tydzień paradować w tych ozdobach.

— Co mi tak słono w ustach? — zapytała podnosząc się Zula.

— Jak byłyście nieprzytomne, wleliśmy wam wody morskiej w usta, jako odtrutkę na otumaniający płyn.

— Uf, paskudztwo! Dajcie mi teraz napić się czegoś porządnego!

Kim podał jej soczysty owoc. Dziewczyna przywitała się serdecznie z Oremangiem, winszując mu zarazem bohaterskiej walki.

Obserwowałem spod oka, jak dziewczęta przy-

glądają się ciekawie Kiniemu. Jego pierwotna uroda, prostota w obejściu, i wdzięk robiły na nich duże wrażenie. Druh mój zdobył uznanie.

Połowa przynajmniej mieszkańców wsi już była na nogach. Rzucali nam nieufne spojrzenia, w których jednak nie było złości. Przyjęli swą przegraną ze stoickim spokojem i powoli zabierali się do zwykłych zajęć.

Dopiero teraz ocknęła się Ania. Wstała z trudem rozcierając obolały bok, kopnął ją ktoś bowiem w czasie zamieszania, wywołanego naszymi salwami.

— Och, moja zela! — zawołała uradowana, widząc rozpostartą na murawie swą barwną sukienkę. — Z jakąż radością zrzucę te skóry... Gdzie tu się można przebrać?

— Albo na Takili, albo za tymi drzewami — podsunęła usłudźnie Zula.

Ania — gdy wróciła — zasypała nas pytaniami. Przede wszystkim chciała się dowiedzieć, Skąd znalazły się nagle w naszych rękach pistolety promieniowe.

— Jak się pojedynek rozpoczął — zaczął Jurek z dumą w głosie — przedostałem się nieopstrzeżenie do świątyni i zabrałem stamtąd broń. Potem od tyłu wlałem do tej królewskiej budy i

stanąłem za Andrzejem w chwili, gdy padał Kinie.

— Co to za kule, — zwróciłem się do Kiniego — którymi pokonała cię ta dziewczynka?

Jak wynikało z jego tłumaczenia złote owoce zawierały rodzaj ładunku elektrycznego o potencjale wystarczającym do pozbawienia człowieka, przytomności. Biała kreza odgrywała rolę izolatora. Nie była to jednak chyba elektryczność, gdyż muszla i drewno nie przewodzą prądu, a tu poraziło Kiniego mimo, że zasłonił się drewnianą maczugą. Co było najciekawsze, że tę swoistą energię wytwarzała roślina i gromadziła ją w owocach.

Poszedłem do nieruchomej dotąd królowej, zdziwiony, że jeszcze nie oprzytomniała. Co zauważywszy Basia rozpuściła swój ostry języczek:

— Wzruszająca jest twoja troska o królewską małżonkę!... Szczęśliwa kobieta! — westchnęła drwiąco.

— Wszystkie te uwagi, z których przebija zazdrość, — odpaliłem — kierujesz pod złym adresem. Zatrzymałem ją nie dla egoistycznych celów, lecz dla Kiniego: ma on do niej bezsporne prawo pierwszeństwa. Czy chce, czy nie

chce, musi ją zabrać ze sobą.

Kini zaniepokoił się poważnie:

— Czy naprawdę uważasz, że ona jest moja żoną?

— Oczywiście. Gdyby ciebie zabili, przypadłaby mnie w udziale. Na szczęście żyjesz.

Młody Oremang zrobił tak wystraszoną minę, że wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem. Zrozumiał, że żartowałem i powiedział usprawiedliwiając się:

— Nie znam się zbyt dobrze na przepisach prawnych.

Te wesołe docinki przerwały nam krzyki, dolatujące od strony grotty. Zrozumiałem natychmiast co się stało: to Brabajowie odkryli zniknięcie bogini. Porwaliśmy za broń. W wiosce zakotłowało się. Dzicy biegli ku nam z wrzaskiem i zawodzeniem, zatrzymali się jednak w odległości kilkudziesięciu kroków. Królowa, Która, jak się zdawało, udawała tylko omdlenie, zerwała się z ziemi, zaczęła szarpać włosy, wydierać pióra ze spódnicy i płakać.

— Co się im stało? — pytały Mewy.

— Szukając Takili, zabrałem z ich świątyni złotą statuetkę, podobną zupełnie do naszej stąd na pewno ten lament.



— Ależ oddaj im ją! — zawołała Joasia — patrz, jak rozpaczają.

Wzruszyłem ramionami.

— Będę popierał pogaństwo? — Bożki trzeba niszczyć — odparłem twardo.

Ania dotknęła mego ramienia.

— Nie, — rzekła — nie marny prawa tego robić. Jaka ich religia jest, taka jest, ale nią żyją. Jeśli zabierzesz im przedmiot kultu, pozostanie w nich duchowa pustka. Gdybyśmy tu mogli zostać i nauczyć tych dzikich prawdziwej wiary, twoje postępowanie byłoby słuszne, lecz obecnie nie mamy na to czasu.

Zreflektowałem się i popatrzyłem z uznaniem na Anię — głęboko religijna dziewczyna nie była wcale fanatyczką. Przyznałem jej rację, postanowiłem jednak wykorzystać okazję do poprawienia brabajskich obyczajów. Poleciałem Jurkowi przetłumaczyć swoje słowa:

— Dzielni Brebajowie, wasza bogini wróci, do was, ale pod warunkiem, że się wyrzekniecie ludożerstwa. Bogom nie podoba się zjadanie ludzi, nawet wrogów. Jeśli złożycie przysięgę, że nie tkniecie więcej ludzkiego mięsa, zwrócę wam boginię.

Zapanowało milczenie, potem posypały się

szepty, wreszcie rozgorzała głośna dyskusja. Co by tam ostatecznie uradzono, nie wiem, ale sama królowa w imieniu plemienia zgodziła się na mój warunek. Zdaje się, że jej pozycja między Brabajami była uzależniona od posiadania przez szczep tego posagu. Władczyni bowiem stanowiła jakby żywe wcielenie złotego bóstwa. Odpowiedziałem przez Jurka, że nazajutrz rano przyjmujemy przysięgę i wydamy posąg. Dzicy uspokoili się.

— Odplyniemy jutro — powiadomiłem swoich przyjaciół. — A teraz proszę „oddział komandosów” czyli Basię i Krystynę, by się ze mną udały, póki jeszcze jasne, na małą wyprawę.

Chodziło mi o pochowanie owych nieszczęsnych czaszek, powtykanych na tyczki przy kamieniu ofiarnym. Ponadto ułożyłem w myśli mały plan, którego wykonanie powinno było zachęcić Brabajów do wiernego zachowania przysięgi.

Wróciliśmy szczęśliwie przed zachodem słońca. Takila z nami i z królową na pokładzie opuściła się na dno jeziora. Długo w noc siedzieliśmy w saloniku, dzieląc się wrażeniami i opowiadając sobie wzajemnie przygody. Radość mąciła jedynie świadomość, że nie ma wśród

nas Danusi.

\* \* \*

Nazajutrz rano Zula, jak zwykła, zerwała się wcześniej, by przygotować śniadanie dla całej gromadki. Dziewczynka ostatnio zeszczupiała znacznie ku swojej wielkiej uciechu. Odegrało tu zapewne rolę częste pływanie, które namiętnie uprawiała na Wyspie Złotej Bogini w chwilach wolnych od zajęć gospodarczych. Toteż przestała narzekać na Wenusjan, że dodawszy Joasi brakującego ciała, jej nie ujeli go ani trochę. Tłumaczyliśmy co prawda dziewczynce, że do jej urody pasują właśnie takie okrągłe, „barokowe” kształty, ale nie dawała się przekonać, zachwycona swoim zeszczupleniem. Mewy zdradziły mi, że w czasie mojej nieobecności na statku zakradała się niejednokrotnie do kapitańskiej kabiny, by przed wielkim lustrem, podziwiać smukłość swej figury.

Nucąc coś wesoło, weszła do jaskini. Jakież było jej zdziwienie, gdy zastała stół zastawiony i Kiniego kręcącego się pracowicie po kuchence.

— Dzień dobry — rzekła zakłopotana — po coś wstał tak wcześnie? Ja bym przegotowała

śniadanie.

— Vajni Zejla! Gdy jeździliśmy we dwójkę z Andrą, zwykle na mnie spadały obowiązki kucharza — odparł z uśmiechem — może więc przyjmiesz mnie na pomocnika? Mogę się przydać czasem.

— Oczywiście, ale czy to nie ja raczej powinienam być pomocnicą?...

— Jakoś się pogodzimy. — Kiru krótko przeciął jej wątpliwości — nie ważne kto czym będzie, tylko, żeby było co jeść i żeby to było smaczne. A teraz, jak wypłyniemy na powierzchnię, trzeba od razu zapędzić Brabajów do znoszenia żywności. Mamy daleką drogę przed sobą, należy porobić zapasy.

Tak oto Zula i Kini złączyli swe gospodarcze zdolności na pożytek całej załogi. Oboje pracowali odtąd zgodnie na rzecz naszego cielesnego dobrobytu.

Brabajowie dali się łatwo nakłonić co pracy. Znosili, co mogli, zachęcani z Takili okrzykami królowej, której spieszno było wyjść na wolność. Przepytałem ją przy pomocy Jurka. Okazało się, że Robert zawitał tu w poszukiwaniu Kapitana Blacka, swego agenta do polowu niewolników. Dzicy poinformowali go, że „Delfin”

stoi na kotwicy po drugiej stronie wyspy, ale nie umieli powiedzieć, co się stało z samym czarnobrodym i jego bandą. Przewornie też przemilczeli fakt posiadania Takiii oraz większej ilości jeńców, w obawie, by im ich nie zabrano. W ogóle wzajemne stosunki między Robertem, a Brabajami były oparte nie tyle na miłości, ile na interesie. Urządzali mianowicie wspólne wyprawy łowieckie na spokojnych Kuwilińczyków. Biedny Szilu obwiniał o to jedynie kapitana Blacka, nie przypuszczając, że za nim kryje się ów wyidealizowany Mgauri.

Kiedy dzicy nagromadzili wystarczającą ilość zapasów, poleciłem im zebrać się nad brzegiem jeziora. Sami czekaliśmy na pokładzie. Złota bogini została umieszczona na dziobie statku. Wyciągnąwszy ku mej ręce Brabajowie złożyli przysięgę, że nie będą więcej pożerać nieprzyjaciół. Trudno było odgadnąć, czy mówili to szczerze. Dla pewności trzymałem dla nich w zanadrzu groźną zachętę do wierności zobowiązaniom. Mrugnąłem ku Jurkowi. Chłopiec wychylił się za burtę:

— Dzielni Bratajowie — wołał nieco piskliwym głosem — oto teraz zwracamy wam boginię. Lecz pamiętajcie! Jeśli nie dotrzymacie przysię-

gi zmiecemos was z powierzchni ziemi. A oto dowód, że nie jest to pusta groźba...

Skinał na mnie. Wspiąłem się na wieżyczkę Takili i machnąłem lewą ręką w kierunku gdzie za wąwozem leżał kamień ofiarny. Natychmiast z głębi dżungli wzniósł się w górę słup jaskrawego światła, otoczony kłębamii kurzawy. W parę sekund później grzmot targnął powietrzem, zatrzęsł się grunt, powstała nagle na jeziorze wielka fala uderzyła wściekle o brzeg. Dzicy stali niemi i nieporuszeni; tylko dzieci rzuciły się z płaczek ku matkom.

Z kolei wzniosłem w górę prawą rękę wskazałem skałę po drugiej stronie jeziora. Podobna do szpetnej czaszki olbrzymia skała rozpekła się na dwoje ze straszliwym hukiem i zwała w wodę.

Tym razem dzicy z okrzykami trwogi padli na piasek, a królowa omdlała.

— Czy nie szkoda tych min? — mruknęła sceptycznie Krysia,

Nikt jej nie odpowiedział, bośmy byli zajęci cuceniem królowej. Gdy doszła do siebie, odstawiliśmy ją wraz ze złotą statua na brzeg. W chwilę później Takila zanurzyła się i przepłynęła na pełne morze.

Później dowiedzieliśmy się od dzikich, że Robert zabrał „Delfina”; nie opływaliśmy wyspy, ale Takila ruszyła prosto ku Wyspie Szklanych Gór. Dzięki informacjom uzyskanym od Szilu, Jurka i Brabajów z łatwością określiłem jej położenie na doskonałej wenusjańskiej mapie z Kamiru. Obliczyłem, że przez trzy dni nie napotkamy żadnego lądu, potem przetniemy wąskie pasmo Wysp Wężowych i dopiero na piąty dzień powinny wynurzyć się spoza widnokregu szklane góry. Długa na sto kilometrów wyspa, gdzie Robert założył swą siedzibę, miała kształt wielkiego bobra, którego ogon rozpadł się na tysiące kawałków. Na jednym z ostrowów tego „ogona” postanowiliśmy zorganizować bazę i z niej dopiero prowadzić akcję zaczepną przeciw groźnemu Mgauri.

Przebieg podróży był pomyślny, a także przyjemny, jeśli nie liczyć krótkiej lecz gwałtownej burzy, która się nad nami przewaliła. Tak nas rzuciło, że zanurzyliśmy się pod powierzchnię morza. Tam rozszalały żywioł dawał się mniej we znaki.

W czasie jazdy każdy uprawiał swe ulubione zajęcie, Ania pożerała książki z biblioteczki okrętowej i uczyła się języka wenusjańskiego.

Joasia, obdarzona talentem literackim, przystąpiła do spisywania kroniki przygód, do której Krysia podjęła się dostarczyć ilustracji. Kini albo łowił ryby, albo pomagał Zuli w przygotowaniu posiłków.

Ja czuwałem nad kierunkiem żeglugi, a zarazem zająłem się Jurkiem i Ewą. Mimo protestów chłopca, że ma teraz „wakacje”, odświeżałem nieco ich wiadomości naukowe, nie zapominając przy tym i o zabawie. Gdy na trzeci dzień podróży morze wygładziło się jak lustro, urządziliśmy jazdę na nartach wodnych. Wiele było z tego radości, a później i narzekania, bo nie przyzwyczajone mięśnie u nóg mocno bolały.

Jurek okazał się wesołym, miłym chłopcem, czasem trochę upartym i nie zawsze skorym do posłuszeństwa, ale dobrze wychowanym oraz uczynnym. Przede wszystkim zaś miał bardzo dobre serce, przez które najłatwiej było doń trafić. Z Ewą polubili się szczerze, ale i kłócili przy lada okazji na potęgę.

Członkiem załogi, który jakoś nie mógł sobie znaleźć określonego zajęcia, była Baśka. Robiła więc przysłowiowe „wszystko i nic”. Chodząc od jednego do drugiego z nas, wtykała wszędzie



swój zadarty nosek. Nikt jej tego nie miał za złe. Wnosiła ze sobą tyle promiennej radości i humoru, że chyba było to ważniejsze, niż wszystkie inne „poważne” prace.

Wbrew moim przewidywaniom dopiero czwartego dnia wyłoniły się z morza Wyspy Wężowe: drobne, ledwie co wystające ponad powierzchnię. Mimo, że Basia, pełniąca właśnie funkcję sternika, zawołała: „Łąd, łąd”, nikt nie kwapił się z wyjściem na pokład. Dnia tego panował potworny wprost upał. Zdawało się, że welen, osłaniający planetę, w ogóle się rozwiął. Ogromna, złota kula słońca, dwa razy większa niż widzicie z Ziemi, paliła niemiłosiernie. Chociaż wewnątrz statku chłodziły odpowiednie wentylatory i pozaciemnialiśmy okna, to jednak w kabinach było goręcej, niż zwykle.

Miałem zamiar minąć archipelag i jechać dalej, lecz Mewy uprosiły, by poczekać do nocy. Chciały choć na krótko postawić stopę na stałym lądzie.

Zatrzymaliśmy się koło niewielkiego atolu. Nie była to jednakże wyspa zbudowana przez koralce, lecz sam wierzchołek wygasłego wulkanu, którego podnóże i zbocza zapadły się w morze. Ten skrawek lądu, mocno przeorany przez ero-

zję, kryły karłowate palmy, nisko rozpościerające swe gałęzie. Nad wieczorem wyszliśmy na brzeg i przeszukiwali zarośla, upatrując zwierzyny i owoców, ale nie można było znaleźć nic godnego uwagi. Było to pustkowie niezbyt gościnne i nieciekawe, któremu dopiero noc udzieliła nieco romantyzmu. Pod wodą, na wewnętrznych ścianach wulkanu, rosły fosforyzujące rośliny, nadając ciemnej głębi charakter fantastycznego ogrodu.. Wydawało się, że za chwilę spośród srebrzystych kwiatów wypłyną syreny, by kusić zachwyconego widza.

Ponieważ jednak syreny się nie zjawily, dziewczęta postanowiły odegrać ich rolę.

— Uciekajcie na Takilę — zwróciła się Ania do mnie, Kiniego i Jurka — a my tu zostaniemy.

Wróciliśmy więc we trzech na statek. Jurek pluskał się w wodzie. Kiniego i mnie nie pociągała kąpiel — morze nabryt było jeszcze nagrzane. Usiedliśmy więc na ławeczce u rufy Takili. Przechyliłem głowę do tyłu i spojrzałem w niebo. Po raz pierwszy na Wenus zobaczyłem gwiazdy... Nie wszystkie co prawda. Tylko najsilniejsze przeświecały przez mglisty firmament. Nie mogłem nawet rozróżnić poszczególnych konstelacji.

Kini, siedząc obok mnie, nie patrzył w niebo. Poruszył się parę razy niespokojnie, chrząknął. Wyczuwałem, że chce coś powiedzieć i waha się.

— Słucham — odezwałem się.

— Ja nic nie mówiłem.

— Ale chcesz powiedzieć.

Chwilka milczenia, potem:

— Czy ty myślisz, że ja, że ja...

— Tak. Myślę, że mógłbyś się ożenić z Zulą.

— Skąd wiesz, o co chciałem cię zapytać? —  
Kini zdziwił się i zmieszał.

— Telepatia. Nauczyłem się od Nary...

— E, wiem, że co nie to... Czy to naprawdę tak widać?

— Co widać? — zapytałem z głupia frant.

— No, że ja...

Objąłem druha serdecznie ramieniem.

— Pewnie, że widać. Nie masz się czego wstydzic. Bardzo się cieszę.

— Naprawdę? A czy dziewczęta także coś zauważyły?

— Jeszcze wcześniej, niż ja...

— O jej!... ale czy Zejla?...

— O to musisz się sami jej zapytać; nic ci nie powiem.

Zapanowało milczenie.

— Mnie się wydaje, że ona mnie też trochę lubi — szepnął po chwili Kini — ale nie wiem.

Nie odpowiedziałem mu i uśmiechnąłem się sam do siebie. Zula, nasz „Kopciuszek”, pozyskała sobie uczucia oremandzkiego księcia. Czy sama kochała go także? Przyzwyczailiśmy się do tego, że służyła innym z zupełnym zapomnieniem o sobie. Jakoś dziwnie było pomyśleć, iż mogła by zapragnąć miłości i osobistego szczęścia.

Kini milczał. Panującą wokół ciszę przerywał tylko plusk wody o burzę statku i dobiegające z dala wesele głosy dziewcząt. Spojrzałem znowu w niebo. Pomiedzy innymi migotliwymi światłkami błyszczała gwiazda niezwyklej mocy — kilkakrotnie — silniejsza niż ziemską jutrzienką czy gwiazdą wieczorną. Wiedziałem, że to moja rodzinna planeta. Była to właśnie jej „pełnia”, stąd taki silny blask, który dawał nawet słaby cień.

Rozległ się głośny plusk To Jurek wygramolił się na okład i dał z niego nurka w wodę. Wyrywało to widocznie Kiniego z zamyślenia, bo zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— A ty, Andra, nie zakochałeś się dotąd w

którejś z Mew?

Z wędrówki po gwiazdach wróciłem na... Wenus.

— Co ty bredzisz? — obruszyłem się — Wiesz przecie, że jestem związany z Dorotą.

— Wiem, że pozostałeś jej wierny, ale jak sam nieraz mówiłeś, „serce nie sługa” i mimo wszystko może zabić żywiej ku Basi na przykład lub Ani.

— Wszystkie je bardzo lubię, lecz po bratersku — odparłem krótko.

Po chwili wahania dodałem:

— Oczywiście, przebywanie z gromadką ładniutek dziewcząt niejedną stwarzało trudność. Ciało i krew nieraz burzyły się we mnie. Pokusa uderzała, gdy najmniej się jej spodziewałem. Ileż razy musiałem przywołać na pomoc całą siłę woli, by którejś z dziewcząt nie chwycić w ramiona i nie wycalować... Nie było to jednak zakochanie — po prostu „zew krwi”.

— Widzę, że się zmieniasz: taki byłeś zamsze kochliwy...

— To prawda, wiesz jednak dlaczego?

— ?

— Od lat nosiłem w sercu wytęskniony ideał kobiecości. Choć nie był zupełnie wyraźny, nie

mniej jawił mi się jako coś niezwykle pięknego i doskonałego. Co miało zaspokoić wszelkie moje pragnienia. Toteż, kiedy napotykałem jaką miłą i ładną dziewczynę, utożsamiałem ją podświadomie z tym ideałem, zdawało mi się, że jest jego ucieleśnieniem: zakochiwałem się naiwnie i gwałtownie...

I wiesz? Gdybym spotkał nasze Mewy każdą z osobna, powtórzyłyby się to samo: jestem pewien, że oczarowałyby mnie wszystkie po kolei. Ponieważ jednak zetknąłem się z nimi jednocześnie, nagle zobaczyłem, że i Basia, i Ania, i Joasia czy którakolwiek zresztą z nich, posiada wprawdzie swoisty urok — taka jest ładna i tyle ma różnych zalet — żadna z nich wszakże nie przedstawia pełni tego, za czym tęskniłem. Zdaję sobie teraz sprawę, że są one tylko ułamkowym odbiciem ideału, który wypieściłem w duszy. I tak — niespodziewanie nawet dla samego siebie — straciłem nadzieję, że odnajdę go kiedykolwiek... na Ziemi, na Wenus, czy na jakiegokolwiek innej planecie, szybującej w przestrzeni.

— A więc zrezygnowałeś w ogóle z miłości i małżeństwa?

— O nie! Kocham Dorotę i pragnę ją odna-

leżć... Nie mniej podchodzę teraz do tych spraw inaczej. Zaczynam rozumieć, że szczęście nie przychodzi „samo” w postaci tej czy innej, najlepszej nawet dziewczyny, że nie tyle polega na czerpaniu, co na udzielaniu. Tym będę szczęśliwszy, im więcej dam sam z siebie tej drugiej osobie, im mniej będę pytał, co sam w zamian otrzymam.

— To wszystko wielka prawda, co mówisz — odpowiedział Kini. — Czy jednak nie zanadto mędrkujesz, ważysz, obliczasz? Ja po prostu kocham Zejlę, nie zastanawiając się, dlaczego. Kocham ją i jest mi z tym dobrze, a będę jeszcze szczęśliwszy, gdy się dowiem, że i ona mnie kocha... „Wiesz co? Nie gniewaj się, że ci to powiem, ale mnie się czasem trochę wydaje, że tę miłość do Doroty sam w sobie wmówiłeś i wmawiasz, lecz nie kochasz jej naprawdę., nie mędrkowałbyś tyle...

Zagotowało się wszystko we mnie z oburzenia na słowa Kiniego, nie zdążyłem mu jednak odpowiedzieć. Słysząc bowiem już było wyraźnie głosy zbliżających się dziewcząt. Przechyliłem się przez burzę i zawołałem do Jurka:

— Uciekaj nagusie do kajuty, bo Mewy wracają!

Chłopiec wspiał się po schodkach i zniknął w ciemnym wnętrzu statku.

— Cudownie było! — wołała Basia wchodząc na pokład. — Patrz. Jędrku — zadarła głowę do góry — czy to Ziemia świeci? Ale skąd tak mocno?

— Wenus, chociaż prawie tej samej wielkości, co nasza ojczysta planeta — zauważyła Anita — nigdy tak silnie nie błyszczała na ziemskim niebie.

— Krąży bowiem między słońcem, a Ziemia — wyjaśniłem — toteż im bliżej jest Ziemi, tym coraz mniej widzimy jej oświetlonej powierzchni, aż znika w ogóle, podobnie jak księżyc na nowiu. Tu natomiast dzieje się odwrotnie. Gdy zbliżanie obu planet jest największe. Ziemia jaśnieje jak dzisiaj całą powierzchnią. Szkoda, że tak rzadko możemy ją oglądać.

— Kochana, stara Ziemia, czy do niej kiedy wrócimy? — westchnęła Zula, która najbardziej tęskniła za rodzinną planetą.

— A ta gwiazda obok, co również tak mocno świeci, czy to nie księżyc? — spytała Krystyna.

— Księżyc. Także jego widzimy dziś w pełni. Błyszczy silniej, niż Syriusz na ziemskim niebie.



— Gdy bogini Kajla ukazuje się ze swym synem — wtrącił Kini — Oremangowie wierzą, że to zapowiedź pomyślnych wydarzeń...

— Wobec tego ruszajmy! — zawołała Ania. Wkrótce Takila puściła się w dalszą drogę.

\* \* \*

Nazajutrz po południu wyrosły przed nami z morza szklane góry, Długi ich łańcuch zdawał się być utworzony z lodu. Wisiały nad nimi nisko fioletowe chmury, a u podnóża ich rozsiała się ciemnozielona dżungla. Cała załoga statku w milczeniu wpatrywała się w wyłaniający się ląd. Ciszę przerwał ostry dźwięk dzwonka w wieżycze: radar złapał zarysy statku, posuwającego się w kierunku wyspy. Na ekranie widać było dość wyraźnie jego kształt.

— „Delfin”! — wykrzyknęliśmy prawie jednocześnie.

Rzeczywiście musiał to być albo „Delfin”, albo statek bliźniaczo do niego podobny. Znajdował się po stronie naszej lewej burty, bardzo daleko. Gołym okiem dostrzegliśmy na horyzoncie tylko smużkę dymu.

Dzwonek w wieżycze zadźwięczał ponownie

nieco wyższym tonem. To z kolei radar badający dno wykazał przed nami obecność wysokich słupów; dochodziły już pod samą powierzchnię morską.

— Co to może być? — Spytałem zdziwiony. — Jakaś zapora podwodna?... Ej, Jurek! — zawołałem — chodź no tu, może ty coś wiesz na ten temat?

Jurek nie zdążył wdrapać się na schodki, gdy u burty Takili zawisł niewielki latający talerzyk. Wydarzenia toczyły się w błyskawicznym tempie.

Podniosła się przezroczysta kopułka. Gupu machnął ku nam przyjaźnie ręką. Miał poważny wyraz twarzy.

— Vajni! — rzekł — dobrze, że was widzę... E — zaśmiał się nagle — kto was tak wymalował?

Brabajskie desenie nie zdążyły jeszcze zejść zupełnie z naszych ciał. Opowiedzieliśmy mu pokrótce przebieg wydarzeń.

— Dobrze, że was wzię — powtórzył. — Otrzymaliśmy w Kamiru pewne wiadomości na temat Mgauri, które nas zaniepokoiły. Zdaje się, Andra, żeś miał rację... Przykro, tak ufałem Robertowi.

— Więc dowiedzieliście się, że jest łowcą nie-

wolników? — wykrzyknąłem.

Machnął lekceważąco ręką.

— To byłoby jeszcze głupstwo... Na razie wam nic nie powiem. Jadę właśnie sprawdzić. Skierujcie się na prawo i zatrzymajcie przy jednej z tamtych małych wysepek. Jak będę wracał, to się z wami zobaczę. Może nawet coś wspólnie obmyślimy. Czekać na mnie, a teraz „kanari” (do widzenia).

Już go nie było.

— Co za pomyślny zbieg okoliczności! — zawołała Joasia.

Rzeczywiście, jeśli już Wenusjanie z Kamiru zainteresowali się Robertem, zyskaliśmy nie byle jakiego sprzymierzeńca. Takila skierowała się w prawo. Płynęliśmy wzdłuż linii owych „słupów”. Był to rodzaj wenusjańskiej rafy koralowej; mikroskopijne żyjątka budowały pod wodą jakby olbrzymie kopce termitów, sięgające powierzchni wody. Gdy znaleźliśmy się naprzeciw owego „bobrowego ogona”, o którym wspomniałem wyżej, przeskoczyliśmy z łatwością przez rafę nastawiwszy Takilę na minimalne zanieczyszczenie. U brzegu oczekiwał nas widok, nigdzie dotąd, nie oglądany. Siły tektoniczne wyniosły ponad powierzchnię morską podwodne słupy.

Wyspy i wysepki pokryte były jakby skamieniałym lasem, którego drzewa straciły korony. Strzelały ku niebu setki za setkami gigantycznych pni, szerokich u dołu, zwężających się, a nieraz bardzo ostrych u góry, pokrytych wielkimi guzami.

— Skamieniałe cyprysy! — zawołała Krystyna.

— Niezupełnie skamieniałe, bo zaczynają odżywać — zauważyła Joasia.

Rzeczywiście smukłe powoje i krzaczaste kępy oblepiały gęsto owe słupy, kopce i piramidy, chwytając się każdego pęknięcia lub otworu, by zapuścić korzenie. W wielu miejscach tropikalny gąszcz zasłonił zupełnie dawną rafę. Tysięczne kwiaty pokrywające pnącza śmiały się ku nam pysznymi barwami, życie tryumfowało na nowo nad kamienną martwością.

Wpłynęliśmy w wąską cieśninę, zagłębiając się powoli coraz bardziej w prawdziwy labirynt ostrowów, kanałów, mniejszych i większych zatoczek, oraz czyhających na dno statku ostrych podwodnych iglic. Wreszcie spora wyspa, o łatwo dostępnym brzegu, zachęciła nas do zakotwiczenia Takili i lądowania. Pobiegliśmy oglądać z bliska niezwykłą formację. Okazało się, że owe budowle mikroskopijnych żyjątek są zara-

zem bardzo twarde i porowate, usiane tysiącami otworów i przeważnie puste wewnątrz — spróchniałe pnie drzew. We wnętrzu niektórych olbrzymów można by śmiało zamieszkać.

Na brzegu zostali tylko Kini i Zula, by przegotować kolację. Reszta załogi zagłębiła się w kamienny las. Rozglądaliśmy się ciekawie po otoczeniu. Owe guzy, które dojrzeliliśmy jeszcze z morza, były to jakby wielkie skamieniałe gąbki. Coś w rodzaju dróżki prowadziło w górę. Teren wznosił się szybko. Szliśmy pod gęstym, zielonym dachem. Tam bowiem gdzie kopce i słupy stały blisko siebie, krzaczaste kępy stykały się ze sobą, tworząc jakby korony prawdziwych drzew. Uciekały przed nami wielkie, barwne węże, jaszczurki pokrzykiwały groźnie czerwono-zielone ptaki, wysuwając karbowane dzioby z otworów skamieniałych pni. Przeskakiwaliśmy zwalone, popękane słupy, przemykaliśmy się między siecią lian.

Pochód doszedł po trzech kwadransach do niewielkiej przełęczy. Okazało się, że wyspa w tym miejscu była wąska. Dojrzeliliśmy jej drugi brzeg, w który wrzynała się głęboko owalna zatoka. Z jednej strony otaczały ją strome skały pokryte szczelnie martwym korałem, z drugiej

brzeg był bagnisty, porosły normalną wenu-sjańska dżunglą,

— Dobra kryjówka — stwierdziła Ania — warto przeprowadzić tu Takilę i założyć obóz.

— Gupu nie znajdzie nas tutaj — zaproponowała Joasia.

— Znajdzie — odpowiedziałem — ma w swej „wanie” specjalne przyrządy do wykrywania obecności statków, a nawet ludzi. To jest dobre i ładne miejsce. Chodźmy mu się przyjrzeć bliżej!

Opuszczaliśmy się wzdłuż wartkiego strumienia, który pienił się i wykonywał karkołomne skoki. Zanim wpadł do zatoki utworzył spory basen o kryształowej wodzie. Oddzielał go od zatoki długi próg skalny. Ewa i Jurek wysforowali się naprzód. Gdy dopadli nadbrzeżnego piasku, który otaczał lagunę szeroką plażą zatrzymali się raptownie, coś sobie wzajem pokazując na ziemi. Za chwilę i my zobaczyliśmy, olbrzymie wgłębienia, jakby przeszło tędy zwierzę o kolosalnych rozmiarach.

— Widziałyśmy pterodaktyle, teraz ujrzemy dinozaura — znalazła rozwiązanie zagadki główka Joasi, zawsze pełna fantazji.

— Zupełnie niemożliwe — odparłem, — Doro-

ta mówiła mi, że na Wenus nie ma przedpotopowych olbrzymów. Największe zwierzęta to te, które widziałem w krainie wiecznego deszczu. Ten zaś bydlak, sądząc ze śladów musiałby być czymś nieprawdopodobnie dużym.

— Typowa odpowiedz zakutego intelektualisty — skrytykowała Basia moją wypowiedź — nie uwierzy własnym oczom, bo nie wyczytał tego w książkach... Jak więc wytłumaczysz te odciski? Patrz, tam coś widać, jakby odbicie ogona...

W powietrzu odezwał się niespodzianie suchy trzask. Podnieśliśmy głowy w górę. Niebo pokrywały różowe chmurki. Ku ziemi, tańcząc i wirując, zbliżały się ogniste kule.

— Gwałtu rety! — wrzasnęła Basia. — Znowu burza grawitacyjna! Zaraz pofruniemy!

Nie poleciliśmy w powietrze tylko dlatego, że zdołaliśmy się skryć na czas we wnętrzu olbrzymiego „kopca termitów”. Burza, którą przeżyły dziewczęta uprzednio, była niczym w porównaniu z tym, co się teraz rozpętało. Powierzchnię ziemi bombardowały kule o średnicy kilku metrów. Pękały z ogromnym rykiem rozrzucając snopy iskier. Leciały w górę zeszcłę pnie drzew, gałęzie, moc różnego rodzaju zwierzyny, kamienie wielkie i drobne — w ogóle to

wszystko, co nie trzymało się silnie gruntu. Tam zaś, gdzie parały szczególnie wielkie kule, tajemnicza siła wyrywała nawet drzewa i krzaki z korzeniami. My już od dawna wisieliśmy u powały naszego schronienia, ściśnięci jak śledzie w beczce. Całe szczęście ze do środka kopca wpadło stosunkowo niewiele kulistych piorunów, gdyż rozplaszczyłoby nas i wgniotło zupełnie w kamienny sufit. Tak zaś przenikało nas tylko miłe poczucie lekkości, a po ciele od stóp do głowy spacerowały śmieszne dreszczyki. Mniej przyjemne było to, że otrzymawszy dość niespodzianie uderzenie kulą, tak szybko pofrunąłem ku górze, iż nabiłem sobie solidnego guza na głowie.

Na zewnątrz zapanowały zupełne ciemności, choć do zachodu słońca brakowało jeszcze godziny. Kule trzaskały wprawdzie i sypały iskrami, lecz straciły na wielkości. Wreszcie spadł deszcz i lał bez przerwy chyba do północy. Przez otwory w ścianach i kopule naszego schronienia tryskały na nas fontanny wody. Przemokliśmy do nitki. Trudno było spać. Do tego niepokoił się o Kiniego i Zulę, czy aby burza nie uniosła ich w powietrze. Panował więc dość ponury nastrój.



Pamiętając, że po poprzedniej burzy „grawitacyjnej” Joasia wykazała właściwości telepatyczne, pytaliśmy ją, czy nie wie czegoś o losie naszych przyjaciół. Nie mogła nam jednakże nic odpowiedzieć. Zauważyliśmy tylko, że była dziwnie smutna i niespokojna.

Nad ranem opadliśmy wreszcie na ziemię. Poranek nadszedł słoneczny. Wszystko wokół parowało wilgocią. Chcieliśmy zaraz biec do Takili, ale jeszcze ze dwie godziny trzeba było pozostać wewnątrz „kopca”. Z nieba bowiem leciało teraz wszystko, co przedtem wbrew swej naturze uniosło się w górę. Większość przedmiotów opuszczała się powoli, niektóre jednak, a szczególnie kamienie, spadały gwałtownie. Należało więc przeczekać niebezpieczeństwo.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie powinna była stać na kotwicy Takila, nie znaleźliśmy ani statku, ani Zuli, ani Kiniego. Parę godzin trwały poszukiwania — nadaremnie. Koło południa zeszliliśmy się w umówionym miejscu nad brzegiem morza. Nikt nic nie mówił. Na twarzach znać było smutek i zmęczenie. Niektóre oczy z trudem hamowały łzy.

— Andrzej — ozwała się nagle Ania z łkaniem w głosie — przecież oni nie mogli zginąć?

— Bądź dzielna, Aniu — pocieszałem ją. — Nawet jeśli pofrunęli, to po prostu gdzieś opadli później, choć może sporo czasu upłynąć, zanim się odnajdziemy.

— A co będzie, jeśli wpadli w morze z dala od lądu? — szepnęła dziewczyna cichutko, by jej inni nie mogli usłyszeć.

Na to pytanie nie mogłem znaleźć pocieszającej odpowiedzi.

Załoga zaginionej Takili leżała wyczerpana na piasku. Byliśmy głodni, ale mało kto przegryzał zerwany mimochodem owoc. Wtem Joasia zerwała się z miejsca. Była bardzo blada. Jej wielkie oczy stały się jeszcze większe: patrzyły w jakąś nieokreśloną dal.

— Gupu — zawołała zmienionym głosem.. — Gupu w niebezpieczeństwie. O jej! On zginie... To Robert...

Osunęła się na piasek i zakryła oczy rękami. Podbiegłem do niej z Anią.

— Już nie żyje, — szepnęła — dobry Gupu, który mi wrócił zdrowie.

Powietrzem targnął daleki wybuch.

— Coś widziała? Co się stało? — pytaliśmy dziewczynkę.

— Robert wsadził mu bombę do latającego ta-

lerzyka, wybuchła przed chwilą w powietrzu... biedny Gupu... właśnie jechał do nas.

Zapanowało trwożliwe milczenie. Po chwili przerwała je nieśmiałym pytaniem Ania:

— A czy Zuli i Kiniego nie widzisz?

Joasia zastanowiła się.

— Zula już nadchodzi — rzekła — a Kini omdlał i leży w dżungli...

Poczęliśmy się rozglądać, gdy spoza kępy palm doszło znajome wołanie:

— Hop, hooop!

Wkrótce ukazała się Zula w postrzępionej zeli, z licznymi zadrapaniami na rękach i nogach. Na jej policzku widniał zakrzepły ślad krwi. Cała gromada rzuciła się ku niej.

— Co się stało? Gdzie Kini.— Gdzie Takila?

Zdyszana i doszczętnie wyczerpana Zula osunęła się ciężko na piasek.

— Takila? Nie wiem. A Kini leży tam — wskazała ręką dżunglą — nieprzytomny. Musimy zaraz do niego iść.

Podaliśmy jej złocisty owoc. Jadła chciwie.

— Chodźmy: — wstała z trudem.

Zaczęła się ciężka przeprawa przez bezdroża. Podziwiałem, jak Zula potrafiła zapamiętać, któredy należało iść. U stóp spadzistej skały

znaleźliśmy Kiniego na posłaniu z gałązek. Był bardzo blady i zupełnie nieprzytomny. Wsączyłem mu w usta sok żółtych kwiatów, które zerwałem po drodze. Powoli policzki jego zarumieniły się, nie odzyskiwał jednak świadomości. Miejsce było niegościnne, zawałone skalnym blokami, bezwodne. Nie warto tu urządzać obozowiska — pomyślałem.

Zaimprovizowaliśmy nosze dla chorego i z wielkim trudem dotarliśmy z nim nad brzeg zatoki, która ubiegłej nocy udzieliła nam schronienia. Tym razem udało nam się znaleźć jeszcze wygodniejsze pomieszczenie we wnętrzu jednego z „kopców”. Ułożyliśmy chorego na posianiu z mchu. Zula nie odstępowała go ani na chwilę, przykładając mu na głowę zimne okłady. Była bardzo przejęta stanem Kiniego. Z trudem nakłoniliśmy ją do opowiedzenia przygody.

— Kiedy oddaliliście się — zaczęła — Kini zabrał mnie w górę strumienia, gdzie upolował dwa ptaki, podobne do gęsi. Właśnie byliśmy zajęci ich oprawianiem gdy doszedł nas dziwny dźwięk jakby cmokania, potem ciężkie stąpaniecia i spomiędzy drzew wysunęła się straszna paszcza. Był to jakiś smok, czy przedpotopowy potwór.

— A widzisz — szepnęła mi Basia.

— Wrzasnęliśmy oboje — mówiła dalej Zula — i rzuciliśmy się do ucieczki, ogarnięci obłądną trwogą. Nie wiem nawet, czy nas ten zwierz gonił, czy nie. Gdy zatrzymaliśmy się. .potwora nie było ani widać ani słyhać, za to spostrzeżliśmy, że rozpoczyna się burza, grawitacyjne. Kini przywiązał nas do drzewa „dwoma lianami i wkrótce uniesie nas w górę. Sytuacja bawiła nas początkowo. Trzymaliśmy się za ręce. Było nam dobrze i śmiesznie. Nagle moja liana odwiązała się i byłabym pofrunęła, gdyby mnie Kini nie utrzymał. To jeszcze bardziej nas rozśmieszyło...

— Coś ty się raptem zrobiła taką „śmieszka”?  
— mruknęła Krysia.

Zula nie dosłyszała uwagi koleżanki i spytała:

— Co mówisz?

— A, nic ważnego.

— Gdy tak Kini mnie trzymał, uderzyła w nas ognista kula. Szarpnęło mnie silnie w górę, Kini jednak nie puszczał. Uderzyła następna, zobaczyłam, że Kini zrobił się siny: tak nas ciągnęło wzwyż, że liana zaczęła nas dusić. Przeciął ją nożem i pofrunęliśmy. Zawisliśmy chyba ze sto metrów, a może i więcej nad dżunglą. Byłoby to

nawet i przyjemne, gdybym się tak strasznie nie bała. Kini też miał niewyraźną minę, choć mnie pocieszał i zachowywał się dzielnie. Unosiliśmy się niemal stale nad tym samym miejscem, bo nie było wiatru. Kule już nas więcej nie uderzały. Z dala dostrzegliśmy Takilę jak powoli szła w górę i zatrzymała się mniej więcej na naszym poziomie. Tymczasem ściemniło się, potem lunął deszcz. Nic już nie było widać. Zerwał się wiatr i zdawaliśmy sobie sprawę, że nas gdzieś niesie. Nie chciałam nawet myśleć, co się stanie, gdy nas porwie nad pełne morze. Na szczęście rzuciło nas na zbocza tej skały, pod którą leżał Kini. Trochę potłukliśmy się, ale nie za bardzo. Ranek zastał nas przylepionych do skały. Baliśmy się ruszyć po ciemku, żeby nie spaść. Tymczasem już w dzień przy schodzeniu Kini pośliznął się i zleciał w dół z wysokości kilkunastu metrów. O jej, czemu on nie odzyskuje przytomności? Może nastąpił wylew krwi w mózgu...

Na ile można było to stwierdzić, nasz druh nie miał nic złamanego, był tylko potłuczony, któż z nas jednak mógł wiedzieć czy nie poniósł jakich obrażeń mózgu. Przypomniał mi się mój pobyt u amgów i to, czego się tam nauczyłem.

Podsunałem się do chorego i nad jego głową począłem zataczać rękami małe koła. Przez moje dłonie przebiegł jakby delikatny prąd elektryczny. Kini westchnął głęboko. Strzepnąłem rękami, jakbym z nich strącał kropelki wody i powtórzyłem zabieg. Kini oddychał coraz silniej, w dłoniach czułem znowu ten sam prąd, a potem jakby delikatne ukłucia igiełek. Chory otworzył oczy i rozejrzał się przytomnie. Uśmiech okraślił mu lica.

— Wszystko w porządku? — zapytał szeptem.

Zapewniliśmy go, że tak. Ponownie zamknął oczy i zapadł w normalny sen.

Następnego dnia czuł się o wiele lepiej, rozmawiał przytomnie, uprosiliśmy go jednak, żeby nie wstawał.

Uspokojeni o zdrowie przyjaciela, zaczęliśmy myśleć o odnalezieniu Takili. Zdolności Joasi widzenia na odległość, pobudzone przez burzę „grawitacyjną”, ponownie znikły, nie mogła nam więc wskazać, gdzie należy szukać statku. Dziewczynka była nadal przygnębiona wizją śmierci Gupu, miała oczy zaczerwienione i zapuchnięte od całonocnego płaczu. Romantycznej dziewczynce młody Wenusjanin musiał widocznie mocno zapaść w serce i wyobraźnię, że

go tak serdecznie żałowała. I na nas jego tragiczny koniec — nie wątpiliśmy bowiem w prawdziwość widzenia Joasi — wywarł smutne wrażenie, świadczył też, jakim człowiekiem bez skrupułów był Robert.

Chcąc wyrwać dziewczynę z przygnębienia, zabrałem ją i Krysę na poszukiwanie Takili. Przyłączyli się też do nas Ewa i Jurek. Chłopiec tego dnia był w nieszczerólnym nastroju. W czasie rannego polowania zaprawiona do tego Zula ustrzeliła z łuku dwa tłuste ptaki, natomiast Jurek, nie mając dostatecznej praktyki, pudłował raz po raz. Bolało to jego męską dumę i szedł obecnie z nami chmurny i nadaśany.

Z drogi, którą odbyli w powietrzu Kim i Zula, ustaliłem kierunek wiatru wiejącego tamtej krytycznej nocy. Stąd wiedzieliśmy mniej więcej, gdzie należało szukać Takili. Szlak nasz wiódł poprzez gęstą dżunglę. Mało tu było koralowych słupów, niemniej pochod utrudniało gęste podszycie lasu, częste bagienka i mokradelka. Po godzinie byliśmy umazani błotem, podrapani i zmęczeni. Zatrzymaliśmy się więc na postój i chłodzili nogi w strumieniu.

— Poszukam „anabi” — oznajmiła wszystkim Ewusia — może tu gdzie rosną.



Anabi były to owoce podobne do winogron, lecz o wiele większe. Rosły na pewnego rodzaju pnączu, okalającym drzewa.

— Lepiej się nie oddalaj, bo cię jeszcze pożre „przedpotopowa stwora” — ostrzegła Basia.

Ewa wzruszyła lekceważąco ramionami i skierowała się w dół strumienia. W pięć minut później dostrzegła wśród zieleni czerwieniejące owoce anabi. Wisiały dość wysoko, trzeba się było po nie wdrapać na pień drzewa. Dziewczynka zjadła kilkanaście owoców, po czym, nasycona, zerwała kilka gron dla swych towarzyszy. Zsunawszy się z pnia, odwróciła się i skamieniała z przerażenia. Ujrzała bowiem przed sobą prawdziwego smoka.

Był długi na trzydzieści metrów, wysoki na pięć. Paszczę miał podobną do nosorożca: sterczały na niej aż trzy rogi; oczywiście była wielokrotnie większa, ponadto bardziej wydłużona, niż u tego ziemskiego zwierzęcia. Głowę potwora okalała w okolicy szyi olbrzymia rogowata tarcza. Pysk zwieszał się raczej nisko, bo na wysokości główki dziewczynki, natomiast grzbiet wznosił się od samego karku stromo w górę. Zdobiły go rogowe garby, wyglądające ni-  
by łańcuch górski. Ku długiemu ogonowi

grzbiet opadał łagodnie, a guzy stawały się coraz niniejsze.

Stwór ten miał krótkie grube nogi, zakończone olbrzymimi pazurami. Boki pokrywała mu twarda łuska żółtawej barwy, przechodząca na krańcach w ciemny brąz. Dwa zielone ślepiea niezwyklej wielkości patrzyły uważnie na dzie wczynkę. Nie spostrzegła w nich wrogości, zda wały się być raczej zdziwione widokiem tego złotowłosego stworzonka, trzymającego kur czowo czerwone owoce.

Ewie ze strachu nogi wrosły w ziemię. Nie była nawet w stanie wezwać pomocy. Zresztą na cóż by się to zdało? Potwór mógł ją pochłonać w jednej sekundzie. Wyglądało też, że się na to zanosí. Wydał bowiem z siebie głuchy pomruk, który zabrzmiał jak głos nadchodzącej burzy i łypnąwszy ślepiami rozwarł paszczę. Ku zmar twiałej dziewczynce wysunął się ozór, długi na dwa metry i rozdwojony na końcu. Tym języ kiem, niby olbrzymią ręką o dwóch tylko pal cach,, wyjął delikatnie z rąk Ewy jedno grono i połknął je. Powtórzył to samo kilka razy, aż ma ła pozostała bez owoców.

Zadowolony, cmoknął z lubością i wzniósł ła komie oczy i pysk ku owocom wiszącym na

przewie. Widocznie przepadał za nimi, lecz nie mogąc podnieść tak wysoko sztywnego karku, nie potrafił ich zerwać; na to zaś, by po prostu przewrócić drzewo, co przy jego sile byłoby błahostką, prawdopodobnie brakło mu sprytu.

Ewa ochłoneła już z przerażenia i ze zrozumieniem klasnęła w dłonie. Wspięła się zgrabnie na drzewo i wróciła z nowym zapasem czerwonego anabi. Straszycło przyjęło jej inicjatywę życzliwym mruknięciem i cały słodki transport zniknął w oka mgnieniu w bezdennej paszczy. Zwierz nie upominał się o więcej. Wsunawszy długi ozór ku Ewie dotknął jej ramienia gestem jakby pieśczozy czy podziękowania, po czym oddalił się ku kępie gigantycznych grzybów, rosnących w pobliżu.

Dziewczynka przypatrywała mu się uważnie. Nagle wdrapała się zwinnie na kark olbrzyma i rozsiadła okrakiem tuż za rogowatą tarczą. Było jej tam wygodnie. Potarła bosymi nogami miękką w tym miejscu skórę zwierzęcia. Musiało mu to sprawić przyjemność, bo stęknął z zadowoleniem. Zadźwięczało to coś jak „umpa” i powtórzyło się kilkakrotnie.

Ewa już zupełnie zapomniała o strachu. Przygoda bawiła ją niezmiernie. Wtem przyszedł jej

nowy pomysł do głowy. Zsunęła się z karku olbrzyma, wspięła na drzewo, zerwała duże grono anabi i uwiązała na końcu długiej tyki.

Zwierzę zajęte grzybami nie zwróciło uwagi na jej manewry. Aż oto Ewa siedzi ponownie na jego karku i przed nos wysuwa mu owoce na tyczce. Szast!... wyskoczył długi ozór, lecz nie dosięgnął. Potwor posunął się w kierunku owoców, ale i one ruszyły naprzód. Przyśpieszył kroku, począł wreszcie biec za usuwającymi się owocami. Skierowały się w lewo, zwierz także obrócił się w tym samym kierunku.

— Droga „Umpo” — odezwała się pieśczośliwie Ewa — jedziemy do naszych przyjaciół. Wyobrażam sobie ich minę, gdy nas zobaczą.

## Rozdział X

### Na zwiadach

Przedłużająca się nieobecność Ewy poczęła nas już niepokoić tym bardziej, że mimo szmeru strumienia doszły nas z głębi dżungli dziwne pomruki.

— Ewa! Ewa! — zawołała Basia.

Odpowiedziało jej ciężkie dudnienie i trzask łamanych gałęzi. Zerwaliśmy się na równe nogi, chwytając broń. Z gąszcze wypadł potworny jaszczur. Za późno było na ucieczkę. Pozostawała tylko obrona, ale czy promienie naszych pistoletów zdołają powalić bestię.

Nie oddaliśmy jednak salwy, natomiast z pierśi wydarł nam się okrzyk zdziwienia. Tuż za łbem potwora siedziała sobie najspokojniej Ewa, powiewając mu przed pyskiem wielkim gronem anabi, zawieszonym na tyczce. Na nasz widok cofnęła owoc. Zwierzę zdołało go uchwycić rozdwojonym językiem, stanęło. Przełknąwszy smakołyk jaszczur obrzucił nas obojętnym

wzrokiem i skierował się ku kępie kaktusowatej rośliny, z której za chwilę nie zostało śladu.

— Ten ma apetyt... — zauważyła Basia.

— I żołądek — dorzuciłem starając się zarazem przywołać uśmiech na swe wystraszone oblicze.

Ewa tymczasem zsunęła się z karku zwierzęcia i, jak gdyby nic nadzwyczajnego się nie stało, podeszła do nas.

— No jak? Wypoczęliście? Ruszamy w dalszą drogę? — rzekła swobodnie.

— Musimy chyba na nowo odpocząć po tym, cośmy widzieli. — odpowiedziałem — W jaki sposób zdołałaś ugłaskać tego smoka?

— A, to nic trudnego... Od pierwszego spojrzenia zrozumieliśmy się doskonale... jadł mi z ręki.

— Potwor potwora zaraz zrozumie — syknął przez zaciśnięte zęby Jurek. Nie mógł darować już Ewie, że go przewyższa w strzelaniu z łuku, a teraz oto znowu opromieniła swe imię sławą.

— To nieładnie, Jurku — szepnąłem mu — zazdrość nie jest cechą prawdziwego rycerza.

— Nie chcę być żadnym rycerzem, — odburknął — Jak się ona przechwala, to ty nic nie mówisz. Zawsze trzymasz jej stronę, bo dziew-

czynka. Już zapomnieliście, że was wyratowałem od Brabajów, a ta smarkata...

— Przestań! Jak masz się tak zachowywać wracaj do obozu! Nie potrzebujemy twojego towarzystwa.

— Pewnie, że pójdę. Nienawidzę was! Jurek kopnął ze złością kamień, leżący mu na drodze i zniknął w gąszczu.

— Co w niego wstąpiło? — zapytała Joasia.

— Zawiść, — odpowiedziałem — jego gniewa, że Ewa, chociaż „dziewczynka” i młodsza o rok, lepiej strzela, lepiej pływa, łatwiej orientuje się w dżungli a teraz nie może jej darować, że obłąskawiła tego potwora...

— Tylko nie potwora — zaoponowała mała — Umpa jest śliczna — dodała z zachwytem.

Nie sprzecząc się z Ewą co do piękności jaszczura, choć nie podzielaliśmy jej entuzjizmu, ruszyliśmy na dalsze poszukiwania Takili. Okazały się wszakże bezskuteczne. Patrol nasz wrócił do obozowiska już po zachodzie słońca. Na znużonych wędrowców czekała doskonała kolacja. Zasiedliśmy z wilczymi apetytami do zaimprovizowanego stołu na zielonej murawie. Brakowało tylko Jurka. Byłem pewny, że siedzi gdzieś niedaleko za drzewem i nie pokazuje się,

aby nam napędzić niepokoju.

Chłopiec pokazał się dopiero nazajutrz koło południa. Wychylił się z lasu z miną nadętą i tajemniczą. Nikt pozornie nie zauważył jego powrotu, nikt go nie pozdrowił. Choć widać było, że to milczące traktowanie boli go mocno, udawał jednak, że jest wyższy ponad takie rzeczy.

W obozie tymczasem wrzała praca. Obawiając się, że Takila jest bezpowrotnie stracona, przystąpiliśmy pod kierunkiem Kiniego do budowy wielkiej tratwy żaglowej. Miała opierać się ona na dwóch wąskich łodziach, sporządzonych z pni „aro”, drzewa niezwykle lekkiego i wytrzymałego. Wobec braku narzędzi i braku odpowiednich umiejętności robota postępowała bardzo powoli. Po tygodniu jednak zasadniczy szkielet nowego „statku” był gotów.

Umpa usadowiła się w pobliżu obozowiska. Ewa opanowała ją zupełnie, robiła z nią, co chciała. Smok chodził za dziewczynką jak pies, woził ją na swym karku. Reszcie robinsonowej gromady okazywał życzliwą tolerancję zgadzając się od czasu co czasu wspaniałomyślnie na naszą przejażdżkę na swym grzbiecie.

Nie mogłem sobie wytłumaczyć obecności tak



gigantycznego zwierzęcia na wyspie tym bardziej, że nie spotkaliśmy żadnego innego o podobnych rozmiarach.

Jurek wciąż był nieswój. Formalnie poprawny na zewnątrz pomagał w pracy, lecz wyczuwało się, że coś z nim nie jest w porządku. Rozmowny zazwyczaj, teraz prawie się nie odzywał. Na jego twarzy pojawiał się raz po raz dziwny, złośliwy uśmiech. Wreszcie „bomba” wybuchła.

Siedząc któregoś wieczora przy ognisku, omawialiśmy postępy przy budowie tratwy, gdy Jurek odezwał się niespodziewanie:

— Jeśli chcecie tłuc się po morzu w prymitywnej tratwie, to się tłuczcie. Ja pojedę sobie na Takili... znalazłem ją wtedy, gdy Andrzej odesłał mnie do obozu.

Zapanowało grobowe milczenie. Więc tak? Jurek już od tygodnia— wiedział, gdzie jest Takila i ani słowa o tym nie wspomniał, pozwalając nam męczyć się nad bezcelowym przedsięwzięciem.

Nagle — jakby się wszyscy przedtem porozumieli — poczęliśmy rozmawiać o projektowanej na dzień następny wyprawie łowieckiej. Chłopiec przez chwilę jeszcze siedział przy ognisku. Triumf na jego twarzy zgasł szybko. Patrzał

niedowierzająco po zajętych swobodną gawędą towarzyszach. Wtem zerwał się i wybuchnąwszy głośnym płaczem pobiegł do koralowego „kopca” który nam służył za mieszkanie. W chwilę później poszła za nim Ewa. Objęła serdecznie szlochającego Jurka.

— Wynoś się — odepchnął ją ze złością. — Nie cierpię ciebie. To ty wszystkich nabuntowałaś. Każdy cię lubi i chwali, a na mnie wszyscy się uwzięli...

— Nie mów tak, Jurku! Wszyscy cię kochamy i wiemy, że jesteś bardzo dzielny, ale cóż poradzę, że wcześniej od ciebie nauczyłam się pływać i strzelać z łuku i pierwsza spotkałam Umpe. Ty byś ją też na pewno ugłaskał... Poza tym całą noc spędziłeś sam w dżungli. Ja chyba umarłabym ze strachu.

— Znalazłem Takilę i przespałem się w jej wnętrzu. Odkryłem ją przypadkiem zabłądziwszy... ale i tak miałem stracha w nocy.

W tej chwili Jurek uczuł gorący pocałunek Ewy na swym mokrym od łez policzku.

— Jesteś prawdziwie dzielny — szepnęła — bo masz odwagę przyznać się do strachu.

Jurek zaczął się uspakajać. Oddał Ewie uścisk i powiedział:

— Jesteś porządną dziewczyną, a ja jestem podły.

Po tym wyznaniu odczuł, jakby mu ciężki kamień spadł z serca. Z natury ambitny i uparty, trzymał w sobie tajemnicę odkrycia statku, chcąc w odpowiedniej chwili zaimponować wszystkim. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie jest w porządku i męczyło go to nieznośnie.

Trzymając się za ręce, dzieci wróciły do ogniska. Tani Jurek przyznał, że postąpił niewłaściwie i prosił o przebaczenie. Uściskaliśmy serdecznie nawróconego grzesznika, po czym zapytałem go, gdzie znalazł Takilę.

— Jutro was tam zaprowadzę. Statek jest nie-naruszony, lecz jak go stamtąd wydobyć? Pochwaliłem się, że sam na nim pojedę, ale to niemożliwe.

Rzeczywiście Takila, pochwycona przez burzę grawitacyjną, opadła na stromy brzeg niewielkiego jeziora i obsunęła się w wodę, porysowawszy sobie tylko trochę burty o krzaki i kamienie. Jeziorko, wzniesione dość wysoko ponad poziom morza, otaczały pierścieniem koralowe skały z wyjątkiem niewielkiego przejścia, przez które przepływała woda, spadając następnie 50 metrów szumiącą kaskadą. Wydo-

stanie statku z tego „Morskiego Oka”, jak je od razu nazwała Joasia, zdawało się niepodobieństwem.

Rzuciliśmy się wplaw w chłodne fale jeziora. W minutę później pokład rozbrzmiał tupotem bosych nóg i wesołymi głosami załogi. Nie dostrzegliśmy poważniejszych uszkodzeń, jedynie wszystkie luźne przedmioty leżały porozrzucone w okropnym bałaganie. Jedno lustro poszło w drzazgi, natomiast ocalały sprzęty kuchenne, sporządzone z nietłukącego się materiału.

Spróbowałam nawiązać kontakt radiowy z Kamiru, niestety straszliwy szum i trzaski nadal uniemożliwiły połączenie.

Spędziliśmy pół dnia na Takili, łamiąc sobie głowę nad sposobem wydostania jej ze skalnych kleszczy, żadne realne rozwiązanie nie nadeszło.

Ewa proponowała użycie Umpy. Gdyby statek opadł gdzieś w dżungli, byłoby to możliwe, tu jednak skały stanowiły przeszkodę niepokonalną. W każdym razie odnalezienie Takili miało tę dobrą stronę, że zabraliśmy z niej wiele pożytecznych przedmiotów, a przede wszystkim narzędzia, dzięki którym prace nad budową tratwy mogły odtąd posuwać się szybciej.

Nie czekałem wszakże na jej wykończenie. Na-  
zajutrz przenieśliśmy z Takili na brzeg morski  
małe czółno, które było uwiązane na pokładzie.  
Postanowiłem go użyć dla nawiązania kontaktu  
z Dorotą i jej partyzantami, walczącymi z Ro-  
bertem. Jurek twierdził, że pamięta dokładnie  
położenie ich bazy głównej. Postanowiłem więc  
udać się z nim razem, pozostawiając dziewczęta  
pod opieką Kiniego.

Wyruszyliśmy następnego dnia wczesnym  
rankiem. Wiatr wydał niewielki żagiel i pchnął  
nas ku nowym przeznaczeniom. Na brzegu po-  
zostawiliśmy markotną grupę przyjaciół. Niebo  
miało dziś kolor złota. Słońca nie było widać,  
jego blask rozsiewał się równomiernie po całym  
firmamencie. Przemykaliśmy ku głównej wyspie  
między pomniejszych ostrowami. Niektóre z  
nich, usiane koralowymi słupami, wyglądały  
jak ruiny średniowiecznych zamków, inne, płą-  
skie, nęciły oko soczystą roślinnością. Pod na-  
mi morze wrzało bujnym życiem, mieniły się  
pysznymi barwami wodorostów i rozmaitych ży-  
jątek rafy.

Rozglądaliśmy się pilnie wokół, wypatrując  
obecności człowieka, nie dostrzegliśmy jednak  
nikogo. Nasze barwne pople pozostały w obozie.

Natomiast Kini upiółł nam przepaski na biodra z włókien rośliny „rupła”. Do tego na głowach mieliśmy szerokie „panamy” — tak ubierali się krajowcy w tych okolicach, roztropniej zaś było uchodzić za miejscowych dzikusów.

Tuż przed samym zachodem słońca wpłynęliśmy do zatoki, w której raz już „byłem”. Rozpoznałem ją momentalnie. Uległem nawet wskazać dokładnie miejsce, gdzie w widzeniu ujrzałem uśpioną Dorotę. Teraz jednak wybrzeże było bezлюдne. Dalszy nasz szlak miał prowadzić w górę rzeki, uchodzącej do morza u podnóża owych dwóch szklanych skał, których tyle czasu nadaremnie szukałem. Baliśmy się wszakże zapuszczać po nocy w głąb lądu i postanowiliśmy przenocować w zatoce. U jej lewego ramienia wyrastały z wody olbrzymie słupy koralowe. We wnętrzu jednego z nich umieściłem łódkę. Rozłożyliśmy się wygodnie na jej dnie, wymoszczonym trzcina. Jurek był w nastroju do rozmowy, a i mnie nie chciało się spać.

— Powiedz mi — zaczął — czemu Wenus nazywa się Wenus, czemu właśnie tę planetę skojarzyli ludzie z boginią piękności i miłości?

— Prawdopodobnie dlatego, że najładniej świeci na ziemskim niebie. Ale amga-amga Xu-

dri podał jeszcze jeden powód. Twierdzi on, że bardzo, bardzo dawno temu. Wenus posiadała dwa niewielkie księżyce, które przyciągały ku sobie welon otaczający planetę. Z Ziemi wyglądało to jak dwa długie warkocze. Przypuszczalnie z tego to powodu Wenus w języku Inków nosiła nazwę „Chasca”, to jest „Długowłosa Gwiazda”. Co prawda mniej poetyczne narody dopatrzyły się w tym zjawisku nie kobiecych warkoczy, ale byczych rogów — stąd kult złotego cielca

— Co się stało z owymi księżycami?

— Spadły podobno wskutek zbytniego zbliżenia się Wenus do Ziemi, co spowodowało dla obu planet nie lada katastrofę. Czytałem jeszcze na Ziemi książkę, w której autor tłumaczy plagi egipskie, przejście Izraelitów przez Morze Czerwone, pozorne zatrzymanie się słońca, któremu Jozue nakazał „Słońce stój” — właśnie tym zbliżeniem się obu ciał niebieskich. Jego hipotezę przyjęły koła naukowe bardzo nieufnie, lecz opowiadania amgi świadczyłyby, że ma ona swoje uzasadnienie.

— Tamto przecież były wydarzenia cudowne?

— Pismo święte Starego Testamentu najczęściej przedstawia wszystkie wypadki, jako po-

wodowane bezpośrednią ingerencją Bożą. Takie panowało podówczas przekonane. Pan Bób jednak najczęściej działa przez tzw. „przyczyny drugie”, tj. naturalne wydarzenia, na które rozciąga się także Jego Opatrzność. Mojżesz mógł posiadać daną mu cudownie wiedzę przyszłych wypadków i wykorzystał ją dla wyprowadzenia swego narodu z niewoli.

— Szkoda, że Księżycy wenusjańskie spadły, byłoby tu ładnej.

— Pewnie.

Chłopiec zamilkł i zasnął wkrótce. Mnie jednak sen nie morzył. Niespokojna myśl wróciła od zamierzchłych wydarzeń historii do chwili obecnej. Czy zobaczę jutro Dorotę? Jakie będzie to nasze spotkanie? Może rzeczywiście wpadła już dawno w ręce Roberta i zakochała się w nim? Przypuszczenie ukłuło mnie zazdrością, choć z drugiej strony słowa Kiniego: „Ty Doroty nie znasz naprawdę” męczyły mnie nieustannie. Może rzeczywiście wmówiłem w siebie to uczucie do niej i lepiej byłoby, gdyby sama ode mnie odeszła?

Dlaczego też ostatnio coraz częściej jawiła się w mojej wyobraźni Lena? Wiedząc, że dzielią nas wenusjańskie prawo i przestrzeń kosmiczna,



zdusiłem w sobie miłość do tej uroczej dziewczyny. Szalony pęd wypadków ułatwił oderwanie serca. I przez długi czas wydawało mi się, że Lena należy już do jakiejś niezmiernie odległej przeszłości, z której pozostał w pamięci tylko bladziutki cień. Więc dlaczego widzę ją w tej chwili przed sobą żywo i wyraźnie? Czemu śmieje się ku mnie tym swoim czarującym uśmiechem, szczęśliwego dziecka: słyszę jej wdzięczną paplaninę: patrzę w oczy, które tryskają radością życia, to znów zachodzą dziwną powagą

— Co się z tobą dzieje, Leno? — szepczę — Czy mnie jeszcze pamiętasz? Dlaczego nie wspomniałaś ani słowem w listach z odległej planety? Może ciebie naprawdę kochałem i dlatego już nikogo więcej miłować nie potrafię.

Zasnąłem bardzo późno i spałbym pewnie do południa, gdyby mnie Jurek nie zbudził o wschodzie słońca. Ruszyliśmy w górę wiosłując zwawo. Rzeka była wąska, płynęła wartko. Z rozpostartych nad wodą konarów drzewnych zwieszały się festony „hili” muskające nas przyjemnie po twarzach. Spłoszony pluskiem wioseł „hammame” — wąż skrzydlaty poszybował niezgrabnie w górę z nadbrzeżnego kamienia. Po

raz pierwszy zobaczyłem na Wenus rosnące „elektryczne rośliny”: na szaro-srebrnym, płaskim, kaktusowatym pniu, a ściślej mówiąc na jego górnej krawędzi, wyrastały owe „złote kule”, które poraziły Kiniego w pojedynku z dziewczynką.

Po dwóch godzinach mozolnego wiosłowania Jurek oznajmił, że wioska dzikich, która stanowiła bazę operacyjną Doroty, jest tuż.

— Jeśli oni są tam jeszcze — powiedział — na pewno nas już dawno zauważyli.

Rozglądałem się, uważnie po zaroślach, ale nigdzie nie mogłem dostrzec szpiegujących oczu. Dopłynęliśmy wreszcie do wioski, złożonej z prymitywnej szałasów. Widok, który się ukazał, wstrząsnął nas do głębi: na brzegu rzeki i na jedynej uliczce wioski walało się na ziemi dziewięć szkieletów ludzkich. Porozrzucana wokół broń wskazywała, że zginęli w walce. Jak dawno temu? Niepodobieństwem było stwierdzić, mrówki bowiem oczyściły kości z ciała. Podniosłem jeden z noży — pokrywała go rdza, ale chyba tylko specjalista mógłby określić, jak dawno temu rozpoczęła się korozja. Domyśliłem się, że to w tej walce Dorota dostała się do niewoli.

— Co teraz zrobimy? — spytał się Jurek.

— Niedobitki mogły ocaleć i kryją się w głębi w dżungli.

— O tak, stąd właśnie prowadzi ścieżka w góry, gdzie sprzymierzeni z nami tubylcy posiadali kryjówkę. Może uda nam się tam trafić.

Ścieżka była dawno nie używana, zarośnięta, jednak Jurek zdołał ją odszukać. Posuwaliśmy się nią w górę przeciskając się z dużym wysiłkiem między krzewami i pocąc niemiłosiernie, było bowiem bardzo gorąco. Wysoko, poprzez gałęzie drzew, dojrzelismy przebłyskujące szkliste skały. Po półtorakilometrowym marszu ścieżka rozszerzyła się. Pobija teraz wrażenie często używanej. Wtem w powietrzu rozbrzmiał krzyk ptaka „panir”; moje ucho dobrze już obznajomione z dźwiękami dżungli, odkryło w nim fałszywą nutę.

— To hasło ostrzegawcze! — szepnąłem do Jurka i wysunąłem do przodu promieniówkę gotową do strzału.

Miejsce jednak niezbyt nadawało się na zasadzkę. Drzew i krzewów było coraz mniej. Dżungla kończyła się. Szklane skały były tuż, między nimi dostrzegliśmy wejście do wąwozu.

— To tu, pamiętam! — ucieszył się Jurek.

W tymże momencie uczułem pętlę zaciskającą się na mej prawej kostce. Szarpnęło mną w górę. Zawisłem na jednej nodze głową w dół na wysokości 5 metrów od ziemi, tracąc w locie pistolet i torbę. Jurka ten sam los spotkał w kilka sekund później z tym że nie upuścił broni.

Dżunglę rozdarł okrzyk, ścieżka pod nami zaroiała się postaciami czarnymi, jak heban. Murzyni na Wenus? A to coś nowego. Lecz czemu wielu z nich ma jasne włosy i niebieskie oczy? Muszą być pomalowani, tym bardziej, że wołają na Jurka po kuwilińsku, żeby rzucił broń. Chłopiec spojrzał na mnie pytająco.

— Rzuć! — zawołałem — to nie jest pozycja, z której można się bronić. Im szybciej nas ściągną, tym lepiej, bo mi już krew uderza do głowy.

Musiałem też oddać swój nóż; wtedy opuszczono nas na ziemię. Rozcierałem bolącą nogę. „Dobrze, że mi jej nie wyrwali” — pomyślałem, ale zaraz zapomniałem o swym bólu. Ogarnęło mnie zdumienie. Otaczający nas wojownicy byli wszyscy niezwykłego wzrostu, każdy z nich miał co najmniej dwa metry wysokości. Rozrośnięci byli proporcjonalnie, tylko normalnych rozmiarów głowa wyglądała dziwnie drobno

przy gigantycznym ciele.

Jeden z napastników zwrócił się nagle z ożywieniem do pozostałych:

— To jest Andra.

— Tak, poznaję — powiedział wielkolud robiący wrażenie przywódcy.

Jego twarz mimo czarności wydała mi się znajoma.

— Co z nim zrobimy Auxi? To nasz przyjaciel.

Wróg Mgauri jest naszym wrogiem, musi zginąć — odpowiedział Auxi ponuro.

Teraz poznałem go — to był brat Szilu. A ci czarni wojownicy? Ależ tak... to wszystko przecież znajome twarze: członkowie plemienia Arajo, którzy wyrwali Baškę i Krysę z rąk Akila i Omud. Lecz co się z nimi stało? Robert rzeczywiście jakimś tajemniczym sposobem powiększył ich wzrost.

— Vajni Arajii! — zawołałem radośnie — Ga massevu Szilu? (gdzie jest Szilu?)

— Zabam! (milcz!) — przerwał krótko Auxi — Knori! (marsz) — zwrócił się do swoich wojowników, wyraźnie podnieconych spotkaniem i okazujących ochotę do pogawędki.

Weszliśmy w gardziel szklanego wąwozu. Prowadził stromo w górę. Powierzchnia jego była

zupełnie gładka, jakby wyszlifowana. Bose nogi trzymały się jej dobrze, natomiast człowiek w butach ślizgałby się tu jak na lodzie. Mimo ponurej zapowiedzi Auxi nie traciłem ducha. Wyczułem życzliwość pozostałych wojowników. Ponadto obaj z Jurkiem mieliśmy poukrywane w naszych opaskach zatrute kolce. Przygotowane przez Kiniego od wszelkiego wypadku.

Po godzinnej wspinaczce wąwóz rozszerzył się. W pionowej ścianie dojrzałem mnóstwo otworów różnych rozmiarów. Podprowadzono nas do jednego z nich, tak małego, że ledwo można by się przezeń przecisnąć. Auxi kazał nam już wchodzić do środka, gdy nagle wstrzymał się i wydał rozkaz swoim ludziom, ściągnięto nam opaski i przeszukano dokładnie. Kuwilińczycy znali swoje sekrety: toteż wkrótce znaleźli ukryte strzałki. Auxi zaśmiał się złośliwie i powtórnie dał znak wejścia w otwór. Znalazłem się z Jurkiem w kulistym pomieszczeniu o gładkich ścianach. Było tu zupełnie jasno. Otwór wejściowy zasłonięto kolczastą kratą i podparto od zewnątrz drągiem.

Rzuciliśmy się zmęczeni na skóry, rozesłane na podłodze. Wkrótce zasnęliśmy. Obudziłem się zlany potem i z bólem głowy. W ciasnym

więzieniu było duszno i gorąco. Jurek spał jeszcze. I na jego brązowym ciele perlily się kropelki potu. Oddychał ciężko. Ocknął się jednak dopiero na szelest odsuwanej kraty. W otworze pokazała się głowa Arzanty — poczciwego młodego Araja, z którym zaprzyjaźniłem się na wyspie Złotej Bogini.

— Przyniosłem wam jedzenie — powiedział, podając dzban owocowego soku i dwa udka ptaka „jeki”. — Bardzo mi przykro, że musimy was więzić. Przybyliśmy na tę przeklętą wyspę na nasze i wasze nieszczęście. Niech Masseveneke skarze Auxi.

— Co się stało? Opowiedz!

Arzanta rozejrzał się podejrzliwie naokoło, po czym, widać uspokojony, że nikt go nie śledzi, zaczął:

— Kiedy przyjechaliśmy tutaj, Mgauri przyjął nas łaskawie. Wszystkich wojowników z wyjątkiem Szilu zaprowadził do wielkiej groty, gdzie stały bardzo dziwne rzeczy. Kazał nam się położyć na ziemi i od razu posnęliśmy. Obudziliśmy się tacy wielcy i tacy czarni jak jesteśmy teraz. Chcieliśmy, żeby powiększył też nasze kobiety i dzieci i przywrócił nam zwykłą naszą barwę. Nie chciał. Powiedział, że musimy wygubić

wszystkich jego wrogów, a wtedy dopiero spełni niszczące żądania. I odtąd pod wodzą Auxi walczyliśmy tu z wrogami Mgauri...

— Słuchaj, Arzanta — odpowiedziałem, szybko. — Mgauri was raz oszukał i na pewno nie spełni swych obietnic. Wypuść mnie stąd. Razem pokonamy go. Odzyskacie swoje kobiety i dzieci i cała wyspa będzie dla was...

— Ciiiicho, Auxi idzie — szepnął nerwowo Arzanta i zatkał otwór kraty.

— Żebym miał okazję swobodnie przemówić do Arajów — zwróciłem się do Jurka — to bym może ich przekonał, ale Auxi do tego nie dopuści. Mgauri kupił go sobie oddaniem władzy nad plemieniem.

— Jak on mógł ich tak powiększyć?

— Nie mam pojęcia. Nigdy nie przypuszczałem, że coś takiego jest w ogóle możliwe.

Noc, która wkrótce zapadła, nie należała do najprzyjemniejszych. Męczyła nas niepewność losu. O ucieczce nie było co marzyć. Tuż przed naszym więzieniem paliło się wielkie ognisko. Wokół niego na skórach spali wojownicy. Wartę pełniło stale trzech Arajów. Jedyna szansa to rano nakłonić Auxi, by nas oddał w ręce Roberta. Wołałem już jego. W oczach bowiem przy-



wódcy Arajów wyczytywałem okrucieństwo, a jego słowa, że musimy zginąć, nie napawały optymizmem.

Skoro świt wyprowadzono nas na zewnątrz. Zacząłem od razu przemowę, tłumacząc Arajom, że Mgauri mnie zna i gniewałby się, gdyby mi się co stało. W odpowiedzi dostałem tylko krótkie: „Zabam” (milcz). Po czym Auxi zwrócił się do wojowników:

— „Nesfe” żąda ofiary.

Arajowie mieli niezadowolone miny, ale widać było, że boją się swego przywódcy. Nikt nie odważył się stanąć w naszej obronie.

Związano mi ręce z tyłu i przymocowano je do długiego drąga, którego oba końce ujęli dwaj olbrzymi. Jurka nie skrępowano. Cały pochód ruszył w górę wąwozem o ostrych szklistych ścianach. Modliłem się.

Szliśmy dość wolno. Większość wojowników z Auxim na czele wyprzedziła nas. Wreszcie wąwóz się skończył. Wyszliśmy na obszerną platformę skalną. Z jednej strony obramowała ją pionowa ściana, z drugiej przepaść. Rozciągał się stąd piękny widok na dżunglę i dalekie morze, ale nie w tym kierunku patrzyłem. Wzrok mój ze zdumieniem przywarł do skały. Wydało

mi się, że śnię. Na wysokości mniej więcej trzech metrów od ziemi przytykał do szklanej ściany „Meteor”, który ukradły... nam mały na Ava-Nari. Najwidoczniej doszybował aż dotąd, gdzie go zatrzymała skała. Musiał lecieć bardzo wolno, jeśli nie rozbił się. To był też pewnie ów „Nesfe”, bożek, na którego cześć mieliśmy giąć, bowiem pod „Meteorem” leżał wielki głaz — ołtarz ofiarny.

Stał już obok niego Auxi, przybrany w płaszcz z włosów hili. Reszta czarnych wojowników otaczała go półkolem. Broń złożyli wszyscy u wyjścia z wąwozu, jedynie Auxi dzierżył za pasem wielki nóż ofiarniczy. Jednym rzutem oka oceniłem sytuację.

— Jurek! — powiedziałem — gdy się zbliżymy do kamienia, czekaj na mój znak. Skacz tedy na moje plecy i ramiona i dostań się do wnętrza tej wany. Prawy pedał służy do lotu wzwyż, lewy w dół. Rączka przy kierownicy reguluje szybkość. Pociągnij ją w tył, to się wana oderwie od skały. A potem jedź po łbach Arajów, ja padnę na ziemię.

— Dobrze — odpowiedział krotce chłopiec Nie przeszkadzano nam w rozmowie, natomiast musieliśmy raz po raz bić pokłony przed Nesfe,

przy czym obtłukłem sobie kolana. Zbliżaliśmy się powoli. W pewnej chwili kazano Jurkowi przesunąć się za mnie. Ułatwiało to wykonanie planu. Wreszcie doszliśmy do kamienia. Rura otaczająca „Meteor” znajdowała się tuż nad moją głową.

— Skacz! — krzyknąłem.

Jurek celowo pozostał troszkę z tyłu, aż go zaczęto popędzać, żeby szedł szybciej. Teraz miał przestrzeń do rozpędu. Poczulem bosą nogę na związanych dłoniach, chłopięca ręka wplotła się kurczowo w moją grzywę. Kopnąwszy mnie przedtem solidnie kolaniem w plecy, Jurek wspiał mi się na ramiona, uchwycił rurę i zawisł w powietrzu.

Stało się to tak szybko, że nikt mu nie zdołał dotąd przeszkodzić. Niestety staliśmy z tyłu „Meteora” — chłopiec żeby dostać się przez otwarte drzwiczki do jego środka musiał się jeszcze przesunąć prawie o 90°. Stanął na rurze i opierając się rękami o powierzchnię szklanej kuli począł ostrożnie sunąć w prawo.

Tymczasem Auxi wrzeszczał już na całe gardło, by go łapać. Utrudniłem, akcję Arajom, rzucając się i kopiąc. Udało mi się to tym łatwiej, że osłupieni czynem Jurka moi dwaj stró-

że puścili drąg. Uderzyłem jednego z nich „bykiem” w brzuch, kopnąłem innego i zacząłem uciekać w kierunku przepaści jakby z zamiarem samobójczym. Kilkunastu rzuciło się za mną. Tymczasem Jurek znalazł się już we wnętrzu „Meteoru”. Mechanizm działał. Wana cofnęła się raptownie w tył aż ponad przepaść. Upadłem płasko na ziemię.

Jurek wznosił najprzód w górę kulę latającą, potem opuścił się na wysokość metra ponad taras i puścił maszynę w osłupiałych dzikusów. Rozległy się krzyki trwogi i bólu. Zamiast paść za moim przykładem plackiem na ziemi Arajowie rzucili się co ucieczki. Jurek przejechał się po nich bezlitośnie. Padali na ziemię, pokaleczeni. Pierwszy dostał za swoje Auxi.

— Dość, dość! — krzychałem za Jerzym.

Ten posłyszał widocznie moje wołanie, albo sam doszedł do wniosku, że wystarczy pogromu, bo zawrócił, zatrzymał się przy mnie i wyskoczył z wany. Za chwilę miałem wolne ręce i w kilka sekund. Za chwilę miałem wolne ręce i w kilka sekund później siedzieliśmy we wnętrzu przezroczystej kuli.

— Udało się, udało! — wołał rozentuzjzmowany Jurek. — To dopiero Ewa zrobi oczy, jak

przyjedziemy w „latającym talerzyku”.

— Dzielnieś się spisał — pochwaliłem klepiąc chłopca po ramieniu — dobrze byłoby teraz odzyskać naszą broń o torby.

Jeden z leżących na ziemi podniósł się, rozciągając głowę.

— Arzanta. Kuori aminu! — zawołałem do niego.

Podszedł posłusznie.

— Coście zrobili z naszą bronią? — spytałem.

Była schowana w jednej z grot w pobliżu miejsca, gdzie nas więziono. Dziki opisał dokładnie jej położenie, potem zapytał sam:

— Co zrobisz z nim? — wskazał na Auxi, który leżał bezwładnie w pobliżu krawędzi tarasu.

Wyskoczyłem z wany i zbliżyłem się do nieprzytomnego. Żył. Arzanta wyciągnął mu nóż z za pasa i podał mi.

— Masz, zabij go tym samym nożem, którym on cię chciał zamordować, Andra.

Przyjąłem podany nóż — warto było zachować go na pamiątkę — ale pokręciłem głową.

— Andra nie zabija bezbronnych — odparłem i zawróciłem do szklanej kuli.

Wsiadłem właśnie do środka, gdy nagle Arzanta pochylił się, pochwycił leżącego za nogo i za-

nim zdążyłem krzyknąć, rzucił go w głąb przepaści.

— Jedziemy po broń — powiedziałem Jurkowi, który siedział przy przyrządach sterowniczych i nie zamierzał się od nich usunąć — leć, ale ostrożnie, bo nas rozbijesz.

Zjawiliśmy się przy grotach jednocześnie z uciekającymi Arajami. Na nasz widok wrzasnęli przeraźliwie i rozpierzchli się jak stado kuropatw. Broń i torby odnaleźliśmy bez trudu, po czym przyjąłem kierownicę od Jurka, gdyż nie był on jeszcze dość pewnym pilotem.

— Warto by teraz spatrolować Robertowe włości — rzekłem do swego towarzysza — nie zdradzając zarazem naszej obecności.

— Patrz, niewielkie obłoczki płyną w tamtym, kierunku, możemy się ukryć we wnętrzu którego — zaproponował chłopak.

— Nas nie będzie widać, ale i my nie wiele zobaczymy Zresztą boję się zbyt wysoko wznosić. Nasza wana jest otwarta i nie posiada zapasu tlenu.

— Co ty mówisz? Te obłoki są nisko. Na Ziemi samoloty latają o wiele wyżej...

— Na Ziemi... tutaj warstwa tlenu jest stosunkowo cienka i trzyma się samej powierzchni

planety.

— Nie może być. Tlenu jest dosyć. Oddychamy przecież zupełnie swobodnie — protestował Jurk.

— Nie uczyłeś się o tym w szkole w Nowym Krakowie? — odparłem tonem profesorskim — Nie wiesz, że Wenus jest potężnym magnesem, około 5 razy silniejszym niż Ziemia? Dlatego tlen, który ma silne własności paramagnetyczne, trzyma się ściśle powierzchni. To też tłumaczy, dlaczego obserwatorzy z Ziemi, których wzrok nie może przeniknąć stratosferycznego welonu, nie zauważyli dotąd obecności tlenu na tej planecie. Stąd wielu wyraża się pesymistycznie o możliwości życia na Wenus.

— Ha, ha, chciałbym widzieć ich miny...

— Zanotuj sobie też jeszcze jedno ostrzeżenie, przyszły lotnikowi wenusjański: skutek o wiele silniejszego promieniowania cząstkowego ze słońca ze względu na niniejszą odległość od niego tworzy się w górze ozonosfera o temperaturze plus 300°C. Bodaj do tego jeszcze niebezpieczne radiacje...

— E., to już chyba bardzo wysoko, w stratosferze. Tam się nie wybieram.

Poszybowałem nad dżunglą. Wylądowaliśmy

na niewielkiej polance, przez którą płynął strumień. Pożywiliśmy się owocami, orzeźwili w wodzie, po czym „Meteor” ponownie wzniósł się w powietrze. Lecieliśmy wzdłuż grzbietu szklanych gór. Za nimi kryły się przed naszymi oczami włości Roberta. Skały były gołe, zdawały się wyszlifowane, żadna roślina nie miała tu gdzie zapuścić korzeni. A jednak na samym szczycie jednej z gór znaleźliśmy oazę zieloności. W obszerną wklęsłość najwidoczniej wiatr nawiał sporo ziemi, tak, że rosło tu nawet kilka drzewek i ze dwa tuziny okrągłych krzaków. Wprowadziłem między nie naszą fruwającą banię. Wyskoczyliśmy z niej i ostrożnie wychyliliśmy głowy poza krawędź skały.

Odślonił się przede mną jeden z najładniejszych widoków, jakie widziałem w życiu. Dwa łańcuchy szklanych gór otwierały ku morzu ramiona. Między nimi leżała żyzna dolina przecięta wstęgą rzeki. Pośród uprawnych pól, sadów i gajów, rozsiadły się małe, białe domki. W pobliżu wybrzeża półkolistej zatoki stał płaski budynek w kształcie litery X — typowy dla budownictwa wenusjańskiego. Prawe ramię górskie wchodziło dość głęboko w morze, lewe kończyło się w odległości z pół kilometra od



niego. Jedynie tamtędy można było się dostać do doliny, ale tam właśnie — jak mnie objaśnił Jurek — ciągnął się niewidzialny wał, wchodził w morze i odcinał całą zatokę od zewnętrznego świata. Rzeczywiście z naszego punktu obserwacyjnego dostrzegałem wyraźną linię, oddzielającą gładkie wody zatoki od sfalowanej powierzchni pełnego morza. Dolina była więc praktycznie niedostępna, gdyż dostać się do niej poprzez strome, szklane góry, wydawało się rzeczą niesłychanie trudną.

W pobliżu budynku w kształcie X, który, jak się domyślałem, musiał być siedzibą Roberta, wznosiła się stroma góra o płaskim wierzchołku, pokrytym roślinnością. Gdyby się tam dostać w nocy, za dnia byłby to świetny punkt obserwacyjny. Miejsce bowiem skąd patrzyliśmy, znajdowało się zbyt daleko, by można było coś dokładniej zobaczyć, nawet przy użyciu lornetki. Postanowiłem więc polecieć tam po zachodzie słońca. Na razie wróciliśmy do „Meteoru”.

— Lecimy do naszych? — zapytał Jurek.

— Tak.

— Przed samym lądowaniem, czy pozwolisz, że ja przejmę kierownicę? — Jurek chciał zrobić

wrażenie na dziewczętach prezentując się jako pilot. Zgodziłem się.

Dwadzieścia minut później opuszczaliśmy się już nad zatokę, gdzie znajdował się nasz obóz. Można sobie wyobrazić zdumienie Kiniego i dziewcząt, gdy pojawiliśmy się w latającej kuli. Jurek promieniał, lecz za chwilę na jego twarzy odbiło się rozczarowanie. Nie było Ewy, żeby podziwiać jego tryumfalny powrót. Bawiła się w dżungli z Umpą.

Kiedy zapadła noc, wyprawilem się sam, mimo protestów mego towarzystwa, ponad dolinę z plantacją Roberta. Było dość ciemno, miałem więc nadzieję, że przemknąłem się niepostrzeżenie po niebie. Nie przypuszczałem, by Robert miał radar, który mógłby go ostrzec. Wylądowałem na upatrzonej za dnia górze. Rozciągnąłem się na miękkim mchu obok „Meteora” i smacznie zasnąłem.

Ranek wstał dziwny. Niebo było zielonkawe, słońca nie było widać. Na całą dolinę kładła się lekka, zielonawa mgiełka. Robiło to wrażenie, jakby cała okolica stała się dnem morskim. Byłem niezadowolony, bo widoczność była słaba. Koło południa jednak poprawiła się znacznie. Widziałem gromadki krajowców, poubieranych

w spódniczki „hili”, pracujących na polach. Z wielkiego budynku wyszła Mary w niebieskiej sukience i udała się do ogrodu z książką w ręku. Ułożyła się na leżaku pomiędzy drzewami. Czytała czas jakiś; potem usnęła lub może pograżyła się w myślach.

W piętnaście minut później jakiś mężczyzna wsiadł w wenusjański samochodek i pojechał w górę doliny. Wydawało mi się, że był to ten sam, który towarzyszył Robertowi w jego wizycie u Brabajów.

Wreszcie pomiędzy kolumnienkami, zdobiącymi główne wejście, ukazała się Danusia. Przez lornetkę widziałem ją dobrze. Ubrana była; po europejsku w czerwoną bluzkę i spódnice. Drobny spacerowym krokiem weszła do lasu; który leżał pomiędzy domem, a górą, z której przeprowadzałem obserwacje. Była coraz bliżej. Jej jaskrawa bluzka raz po raz migiała między drzewami.

Nie wytrzymałem. Skoczyłem w „Meteor” i w kilka sekund wylądowałem tuż obok Danki. Krzyknęła ze zdumienia i radości, zobaczywszy wychylającą się z latającej kuli moją głowę.

— Andrzej! Skądżeś się tu wziął? Co się dzieje z dziewczętami?

— Potem będzie czas na opowiadania — powiedziałem przyciszonym głosem, rozglądając się wokół niespokojnie — wsiadaj do wany, uciekamy!

Danusia zaśmiała się:

— Uciekamy? Nie ma żadnego powodu. Robert jest bardzo miłym człowiekiem. To wszystko było nieporozumienie.

— Czy Dorota i Kobra są tu?

— Nie ma. Już dawno odjechali. No, wychodź z tej kuli!

Wahałem się, co czynić. Nie wierzyłem wcale w zapewnienia Danki. Jak ją tu zwabić do wany?

— Raczej ty wsiadaj — powiedziałem — to cię podwiezę do domu. Widziałem tam Mary.

— O tak, ona tu jest — odrzekła Dankar gramoląc się do napowietrznego aparatu — zawsze ciepło cię wspomina.

Nacisnąłem pedał wysokościowy. Wana wzbiła się w górę. Skierowałem ją w kierunku naszego obozowiska, ale w tej samej chwili stało się coś dziwnego. Latająca kula wypowiedziała mi posłuszeństwo, poczęła się opuszczać i wylądowała tuż przed domem. Na darmo naciskałem pedał, ruszałem kierownicą i rączką, regulującą

szybkość. Tajemnicza siła opanowała aparat. Pot wystąpił mi na czoło. Byłem bezsilny. Danusia wyskoczyła lekko na ziemię.

— Mary, Mary — wołała po angielsku —  
Chodź tu! Zobacz kto przyjechał!

Niechętnie wysiadłem i ja. Ścisnąłem w dłoni promieniówkę. Zanim zjawiała się Mary, wyszedł Robert. Twarz opromieniał mu uprzejmy, choć nieco złośliwy uśmiech.

— Good morning, good morning — rzekł — co za niespodzianka!

Wyciągnął do mnie rękę, którą przyjąłem bez entuzjazmu.

## **Rozdział XI**

### **Tajemnica Szklanych Gór**

Leżałem na miękkim łożu. Przez okno wpadała do wnętrza wielkiego pokoju poświata nocnego nieba, pełnego dziś srebrno–popielatej zorzy. W budynku panowała zupełna cisza, tylko z dala od wybrzeża dochodził szmer fal, zwierzających sobie poufnie tajemnice mor: kich głębin.

Przebiegałem myślą wydarzenia minionego dnia. Robert przyjął mnie nad wyraz uprzejmie i starał się okazać gościnnym gospodarzem. Zagrałem w tę samą kartę, udając, że biorę jego dworskość za dobrą monetę. „Im większego będę strugał naiwniaka — myślałem — tym większa szansa wydostania się stąd”. Z chwilą bowiem, gdy moja wana nie mogła wznieść się w

powietrze, stałem się faktycznym więźniem w dolinie.

Danusia patrzyła w Roberta jak w tęczę. Bardzo szybko zorientowałem się, że przystojny mężczyzna zawrócił jej w głowie. Wierzyła mu bez zastrzeżeń i starała się czynić wszystko, by mnie do niego przekonać.

— On rzeczywiście nałapał sporo dzikich da swojej plantacji — przyznała — ale już uznał swoją winę. Zresztą nie wyrządził im wielkiej krzywdy. Sam możesz się przekonać, jak im tu dobrze i jak ich sprawiedliwie traktuje.

Kiwałem głową, nie zamierzając dyskutować. Miłość wierzy w to, w co chce wierzyć i trudno ją przekonać, że jest w błędzie.

Mary rzucała mi serdeczne spojrzenia, w których wyczytywałem niepokój. Byłem pewny, że chce coś powiedzieć, może przed czymś ostrzec, ale się boi. Zamierzałem z nią pogadać na osobności, lecz nie nadarzyła się okazja. Mary wyraźnie unikała sposobności do rozmowy w cztery oczy. Przy obiedzie i kolacji a także gdyśmy wszyscy wspólnie gawędzili wieczorem w ogrodzie, była tylko echem Roberta. Ten zaś twierdził, że Gupu zabrał najpierw Kobrę, a później i Dorotę, na wyspy niemieckie, gdzie ca-

ła rodzina połączyła się po długim niewidzeniu.

Danusia wypytywała mnie o dziewczęta i dalsze nasze przygody. Nie chciałem ujawniać, że cała gromadka znajduje się o kilka zaledwie kilometrów stąd. Opowiedziałem więc wiernie historię naszego uwolnienia, ale skłamałem, że odjechaliśmy Takilą do Nowego Krakowa i dopiero stamtąd przyjechałem tu „Meteorem”.

— Moje dojście do świadomości — mówiła Danusia — odbywało się o wiele dłużej od waszego. Robert nie znalazł tego prostego środka, jakim jest woda morska. Dopiero, gdy po paru tygodniach doszłam do siebie, uprosiłam go, by was ratował. Od razu wysłał statek, który jednak dotąd nie wrócił. Szalenie się martwiłam o was.

Ponieważ Robert przysłuchiwał się rozmowie, nie powiedziałem Danusi, że choć rozpoznał mnie u Brabajów, pozostawił jednak swojemu losowi. Po obiedzie udaliśmy się wszyscy na odpoczynek.

Właśnie ocknąłem się z poobiedniej sjesty, gdy Robert wsadził głowę pomiędzy kurtyny zakrywające wejście do pokoju, w którym spałem.

— Chodź! — powiedział — Pokażę ci coś ciekawego.



Udałem się za nim w podziemia domu. Weszliśmy do pomieszczenia, które zawierało szereg nieznanych mi urządzeń. Robert podszedł do czegoś, co wyglądało jak wielka lorneta wprawiona w tablicę rozdzielczą. Przytknął oczy do soczewek, nacisnął kilka guzików, pokręcił okrągłą tarczą po czym rzekł:

— Patrz, jaki uroczy obrazek. Nachyliłem się i zdumiałem niepomiernie.

Dojrzałem wodospad, a pod nim wielki basen naturalny, leżący nieco powyżej zatoki, gdzie urządziliśmy obozowisko. W wodzie pluskały się Mewy. Obsunąłem oczy od wizjera. Nie wiem, czy byłem bardziej oburzony bezczelnością Roberta, czy przerażony tym, że odkrył obecność dziewcząt, a mnie udowodnił kłamstwo.

— Coś tak szybko oderwał oczy od pięknego widoku — spytał ironicznie.

— Ty, widzę, — odparłem z oburzeniem — nie masz zupełnie zrozumienia dla takich pojęć jak delikatność i przyzwoitość...

— Ha, ha! — przerwał mi hałaśliwym śmiechem — bawimy się w cnotkę, tkwimy po uszy w starych przesądach... tu jest Wenus, chłopie...

— Nie ma moralności ziemskiej czy wenusjańskiej. Bóg jest wszędzie ten sam i zasady, które nam postawił, mają wartość kosmiczną; obowiązują wszędzie.

Robert spoważniał, przygląda: mi się chwilę ironicznie, po czym spojrzenie jego stwardniało.

— Kosmos małe mnie obchodzi, natomiast na tej wyspie obowiązuje to, co ja chcę, a na poparcie mojej woli mam wystarczające środki. Sam się o tym przekonałeś. Wiem już od dawna, że tu jesteście. Jedyna dla mnie tajemnica, to skąd wzięłeś tę latającą kulę; nie miałem czasu obserwować was stale. Lecz mniejsza o to. Zdaję sobie sprawę, że mi nie ufasz, choć nie zamyślałam nic złego. Mniejsza o to — powtórz — jutro rano możesz odlecieć, dokąd cię oczy poniosą. Lepiej jednak, byś tutaj przywiózł, ten swój „harem” zamiast puszczać się na morze tratwą, którą budujecie. Mogę was odwieźć statkiem, gdzie chcecie.

Podziękowałam mu nieszczerze, nie mówiąc, że mogę to samo zrobić „Meteorem”. Zapytałam następnie, skąd wszedł w posiadanie telewizora i w jaki sposób ściągnął mnie i wanę na ziemię. Odpowiedział, że zastał te wszystkie urządzenia na miejscu. To Gupu, z którym się zaprzyjaźnił

po przyjeździe na Wenus, sprowadził go tutaj i osadził w plantacji, należącej niegdyś do kolonistów z Kamiru.

„W nagrodę za przyjaźń zamordowałeś go” — miałem ochotę wyrzucić z siebie oskarżenie, ale się powstrzymałem. Może to zresztą nieprawda, może Joasia pomyliła się w swoim widzeniu. Gupu dla jakichś powodów mógł bezpośrednio polecieć do Kamiru. Jeśli właśnie teraz zabrał Dorotę, nie byłoby nic dziwnego, gdyby nie życzył sobie spotkania ze mną; sam się w niej podkochał. Robert jest draniem, lecz może nadmiernie oczerniłem go w swych myślach. Jak dotąd mogłem mu udowodnić jedynie porwanie ludzi.

Rozmyślając o tym, przewracałem się m łóżku, nie mogąc zasnąć. Wreszcie wstałem, wyrzaziłem przez okno. „Meteor” tkwił w dalszym ciągu w tym samym miejscu, gdzie lądował przymusowo. Wchyliłem głowę na korytarz. Był pusty. Przyszła mi myśl, by iść do podziemi, sprawdzić, jakie jeszcze kryją tajemnice. Gdzie jest choćby pomieszczenie, w którym Arajowie ulegli metamorfozie. Niestety, nie miałem żadnego światła, a ruszać na rekonesans po omacku nie było sensu.

Cofnąłem się więc i rzuciłem z powrotem na łóżko. Leżałem jeszcze długo z otwartymi oczami. Dopiero nad ranem zmorzył mnie sen.

Zaraz po śniadaniu szykowałem się do odjazdu. Ponieważ niebacznie obiecałem, że przywiozę dziewczęta, więc Danusia nie wybrała się ze mną. W ostatniej chwili nadszedł narzeczony Mary Jerzy Szwalkowski.

— Robert obiecał Mary i mnie — powiedział witając się, że nas niedługo weźmie na Avani, a stamtąd pojedziemy wziąć ślub do Nowego Krakowa, ale ponieważ zjawileś się tą latającą kulą, może nas zabierzesz tam wcześniej?

— Doskonale! Tak ci już spieszo do ożenku?

— O, bardzo; już to nasze narzeczeństwo zbyt długo trwa.

Wsiadłem do „Meteora”, machnąwszy wszystkim ręką pożegnanie. Nacisnąłem pedał. Kula powoli uniosła się w górę. Spojrzałem w dół. Robert stał z rękami w kieszeni i patrzył w górę. Zdziwiłem się. Myślałem bowiem, że natychmiast polecą śledząc moje ruchy przez telewizor.

Znalazłszy się na zamierzonej wysokości, zsunąłem nogę z pedału i przesunąłem rączkę szybkościową na bardzo wolne posuwanie się

naprzód. Sam zaś zacząłem gorączkowo przeszukiwać wanę. Jeśli Robert wsadził Gupu bombę do latającego talerzyka, mógł to samo zrobić ze mną. I zrobił... pod moim siedzeniem przyczepiona była mina w kształcie pajaka.— Identyczna z tymi, które mieliśmy na Takili. Była odbezpieczona i jej wybuch zależał tylko od przyciśnięcia guziczka w przyrządzie, który miał Robert. Może dlatego włożył ręce do kieszeni, gdy się wznosiłem. Zimny pot wystąpił mi na czoło. Trząsałem się jak osika, ale nie zabezpieczyłem miny, przypuszczając, że wybuch nie nastąpi na oczach świadków.

Skierowałem się prosto na kępę roślinności na szczycie jednej ze szklanych gór, skąd onegdaj obserwowaliśmy z Julkiem dolinę. Gałęzie krzewów za chrobotwały po dnie wany. Rzuciłem między nie bombę i całym pędem poszybowałem naprzód. Będąc w bezpiecznej odległości opadłem w dżunglę, ale tak by widzieć wierzchołek góry. Czekałem z zapartym oddechem. Robert lada chwila powinien był nacisnąć guziczek, chyba, że chciał i dziewczęta posłać razem ze mną na łono Abrahama. Nie... Zabłysło oślepiające zielone światło, potem rozległ się huk. Gdy opadła kurzawa, góra wyglądała jak

nożem ścięta.

„Robert pomyśli, że zatrzymałem się na szczycie, by go szpiegować i zginałem w wybuchu — szepnąłem do siebie. — Będzie tylko kłął, że mu popsułem górę.”

Nie wiedziałem wtedy, że mu popsułem o wiele więcej.

Napięcie nerwowe minęło, lecz poczułem się zupełnie oklapnięty. Zniżyłem wanę nad brzeg leśnego jeziora i zanurzyłem się w wodzie. Jej chłodne dotknięcie wracało mi siły i spokój. Potem ułożyłem się na gigantycznym gąbczastym liściu rośliny „irine” i zasnąłem. Tym razem nie potrzebowałem się bać. Że mi małpy czy ludzie ukradną „Meteora”, zamknąłem bowiem szklane drzwiczki, które otworzyć można było jedynie odpowiednim stuknięciem. Podał mi je jeszcze Boldu na Wyspie Amgów, gdy przekazywał aparat.

\* \* \*

Zbudziły mnie ciche szepty rozmów. Była już noc, Wokół nie kręgiem siedziały olbrzymie postacie. Byli to Arajowie z Arzantą. Cierpliwie czekali na moje przebudzenie się. Gdy usia-

dłem, Arzanta podszedł do mnie.

— Vajni, Andra! Jesteśmy teraz twoimi przyjaciółmi — zapewnił. — Znaleźliśmy cię tutaj. Jesteś wielkim amgą, jeśli potrafiłeś rozbić tę górę. Wdrapaliśmy się na nią i wiesz co? — Jest pusta.

— Naprawdę?

— Tak. Zaglądaliśmy do środka. Tam wewnątrz żyją ludzie, płynie rzeka. Pełno jest roślinności. Na pewno Mgauri trzyma tam Szilu i nasze kobiety. Latasz w kuli... sprowadź je do nas...

Rewelacje Arzanty podnieciły mnie niezwykle. Szklane Góry były więc jakby olbrzymimi klozami. Co się kryło pod nimi? Może Dorota i Kobra przebywają, tam także? Urocza plantacja w dolinie to najprawdopodobniej tylko ładna dekoracja, za którą chowały się jakieś ciemne oprawy. Sam Mgauri niechcący otworzył wrota do swego podziemnego królestwa. Co za wspaiała szansa!

Robert co prawda mógł mnie śledzić przez telewizor, . lecz jak sam powiedział, nie siedzi przy nim stale. Jest zresztą przekonany, że zginałem, może uda mi się go zaskoczyć. Poleciałem Arajom, by czekali na mnie, a gdybym nie wró-

cił za dwa dni, żeby zawiadomili Kiniego i Mewy.

W parę minut później byłem już na skraju wyrwy, utworzonej przez wybuch. Wnętrze góry świeciło fosforycznym blaskiem. Widziałem rzekę, roślinność ale nie dostrzegłem żadnej istoty ludzkiej. Przeżegnawszy się zjechałem na dół. Obszerny tunel prowadził do wnętrza następnej góry. Olbrzymia szklana grota pełna była światła, które promieniowało ze ścian. Widno było jak w dzień. Rzeka rozszerzała się tu nieznacznie. Jej lewy brzeg pokrywała gęsto bambusowata roślina o wysokości co najmniej 3 metrów i kłosach podobnych do owsa. Prawy brzeg porosły był mchem. Na nim w dwóch rzędach spała setka mężczyzn. Biodła opasywały im skóry, ręce, nogi i szyje zdobiły złote bransolety.

Wypadłem na nich niespodziewanie. Chciałem zawrócić, gdy któryś zerwał się gwałtownie i krzyknął:

— Neste!

Cała śpiąca dotąd gromada podniosła się w mgnieniu oka, padła na kolana i oddała mi głęboki pokłon. Trwali tak, póki nie przeleciałem ponad nimi i nie zagłębiłem się w drugi z kolei



tunel. Zdawałem sobie sprawę, że zbliżam się pod ziemią do góry, przy której stał dom Roberta.

W następnej jaskini także zupełnie widnej, nie było prawie żadnej roślinności poza mchem. Pełno tuneli o różnej wielkości prowadziło stąd w rozmaitych kierunkach. Wybrałem największy, w który wpływała rzeka. Szedł stromo w dół. Woda toczyła się wartko i pieniała; nagle potężnym widem zapadła się we wnętrze ziemi. Tunel wszakże szedł dalej poziomo, aż otwierał się w niewielką jaskinię, z której nie było innego wyjścia. Widząc, że zabrnąłem w ślepią uliczkę, zawróciłem. Tymczasem niewidzialna ściana zagroziła mi drogę. „Coś” nie pozwalało przejechać. Wskoczyłem z wany i macałem przed sobą rękami. Palce dotknęły śliskiej, nieprzenikliwej powierzchni. Była to znana mi z Ava-Nari „ściana próżniowa”. Znalazłem się w potrzasku.

Rzuciłem się po grocie jak ryba w sieci. Na próżno! Dopiero gdy na świecie musiał się już zrobić dzień, nagle otwarła się skała w miejscu, gdzie bym nigdy nie podejrzewał przejścia. Szedł ku mnie Robert. Posłałem mu prosto w pierś serię z pistoletu promieniowego. Nic mu

się nie stało. Zbliżył się powoli i zatrzymał ze trzy kroki przede mną. Przyglądał mi się od stóp do głów, jakby mnie pierwszy raz zobaczył. Wreszcie przemówił:

— Czy to ty? Czy twój duch? Nie powinny były z ciebie ani drzazgi pozostać po wybuchu — dotknął mego ramienia. — Nie, to nie zjawa.

Dopiero teraz uprzytomniłem sobie, że Robert nie jest ubrany jak zwykle w białe europejskie ubranie, ale w białą pople ze zwieszającym się z przodu złotym emblematem słońca, z którego spływały wiotkie promienie. Na nagiej; piersi lśnił mu kunsztowny naszyjnik z drogocennych kamieni. Biodra oplatał złoty pas. Nie miał żadnej broni.

Ja natomiast, poza najwyraźniej bezużyteczną w tej chwili promieniówką, posiadałem zamknięty za pasem ten sam nóż ofiarny, którym Auxi chciał mi odebrać życie. Nie zastanawiając się wiele, wyciągnąłem go i skierowałem w pierś Roberta. Otwierałem usta, by zagrozić mu śmiercią, jeśli nie będzie posłuszny moim rozkazom, gdy on mnie uprzedził:

— Jeszcze cię nie odszedł wojowniczy nastrój? — zapytał pogardliwie. — O. K., pchnij!... Cemu się wahasz? Pchnij!

Nie chciałem go zabijać, choć mnie do tego zachęcał tak wielkodusznie, lecz wysunawszy naprzód głowicę noża wymierzyłem cios w czoło. Broń jednak nie dotknawszy czaszki, odsunęła się bezsilnie po niewidzialnej, śliskiej powierzchni. Roberta otaczało nieprzenikliwe pole. Był niezniszczalny.

— No, widzisz teraz, — przemówił takim głosem, jakby tłumaczył coś niegrzecznemu dziecku — że nic mi zrobić nie potrafisz.

Zamilkł na chwilę. Miałem wrażenie, że na pewno osłupienie i bezsilna złość widniejące na mojej twarzy, bawią go niezmiernie.

— Chciałem cię zabić. — ciągnął dalej beznamiętnie — ale zmieniłem zdanie. Los, który wyrwał cię z mej ręki, wskazuje, że przyjąłem błędną politykę. Przydasz mi się, a może i ja ci się przydam na coś? Chodź teraz za mną!

Weszliśmy do wnętrza skały. W wąskim, równym tunelu stał w powietrzu mały wagonik z czterema siedzeniami. Wsiedliśmy doń. Mknęliśmy przez korytarze, tunele, wypadaliśmy na jasno oświetlone groty, gdzie pracowało pełno ludzi, padających na nasz widok na ziemię. Wagonik zatrzymał się dopiero w okrągłym pomieszczeniu, pośrodku którego na kamiennej

posadzce leżał biały krąg o dwumetrowej średnicy. Robert wskazał nań.

— Połóż się! — rzekł.

Z duszą na ramieniu wykonałem rozkaz. Zdawałem sobie sprawę, że nie ma sensu opierać się, ale bałem się, co ze mną zrobi: powiększy moje rozmiary, odmieni moją barwę skóry lub zamieni w goryla?...

Robert podszedł do ściany i przesunął w dół małą dźwignię. Natychmiast całe moje ciało: od czubka głowy aż do palców u nóg przeszył ból straszliwy. Zdawało mi się, że ktoś drze na części moje kości, nerwy i ciało. Chciałem się zerwać, nie mogłem. Pragnąłem zemdleć, lecz świadomość nie odchodziła. Nie byłem nawet w stanie krzyczeć, wyc lub rzucać cię. Było to coś potwornego, nie do opisania, gorszego od męki w ogniu, od bólu wszystkich zębów naraz, od wbijania drzazg za paznokcie...

Robert podniósł dźwignię. Ból zniknął. Leżałem jednak porażony, nie mogąc się ruszyć. Mój prześladowca pociągnął drugą dźwignię. Objęło mnie rozkoszne uczucie, siły wracały. Za chwilę poczułem się tak mocny, że gotów byłem walczyć ze smokami. Podniosłem się.

— Trzymałem cię tylko kilka sekund, co było-

by, gdybyś tak musiał cierpieć całą godzinę, dwie, cały dzień?

— Chciałbym umrzeć.

— Niestety, od tego się nie umiera. Lecz nie bój się. Tylko nieposłusznych układam na tym kółku... a wątpię teraz, czy kiedykolwiek przyjdzie ci do głowy myśl buntownicza.

Rzeczywiście, czułem w tej chwili, że gotów jestem wszystko uczynić, byleby nigdy więcej nie znaleźć się na tym kole tortur. Poszedłem ze zwieszoną głową za Robertem jak zbity pies.

Przeszliśmy z kolei do pokoju bez okien, elegancko urządzonego. Na stole czekało śniadanie. W czasie posiłku Robert był bardzo rozmowny.

— Gupu, który mnie tu sprowadził, nic nie wiedział o tym podziemnym państwie. Odkryłem je przypadkowo. Jest to swego rodzaju składnica wynalazków wenusjańskich, o których na Ziemi nie śniło się nam nawet. Część ich odcyfrowałem i używam choć nie znam zasady działania. Większość jednak pozostaje dla mnie tajemnicą. To było chyba jakieś tajne laboratorium. Dlaczego je opuszczono? Mniejsza o to... dość, że dostałem w ręce niezwykłą potęgę, którą wykorzystam...

Zamyślił się, a z błógiego wyrazu twarzy wynioskowałem, że musiały to być myśli słodkie.

Moje natomiast były bardzo gorzkie. Uświadomiłem sobie bowiem, co musieli, czy jeszcze muszą, przechodzić Kobra, i Dorota, z których Robert na pewno stara: się wydobyć jak najwięcej tajemnic. Postanowiłem wprost o to zapytać. Nie miałem nic co stracenia.

— Czy Kobra i jego córka są tu? Już mi teraz chyba możesz powiedzieć?

— Odjechali... Kobra mógł być cenny dla mnie, lecz nie chciałem narażać się wenusjanom. Gdyby zaczęli zbytnio węszyć wokół tego miejsca, mogliby wywęszyć.

Kłamał, czy mówił prawdę? Trudno było osądzić. Istniała też możliwość, że Kobra sprzymierzył się z Robertem — były to przecież dusze pokrewne i ukrywa się wewnątrz Szklanych Gór.

— Z Wenusjanami nie chcę zadzierać — ciągnął dalej Mgauri. — Za łapanie ludzi nie pociągną mnie do odpowiedzialności, bo nie mieszają się w te rzeczy. Nie będą też interweniować, gdy stworzę w tych stronach potężne imperium. Pokażę ci moją fabrykę broni, i moją armię i moją flotę, którą przygotowuję w sekre-

cie. Żadne z państw tutejszych nie ma im równych.

Wyruszyłem ramionami.

— Jeśli myślisz, że twoi niewolnicy pójda za ciebie walczyć, to się mylisz — rzekłem z powątpiewaniem. — Zauważyłem, że są to przeważnie Kuwilińczycy, a ci nigdy nie poddadzą się tyranii...

— Czeką cię w tym względzie niespodzianka — odparł. — W jednej z moich grot prowadzę plantację rośliny, z której wyrabia się „lumbre”

— napój, jaki miałeś przyjemność popijać u Brabajów. Po dłuższym zażywaniu powoduje on zupełną amnezję. Wtedy rozpoczynam wychowanie swoich jeńców w bezkrytycznym „kulcie jednostki”. Staję się dla nich, pół-bogiem, za którym pójda i do piekła.

— Czy i mnie zamierzasz zaaplikować taką „kurację”? — zapytałem z niepokojem.

— Nie. Muszę mieć koło siebie choć trochę ludzi normalnych. Inaczej zwariuję. Wiem, że wykorzystasz każdą okazję, by uciec stąd lub wsadzić mi nóż między żebra. Będzie to między nami pasjonująca gra. Lubię hazard. Utrzymuje mnie w formie.

— Gra raczej nierówna — mruknąłem.

— Nie. Pamiętaj, że masz przewagę inicjatywy. Ja z konieczności muszę zająć postawę obronną. Chciałem cię usunąć, gdy zaczęłaś zanadto wścibiać nos w moje sprawy, teraz jednak cieś się, że mi się nie udało. Chodź, pokażę ci ciekawe rzeczy.

Podziemna kolejka bez szyn zawiozła nas do jednej z niezliczonych grot. Stała tu pośrodku obszerna klatka z metalowych prętów z kilkoma fotelikami wewnątrz. Na ścianach jaskini wisiały tablice rozdzielcze.

— Właź do środka — nr kazał Robert, otwierając drzwiczki klatki.

— Co to ma być? — zapytałem. — Czy wyjdę z tego eksperymentu czarny jak hebanowe drzewo, powiększony i z dwiema głowami?

— Nic podobnego. W oka mgnieniu, bez żadnej rakiety ani latającego talerzyka przerzucę cię na inną planetę.

Popatrzyłem na Roberta jak na wariata.

— A ty polecisz ze mną? — zapytałem.

— Nie. Siadaj na jednym z foteli i pociągnij dźwignię ku sobie. Za dziesięć minut wracaj. Wystarczy, że znowu przesuniesz tę dźwignię, a znajdziesz się z powrotem na Wenus.

Wydawało mi się to wszystko „zawracaniem



głowy”, lecz jednocześnie byłem ciekaw, co się stanie. Usiadłem wygodnie w fotelu. Robert podszedł do ściany i powłaczał jakieś kolorowe lampki.

— Już — skinął.

Pociągnąłem dźwignię ku sobie. Zapadłem się momentalnie w kompletną ciemność. Przez ciało przeszedł dziwny prąd, straciłem czucie w członkach. Zdawało mi się tylko, że gdzieś lecę. Trwało to wszystko zaledwie kilka sekund, po czym wróciła jasność. Siedziałem w tym samym foteliku i w tej samej klatce, ale otoczenie zmieniło się radykalnie.

Zerwałem się z siedzenia i stuknąłem boleśnie głową o sufit klatki, stałem się bowiem kilkakrotnie lżejszy niż przed chwilą. Otworzywszy drzwiczki wyszedłem na zewnątrz. Klatka stała na skalnym wzniesieniu. Rozpaczał się stąd widok na czożenią dolinę, pokrytą gęstą, rdzawą roślinnością o nieprawdopodobnych kształtach. Nad nią rozciągało się niebo fioletowej barwy bez chmur. Oczy moje paliło silne słońce. Lecz co to? Przede mną ze 45° nad horyzontem wisiała druga ognista kula, na którą mogłem patrzeć przymrużywszy oczy. Dwa słońca! A więc rzeczywiście jestem na jakiejś nowej planecie i

to spoza naszego systemu.

Niewielkie obłe wzniesienia ze szczerego złota obramowywały dolinę. Dnem jej płynęła pomarańczowa rzeka ginąc w szczelinie skalnej. Nad rzeką rosły olbrzymie czerwone kwiaty, których kielichy otwierały się i zamykały rytmicznie co kilka sekund. Dostrzegalem tam ponadto drzewa, podobne do wielkich modeli związków organicznych: na bardzo prostych gałęziach wyrastały nie liście, ale barwne kule nastroszona kolcami.

Brzeg rzeki był niedaleko. Postanowiłem zbadać, czy rzeczywiście płynie w niej sok pomarańczowy zamiast wody. Zsunąłem się z łatwością ze skalnego wzniesienia. Dzięki nadzwyczajnej lekkości wykonywałem kangurowe skoki. Było to przyjemne. Nagle zamarłem bez ruchu nie tylko ze strachu, co ze zdziwienia. Dojrzałem w pobliżu dwie olbrzymie „umpy”, identyczne ze zwierzakiem, który obłaskawiła Ewa.

— Nie zbliżaj się — zabrzmiał niespodziewanie za mną głos Roberta — one są bardzo niebezpieczne.

Na dźwięk głosu zwierzęta zwróciły łby w moją stronę, i przyglądały się ciekawie. Nie okazały jednak żadnej wrogości. Wycofałem się bez

przeszkód.

Robert widocznie chciał widzieć, jakie wrażenie zrobi na mnie nowa planeta i przyleciał tu także. Teraz wszakże, widząc, że się zbliżam, wszedł do klatki i w parę sekund później rozwiął się bez śladu. Klatka natomiast pozostała. Nie brała więc udziału w przelocie. W ślad za Robertem i ja powróciłem na Wenus do groty pod szklanymi górami.

— Masz odwagę — powiedział mi Robert na przywitanie — tak ruszać bez broni w nieznany teren.

Pomijając jego pochwałę mej odwagi, czy przyganę nieroztropności, zapytałem:

— Czy nie udało ci się sprowadzić jakiego okazu tych olbrzymów na Wenus?

— Skąd? Spróbuj je zmieścić do klatki... No co? Czy nie nadzwyczajne? Tak w jednej sekundzie przeskoczyć może i tysiące lat świetlnych?

— Nadzwyczajne — przyznałem z roztargnieniem, bo myślałem o tym, w jaki sposób „Um-pa” Ewy znalazła się w tej okolicy. Byłby gdzieś jeszcze jakiś większy aparat do podróży międzyplanetarnej?— Czy urządzałeś wyprawy w głąb tej nowej planety? — zapytałem przecho-

dząc na inny temat. — Może lepiej byłoby tam się przenieść niż podbijać Wenus?

— Próbowałem. Niestety w promieniu kilkuset jardów od klatki wznosi się niewidzialny mur, którego nie można przekroczyć. To całe, skądinąd nadzwyczajne urządzenie, jest więc tylko ciekawostką bez praktycznego znaczenia. A może ty znasz sposób na przebycie niewidzialnej ściany? Dorota w czasie swego pobytu tutaj mówiła, że są podobne na Ava-Nari.

Pokręciłem przecząco głową. Robert podszedł do tablicy rozdzielczej i wyłączył lampki. Starałem się dokładnie zapamiętać, których przełączników dotykał. Ta obca planeta mogła mieć praktyczne znaczenie — dla mnie.

— Te same przełączniki — wskazał na pozostałą część tablicy — nie działają. Prawdopodobnie było niegdyś połączenie i z innymi planetami, ale zostało przerwane. Szkoda.

\* \* \*

Mijały dni. Mieszkałem we wspaniałym szklanym pałacu o setkach pokoi — grot bez okien. Sięgamy one starożytnych czasów. Sądząc po płaskorzeźbach, zdobiących ściany, musiał je

wydrążyć pracowicie lud należący do tej samej cywilizacji, co owi „śpiący rycerze” w Górze Strachów na Ava-Nari.

Robert pokazał mi swoje podziemne królestwo. Jak mnie objaśnił, póki wybuch bomby nie otworzył na oścież jednej z gór, z podziemi prowadziły na świat zewnętrzny a tylko dwa wąskie przejścia, zamykane niewidzialnymi drzwiami, które tylko Robert potrafił otwierać. Jednym można było się dostać do domu w dolinie, drugim do olbrzymiej groty morskiej, w której mieściła się stocznia. Mgauri budował tam niewielkie statki drewniane, zaopatrzone w wenusjańskie niewyczerpalne motory, znalezione w podziemiach.

Kilka pieczar kryło fabrykę broni. Pod dozorem porwanego Niemca-specjalisty wyrabiano dość prymitywne dla oka, lecz groźne i skuteczne w użyciu działa, karabiny i pistolety. Armię, która liczyła ze dwa tysiące ludzi — potęgą na stosunki wenusjańskie — ćwiczył ów ponury młody człowiek o krogulczym nosie, który towarzyszył Robertowi w wizycie u Brabajów. McGuire ufał mu całkowicie, lecz go nie lubił za skryte, małomówne usposobienie. Domyślałem się, że zachował mnie ostatecznie

przy życiu, żeby móc się przed kimś wygadać, z kimś zmierzyć na języki i prowadzić ukrytą walkę. Odkrywał przede mną swe plany, które krytykowałem bez miłosierdzia. Starąłem się załamać go w jego przedsięwzięciu, ukazać cały nonsens marnowania zdolności i energii życiowej na podbój świata. Kpiłem nieraz z niego w żywe oczy, rzucałem słowa, które w moim obecnym położeniu były zuchwalstwem.

On jednakże lubił to. Był jak Kobra człowiekiem inteligentnym i utalentowanym, o niezmiernych ambicjach, lecz o dziwo bez wielkiej zarozumiałości. Robił na mnie wrażenie dużego, niedojrzałego dziecka, które musi nagromadzone energie wyładować w zabawie i nic go nie obchodzi, że ta zabawa spowoduje dla innych bolesne, a nawet tragiczne skutki.

— Aleksander Wielki, Cezar, Napoleon — miał nieraz — uważani byli za ludzi wielkich, za pionierów cywilizacji, chociaż wylali morze, krwi i łez. I o mnie będą pieśni śpiewali, gdy mi się uda. Lecz nie o to mi chodzi, życie jest dla mnie wielką grą w szachy. Przegram — trudno. Wygram — jeszcze lepiej. Nienawidzę i boję się tylko jednego: nudy.

— Mógłbyś się nie nudzić, tworząc dobro.

— Może, ale tego nie umiem. Zostawiam to takim cnotliwcom jak ty.

W obrębie podziemi cieszyłem się nieomal nieskrępowaną wolnością poruszania się. Do niektórych tylko pomieszczeń broniły dostępu niewidzialne drzwi. Gdzieś w niewidocznym miejscu Robert posiadał centralę, z której regulował całe życie podziemi. Miałem na to dowody, że podsłuchiwał stamtąd i oglądał wszystko, co się działo nawet w najdalszym zakamarku. Ponadto potrafił ukazywać się w każdym miejscu, gdzie zechciał, nie ruszając się zrazem z centrali.

Nadzorowałem właśnie niewolników pracujących przy uprawie rośliny, z której wyrabiane lumbę, gdy Robert niespodzianie stanął przede mną. Robotnicy natychmiast padli na ziemię w kornym pokłonie wołając „Nesfe”, ja natomiast miałem przywilej powitania go tylko pochYLENIEM głowy. Wydawał mi właśnie polecenia, gdy nagle osłupiałem: jedna z gałęzi, wychylona na ścieżkę, gdzie stał, najwyraźniej przeszła na wylot, przez jego ciało. Zrobiłem krok naprzód, ręka moja namacała próżnię — tam nic nie było. Robert zmarszczył brew i... zniknął.

Brałem to początkowo za obiektywne zjawisko

optyczne, wywołane na odległość, lecz on sam później wyjaśnił, na czym rzecz polega. Używał aparatu, który nazwał „psychic projector”, a któremu ja nadałem później miano „halucynatora”. Nazajutrz po owym wypadku Robert „wszedł” przez ścianę do mego pokoju. Śmiał się z mego zakłopotania, jak dziecko szczęśliwe z udanego figla. Zapytałem go: „jak to robisz?” Odpowiedział:

— Moje ciało ma specjalne własności.

Nie wierzyłem. Dał mi pewne polecenie i rozplynał się w ścianie. Nie mogłem wyjść z podziwu. Pożerała, mnie ciekawość, która miała być zaspokojona nazajutrz.

Robert pracował nad urządzeniem swojego pomysłu i potrzebne mu były moje wiadomości z elektrotechniki. W pewnej chwili nie mogłem sobie ani rusz przypomnieć, jakich roztworów używa się do ogniw elektrycznych.

— Musisz mnie chyba zahipnotyzować — rzekłem — i wyciągnąć ze mnie te nazwy...

— Hipnotyzować nie umiem — odparł wzruszając ramionami — ale mam coś lepszego.

Zawiązał mi oczy i poprowadził, jak się domyśliłem, do swego „sacro-sanctum”. Gdy pozwolił mi zdjąć opaskę, stwierdziłem, że znajdujemy



się w niewielkim pomieszczeniu, w którym, stało szereg foteli ze zwieszającymi się nad nimi metalowymi hełmami. Wyglądało to trochę jak zakład fryzjerski dla pań. Robert kazał mi usiąść. Opuścił hełm na moją głowę i dopasował go pokręcając rozmaitymi śrubkami. Następnie podszedł do wielkiej tablicy rozdzielczej i zaczął przy niej majstrować.

Po chwili światło w grocie przygasło, tylko na ścianie przede mną lśnił srebrny ekran średnich rozmiarów.

— Pamiętasz moment, w którym się uczyłeś o ogniwach elektrycznych? — spytał.

— Tak, widzę w pamięci, jak profesor kreśli kredą wzór chemiczny na tablicy, ale co pisze, nie mogę sobie przypomnieć.

— Doskonale. Patrz na ekran i powiedz mi, czy to, co zobaczysz, było przedtem, czy potem i jak dawno.

Coś mnie „załaskotało” w mózgu i w chwilę później dojrzałem na ekranie majątek „Bienica” na Wileńszczyźnie. Stałem obok drewnianego wózka, a z daleka biegł ku mnie ze szczekaniem biały pies. Poczulem strach. To już się nie działo na ekranie, ale ja sam „tam” byłem. Ktoś zaczął wołać na psa, ten zatrzymał się, lecz ujadął

nadal zawzięcie.

Ponad tym dźwiękiem dobiegło mnie pytanie Roberta:

— Jak daleko w czasie znajdujesz się od tego wykładu?

— To, co widzę, działo się, gdy miałem cztery lata.

— A teraz?

Dawno zapomniane obrazy poczęły przesuwać się przed moimi oczami tak żywo i wyraźnie jakbym sam rzeczywiście cofnął się w przeszłość.

— Czy widzisz, co ja widzę? — spytałem Roberta.

— Nie. Ten ekran to tylko pewna pomoc psychologiczna; to nie na nim lecz w twojej głowie przesuwiają się obrazy. Co dostrzegasz teraz?

Po dłuższych próbach Robert natrafił wreszcie na właściwy moment. Ujrzałem wykładowcę i tablicę z wyrysowanym schematem ogniwa Lec-lanche'a i Daniella. Z łatwością odczytałem, symbole chemiczne:  $\text{NH}_4\text{Cl}$ ,  $\text{H}_2\text{SO}_4$ , roztworów używanych w ogniwach. Niewiele się to zresztą przydało, bo i tak nie potrafiliśmy wyprodukować tych składników chemicznych.

Robert zapisał to co mu podyktowałem, za-

trzymał mnie jednak nadal w fotelu. Usłyszałem trzask przełączników.

— A teraz — rzekł — puść wodzę fantazji i wyobrażaj sobie, co chcesz: Alicję w krainie czarów, Peter Pan’a, Ali Babę i czterdziestu rozbójników.

Było to coś wspaniałego: znalazłem się w świecie baśni, który układał się według mych życzeń. Każde moje wyobrażenie natychmiast wysnuwało się przede mną żywe, barwne, niemal dotykalne. Doświadczałem chyba czegoś z tej radości stwarzania, którą przeżywa Bóg wyprowadzając światy z nicości. Byłem wszechwładny: na moje życzenie jawiły się morza, dżungle, góry i doliny, miasta i wsie, piramidy egipskie i kiszące ogrody Babilonu, najbardziej fantastyczne statki międzyplanetarne i straszliwe potwory, zamieszkujące odległe zakątki kosmosu. Stwarzałem, a za chwilę unicestwiałem. Potęgą myśli obracałem w perzynę całe miasta, kazałem górom wyrzucać ogień, gwiazdom spadać na ziemię, oceanom kłębić się, szaleć, niszczyć... Rozkosz tworzenia i rozkosz niszczenia, rozkosz niczym nie ograniczonej potęgi.

— Dość, dość tego! — zawołałem do Roberta.

Nacisnął guziczek. Wszystko zniknęło. Wsta-

łem z fotela spocony i przerażony.

— To bardzo niebezpieczna maszyna — powiedziałem. — Człowiek, co by jej często używał, musiałby chyba zwariować. Nie wytrzymałby bowiem pokusy ucieczki na stałe w świat marzeń. To pewnie z tej maszyny zaczerpnąłeś sny o potędze.

— Chodź! — rzekł Robert, któremu mój podziw sprawiał wyraźną przyjemność — zobaczysz coś jeszcze lepszego: „psychic projector”.

W sąsiednim pokoju mieściło się jedno tylko urządzenie, podobne do poprzednich: wielki hełm, wygodny fotel, a przed nim biurko z mnóstwem klawiszy, przełączników i lampek. Na ścianie naprzeciw ekran telewizyjny.

Robert zasiadł w fotelu. Nacisnął kilka klawiszy. Zamknął oczy. Wtem stała się rzecz nieprawdopodobna: rozdwoił się. Jedno ciało pozostało w fotelu, drugie stało przede mną — uśmiechnięte, najbardziej realne — nagle znikło. W tej samej chwili zza fotela wyszedł tygrys. Słyszałem zduszony ryk wrywający się z potężne;, piersi. Zbliżał się wolno kocim, skradającym się chodem. Sprężył się jak do skoku, lecz nagle zmienił się w słonia, puścił mi w twarz strumień wody. Potem wszystko zniknęło,

moje odzienie wyszło momentalnie.

Robert wstał z fotela.

— No jak ci się to podoba? — zapytał z uśmiechem satysfakcji.

— Nadzwyczajne — przyznałem. — Halucynacje, powodowane przez ten aparat...

— Za pomocą tego aparatu — poprawił mię — moja myśl bowiem pozostaje głównym działaczem. „Psychic projector” ją tylko potęguje... Jak więc się przekonałeś, jesteście wszyscy w mojej mocy w obrębie szklanych grot, bo niestety na zewnątrz ta maszyna nie działa. Tutaj jednak mogę w was wywoływać dowolne halucynacje lub pozbawiać przytomności.

— Czy gdy „wychodzisz” ze swego ciała, widzisz miejsca i osoby, do których się udajesz?

— Nie w sposób psychiczny. Widzę je zazwyczaj w tym telewizorze — wskazał mały ekran na ścianie — który mogę nastawiać na wielką ilość miejsc... i na twój pokój też — dodał złośliwie.

Zawiązał mi następnie oczy i wyprowadził.

— Jak się nauczyłeś operować tymi aparatami? — zapytałem.

Wzruszył ramionami.

— Sam doszedłem do tego przez liczne próby,

niezbyt w to wierzyłem.

Mijały dni, które ani na krok nie zbliżyły mnie do realizacji upragnionej ucieczki. Wszystkie możliwe wyjścia były zablokowane niewidzialnymi drzwiami. Robert przechodził przez nie swobodnie. Odkryłem, że to naszyjnik, który stale nosił, otwierał przed nim przejście. W jakiś sposób bowiem neutralizował działanie pola, tworzącego nieprzepuszczalną „ścianę próżniową”. Ukradzenie tego naszyjnika wdało mi się jedynym sposobem wydostania się z wnętrza szklanych gór.

W swoich zakusach zyskałem wkrótce sprzymierzeńców w osobie Mary i Jerzego, których Robert sprowadził pewnego razu w podziemia, nie spełniwszy obietnicy danej narzeczonym, że ich wyśle w cywilizowane okolice, by mogli wziąć ślub. Odkrył, że zniecierpliwieni jego zwlekaniem planują ucieczkę i dlatego zamknął ich we wnętrzu szklanego więzienia. Młodzi jednakże tym bardziej pragnęli się wyrwać z jego rąk.

Tłumaczyłem obojgu, że według prawa kanonicznego (dowiedziałem się tego swego czasu od ojca Piotra), gdy nie ma możliwości dotarcia do księdza katolickiego w przeciągu miesiąca, na-

rzeczeni mogą sami zawrzeć ważny związek małżeński w obecności dwóch świadków. Jerzy ogromnie ucieszył się tą wiadomością i natychmiast chciał brać ślub, ale Mary oparta się stanowczo:

— Wierzę ci, Andrzeju — rzekła — ale ja chcę mieć „normalny” ślub w kościele, w obecności księdza i w białym welonie, a nie taki jakiś pogański. Nie... za żadne skarby świata...

We trójkę więc obmyślaliśmy sposoby ucieczki. Po długich, naradach doszliśmy do wniosku, że trzeba uderzyć wprost w Roberta. Na pewno były momenty, kiedy był bezbronny. Może w nocy odejmował pas wytwarzający pole ochronne wokół jego ciała?

Sypialnia Roberta wraz z sąsiednim apartamentem i łazienką — kandydat na władcę ludów mieszkał skromnie — znajdowała się tuż koło naszych pomieszczeń. Dzięki temu łatwo było przeprowadzać obserwacje, które wkrótce już dały ciekawe wyniki. Codziennie rano ogromny Nauińczyk nosił na tacy śniadanie swemu panu. Bez trudu przechodził przez niewidzialne, lecz nieprzenikliwe dla nas drzwi, osłonięte od wewnętrznej strony czerwoną kotarą. I on bowiem miał zawieszony na szyi łańcu-

szek, z którego zwieszała się wielka złota broszka — niewątpliwie neutralizator pola. Żeby więc dostać się do sanktuarium Roberta, należało unieszkodliwić jego niewolnika i zabrać mu ten przyrząd. A to już leżało w ramach naszych możliwości.

Tymczasem obserwacje odkryły jeszcze jeden ciekawy szczegół. Śniadanie zanoszone Robertowi było zawsze bardzo obfite, wystarczające przynajmniej na dwie osoby. Ponadto pewnego razu Mary dostrzegła aż dwa kubki na tacy, kiedy indziej zaś pożywną marmeladę, o której wiedziała, że brat jej nie używał.

Kogóż więc Mgauri trzymał w swoim apartamencie? Byliśmy tam kilkakrotnie na jego zaproszenie — poza nim samym nikogo więcej nie było; nie dostrzegliśmy też ani śladu drzwi, prowadzących do dalszych pomieszczeń. Od razu przyszła nam do głowy myśl, że to Kobra i Dorota są tam więzieni. Robert co prawda twierdził stanowczo, że odjechali z Gupu, Mary jednakże słyszała od służebnej Kuwilinki, która widziała odlot młodego Wenusjanina, że ani Kobry, ani Doroty nie było w wanie.

Tym bardziej więc postanowiliśmy dostać się do wnętrza Robertowego apartamentu. Nasze



narady naturalnie odbywały się bardzo ostrożnie. Przeprowadzaliśmy je nieznacznie, gdy Robert był w zasięgu oka, lecz poza zasięgiem ucha i gdy była pewność, że to on sam w swym prawdziwym ciele się znajduje. Kiedy był bowiem nieobecny, zachodziła obawa, że właśnie siedzi przy swoich śledczych aparatach. Wreszcie ustaliliśmy plan działania i czekaliśmy na okazję, by go wykonać.

## **Rozdział XII**

### **Jak w kalejdoskopie**

Któregoś dnia przy obiedzie Robert zapowiedział, że po południu nabiera swoją armię na kilkodniowe manewry w dżungli. Rozjaśniły nam się oczy. Była to dawno oczekiwana okazja zakradnięcia się do jego pokoju.

— Zaciekawi was też pewnie — dodał Robert

— że wysłałem dziś rano kapitana Blacka na „Delfinie”, żeby sprowadził resztę dziewcząt z haremu naszego Andry. Będzie nam tu weselej.

— Może pozwolisz nam śledzić tę operację bojową przez telewizor? — poprosiłem.

— Niestety przestał działać. Na górze, którą wysadziłeś w powietrze, musiały się znajdować jakieś aparaty, czy anteny z nim połączone, które uległy zniszczeniu. Od tego dnia bowiem nic przecień nie mogę zobaczyć. Wielka to strata...

— Sam sobie jesteś winny — mruknąłem. Wiadomość zaniepokoiła mnie. Póki Kini i Mewy były na wolności, zawsze była jakaś szansa odsieczy z ich strony... Może jednak Black nie zastanie ich na dawnym miejscu. Gdy nie powróciłem, na pewno podjęli jakieś działania. Tratwa już była przecież na ukończeniu.

Zaraz po południu rozpoczął się wymarsz poszczególnych oddziałów. Podziwialiśmy ich karność, sprzęzystość i piękno strojów. Ubrani byli w różnokolorowe pople i złociste hełmy. Gdyby nie karabiny, wydawać by się mogło, że to starożytna armia egipska rusza na podbój dalekich krain pod wodzą faraona.

Robert opuścił szklane groty razem z armią,

ale przed odejściem skazał Mary, Jerzego i mnie na areszt domowy. Zamknięto nas w pokojach za niewidzialnymi drzwiami.

„Ktoś mi musi przynieść kolację do pokoju — myślałem — unieszkodliwię go bez trudności, mam przecież dotąd pistolet promieniowy, a w popli schowaną zatrutą strzałkę.”

Robert jednakże nie był naiwny. Gdy olbrzymi Kauińczyk przyniósł mi kolację, chronił go niewidzialny pancerz. Pod nim na muskularnej piersi widniał medalion, otwierający przejścia. Byłem zgnębiony i wściekły. W bezsilnym gniewie biłem nic nie winną poduszkę, gdy niespodzianie przyszło olśnienie. Jeżeli Roberta i jego gwardię chroni pole próżniowe nie przepuszczające żadnej materii, czym w takim razie oddychają? Niewidzialny pancerz musi mieć jakąś szczelinę, a ta szczelina jest przysłowiową „piętą Achillesową”. Jak się o tym przekonać?

Gdy nazajutrz rano olbrzym wszedł do mego pokoju, zdumiał się, zastawszy mnie stojącego na stole z dzbankiem niedopitego czerwonego napoju. Zadziwił się jeszcze więcej, gdy zamiast normalnego przywitania, chlusnąłem nań z góry zawartością dzbanka. Moje wczorajsze przypuszczenie okazało się słuszne. Pole ochronne

miało kształt cylindra otwartego od góry, płyn bowiem spłynął częściowo po jego zewnętrznej stronie, częściowo zaś oblał głowę i piersi Nauńczyka.

Zanim się zorientował o co chodzi, w ślad za płynem posłałem mu strzałkę, która ugodziła go w głowę. Olbrzym padł nieprzytomny na ziemię. Razem z nim przechyliło się pole ochronne. Wczołgałem się do saskiego wnętrza niewidzialnego cylindra i zająłem medalion z szyi pokonanego. Do pasa, stwarzającego pole, nie mogłem dosięgnąć.

Obejrzałem medalion. Był w nim u dołu mały guziczek; gdy go nacisnąłem, bez trudu przeszedłem przez niewidzialne drzwi.

Wyszedłem na korytarz. Zawahałem się, czy od razu uwolnić Mary i jej narzeczonego, czy też raczej najprzód zlustrować pokój Roberta. Wybrałem to ostatnie i za chwilę znalazłem się w apartamencie naszego pana i władcy. Gabinet, sypialnia, łazienka na pierwszy rzut oka nie przedstawiały nic ciekawego, a i przy dokładniejszym zbadaniu nie dojrzałem niczego, co by wskazywało na istnienie ukrytego przejścia.

Chciałem już zrezygnować z badań, gdy nagle usłyszałem zbliżające się kroki. Do sypialni

wszedł Nauińczyk z tacą w ręku. Całe szczęście, że byłem właśnie w łazience, inaczej zauważyłby mnie niewątpliwie. Przywarłem do ściany. On jednak nie zajrzał do łazienki: nie opuścił też pomieszczenia; skąd więc taka nagła cisza? Może coś podejrzewa i czai się na mnie? Odczekałem chwilę i wychyliłem się ostrożnie. Olbrzym zniknął, za to wielkie lustro odchyłone było od ściany, a za nim widniało oświetlone przejście.

Posłyszawszy znowu kroki uskoczyłem za ścianę. W parę minut później zostałem sam w pomieszczeniu. Lustro z powrotem przywarło do ściany, lecz otworzyłem je bez trudu. Ukazał się krótki korytarz i mała winda antygravitacyjna, podobna do tych, jakie poznałem na statku przestrzennym w Kamiru. Zjechałem z 50 metrów i znalazłem się w jasno oświetlonej obszernej grocie. Po lewej stronie, na kamiennej ławie, odziany tylko wąską opaską na biodrach, siedział Kobra. Podobna ława po przeciwległej stronie groty była pusta.

Na moi widok starzec wydał cichy okrzyk i podniósł się. W jego oczach odmalowało się zdumienie i radość:

— Andra — zawołał — to ty? — po czym po-

smutniał nagle i dodał: — niestety za późno.

Po tych słowach jakby mu nogi odmówiły posłuszeństwa, bo opadł ciężko na ławkę.

— Czemu za późno? — zapytałem podchodząc do starca. — Co się dzieje z Dorotą, gdzie ona jest?

— Przybyłeś za późno, by ją uratować — odparł z boleścią w głosie — Robert, chcąc wymusić na mnie zdradę pewnych tajemnic, głodził ją tam — wskazał tragicznym ruchem przeciwległą część groty — na moich oczach. Była już tak słaba, że się ruszać nie mogła.

— I co? Umarła? — przerwałem mu gwałtownie, czując, że serce mu podchodzi go gardła.

— Chyba tak — odpowiedział z wahaniem. — Zasnąłem, a może mnie uśpiono. Gdy się ocknałem, Dorti nie było. Robert co prawda okazywał zdumienie z powodu jej zniknięcia, wypytywał mnie, ale na pewno grał niecną komedię. Nie mogła sama zniknąć.

— Przecież stąd łatwo się wydostać, winda działa, a drzwi za lustrem łatwo otworzyć, później co prawda...

— Masz aparat neutralizujący na szyi — przewał Kobra — dlatego podszedłeś do mnie bez trudności. Tu jednak są dwie niewidzialne

ściany, dzielące tę grootę na dwie cele więzienne. Tam na ścianie — wiązał małą tablicę rozdzielczą — można je włączać i wyłączać. Ponieważ nad każdą jest szpara dla dostępu powietrza, którejs nocy podarłem materac i ubranie i sporządziłem lasso. Udało mi się je zarzucić na rączkę wyłącznika. Dostaliśmy się na górę, ale stamtąd nie było wyjścia. Robert zastał nas i sprowadził tu z powrotem. Zabrał mi potem materac, a nawet ubranie.

Podszedłem do tablicy rozdzielczej i wyłączyłem niewidzialne ściany.

— Chodź ze mną! — rzekłem do Kobry.

Ten jednak schwycił mnie kurczowo za rękę.

— Poczekaj, muszę ci coś powiedzieć, Andra. Może mi nie zechcesz wierzyć, ale jestem zmienionym człowiekiem. W Robercie, w jego niezmiernej ambicji, braku zasad moralnych, nie liczeniu się z dobrem innych, dojrzałem niby w lustrze swoje odbicie. Dojrzałem i przeraziłem się. Jakimże byłem potworem! Więzienie, długie rozmowy z Dorti, jej postawa dopełniły reszty. O, Boże! Co wycierpiałem, patrząc na jej powolne konanie. To było straszne! Byłem już gotów kupić jej życie za zdradę tajemnic, ta dzielna dziewczęca jednak nie pozwoliła mi tego

uczynić. O, Andra! Jaka to piękna dusza, a jakim ja jestem nikczemnikiem!

— Byłeś — odparłem wzruszony — obecnie szczerzy żal naprawia wszystko. Chodź, będzie później czas na opowiadanie. Teraz może nas kto zaskoczyć.

— Gdzie jest Robert?

— Urządza manewry swej armii w dżungli, ale któryś z jego służących może tu zejść w każdej chwili, a otacza ich pole ochronne...

— Z tym medalionem na szyi nie obawiaj się pola ochronnego, atakuj od razu zanim się spostrzegą.

Wjechaliśmy windą do apartamentów Roberta. Należało jeszcze uwolnić Mary i Jerzego, dostać się do „Meteora” i uciekać.

Wygrzałem ostrożnie na korytarz.

— Nie ma nikogo, można iść — skinąłem na Kobrę.

Wyszliśmy. Ze dwa kroki przed nami stał Robert, uśmiechnięty złośliwie:

— A panowie dokąd? — spytał.

Pamiętając, że mam na szyi medalion neutralizujący niewidzialny pancerz, skoczyłem jak tygrys. Ale już nie jak tygrys rąbnałem ciałem o szklaną podłogę korytarza, tłukąc się boleśnie.



Nie był to bowiem Robert z krwi i kości, lecz jego widziadło wywołane halucynatorem. Podniosłem się upokorzony i zrozpaczony. Zjawa śmiała się co rozpuku.

W tej samej chwili zobaczyłem ze zdziwieniem — myślałem nawet, że jestem znowu ofiarą halucynacji — jak Kobra podszedł szybko do szklanych wazonów z kwiatami, ustawionych w korytarzu. Wylał zawartość jednego z nich i założył go sobie niby hełm na głowę. Chwycił następnie drugi i kazał mi go włożyć. Posłuchałem, nie rozumiejąc, o co chodzi. Gdy wazon znalazł się na mojej głowie, widmo Roberta natychmiast znikło.

— Te wazony — objaśnił Kobra — są zrobione z tego samego materiału, co skały i osłaniają nasze mózgi przed wpływem psychicznych aparatów Roberta.

— Niemniej widzi on nas nadal w swoim telewizorze i zablokuje nam wyjścia.

Kobra rozejrzał się. Porwał jeszcze jeden wazon i cisnął nim w górę, gdzie na ścianie niby lampka wisiała złota kula. Wazonowi nic się nie stało, ale kula pękła.

— Już nas na tym korytarzu nie zobaczy — powiedział Kobra. — Bierzmy tamtych dwoje i

próbujemy szczęścia! Wywalczymy sobie przejście. Masz przecie pistolet promieniowy.

Bez trudu wydobyłem Jerzego i Mary z ich pokojów. Kobra przybrał naszych przyjaciół w szklane hełmy, po czym szliśmy spiesznie korytarzami, rozbijając do drodze złote kule. W jednym miejscu zastąpili nam drogę potężni Nuińczycy. Na szczęście nie mieli niewidzialnych pancerzy, toteż w jednej sekundzie unieszkodliwiliśmy ich promieniami. Gdy się jednakże wychyliłem do następnego korytarza, świsnęła mi nad uchem kula karabinowa. Cofnąłem się pospiesznie. Tędy droga ucieczki była odcięta.

Robert zdążył zaalarmować strażę i obstawił oba wyjścia oraz drogę do „Meteora”. Wszędzie witały nas kule, których dotąd uniknęliśmy tylko cudem. Robertowi najwidoczniej nie zależało już na wzięciu nas żywcem.

Patrzyliśmy bezradnie na siebie, a raczej spojrzenia nasze skierowały się ku Kobre. On jeden chyba mógł coś wymyślić.

— Idźmy w kierunku, który jest jeszcze nie zablokowany — rzekł przejmując inicjatywę — może się przynajmniej gdzieś skryjemy na razie. O, na tym korytarzu, nie ma złotych kul. Zmylimy pogoń.

Lepsza taka rada, tuz żadna. Puściliśmy się biegiem. Korytarz skręcał w prawo i szedł w dół. Nagle przypomniałem sobie, gdzie jesteśmy. Korytarz rozdwajał się. Poprowadziłem wszystkich w lewą odnogę. Za chwilę znaleźliśmy się w grocie z wielką klatką. Stąd prowadziła droga tylko na inną planetę.

Otworzyłem drzwi klatki.

— Włażcie do wnętrza i siadajcie na fotelikach! — zawołałem. — Szybko!

Moi towarzysze usłuchali bez protestów, a ja dopadłem do tablicy rozdzielczej. Na szczęście pamiętałem, które dźwignie należy przeczucić. Zabłyśły kolorowe lampki. Za chwilę i ja znalazłem się wewnątrz klatki. Poruszyłem dźwignią. Ogarnęła nas ciemność i w sekundę później byliśmy już na innej planecie. Żółte słońce chyliło się ku zachodowi. Czerwone stało w zenicie. Dwie wielkie „umpy” pasły się w pobliżu wzgórka, na którym stała klatka. Parę kroków od nas niezwykle zwierzątko grzebało coś w ziemi: jakaś niby-stonoga wielkości psa o czarno-żółtej łusce na grzbiecie i śmiesznych różkach-oczach na łbie, jak u ślimaka.

— Gdzie jesteśmy? — wykrzyknęła Mary, ujrawszy dwa słońca.

— Na Fegidu, planecie, dokąd przenieśli się Wenusjanie po opuszczeniu Wenus — odpowiedział Kobra. — Byłem tam parokrotnie, tylko, że innym wehikułem przestrzennym. Ten sposób przenoszenia się — wskazał klatkę. — to największy wynalazek na przestrzeni dziejów rodu ludzkiego. Słyszałem, że pracowano nad tym od lat, ale nie wiedziałem, że wreszcie zrealizowano teoretyczne założenia. Te podziemne urządzenia założyła grupa uczonych, wygnanych z Fegildu na Wenus za niedozwolone doświadczenia z ludami. Najwidoczniej odtworzyli tu w tajemnicy swoje laboratoria, które obecnie odkrył Robert. Znajduje się tu wiele wynalazków szalenie niebezpiecznych w rękach takiego człowieka. W pierwszej chwili chciałem się z nim sprzymierzyć i dać nauczkę moim współziomkom...

— No świetnie — przerwał mu Jerzy — uciekliśmy na daleką planetę, ale co dalej? Powrót mamy odcięty.

— Z medalionem, który Andra ma na szyi — odpowiedział Kobra — przecisniemy się przez ścianę otaczającą dolinę i dotrzemy do siedzib ludzkich...

— Także Robert posiada aparat do neutraliza-

cji pola próżniowego, a nie mógł się przedostać przez ścianę. Jesteśmy więc w „dolinie bez wyjścia”. chyba... chyba, że to wszystko jest zwykłą „lipa w kratkę”.

Ponieważ ani Kobra, ani Mary nie rozumieli, co oznacza „lipa w kratkę”, musiałem dokładniej wyłożyć swoją myśl.

— Od dawna — rzekłem — męczy mnie pewne pytanie: w jaki sposób jeden z tych potworów — wskazałem na pasące się „umpy” — wydostał się stąd na Wenus i buszuje po dżungli o parę kilometrów od szklanych gór? Opowiadałem wam o smoku obłaskawionym przez Ewę. Otóż podejrzewam, że wcale nie jesteśmy na innej planecie, a to co widzimy jest świetnie wykonaną panoramą. Jeśli „umpa” naszej Ewusi stąd się wydostała, istnieje poza tą klatką jakieś inne wyjście, które nas zaprowadzi w dżunglę.

— Skąd więc te zwierzęta — zaoponowała Mary — ta odmienna przyroda, to poczucie nadzwyczajnej lekkości, te dwa słońca? To nie może być sztuczne!

Kobra rozejrzał się uważnie po otoczeniu.

— Andra może mieć rację — powiedział z wahaniem — trzeba się przekonać. Te, jak je nazywasz, „umpy” wykluwają się ze stosunkowo

niewielkich jajek, które łatwo było przewieźć z Fegildu... gdzie by w takim razie było to przejście, którym takie wielkie zwierzę się wydostało?

— Tylko tam — wskazałem na miejsce, gdzie pomarańczowa rzeka zapadała się pod ziemię.

Pozostawiliśmy przy klatce Jerzego z pistoletem promieniowym dla odparcia ewentualnego ataku, a sami ruszyliśmy ku rzece. Po drodze zapytałem się Kobry, czy wie, co się stało z grupą uczonych, która przebywała na wygnaniu na wyspie szklanych gór.

— W czasie ogólnej ewakuacji Wenus i ich zabrano — odparł.

Dostaliśmy się do rzeki niesłychanie szybko. Dzięki słabszej sile przyciągania, każdy nasz krok był skokiem kilkumetrowym. Było to zabawne i przyjemne. Okrągła wyrwa, w którą wpadały wody, miała dwustumetrową średnicę i ze 30 metrów głębokości. Z miejsca, gdzieśmy stali, widać było, iż rzeka wpływa następnie w podziemny tunel.

Kobra pochylił się nad wodą, nabrał w dłoń, powąchał i posmakował.

— Na Fegildu — powiedział, odwracając się ku nam — w takich pomarańczowych rzekach pły-

nie pewna tłustawa substancja, to natomiast wygląda rai na barwioną wodę.

— Po cóż by ci uczeni bawili się w takie oszustwo? — spytała Mary.

— Fegildu była ich rodzinną planetą. Tęsknili za nią i dlatego stworzyli tu sobie jej namiastkę — podsunąłem przypuszczenie.

Złote słońce zaszło, a i czerwone chyliło się nad widnokrzem. Ta planeta obracała się szybciej, niż Ziemia czy Wenus wokół swej osi. Powróciliśmy do Jerzego, by razem spędzić noc. Zapadła niedługo. Na niebie ukazały się gwiazdy ułożone w nieznane konstelacje. W godzinę później pojawiły się też dwa pomarańczowe księżyce, z których — jak nas objaśnił Kobra — mniejszy krążył wokół większego, nęcąc satelitą „do kwadratu”.

Czy było to wszystko rodzajem wspaniałego planetarium, czy naprawdę o kilkanaście lat świetlnych od niego?

Nic, ani nikt nie przeszkodził nam w spoczynku tej jedynej w swym rodzaju nocy, która zresztą trwała krótko. Rano udaliśmy się z powrotem nad wyrwę, w jednym miejscu stromy jej brzeg zapadł się, przypuszczalnie pod ciężarem nasze: „umpy”. Czepiając się korzeni, wy-

stających głazów, lub jadąc w dół po obsuwającym się piasku, dotarłem szczęśliwie na dno. Rzeka huczała, pienila się i obryzgiwała mnie pomarańczowym deszczem. Stałem na śliskiej platformie, skąd można było zajrzeć do wnętrza tunelu. Już w nocy spostrzegliśmy, że rzeka wydaje z siebie słaby blask, teraz dzięki temu światłu widziałem tunel dość wyraźnie. Z prawej strony prowadziła nad wodą, uszkodzona w wielu miejscach, ścieżka, wykuta ludzką ręką.

Poszedłem ostrożnie, przeskakując obsunięcia gruntu, ścieżka jednakże skończyła się po 200 metrach. Powąła tunelu obniżała się i prawie dotykała powierzchni wody. Jeśli chcieliśmy ryzykować dalsze przejście, należało sporządzić łódkę lub tratwę. Zawróciłem.

Po naradzie postanowiliśmy spróbować najpierw, czy jednak nie uda nam się przedostać przez niewidzialny mur, otaczający dolinę. Zostawiwszy Mary z Jerzym, udaliśmy się z Kobrą na rozpoznanie. W pewnym miejscu zatrzymała nas dziwna siła. Nie czuliśmy żadnej ściany, a przecież nie mogliśmy postąpić ani kroku, gdyż niezwykła dotąd lekkość naszych ciał ustąpiła miejsca przerażającej ciężkości. Zdawało mi się, że ważę tonę. Wycofaliśmy się z trudem.



Nowa narada i ostateczna decyzja: nie ma co czekać biernie na rozwój wypadków — zaryzykujemy przepłynięcie tunelu. Czy jesteśmy na Wenus, czy na owej Fegildu, rzeka wyprowadzi nas z zamkniętej doliny.

Przystąpiliśmy do sporządzenia prymitywne; tratwy. Jedna z „ump” przyglądała się przyjaźnie naszej pracy. Kobra objaśnił, że są to zwierzęta o łagodnym usposobieniu, niebezpiecznie jednak je drażnić. Nie mieliśmy zamiaru tego zrobić, a przeciwnie, za wskazówką Kobry Mary podeszła do olbrzyma — poczęła go gładzić po miękkiej skórze za rogową tarczą. — Ump! — zadudniło rozkoszne stęknienie.

— Ej, mamy gości! — zakrzyknął nagle Jerzy.

Rzeczywiście od strony klatki szło trzech olbrzymich Nauińczyków i Robert. Po pasach od razu zorientowaliśmy się, że chroni ich niewidzialne pole, na nic więc nasz pistolet promieniowy.

Fiuuu...! — świsnęła obok nas kula. Strzelał Robert.

Upadliśmy wszyscy z wyjątkiem Kobry, który doskoczył do „umpy”, rozsiadł się na jej karku i skierował zwierzę ku napastnikom. Nie potrzebował przy tym owocu na tyczce, wystarczały

uderzenia pięt. Ujrzeliśmy fantastyczną szarżę. Dzięki mniejszemu ciężeniu smok poruszał się z szybkością wyścigowego konia.

Trzej Nauinczycy wrzasnęli przeraźliwie i rzucawszy karabiny pędzili ku klatce. Robert strzelił do „umpy”, chybił, czy też kula odbiła się o łuskę potwora, po czym, widząc bezskuteczność strzału, pogonił za swymi wojownikami. Zdażyli na czas dopaść klatki. Zniknęli. „Umpa” dotarła do klatki w sekundę po ich „odlocie” i rozdarła ją na strzępy. Z trudem udało się Kobrze uspokoić rozszalałe zwierzę. Zostawił je, wracając do nas na piechotę.

— Powrót na Wenus już niemożliwy — powiedział.

— Po co oni uciekali? — spytała Mary — czyżby ich niewidzialne pancerze nie obroniły przed „umpą”?

— Woleli nie próbować. Zwierzę nie zdołałoby może zgnieść próżniowego pancerza, ale tak by ich podrzucało, że nie wyszliby żywi.

Nie bez trudu zsunęliśmy w dół naszą tratwę i spuściliśmy ją na wodę wewnątrz tunelu. Rozłożyliśmy się na niej płasko i, powierzywszy ciało i dusze Bogu, puściliśmy się z prądem w czeluść tunelu.

\* \* \*

Zanim opowiem, co się dalej z nami stało, wypada mi cofnąć się trochę w czasie do Mew i Kiniego.

Kiedy nie wróciłem z nocnej wyprawy „Meteorem”, i moja nieobecność przedłużała się, przyjaźnieli byli pewni, że spotkała mnie jakaś nieprzyjemna, jeśli nie tragiczna przygoda. Dziewczęta koniecznie chciały jak najszybciej ruszać na pomoc, Kini jednak powstrzymał je i sam z Jurkiem udał się łódką do zatoki z dwiema szklanymi skałami. Tam nawiązał kontakt z Arzantą i od niego dowiedział się o moim locie do wnętrza gór. Co dalej się ze mną stało, Arabowie nie umieli mi oczywiście powiedzieć. Kini zbadał dokładnie teren. Z opowiadań Jurka i dzikich zorientował się, że dostęp do wnętrza doliny, gdzie leżała plantacja Roberta, jest niemożliwy. Jedyna droga to otwarta wybuchem skała, do której można by się ewentualnie opuścić na specjalnie skonstruowanym spadochronie, bo na zejście po linie było za wysoko.

Po powrocie Kiniego i Jurka do obozowiska Mew radzono bardzo długo i żywo. Nikt nie

chciał się zgodzić, biernie na czekanie i pozostawienie mnie własnej przemyślności; ostatecznie więc postanowiono przenieść się w pobliże plantacji, gdzie jakiś szczęśliwy przypadek mógł przynieść rozwiązanie.

Tratwa była już gotowa do drogi, gdy nastąpił nieprzewidziany wypadek. Ewa, jadąc wzdłuż „brzegu na „Umpie”, doszła do miejsca, gdzie na wodzie kołysała się tratwa. Jej widok wprowadził zwierzę w dziki szał. Podbiła ją do góry trzema rogami, wyciągnęła na ląd i roztratowała w drzazgi. Może myślała, że to jaki wodny nieprzyjaciel, z którym jej przodkowie prowadzili odwieczną walkę. Może była po temu jaka inna przyczyna — trudno odgadnąć. Dość, że należało przystąpić do budowy nowej tratwy i trzymać „Umpe” z dala od niej.

Sporządzenie nowego statku szło szybciej dzięki wprawie, niemniej opóźniło planowany wyjazd o całe dwa tygodnie. Gdy wreszcie tratwa była skończona, postanowiono spędzić jeszcze cały dzień na odpoczynku i ruszyć dopiero nazajutrz rano. Każdy zajął się tym, co najbardziej lubił. Kini zabrał małą łódkę i udał się na sąsiednią wyspę, by nałowić pewnego rodzaju ślimaków, za którymi przepadał. Ania i

Basia, założywszy stroje do nurkowania, popłynęły w głąb morza ku kolorowej rafie. Krysia opalała się na mchu, pokrywającym wysoką skałę i kreśliła pejzaż zatoki. Zula jak zwykle coś „pitrasila” przy ognisku. Niedaleko niej w cieniu rozłożystego drzewa Joasia porządkowała kronikę. Jurek i Ewa zagłębili się w dżunglę i pod okiem pasącej się w pobliżu „Umpy” hasali przy wodospadzie. Nikt nie przeczuwał, że ta sielanka miała być wkrótce brutalnie przerwana.

\* \* \*

Był to właśnie dzień, w którym Robert wysłał kapitana Blacka na „Delfinie”, zęby przywiózł Mewy. Na pokładzie statku znalazła się też Danusia, której zadaniem było przekonać koleżanki o dobrych intencjach Roberta. Dziewczyna podkochiwała się w nim nadal i wierzyła, że jest człowiekiem uczciwym z natury. Mary i Jerzy nie otworzyli jej oczu na istotny stan rzeczy, bo Robert im zapowiedział, że jeśli pisną, słówko prawdy, to nie wypuści ani Danki, ani mnie, Jednakże Danusia była niemile zdziwiona, dowiedziawszy się, że kapitan ze swoją bandą

jest na usługach jej ulubionego i ma się udać po Mewy.

— Black pomógł mi wprowadzić w połowie robotników do plantacji — przyznał Robert — ale to z gruntu dobry człowiek. Nie wyrządził wam żadnej krzywdy. Chciał mi tylko zrobić żartobliwą niespodziankę i was tu przywieźć. Naturalnie odesłałbym was od razu gdzie byście chciały.

Słowa te niezupełnie uspokoiły Danusię. Uważała całą załogę „Delfina” za obwiesiów. Ponadto dziwiło ją ostatnio nagłe zniknięcie Mary i Jerzego. Robert wytłumaczył jej, że to ja przyleciałem w nocy „Meteorem” i zabrałem narzeczonych do Nowego Krakowa. Dziewcząt nie przywiozłem natomiast, bo nie chciały przyjechać.

— Więc dlaczego Andrzej nie zabrał ich ze sobą — zapytała zdziwiona Danusia — tylko zostawił same w dżungli?

— „Takila” po burzy antygravitacyjnej utkwiała w skałach i Andrzej z Nowego Krakowa poleci do Kamiru dowiedzieć się, jak ją ściągnąć. Dziewczęta więc postanowiły czekać na niego.

Danka nic nie odpowiedziała, zaczęły jednak w jej umyśle powstawać wątpliwości. Mimo to

przyjęła powierzoną misję.

Zastała „Delfina” pięknie odnowionego, załogę czystą i ubraną po wenusjańsku w długie barwne zany. Kapitan zachowywał się jak dżentelmen, a Gin usiłował go w tym naładować. Kucharz Pasquale był nad wyraz serdeczny, tylko Janek o wybladłym spojrzeniu mruknął coś niewyraźnie na przywitanie i zaraz się oddalił.

„Delfin” wypłynął z zatoki. Niewidzialna ściana rozstała się przed nim. Statek skierował się ku labiryntowi wysp i wysepek. Przy kole sterowym pozostał Gin, kapitan stał na dziobie i ruchem ręki dawał mu wskazówki, gdzie ma jechać. Reszta załogi z wyjątkiem Janka zniknęła pod pokładem. Chłopak trzymał się rufy statku, i w pewnej chwili dał nieznacznie do zrozumienia Danusi, by podeszła.

— Chcesz nakłonić swoje koleżanki — zaczął młody Polak, gdy dziewczyna zbliżyła się — żeby dobrowolnie pojechały na plantację Mgauriego. Czyż on cię omamił? Czy nie zdajesz sobie sprawy, kim on jest i co was czeka? Odda was za niewolnice swoim żołdakom, których kryje w wielkich grotach pod tymi kryształowymi górami. Przyszykował tam całą armię, z

którą chce ruszyć na Nowy Kraków, na Leję i stworzyć własne państwo. To gangster na wielką miarę. Zamordował tego waszego Andrzeja... Sam słyszałem, jak się chwalił przed Blackiem, że mu wsadził bombę do latającego talerzyka, tylko, że za wcześnie wybuchła i urwała kawał góry...

— Co ty mówisz? To Andrzej wtedy zginął? Nie mogę uwierzyć, by Robert... ale dlaczego mi to mówisz, przecież należysz do jego ludzi?

— Widzisz, zabiłem człowieka i chroniłem się przed sprawiedliwością. Black im obiecał bardzo wiele i dlatego nie chciałem wam pomoc. Teraz jednak niech diabli wezmą jego obietnice! Nie będę z Mgauri szedł przeciw swoim. Ostrzeżę ich i w ten sposób kupię sobie przebaczenie. Uciekajmy razem!

Danusi dopiero w tej chwili stało wyraźnie przed oczyma mnóstwo szczegółów, na które przedtem nie zwracała uwagi, będąc zaślepiona uczuciem do Roberta. Uczuła w sercu ból. Czyż ten Robert, którego pokochała pierwszą miłością, miałby się okazać łajdakiem i mordercą? Nie chciała w to uwierzyć, a przecież coś jej mówiło, że to niestety prawda. Jakiż zresztą cel mógłby mieć Janek, kłamiąc?



— Czy istnieje jakiś sposób, by ostrzec dziewczęta? — zapytała.

— Mgauri dokładnie wie, gdzie się znajdują i wskazywał sam ich położenie na mapie. Statek ma zatoczyć wielkie koło i zatrzymać się przy sąsiedniej wysepce. Stamtąd cała banda pojedzie ostrożnie łodziami, co leżą na pokładzie. Gdyby nam się udało zsunąć niepostrzeżenie ze statku, może dotarlibyśmy do dziewcząt wcześniej. Jak się nadarzy odpowiednia chwila, dam ci znak.

W trzy godziny później „Delfin” wpłynął w wąski kanał między ostrowami. Za jednym z nich leżała wyspa Mew. Statek płynął bardzo wolno. Black na dziobie, a Gin przy kole sterowym zajęci byli całkowicie żegluga, przejście bowiem było trudne i niebezpieczne. Reszta załogi z polecenia kapitana nadal siedziała pod pokładem. Janek skinął na Danusię. Przeszli oboje na rufę statku, gdzie ich ruchy zakrywał kasztel: Janek już przedtem umocował na burcie linę, zwisającą ku wodzie. Wystarczyło teraz parę sekund, by się po niej zsunąć.

Brzeg był tuż dość stromy i poszarpany. Właśnie wspinali się nań, ociekając wodą, gdy na statku wszczęto alarm. Turbina stanęła. Danu-

sia i Janek osiągnęli już jednak zrab brzegowy. Teraz kilkanaście kroków i skryje ich skamieniała dżungla. Danką puściła się biegiem, gdy wstrzymał ją przeraźliwy krzyk Janka. Obejrzała się. Chłopak zwałił się twarzą na ziemię. W plecach tkwił mu nóż, rzucony wprawna ręką jednego z bandytów. Dziewczyna dopadła leżącego i wyciągnęła zabójcze narzędzie...

— Uciekaj, uciekaj! — wymamrotał chłopak — ja umieram, uciekaj! O, Boże. Miłosierdzia!

Zesztywniał i skonał.

Tymczasem kilku drabów dopływało już do brzegu. Nie było ani chwili do stracenia. Danusia rzuciła się do ucieczki. Wpadła szczęśliwie między kamienne słupy. Przeskakiwała nieprawdopodobnymi susami krzewy i głązy. Kluczyła. Wreszcie ujrawszy na pewnej wysokości obszerną dziuplę w olbrzymim koralu, wspięła się i zniknęła w jej wnętrzu, oddychając ciężko.

Coś się obok niej poruszyło. Był to olbrzymi wąż z łapkami w pobliżu pyska. Chociaż wiedziała że na Wenus węże są nieszkodliwe, zatrzęsała się i omal nie krzyknęła z obrzydzenia. Stalowy wąż obwąchał ją niby pies, po czym wystawił głowę na zewnątrz dziupli. Oparł się

łapkami o krawędź. Patrzał.

— Tędy biegła, tędy biegła! — zawołał jakiś szorstki głos — znalazłem urwany kawałek spódnicy.

— Ona mogła się schować w którejś z tych dziur — odparł inny, w którym Danusia rozpoznała głos Blacka — przeszukajcie wszystkie, ale uważajcie, by was nie dźgnęła nożem!

— Tam, razem z tym gadem chyba nie siedzi, nie ma co się wspinać — powiedział ktoś tuż pod dziuplą i oddalił się.

Danka odetchnęła z ulgą.

— Poczciwy wąż — pomyślała.

\* \* \*

Kini miał już dwa pełne kosze doskonałych małży i zamierzał wracać do obozowiska, gdy zaszeleściło coś za jego plecami i groźny głos zawołał:

— Hands up!

Kini nie wiedział, co znaczy „hands up”, ale skierowana ku niemu lufa karabinu była wymowniejsza niż obce słowa. Zza drzew wyszło kilku drabów. Zabrali pistolet promieniowy, leżący kilka kroków od Oremanga. W kwadrans

później moi druh zastał zamknięty w tejże samej kabynie, gdzie kiedyś więzione były Mewy, a później dwaj Brabajowie. Zazgrzytał klucz w zamku. Jakiś czas panował na statku ruch, po czym wszystko xi cichło.

Kini rozglądał się po swym więzieniu. Iluuminator był za mały, by się przezeń precisnąć, ale za to Kini dostrzegł, że między podłogą, a drzwiami jest spora szpara. Klucz z drugiej strony tkwił w zamku. Była to wspaniała okoliczność. Młody Oremang przypomniał sobie moje opowiadanie jednego z filmów o przygodach Lone Ranger'a i postanowił zastosować ten sam trick, co ów bohater ekranu, ściągnął z bioder popłę uplecioną z bagiennej trawy i z łatwością przesunął ją na zewnątrz przez szparę. Zatrutą strzałką, którą zawsze miał przy sobie, począł majstrować przy dziurce od klucza. Stuk! Klucz wysunął się z zamka i głuchy odgłos świadczył, że padł na popile. Ostrożnie Kini zaczął ją ciągnąć ku sobie. Wtem szmer, gwałtowne stąpięcie i popła zatrzymała się. Kini szarpał ją. Bezskutecznie.

— Ha, ha! — zabrzmiał rubaszny śmiech, potem kilka słów wypowiedzianych po angielsku i gwałtownym ruchem ktoś wyrwał popłę z rąk

Kiniego.

Ucieczka nie udała się.

\* \* \*

Jurek i Ewa mieli dość harców wodnych. Dochodziło południe, pora obiadowa i oboje zaczęli naraz myśleć, co to dzisiaj Zula przygotowała smacznego. Wyszli z wody, ale tylko po to, by wpaść na dwóch drabów z karabinami. Instynktownie wyczuli niebezpieczeństwo. Jurek skoczył w kierunku, gdzie leżał jego łuk i strzały. Ewa też chciała uciekać, ale zdecydowała się o parę sekund za późno. Jeden z drabów pochwycił ją za warkocz, i ujął silnym ramieniem. Dziewczynka poczęła się wyrywać, piszczeć i krzyczeć przeraźliwie. Drugi złoczyńca pognął tymczasem za Jurkiem, ale zwinnego chłopca trudno było pochwycić. Wywijał się, kluczył i stale zbliżał się do miejsca, gdzie leżała broń.

— Umpa. Umpa! — zawołała nagle Ewa. Zadzudniło. Na widok: potwora drab puścił Ewę i rzucił się do ucieczki, ale nie zabiegł daleko. Straszliwe rogi podrzuciły go do góry. Spadł ciężko na ziemię tuż pod nogi bestii. Za chwilę pozostał z niego płaski dywanik.

Widząc, co się dzieje, drugi bandyta zaprzestał pogoni. Chwycił za karabin. Nie zdążył jednak wystrzelić, bo wbiła mu się w plecy zatruta strzałka z łuku Jurka. Padł. „Umpa” podbiegła do niego.

— Stop, stop! — krzyczał ku niej Jurek, lecz zwierzę obwąchało tylko leżącego i spokojnie podeszło do Ewy, jakby się chcąc przekonać, czy jest cała i zdrowa.

Dzieci wsiadły na potwora i skierowały się ku obozowisku.

— Trzeba ostrzec naszych — powiedział Jurek — może się tu kręcić więcej bandytów. To na pewno zbiry Roberta.

\* \* \*

Ania i Basia wracały z wyprawy olśnione podmorskimi cudami, które widziały. Były już w zatoce, na którą leżało obozowisko. Dostrzegły dno tratwy. Nie wychylając się na powierzchnię skierowały się ku dwóm skałom tworzącym wielką, literę V, gdzie pozostawiły poprzednio swoje zełe. Po wyjściu z wody usłyszały męskie głosy, rozmawiające po angielsku.

— A to kto? — szepnęła Basia. Dziewczęta

ostrożnie wyrzały ponad skałę.

Zobaczyły niezbyt miły widok: Zula, Joasia i Krysia stały przywiązane do drzewa. Obok na kamieniach siedzieli z promieniówkami w rękach dwaj mężczyźni, zajęci rozmową. W jednym z nich rozpoznały kapitana Blacka. Drugi był nieznany.

— Strzelamy stąd? — spytała Basia.

— Lepiej nie robić hałasu, może tu być gdzie więcej miłych członków załogi „Delfina”. Podpłyniemy do nich jak najbliżej pod wodą, siedzą do niej tyłem.

Założyły z powrotem maski do nurkowania i opuściły się pod wodę. Nagłe „hands up!” podrzuciło obu bandytów do góry. Nie opierali się, widząc wymierzone w siebie lufy promieniówek. Za późno było na użycie własnej broni. Rzucili ją na piasek.

Dziewczynki uwolniły Krysię, Zulę i Joasię. Na ich miejsca przywiązały obu jeńców.

— Zaskoczyli nas zupełnie — mówiła Krysia. — tak jak wy ich teraz. Jeden poszedł, żeby sprowadzić tu „Delfina”. Urządzimy zasadzkę.

— Dawno poszedł? — spytała Ania.

— Z dziesięć minut temu. Z ich rozmowy wnioskuje, że statek stoi za tamtą wyspą. Nie

dojadą tu wcześniej, niż za godzinę.

— No to zjedzmy coś! — rzekła Basia. — Bo podmorska wyprawa zaostrzyła wybitnie mój apetyt.

— Te draby obżerały się naszym obiadem, ale jeszcze zostało coś niecoś — odparła Zula.

Mewy skierowały się do zbudowanej przednich kuchni. Posiłały się w najlepsze, dyskutując zarazem plany dalszej akcji, gdy spomiędzy koralowych słupom i kopców zabrzmiało nie po raz pierwszy już tego dnia groźne „hands up”. Z karabinami i pistoletami w rękach wysypali się bandyci, którzy od dawna tam się poukrywali. Black, gdy udało mu się uprzednio zaskoczyć trzy Mewy, zdawał sobie sprawę, że inne muszą być gdzieś w okolicy i gdy wróca, zechcą uwolnić koleżanki. Zastawił więc pułapkę. Obecnie napad nastąpił tak szybko i niespodzianie, że dziewczęta nie miały czasu chwycić za broń. Chcąc nie chcąc posłusznie podniosły ręce do góry.

W kilka minut później na widowni rozgrywających się tak szybko wypadków pojawili się nowi aktorzy: Jurek i Ewa na „Umpie”. Widząc Mewy, otoczone przez bandę kapitana Blacka, Ewusia uderzyła piętą kark zwierzęcia, skłania-



jąc je do szarży. „Umpa” ryknęła groźnie i ruszyła jak huragan. Wśród bandytów wszczął się popłoch, jeden tylko Black nie stracił głowy i skierował ku atakującym ogień promieniowego pistoletu. „Umpa” padła bezwładnie. Szczęśliwie nie przygniotła potwornym cielskiem małych jeźdźców. Ci zeskoczyli i chcieli zbiec w dżungłę, ale ich także obezwładniły celne promienie pistoletu Blacka.

Nieprzytomnych Jurka i Ewę zaniesiono do obozowiska, po czym bandyci z podziwem oglądali olbrzymiego jaszczura. W godzinę później nadjechał „Delfin”. Jeńców zamknięto w kabinach.

Black wysłał kilka patroli w dżungłę dla odśzukania Danusi. Nie znaleźli jednak dziewczynki, natomiast przynieśli nieprzytomnego towarzysza, którego ustrzelił Jurek. Po zachodzie słońca zaprzestano poszukiwań. „Delfin” wszakże nie ruszał w powrotną drogę, gdyż nocna żegluga pośród tysiącznych raf była bardzo niebezpieczna.

Bandyci rozpalili na brzegu ognisko, pili jakiś podniecający napój, zaczęli coraz głośniej krzyzczeć, śpiewać. Kilku nawet; rozpoczęło dziki taniec. Wkrótce im się znudziła zabawa w wy-

łącznie męskim towarzystwie. Dziewczęta sły-  
szały, jak usiłowali wymóc na Blacku, żeby je  
pozwolił sprowadzić na ląd. Brodacz odmówił  
bezapelacyjnie, co rozzłościło opryszków. O ile  
dawniej bali się go jak ognia, teraz jego autory-  
tet wyraźnie zmalał. Może wpływała na to bli-  
skość Roberta lub jakaś inna przyczyna. Banda  
obstąpiła kapitana. Wykrzykiwali groźnie, lecz  
nie ustępował. Wtem Gin podszedł ku niemu i  
szepnął coś do ucha. Black cofnął się jak opa-  
rzony, zbladł i machnął zezwalająco ku zgrai.  
Wrzasnęli radośnie i rzucili się ku „Delfinowi”.  
Wyprowadzono opierające się dziewczęta.

Kucharz Pasquale rozpoczął przygrywać na  
dziwnym instrumencie tubylczym, który wygła-  
dał jak wielka bania z wystającymi niewielkimi  
łukami o mocno naprężonych cięciwach. Brzą-  
kadełko wydawało przyjemny i dość silny  
dźwięk.

— Nie opierajcie się na razie — szepnęła swo-  
im towarzyszkom Ania — bo ich tylko rozzłósci-  
cie. W czasie tańcz, postaramy się powyciągać  
im noże zza pasów!

Bandytów było ze dwudziestu kilku, dziewcząt  
mniej, więc je sobie wzajem wyrywali, przy  
czym nie obeszło się bez bójki. Ta i tamta z

Mew usiłowała pójść za radą Ani i wykraść noże, a nawet pistolety swym tancerzom, ale ci od razu zauważyli te manewry i nie dopuścili do odebrania sobie broni. Zabawa stopniowo stawała się coraz gorętsza, a zachowanie opryszków coraz gorsze.

Anka raz po raz rzucała rozpaczliwie okiem ku kapitanowi, zdając sobie sprawę, że tylko z tamtej strony może nadejść interwencja. Kapitan jednak siedział z pochyloną głową na przybrzeżnym kamieniu, odwrócony plecami od rozhulanych podwładnych

— Ach, żeby tak „Umpa” się nagle ocknęła i dała nauczkę tym draniom — myślała Ania. Niestety, gdy zwierzak obudził się po raz pierwszy z porażenie promieniami, bandyci unieruchomili go ponownie. Nie było więc co nań liczyć. — O, Boże mój — westchnęła dziewczynka — przyjdź nam na ratunek!

I Pan Bóg przyszedł z pomocą. Nie zesłał piorunów z nieba, ale posłużył, się ludźmi i do tego bardzo małymi ludźmi. W ciemnościach nocy ozwało się nagle straszliwe, lecz naszym dziewczynkom dziwnie znajome: Auuuu! ścisnęły strzałki wypuszczone z łuków i dmuchawek. Cała banda w mgnieniu oka runęła bezwładnie

na piasek. Spomiędzy koralowych słupów wysypał się Gvili z czeredą małych wojowników. Pośród nich biegła Danusia.

Rybackie plemię Anaku, do którego należał Gvili, było szczepem koczowniczym, przesuwanym się z miejsca na miejsce w ślad za ławicami ryb. Właśnie dwa dni temu dotarli do „bobrowego ogona” Wyspy Szklanych Gór, gdzie całymi milionami wylęgały się pożądane przez nich stworzenia morskie. Wyglądały jak skrzyżowanie żółwia z meduzą, posiadały bowiem twardą przezroczystą skorupę, z której zwieszały się barwne festony ruchliwych macek. Gdy starsi zajęci byli połowem, mali jak zwykle szperali po dżungli w poszukiwaniu owoców, drobniejszej zwierzyny i przygód. Tego dnia rano widzieli przepływającego „Delfina”, ale obie strony nie zainteresowały się sobą bliżej. Dzieci zresztą w odnowionym statku nie rozpoznały kutra, który kiedyś zwiedzały. Zajęte były nad wieczorem urządzeniem noclegu, gdy z lasu wyłoniła się Danusia.

Nastąpiło radosne odnowienie znajomości, a potem wspólne poszukiwanie Mew. Płomień ogniska i dzikie krzyki bawiących się bandytów ułatwiły zadanie, skądinąd trudne w labiryncie

skamieniałych koralu. Gvili przeprowadził atak z wielkim sprytem i zręcznością. Wszystkich bandytów powiązano i wsadzono do pieczary w jednym ze skalnych słupów. Do późna w nocy cała gromada ucztowała, ciesząc się zwycięstwem i spotkaniem z przyjaciółmi.

Nazajutrz rano miłe dzikusy przeżyły emocje jazdy na grzbiecie oprzytomniałej „Umpy”, po czym koło południa nastąpiło rozstanie. Kini i Mewy objęli z powrotem „Delfina” i skierowali się ku zatoce mego „widzenia” Mali Anaku pozostali na wyspie, obiecując pilnować złoczyńców i nie wypuszczać ich jeszcze przez kilka dni.

Pyk, pyk — wypuszczał „Delfin” z komina kłęby dymu, płynąc ostrożnie między ostrowami ku głównej wyspie.

## **Rozdział XIII**

### **Ostatnia podróż „Delfina”**

Płynęliśmy już z piętnaście minut po wodach pomarańczowej rzeki, gdy kiepsko sklecona trawa poczęła się rozlatywać, aż wreszcie pozostały z niej tylko pojedyncze bale drzewne, których uczepiliśmy się kurczowo. Sklepienie tunelu podniosło się. Znaleźliśmy się obecnie w olbrzymiej grocie, rozświetlonej nieco pomarańczową poświatą idącą od rzeki. Jednocześnie doszedł naszych uszu, na pół zalanych, dźwięk podobny do tego, jaki wydaje woda uciekająca ze zlewu, tylko spotęgowany stokrotnie. Pierw-

szy Kobra zorientował się, co on oznacza i krzyknął ku nam:

— Do brzegu! Do brzegu! Inaczej wpadniemy w lej, który nas pochłonie!

Z ogromnym trudem wydostaliśmy się na brzeg, bo prąd wodny stawał się coraz silniejszy. Pośrodku grotu podziemna rzeka zapadała się jeszcze głębiej tworząc wir i wydając ów niesamowity dźwięk.

— Jeśli stąd nie ma wyjścia — stwierdziła Mary, to co każdy z nas myślał ale nie chciał głośno wypowiedzieć — jesteśmy żywcem pogrzebani. Wrócić pod prąd nie damy rady.

— Nasza Umpa wpłynęła w ten lej i wyszła cało, może i my zaryzykujemy... — odpowiedziałem bez wielkiego przekonania.

— Czy ona w ogóle tędy wyszła? — Jerzemu przyszła spóźniona refleksja do głowy — może jej w ogóle nigdy tu nie było.

Rozdzieliliśmy się na dwie partie i obchodziliśmy grotę wokoło, poszukując przejścia. Nie była to szklana pieczara. Jej ściany tworzył ciemny kamień, na którym tu i tam widniały starożytne napisy i malowidła. Przyjrząwszy się im Kobra rzucił uwagę:

— Miałeś rację, Andra, jesteśmy na Wenus. To

są nauińskie napisy, a Nauińczycy nigdy nie dotarli na Fegildu.

— Co te napisy mówią? Może wystarczy zanucić odpowiednia melodię i ściany się rozstąpią jak na Górze Strachów.

— Trochę za ciemno na odczytanie.

— Wódź po nich palcami.

— To zabierze mnóstwo czasu...

— Mamy go mnóstwo, pokąd nie pomrzemy z głodu.

Prawda tych słów była niezaprzeczalna, toteż Kobra zajął się odczytywaniem nauińskich hieroglifów rzeźbionych w skale. Jednakże po godzinnym mozole machnął beznadziejnie ręką:

— Ciekawe to dla archeologa, czy filozofa ale dla nas w tej chwili bez znaczenia — powiedział — napis mówi o życiu pozagrobowym.

— No to dla nas bardzo na czasie — odparłem w przyływie wisielczego humoru — jak nam się stąd nie uda wyjść, to nie mamy o czym innym myśleć.

Cała nasza czwórka zasiadła w milczeniu na wielkich, płaskich kamieniach. Pomimo iż najedliśmy się do syta przed spuszczeniem tratwy na wodę — Kobra bowiem nauczył nas obierać kolczaste owoce — zasugerowani przecież cze-



kająca nas śmiercią głodową, odczuwaliśmy już przykrą pustkę we wnętrzościach.

— Czy Robert — zwróciłem się do Kobry, by przerwać męczącą ciszę i smutne myśli — nie próbował na tobie swego koła tortur? Ja byłbym gotów chyba zdradzić wszelkie tajemnice, gdyby mnie jeszcze raz na nim posadził.

— Owszem. Trzymał mnie na nim nawet parę godzin, lecz bezskutecznie. Opanowałem niegdyś sztukę autohipnozy i potrafię wprowadzić siebie w stan, w którym nie odczuwam żadnego bólu.

— A propos hipnozy — pytałem — może nam teraz powiesz, jak to się stało, że ci Dorti dopomogła do ucieczki na Ava-Nari.

— Tak, to była hipnoza. Nieraz hipnotyzowałem Dorotę, a raz gdy była w transie, podsunąłem jej sugestię, że ilekroć wypowiem pewne słowa, natychmiast zapadnie w trans nic o tym nie wiedząc. Wykorzystałem to wtedy.

— Czyś nie użył tego po raz drugi — zapytałem czując, że się rumienie i serce bije m: przyspieszonym tętnem — wmawiając Dorocie miłość do Roberta?... słyszałem od Gupu, że się zaręczyła z nim...

— Brednie! — przerwała ni Mary. — Kiedy

Robert uwięził Kobrę, Dorota przez pewien czas odgrywała rolę zakochanej, by wpłynąć na uwolnienie ojca. Robert raz podsłuchał naszą rozmowę, w której mi mówiła o swoich prawdziwych uczuciach. Szalenie się wtedy rozzłościł i uwięził ją także. Mnie zaś skłamał, że odleciała z Gupu.

Odetchnąłem z ulgą. Słowa Mary wyrwały mi kolec z serca, który tkwił tam tak długo.

— Co się mogło stać z Dorotą — rzucił pytanie Jerzy

— Może dobrzy czarownicy wyrwali ją z rąk prześladowcy? — wysunąłem przypuszczenie — Amga Xudri mnie uratował na odległość, mógł i jej przyjść z pomocą.

— Oby i nas teraz wyratował! — Skup się. Andrzej, i staraj się mu przesłać telepatyczny sygnał: S.O.S.

Posłuchałem, ale to nic nie skutkowało. Xudri nie przyszedł z pomocą. Arajom jedynie zawdzięczamy, że nie sczeźliśmy na dnie pieczary. W godzinę po tej rozmowie, gdyśmy już byli niemal zdecydowani zaryzykować i skoczyć w lej wodny, wysoko na ścianie ponad nami ukazało się światło. Zerwaliśmy się na równe nogi. W sekundę później oślepił nas blask reflektora.

Byliśmy przekonani, że to Robert nas odkrył. Tymczasem w ślad za światłem pobiegły ku nam radosne głosy dziewcząt i Kiniego:

— Andrzej! Andrzej! Jest tu, znaleźliśmy go.

Spuszczono linę i wkrótce znaleźliśmy się w wąskim chodniku skalnym, witani przez kilku Arajów z Arzantą na czele, oraz Krystynę, Basię, Dankę i Kiniego.

„Delfin” szczęśliwie dopłynął do zatoki „widzenia” i skrył się między koralowymi słupami. Wkrótce na jego pokładzie znaleźli się Arajowie, którzy od dawna oczekiwali niecierpliwie przyjazdu naszej gromadki. Mieli ważną wiadomość do zakomunikowania. Odkryli głęboki tunel prowadzący w głąb skał w kierunku szklanych gór. Spodziewali się, że może ich zaprowadzić do podziemnego królestwa Mgauri, zabrakło im jednak odwagi, by się weń zapuścić. Ruszyli dopiero w towarzystwie Kiniego i trzech dziewcząt. Tunel przywiódł ich do groty, gdzieśmy byli uwięzieni. Dziwne są drogi Opatrzności!

Kiedy pokrótce opowiedzieliśmy nawzajem swe przygody, spytała nas Basia:

— Coście się tak wymalowali na pomarańczowo?

Rzeczywiście pomarańczowa barwa przylgnęła

ściśle do naszych włosów, ciał i ubrań. Nie przejmowaliśmy się tym, sądząc, że uda nam się ją zmyć z łatwością w wodzie. Tymczasem nie tylko woda nic nie pomagała, ale gdy wyszliśmy na światło dzienne nastąpiła mała tragedia. Pod wpływem promieni słonecznych barwa pomarańczowa zmieniła się w zieloną. Włosy poczęły wydawać ciche trzaski i zmieniać się w proszek. W piętnaście minut nie tylko miałem zupełnie łysą głowę, ale straciłem też brwi i rzęsy, a i ubranie poczęło się drzeć i rozlatywać. To ostatnie było najmniejszą stratą, gdyż dżungla dostarczyła nam natychmiast nowych strojów z giętkich, olbrzymich liści, które Arabowie sprytnie pozszywali ze sobą. Gorzej natomiast było z łysiną.

Dla rodzaju męskiego strata włosów jest do zniesienia, a nawet takim typom jak Yul Brynner dodaje ponoć urody. Przyjeliśmy więc wypadek z humorem. Natomiast biedna Mary rozplakała się i była niepokieszona.

— Co się stało? — pytaliśmy Kobre. — Czy odrosną?

— Nie mam pojęcia — odpowiedział wzruszając ramionami — lecz w razie czego pojedziemy do Kamiru, a tam potrafią „zasadzić” włosy na-

wet na przysłowiowej dłoni.

Dotarcie do „Delfina” nie było łatwe, gdyż armia Roberta wracała z manewrów i raz po raz małe oddziały przecinały nam drogę. Dzięki jednak dobrej znajomości terenu, jaką posiadali Arajowie, udało nam się uniknąć spotkania w głębi dżungli i dopiero tuż przy zatoce wpadliśmy niespodzianie na grupę ze 30 żołnierzy. Prawdopodobnie wykryli oni obecność „Delfina” w zatoce i czatowali na załogę.

Dzięki promieniówkom walka była krótka i zwycięska. Kilku jednak wojowników zdołało uciec w dżunglę i nawet Arajom nie udało się ich złapać. Obawialiśmy się, że zaalarmują większe siły.

Jedno z ramion zatoki „widzenia” miało kształt krabiej łapy i szczelnie było pokryte koralowymi słupami. W „kleszczach”, tj. w niewielkiej, doskonale zasłoniętej zatoczce ukrywał się „Delfin”. Dotarliśmy szczęśliwie na pokład witani radośnie przez resztę Mew i Arajów. Kiedy wszakże podnieśliśmy kotwicę, na widnokregu morskim ukazały się dwa okręty Roberta i zablokowały wyjście. Ubiec ich nie mogliśmy, „Delfin” bowiem był powolny jak żółw, tamte natomiast statki posiadały wenusjańskie turbi-

ny.

Wkrótce i na skraju dżungli ukazały się znaczniejsze siły nieprzyjaciele. Dzielila nas od nich stumetrowa łącha piaszczysta, z której tylko tu i ówdzie wystrzelały skaliste słupy. Byliśmy jak w twierdzy, pozbawieni jednak niestety źródła słodkiej wody i z minimalną tylko ilością zapasów żywności.

Nadeszła jasna noc. Czuwaliśmy, gotowi w każdej chwili do odparcia ataku. Zostawiono nas jednak w spokoju. Natomiast w godzinę po wschodzie słońca parlamentarz z białą chusteczką w ręku przyniósł nam ultimatum Roberta wzywające do bezwarunkowego poddania się. Odmówiliśmy.

Rozpoczął więc atak od ognia artylerii z morza i z lądu, tj. z okrętów i z drugiego ramienia zatoki. Pociski nie wyrządziły nam żadnej szkody, siedzieliśmy bowiem bezpiecznie we wnętrzu koralowych słupów. Ponadto Robert był złym strategiem, czy też jego wojsko było niedostatecznie wyćwiczone, bo zamiast ruszyć do szturm na naszą twierdzę pod osłoną ognia, rozpoczął natarcie piechoty w dziesięć minut po jego ustaniu. Byliśmy już na pozycjach i nasze promieniówki skosiły doszczętnie szeregi nie-

przyjaciela, zanim zdążył przebyć piaszczystą łąkę. Ci, których nie poraziły promienie, wycofali się w popłochu w dżunglę.

Działa ostrzeliwały nas teraz tylko sporadycznie. Wystawiwszy kilku obserwatorów w odpowiednich punktach zajadaliśmy skromny obiad w jednej z obszernych grot.

— Podejrzywałem Roberta o większy spryt — odezwałem się. — Dlaczego nie użyje „Meteora”? Mógłby wtedy zrzucić na nasze głowy jedną ze swoich min i jednym pociśnięciem guziczka posłać nas na łono Abrahama.

— Ach, miny! — zawołała Ania — zabrałyśmy je przecież z Takili i mamy chyba z tuzin. Można by nurkując podpłynąć pod blokujące okręty i wysadzić je w powietrze...

— Świetny pomysł!

— Nie tylko to — dorzucił Kobra — możemy nimi zniszczyć i armię lądową Roberta. Trzeba tylko sporządzić odpowiednie katapulty. To da się zrobić.

— Musimy się śpieszyć, żeby Robert nie wpadł na ten sam pomysł — dodałem — wtedy po nas.

W ogóle obawiałem się, że Robert w swoim „muzeum wynalazków” posiadać może jakieś

inne straszliwe bronie. Jednakże jeszcze w czasie naszej pierwszej narady wojennej, którą odbyliśmy w nocy. Kobra uspokoił mnie. Przyznał co prawda, że w szklanych grotach jest kilka niszczycielskich narzędzi, ale nasz kandydat na władcę świata sam nie wie co posiada, a w każdym razie nie potrafiłby ich użyć.

— Jedną rzecz mu tylko niepotrzebnie pokazałem — powiedział Kobra — lecz nam to szkodzić nie może.

Kini i ja, przybrani w maski do nurkowania, bez trudności podpłynęliśmy do pilnujących nas okrętów i założyliśmy na ich dno miny.

Uważałem, że wysadzenie ich w powietrze wystarczy, by się bezpiecznie wydostać z zatoki. Kobra jednak chciał zadać całej armii cios śmiertelny.

— Bez tego — twierdził — zwrócą lufy armatnie ku morzu i zatopią uciekającego „Delfina”. Pamiętaj też, że Robert ma więcej jeszcze okrętów, których dotąd nie wprowadził do akcji. Dogonią nas z łatwością. Natomiast, gdy cała armia, a przynajmniej wielka jej część przestanie istnieć, nikt nie będzie miał czasu i chęci na pogoń.

Rozpoczęło się więc sporządzenie katapult. W



tym celu jeszcze raz zanurzyliśmy się z Kinim pod wodę w poszukiwaniu podmorskiej rośliny o bardzo długich liściach, elastycznych jak guma. Znaleźliśmy bez trudu, ale namęczyliśmy się straszliwie, zanim zdołaliśmy je oderwać od rafy, na której rosły.

Pod kierownictwem Kobry, zręczni i niezwykle silni. Arajowie przystąpili do sporządzania trzech katapult, a właściwie trzech ogromnych proc.

Praca szła dość sprawnie. Tymczasem zaszło coś nowego.

Było już dobrze po południu, gdy zwróciły naszą uwagę zamieszanie i krzyki dobiegające z przeciwnego ramienia zatoki, gdzie znajdowały się stanowiska artylerii Roberta. Wyjrzelśmy ostrożnie. Od strony morza zbliżały się bardzo powoli trzy srebrne dyski.

— No, wreszcie Kamiru zdecydowało się na akcje! — zawołałem. — W samą porę!

Patrzyliśmy z ciekawością na napowietrzne statki. Co uczynią?

— Szybko! — krzyknął nagie Kobra. — Machajcie ku nim! Niech tu najprzód przyjada, inaczej...

Nie mieliśmy nic przy sobie, czym można by

zwrócić uwagę pilotów. Należało chyba biec do „Delfina” po kolorowe chusty. Chciałem właśnie posłać po nie kilku Arajów, gdy wany ruszyły całym pędem w kierunku plantacji Roberta.

W sekundę potem, jak zniknęły za szczytami szklanych gór, wytrysło stamtąd oślepiające zielonkawe światło, a po chwili huk straszliwej eksplozji targnął powietrzem.

— Bombardują plantację! — krzyknęły dziewczęta.

— Nie — wykrztusił z siebie Kobra. Był bardzo blady. Trząsł się cały. — Nie — powtórzył — to oni ulegli zagładzie. Sam kiedyś wskazałem Robertowi, jak rozpinać nad plantacją pole ochronne.

— Przecież poleciałem tam „Meteorem” i nic się nie stało; a raczej — poprawiłem się — ściągnął mnie tylko na ziemię.

— Pole wtedy nie było aktywne — objaśnił Kobra. — Kiedy jednak, wskutek wybuchu, wnętrze szklanych gór stało się dostępne z powietrza, załączył je pewno na stałe. Dlatego też nie użył przeciw nam twojej wany... O, Boże! przez moją głupotę jestem odpowiedzialny za śmierć tych ludzi...

Nie pocieszaliśmy go. I na nas całe wydarzenie

wywarło przygnębiające wrażenie. Panowało milczenie.

— Śpieszmy się! — przerwała je Ania. — Robert może teraz wyłączyć pole i przylecieć „Meteorom”. Następnym „talerzyków” nie należy się chyba prędko spodziewać.

Robota ruszyła naprzód i nad wieczorem kapuły były na ukończeniu. Tymczasem nadszedł nowy parlamentarz Roberta. Nikczemnik groził nam w liście, że nas tak samo zniszczy jak owe wany, jeśli się nie poddamy. Poprosiliśmy go o czas do namysłu. „Do rana” — nadeszła łaskawa odpowiedź. — „Gdy tylko słońce wzejdzie, naciskam guziczek i rozsypujecie się w nicość!”

Zanim zapadła noc, gotowe już proce wysłały ku nieprzyjacielowi kamienie, odpowiadające mniej więcej ciężarem i kształtem minom. Chodziło o sprawdzenie, jak daleko polecą. Jeden kamień spadł na plażę pod pozycjami artyleryjskimi nieprzyjaciela. Dwa w dżunglę, gdzie, jak wynikało z obserwacji, nastąpiła silna koncentracja sił wroga. Na podstawie tych wystrzałów Kobra nastawił zasięg pola zniszczenia min. Nie mógł być zbyt duży, bo mogliśmy i sami ucierpieć.

Czekaliśmy nocy. Proce były naprężone. Naciągnęli je Arajowie. Teraz wystarczyło przeciąć linę, by pocisk wyleciał ku liniom wroga. W ciemnościach spadną niepostrzeżenie. Jednocześnie podgrzaliśmy kocioł na „Delfinie”, by statek mógł ruszyć natychmiast w drogę.

Tymczasem zapadła noc tak ciemna, że o krok nie było nic widać. Na pilnujących nas okrętach nie paliło się żadne światło. Obawialiśmy się, że mogły do nas bardzo się zbliżyć i wysączać je i siebie pošlemy w zaświaty. Także od strony lądu należało się spodziewać ataku. Robert byłby kiep, gdyby nie wykorzystał tych egipskich ciemności.

Między koralowymi słupami sporo było suchych gałęzi, zeschniętych wodorostów, tak że z łatwością można było rozniecić ognisko od strony ląchy. Zapaliliśmy je bez trudności, ale już niemożliwością było podsycać ogień, taka się wokół niego rozpętała kanonada. Dopiero teraz Robert wprowadził do akcji karabin maszynowy; pociski jak grad dzwoniły po słupach. Gdy ognisko się wypaliło i ponownie zaległa nieprzenikniona ciemność, kanonada ustała. Wyczuwaliśmy jednak na brzegu jakiś ruch, denerwujący nas do ostateczności.

Na szczęście zablęśła na niebie oczekiwana zorza w postaci zielono-srebrzystych pasm światła. Nieprzyjaciela nie było na łasze. Okręty stały tam, gdzie przedtem. Wyrzuciliśmy pociski z katapult i pochowaliśmy się na rozkaz Kobry do grot.

— Niech już ja ich wezmę na swoje sumienie — rzekł i wyciągnął rękę po aparacik, który trzymałem w ręku.

Podąłem mu bez słowa. Przycisnął guziczek. Blask i huk! Ogłuszeni i oślepieni rzuciliśmy się ku „Delfinowi”. Trzeba było doń dopłynąć, zostawiliśmy go bowiem na kotwicy w samym środku zatoki, obawiając się, by fala po wybuchu nie rzuciła go na skały. Rzeczywiście fala w dużej zatoce powstała straszliwa, ale wewnątrz „szczypiec kraba” jej impet był słabszy. I tak jednak musieliśmy czekać jakiś czas, aż się wody uspokoją.

Podnieśliśmy kotwicę, i wypłynęliśmy na pełne morze. Po okrętach ani śladu. Na brzegu w świetle zorzy widać było na miejscu skał i dżungli olbrzymie trzy wyrwy. Dochodziły stamtąd krzyki, lecz w naszym kierunku nie padł ani jeden strzał. Oczywiście nie cała armia zginęła. Zasięg niszczycielskiego działania z ko-

nieczności musiał być ograniczony ze względu na nasze własne bezpieczeństwo. Niespodziewany wszakże wybuch musiał nie tylko zdezorganizować, ale zdezorganizować wojsko na dłuższy czas.

Płynęliśmy wzdłuż wybrzeża wyspy kierując się ku jej „bobrowemu ogonowi”. Kobra twierdził, że potrafi wyprowadzić uwięzioną Takilę ze skał na morze, jechaliśmy więc po nią. Droga przed nami zdawała się wolna, niemniej działko „Delfina” miało pocisk w komorze naboju i gotowe było do strzału. Stałem przy nim. Kini sterował. Reszcie załogi poleciłem zejść pod pokład. Na brzegu na pewno wałęsały się oddziały Roberta i mogły nas z łatwością ostrzelać. Przy jasnej zorzy stanowiliśmy niezły cel.

Nie od lądu wszakże przyszyła klęska, lecz od morza. W pół godziny po podniesieniu kotwicy zorientowaliśmy się, że wbrew przewidywaniu ruszyła za nami pogoń: dwa okręty posuwające się z dużą szybkością, a posiadające na pokładzie, jak wszystkie okręty Roberta, przynajmniej po dwa działka i broń maszynową. Uciec nie zdołamy. Cóż więc robić?

Zachichotał w powietrzu pocisk i wybuchł daleko za „Delfinem”. Za chwilę drugi. Na pokład

wybiegł Kobra oraz Mewy.

— Nie zdołamy uciec — wygłosił Kobra oczywistą prawdę — ani się obronić.

— Więc co?

— Musimy dopłynąć do brzegu i szukać schronienia w dżungli.

— A tam na nas czekają żołnierze Roberta.

— Może nie. W każdym razie musimy zaryzykować. To nasza jedyna szansa.

Kini zawrócił statek ku brzegowi, odległemu z pół mili. Dzięki temu manewrowi można było obecnie użyć nasze działko. Umieszczone na przodzie statku mogło strzelać tylko do przodu na boki. Za rufą natomiast rozciągało się martwe pole o rozpiętości 90°. Wycelowalem i odpaliłem. Pocisk poszedł za daleko. Drugi i trzeci trafił bliżej celu, ale i nasi przeciwnicy wstrzelali się coraz lepiej. Fontanna wody podniesiona wybuchem oblała obsługę działa. Na domiar złego zaterkotał jazgotliwie karabin maszynowy. Nad głowami świstały nam kule. Zrozumiałem, że wróg chce nas zniszczyć, a nie wziąć żywcem.

Do brzegu pozostawało jeszcze przynajmniej ćwierć mili, gdy nastąpił potworny wstrząs. Potoczyliśmy się z impetem po deskach pokładu.

Nie trafił nas wraży pocisk, lecz z całym impetem wpakowaliśmy się na podwodne słupy. W napięciu walki zapomnieliśmy o ich istnieniu.

„Delfin” tonął. Załoga jednak zachowała zimną krew. Nie wybuchła panika. Szybko poszły na wodę łodzie zdobyte wraz z „Delfinem” na bandzie kapitana Blacka. Nie zmieściliśmy się w nie wszyscy. Większość Arajów musiała płynąć wpląw, ale to stanowiło dla nich zabawkę.

Jedno z dział nieprzyjaciela trafiło wreszcie w unieruchomiony szatek. „Delfin” zaczął się palić, oświetlając nam drogę. Niosły nas długie fale idące ku brzegowi. Z doskonałymi wioślarzami na pokładzie łodzi przemykaliśmy się szczęśliwie obok lub ponad kamiennymi słupami, których tu resztą nie było zbyt wiele.

Plaża leżała już tylko ze dwieście metrów od pierwszego czołna, gdy z dżungli poczęto ku nam strzelać. Odpowiedzieliśmy natychmiast ogniem promieniówek. Sądząc po karabinowej palbie zastępował nam drogę niezbyt silny oddział, nie wyposażony ponadto w broń maszynową. Niemniej, gdy wylądujemy na szerokiej plaży, ukryty za drzewami nieprzyjaciel wystrzela nas jak kaczki. Już teraz jeden z arajskich wioślarzy krzyknął boleśnie i opadł na



dno łodzi, trafiony chyba przypadkiem, bo przy tej jeszcze odległości, ruchomym celu i słabym oświetleniu i wyborowy strzelec miałby zadanie bardzo trudne, ale na stałym lądzie...

Pędzone falą łodzie mknęły teraz jak strzały wypuszczone z łuku. Już niemożliwością było cofać się. Zresztą po co? Z tyłu coraz bliżej były okręty nieprzyjacielskie, które nie przestawały strzelać, na szczęście chaotycznie i bezskutecznie.

Dziób naszej łodzi uderzył o plażę.

— Padnij! padnij! — krzychałem i sam potoczyłem się jak długi na piasek.

Ze dwadzieścia metrów dalej plaża tworzyła, półmetrową skarpe, dającą jaką taką osłonę przed ogniem z dżungli. Leżeliśmy wciśnięci w piasek, a nad nami wściekle świstały kule.

— Czy masz aparacik do odpalania min? — zwróciła się do mnie Ania. — Zabrałam ich pięć w tym woreczku.

— Mam — odparłem — ale czy je zdołamy dorzucić tak daleko? A nawet jeśli doleczą do dżungli, możemy je nastawić jedynie na bardzo niewielkie pole działania.

— Zawsze to coś... wywołają popłoch i może zdołamy przeprowadzić skuteczny atak.

Tymczasem już wszystkie łodzie dotarły do plaży. „Delfina” pochłonęły fale. Atakujące nas okręty trzymały się w bezpiecznej odległości od koralowych słupów. Nie strzelali, widocznie bojąc się rażać swoich na brzegu. Stąd jednak ogień wzrastał się coraz bardziej, Krzyczeliśmy na dopływających jeden po drugim Arajów, by padli i czołgali się, oni wszakże nie będąc przyzwyczajeni do tego typu walki, wybiegali z wody wyprostowani lub tylko z lekka pochyleni. Wskutek tego, trzy już nieruchome ciała czerniały na piasku między wodą a skarpa.

Zabrałem Ani miny i podczołgałem się do leżącego niedaleko Arzanty.

— Dorzuciłbyś te kamuszki do pierwszych drzew? — zapytałem.

— Spróbuję.

Nastawiłem pierwszą minę na 50-metrowy promień zniszczenia i podałem Arzancie.

— Zamachnij się i rzuć jak najdalej, od tego zależy nasz ratunek. Uważaj jednak, by cię nie ustrzelili.

Olbrzym cisnął. Wychyliłem się na ułamek sekundy, by dojrzeć, gdzie mina pada.

— Flukran! przekląłem Arzantę po kuwilińsku.

Mimo niezwyklej siły Araja mina upadła o 42 metrów zaledwie od naszej pozycji. Widać z obawy przed kulami nieprzyjacielskimi Arzanta nie zamachną: się dostatecznie.

W tej chwili do huku wystrzałów karabinowych dołączył się ostry terkot kulomiotu, a zaraz potem dwa granaty rozerwały się w niebezpiecznej odległości od naszej pozycji, obrzucając nas grudkami piasku i kamykami.

— Jeszcze nam tego brakowało — mruknałem. — Nie ma innego wyjścia, jak poddać się... jeśli przyjmą nasze poddanie...

Ledwo to wypowiedziałem., ponad grzmotem kanonady doszedł mych uszu nowy dźwięk, który brzmiał jakby kto nacisnął klawisz jakiegoś kolosalnego organu, lub jakby pszczoły wyroiły się z tysiąca uli naraz. Zwróciliśmy oczy w stronę wysepek „Bobrowego ogona”, bo stamtąd nadchodziło to niezwykle huczenie. Po niebie posuwał się olbrzymi świetlisty dysk. Ogień nieprzyjaciela urwał się jak na komendę.

Napowietrzny statek unosił się teraz ze dwieście metrów ponad nami, kołysząc się nieznacznie. Nagle z jego boku wytrysły czerwone kule, kierując się ku okrętom na morzu i wojownikom w dżungli. Cały deszcz purpurowych

pocisków padał bezszelestnie w zarośla. Rozległy się tam krzyki przerażenia wreszcie zapanaowała zupełna cisza.

Wydawało mi się, że śnię. Trudno było wierzyć w tak niezwykły obrót sprawy, gdy naraz stało się coś bardziej dziwnego. Uczułem się uniesiony w górę. Nie tylko ja: reszta moich towarzyszy — Kobra, Kini, dziewczęta i Arajowie, wszyscy szybowaliśmy bezgłośnie ku tajemniczej wanie. Przez okrągły otwór w dnie statku wpadaliśmy jeden po drugim do jego wnętrza, wznieśli się jednak tylko żywi, martwi pozostali na tragicznej plaży.

Dysk miał ze sto metrów średnicy. Urządzony był komfortowo. Gdyśmy się w nim znaleźli, głos niewidzialnej osoby zaprosił nas po wenusjańsku, byśmy się rozgościli. Kobra pobiegł do Kabiny pilota, ja za nim. Była zamknięta. Poprzez przezroczystą ścianę nie widzieliśmy nikogo. A jednak ktoś tam był, bo w głośniku usłyszeliśmy stłumiony śmiech, a następnie wesoły głos zawołał po wenusjańsku:

— Ha, ha, a cóż to za zielone stwory! Birbin-tli! (jak śmiesznie!)

— Dziękujemy za ocalenie — odpowiedziałem — było już z nami bardzo źle. Ale czemu się

kryjesz? Chcielibyśmy wiedzieć, komu zawdzięczamy ratunek,

„Ktoś” zignorował moje pytanie. Wtedy Kobra ostrzegł pilota przed polem ochronnym nad plantacją.

— Wiem o nim — padła krótka odpowiedź.

Kobra doskonale znał ten typ napowietrznego statku i wiedział, gdzie i co się w nim znajduje. Opatrzył przede wszystkim różne nasze skaleczenia, które okazały się powierzchowne: Joasia była kontuzjowana w rękę, Krysia padając na plaży rozcięła sobie nogę na ostrej muszli, jeden Araj skręcił nogę w kostce. Po udzieleniu pierwszej pomocy, Kobra przyniósł naręczce wenusjańskich strojów, nasze bowiem były już w opłakanym stanie, a szczególnie ubrania z liści wołały o zmianę. Przed przebraniem należało się wykapać — wana posiadała kabinę z czterema prysznicami. Puściliśmy naprzód dziewczęta, potem przyszła kolej na męską część załogi. Najprzód skropiła nas woda, potem mydło, potem znowu woda.

— Skąd tyle wody się bierze? — spytałem Kobrę — przecież tu nie ma miejsca na tak wielki zbiornik?

— Specjalne urządzenie kondensuje cząstecz-

ki wody z powietrza. Wiesz przecież, że prawie wszystkie nasze maszyny i instalacje działają na zasadzie przyciągania i odpychania. Niedawno choćby ta wana podniosła nas z plaży, gdy ów tajemniczy pilot włączył pole przyciągające stwory żywe. Wasze magnesy działają tylko na metale, nasze możemy nastawić na jakikolwiek materiał czy przedmiot, musimy tylko znać jego charakterystyczną strukturę.

— Jeśli tak, to czemu używacie do kąpieli staromodnego sposobu, jakim jest zmywanie brudu mydłem i wodą? — zapytał Jurek, szorując starannie nogi. — Czy nie można stworzyć pola nastawionego na wyciąganie brudu z ciała, a wtedy wystarczyłoby postać w takim polu parę sekund i już człowiek będzie czyściutki jak perełka.

— Brawo. Jurku! — zawołał Kobra — świetny pomysł, że też nam dotąd nie przyszedł co głowy?

— Musisz go opatentować w Kamiru — dodałem — zrobisz na nim majątek.

Po kąpieli i przebraniu się w świeże szatki zjedliśmy doskonałą izolację, a następnie głos „niewidzialnego” polecił nam ułożyć się na spoczynek.

Gdyśmy się zbudzili, stwierdziliśmy ze zdziwieniem, że leżymy na piasku w naszym dawnym obozowisku; w pobliżu pasie się Umpa, a na wodach zatoki kołysze się uwolniona z obręczy skał Takila. Po dysku i po Kobrze ani śladu. Rzuciliśmy się z radością do naszego kochanego jachtu. Wszystko było w nim w porządku, tylko „złota bogini” znikła. Ktoś zreperował radio. Połączyłem się natychmiast z Kamiru i poprosiłem o rozmowę z Nara, jeśli jest na miejscu. Zgłosił się bardzo szybko.

— Vajni, Andra! — usłyszałem jego głos — jakże się cieszę, że cię słyszę! Niestety dopiero parę dni temu wróciłem na Wenus i zaraz wysłałem wane, by cię szukała. No i znalazła...

— Któż nią pilotował? — przerwałem.

— Zbyt ciekawys... Jedźcie teraz do plantacji tego, jak on się nazywa?... Mgauriego. Tam wylądowały już nasze wany i robią porządek.— Ja też się jutro pojawię. Czy nie wiesz przypadkiem, co się stało z Gupu?

— Zdaje się, że mu Mgauri wsadził do wany bombę, która wybuchła w powietrzu. Ale, czy wiesz, że Dorti tajemniczo znikła?

— Wiem, opowiadał mi wszystko Kobra... poszukamy dziewczyny...

— Czy sądzisz, że twój brat naprawdę się „nawrócił”?

— Tak. Niech będą dzięki Bogu! Tobie też się ode mnie należy wielka wdzięczność, Andra, za twoje trudy. Także wiedz, że to wszystko, o czym rozmawiałeś z moim bratem, nie przeszło bez echa, choć dojrzało dopiero w więzieniu u Mgauriego. A może, więcej jeszcze niż słowa, cała wasza, to jest twoja i twych przyjaciół, postawa wobec życia robiła od początku na nim głębokie wrażenie. Sam mi to mówił...

Rozmawialiśmy dość długo o rozmaitych sprawach, wreszcie, gdyśmy się już żegnali, zapytałem go jeszcze:

— Czy to nasz pilot-wybawiciel zabrał „złotą boginię” z Takili?

— Tak. To przez ten posążek nie mogliście się skontaktować z Kamiru. W postawie stojącej wytwarza on pole, które go czyni lekkim, ale jednocześnie zagłusza fale radiowe. Jak chcecie, oddam go wam z powrotem, ale przedtem wyjmemy mechanizm.



## **Rozdział XIV**

### **Serce nie sługa...**

Dopłynawszy do plantacji Roberta, ujrzeliśmy mnóstwo latających talerzyków najrozmaitszego formatu. Kręciło się wokół nich pełno Wenusjan, którzy z wnętrza szklanych gór wynosili przeróżne urządzenia i ładowali na wany.

Niewidzialny wał wokół plantacji przesiał istnieć, a także zlikwidowano pole, tworzące ochronną kopułę nad doliną. Mgauri, kandydat na

zdobycę świata, przepadł bez śladu. Przymuszczyliśmy, że zginął od wybuchu min, wyrzuconych z zaimprovizowanych katapult, pewności jednak nie było. Jego niewolnicy, pozbawieni pamięci, znaleźli się wszyscy w Kami-ru, gdzie ich uleczono z amnezji. Porozwożeni zostali następnie po swych rodzinnych siedzibach.

Nasi dzielni sprzymierzeńcy Arajowie postanowili pozostać na Wyspie Szklanych Gór. Doprowadzono ich skórę do barwy naturalnej, ale pomniejszenie ich było rzeczą niemożliwą. Wobec tego zwiększono wzrost pozostałym członkom plemienia: naczelnikowi Szili, kobietom i dzieciom.

— Nam, którzyśmy się wykąпали w pomarańczowej rzece, zieloność dość szybko przeszła, a wkrótce i łysiny poczęły się pokrywać obiecującym meszkiem. Owa „inna planeta” okazała się świetnie wykonaną panoramą. Między dwoma klatkami tworzył połączenie tunel, w którym z błyskawiczną szybkością biegł wagonik z fotelikami. Pomarańczowa rzeka kręciła się w kółko, niby swego rodzaju „perpetuum mobile” i była sztucznie barwiona. Dobrze, żeśmy się nie zdecydowali na skok do leja. Nie tamtędy więc

uciekła nasza Umpa, a najprawdopodobniej w ogóle wylęgła się poza szklanymi górami z jaja przywiezionego z Fegildu.

Wenusjanie odebrali kapitana Blacka i jego bandę z rąk naszych małych wybawców z plemienia Anaku. Złoczyńców odstawiono do Kamiru z zamiarem pozbawienia ich pamięci i deportowania na Ziemię. Inicjatorem tego posunięcia był Nara, który właśnie został mianowany gubernatorem Wenus i postanowił zerwać z dotychczasową polityką rządu w Kamiru nie mieszania się w sprawy wewnętrzne przybyśców z Ziemi.

— Muszę oczyścić Wenus z wszelkiego pakudztwa — odgrażał się — prawo musi być przestrzegane przez wszystkich...

Nie pytałem go, jak to zamierza przeprowadzić w praktyce, miałem bowiem inne problemy na myśli.

— Czy wiesz już, co się stało z Dorotą? — zapytałem, gdy przybył, by osobiście obejrzeć wnętrze szklanych gór. — Czy może dowiadywałeś się o nią u amgów?

— Tak — odpowiedział. — Jadąc tutaj, wstąpiłem do nich. Przewidywania twoje były słuszne, to poczciwy amga-amga wyrwał Dorotę na

pół martwą z rąk Roberta. Wyzdrowiała i odjechała niedawno okrętem, który przywiózł czarownikom misjonarza. Znasz go: to ojciec Piotr z Lejli. Znasz też i okręt — jest to zdobyta niegdyś przez was „Strzała”. Jedzie teraz pod komendą Wiktora do Wyspy Szklanych Gór. Na pokładzie nic jeszcze nie wiedzą o zaszłych tu wypadkach...

— Świetnie, wylecę im na spotkanie „Meteorem”.

— E... — lepiej nie...

— Dlaczego?

Nara zmieszał się, spuścił oczy.

— Dlaczego? — powtórzył po mnie niepewnie.

— No jakże — zapytał odzyskując nagle pewność głosu. — Macie z Kinim szukać Aby, a ty chcesz wszystko rzucić i w te pędy lecieć do dziewczyny?

— O tak, prawda — odpowiedziałem.

Aby, brata Kiniego, nie znaleźliśmy pomiędzy jeńcami, trzymanymi w szklanych górach. Mógł polec w czasie potyczki, kiedy Robertowi udało się wziąć do niewoli Dorotę. Nie traciliśmy jednak nadziei, że żyje i prawdopodobnie ukrywa się gdzieś w głębi wyspy. Zamierzałem udać się „Meteorem” na poszukiwania.

Odtąd codziennie odbijaliśmy loty patrolowe nad dżunglą. Odkryliśmy w niej dwa kuwilińskie plemiona które uciekły przed zagonami Robertowych żołnierzy. Po Abie jednak nie było śladu.

Wraciałem właśnie z jednej z takich wypraw. W „Meteorze” poza mną znajdował się Jurek. Ewa, Gvili i jeszcze kilka dzieciaków z plemienia Anaku. Sunęliśmy właśnie nad wysepkami „bobrowego ogona”, Ewa bowiem chciała przed zachodem słońca odwiedzić Umpe.

— Już jej dwa dni nie widziałam, pewnie strasznie za mną tęskni — oświadczyła.

Byliśmy już niedaleko naszego dawnego obozowiska, gdy bystrooki Gvili dostrzegł „Strzałę”, stojącą na kotwicy w wąskiej cieśninie. Zamiast lecieć ku niej wprost, zatoczyłem koło i szybowałem ponad samymi wierzchołkami drzew. Biło mi mocno serce: „zaraz zobaczę Dorotę.” — myślałem...

Sunęliśmy teraz tuż nad powierzchnią zatoki, ostro wcinającej się w ląd. U wejścia do niej stała „Strzała”. Jej załoga, nic nie wiedząc o zaszłych tu wypadkach, skryła okręt w labiryncie wysepek.

— Zaskoczmy ich — powiedziałem do towa-

rzyszy — bo gdyby nas z dala zobaczyli, zaczęliby pewnie strzelać, sądząc, że to nieprzyjaciel. Bądźcie cicho!

Lecieliśmy bardzo ostrożnie. Wtem przed nami dostrzegliśmy dwoje ludzi; po czerwonawej plaży szli w kierunku okrętu, nie spiesząc się, mężczyzna i kobieta. Ona miała śliczne, długie włosy barwy złota. On był wysoki, szeroki w barkach, obejmował ją czule ramieniem. Wracali prawdopodobnie z przechadzki.

— Dорти — szepnęła mi w ucho Ewusia.

Nie potrzebowałem objaśnień. Byli to Wiktor i Dorota. Szli przytuleni, najwidoczniej zakochani w sobie. Zrozumiałem, dlaczego Nara nie chciał, bym im wyjeżdżał naprzeciw musiał coś wiedzieć... lecz czemu mi tego od razu i po męsku nie powiedział?

Ogarnął mnie żal i gniew. Chciało mi się i płakać i śmiać szyderczo z samego siebie... Toś ty się chłopie po całym świecie za nią uganiał, szukał, martwił, a ona z innym!... Uczułem zalewającą mnie rozpaczliwą wściekłość. Całą siłą woli i rozumu opanowałem się, by nie wpaść na tych dwoje „Meteorem” i nie zmiażdżyć ich za mój zawód, za moją krzywdę...

Ewusia przygarnęła się do mnie. Dotknęła

mojej ręki.

— Nic to, Andrzeju — szepnęła prawie niedo-  
słyszalnie — nic to... nie ona jedna na świecie...

Dobra, kochana mała.

Nacisnąwszy pedał wzniosłem szklaną kulę.  
Zatoczyliśmy ponownie szeroki łuk i wylądowa-  
liśmy na pokładzie „Strzały” niespodzianie dla  
załogi.

— Andrzej!? — zabrzmiał gromki wykrzyknik,  
pełen zdumienia i radości.

Znalazłem się w objęciach piegowatego dry-  
blasa, którym był Jacek, alias Paciorek.

— Toż to „Meteor”! — wykrzyknął ponownie  
młodzian, patrząc na nasz powietrzny wehikuł.

— A to Ewa — przedstawiła się dziewczynka,  
wyskakując z kuli. — Nie poznałeś mnie?

Przywitaliśmy się z resztą załogi, pośród której  
sporo było jeszcze towarzyszy wspólnych walk o  
Lejlę. W krótkich słowach zdałem sprawozdanie  
o zaszłych wypadkach.

— Nie potrzebujecie się więc ukrywać — koń-  
czyłem — ani szykować do bohaterskich bojów.  
A teraz powiedz, Jacek, co z tobą słyhać, a  
przecie wszystkim, jak się ma Imla?

— Ona! Doskonale... i wiesz, spodziewa się  
dzidziusia. Jeśli będzie chłopiec, nazwiemy go

Jędrusiem, na twoją cześć.

— Ładna mi cześć: na pewno będzie piegowaty jak jego ojczulek...

— Niekoniecznie, może odziedziczy urodę po matce.

— A to co innego... ale nie martw się: nawet z piegami będę go kochał jak ciebie.

Paciorek spoważniał. Odciągnął mnie na bok.

— Wiesz? — rzekł. — Tu jest Wiktor i Dorota. Poszli się przejść... no, co tu dużo kręcić. Powiem ci prosto z mostu, że ci Wiktor dziewczynę zbałamucił... mają co prawda troszkę wyrzutów sumienia i Dorota...

— Gotowa jest zrobić ofiarę — dodałem za niego. — Widziałem przed chwilą, jak szli przytuleni do siebie i domyśliłem się wszystkiego... szczęść im Boże!

— Przyjechaliśmy do amgów z ojcem Piotrem na pokładzie, żeby nawrócił tych czarodziejów. Zastaliśmy Dorotę, którą tam właśnie przenieśli tajemną sztuką. Była chora, słaba. Wiktor się nią zaopiekował, jak zresztą powinien był.

— Amgowie by nie wystarczyli? — mruknąłem więcej do siebie niż do Paciorka.

— Może masz i rację... Dość że ją zabawiał, przynosił kwiaty, nie odstępował i tak się zaczę-



ło. Najprzód walczyli z uczuciem, bo oboje chcieli być lojalni wobec ciebie, ale ich tam trochę ojciec Piotr, a przede wszystkim amga-amga rozgrzeszyli. Xudri twierdzi, że tak właśnie było przeznaczone...

— Coś mi on zbyt sam owym „przeznaczeniem” kręci — odparłem — lecz ponieważ ocalił mi życie, nie będę nań narzekał. I może naprawdę wie, co dla nas lepsze.

W kwadrans później wchodzili na pokład Wiktor i Dorota, ścisnęło mi się serce na widok dziewczyny. Dorota wyglądała śliczniej niż kiedykolwiek. Tak ładnie jej było z tym zmieszaniem widocznym na twarzy gdy mnie niespodzianie ujrzała. I Wiktor się stropił.

Wyciągnąłem ku nim ręce.

— Jak się macie? — powiedziałem najbardziej swobodnym tonem, na jaki mogłem się zdobyć. — Mam dla ciebie, Dorti, radosną wiadomość: twój ojciec jest wolny, przemieniony wewnętrznie, znajduje się z Narą w Kamiru...

Dorota wyminęła Wiktora i schwyciła mnie mocno za rękę.

— O, Andra! — powiedziała bardzo cicho.

W jej spojrzeniu była i radość i niepewność. W kącikach oczu kręciły się łzy. Uścisnąłem ser-

decznie Wiktora, po czym we trójkę poszliśmy do jednej z kabin. Była to ta sama, w której kiedyś uśpiłem Dorotę, bojąc się, by mnie nie zdradziła.

— Wiem już wszystko o was — zwróciłem się do obojga, gdy drzwi się za nami zamknęły — życzę wam szczęścia! Nie róbcie sobie zbyt wielu skrpułów... ostatecznie przecież nie byliśmy z Dorotą formalnie zaręczeni, a nawet gdyby...

— O, Andra, mnie tak bardzo przykro... — odezwała się Dorota — my byśmy nie tego... gdyby nie to, że ojciec Piotr i Xudri...

— Wiem, wiem — przerwałem jej — daj spokój, wszystko jest w porządku... Nie myślcie, że ja jestem znów tak bardzo pokrzywdzoną istotą. Owszem, szukałem cię, Dorti, ale w towarzystwie aż siedmiu pięknych Gracji i kochałem się we wszystkich naraz... No, dawajcie pyska i niech wam Bóg błogosławi!

Dorota wycisnęła na moim policzku mocny i mokry od łez pocałunek (tak zwany „pogrzebowy” — pomyślałem), potem Wiktor o mało mnie nie udusił.

Zostawiwszy małych Anaku na pokładzie „Strzały”, zabrałem na ich miejsce do „Meteoru” Wiktora i Dorotę i przewiozłem do plantacji. By-

łem po drodze bardzo rozmowny, żartowałem, jednak w głębi duszy było mi bardzo smutno. Wiktor promieniał, lecz Dorota była markotna.

Ponieważ Wyspa Kryształowa (taka była jej oficjalna nazwa) podlegała nominalnie Lejli, Wiktor objął teraz na niej faktyczne rządy, osadzając w plantacji Jerzego i Mary, którzy o to prosili.

W parę dni po przyjeździe „Strzały” Takila pod komendą Kiniego odpłynęła w kierunku Nowego Krakowa. Mój druh i Mewy chcieli się uczyć. Szczególnie Kini przed projektowanym małżeństwem z Zulą pragnął gorąco podciągnąć się do poziomu jej wiedzy. „Strzała” w dzień po nich ruszyła do Lejli. Ja natomiast zabrałem Jerzego i Mary oraz Jurka i Ewę do „Meteoru” i pofruNELiśmy na Ava-Nari, gdzie ku naszej radości zastaliśmy Ojca Piotra.

— Witaj Odyseuszu! — zawołał kapłan na przywitanie, gdy ujrzał mnie przed sobą.

— Jaki tam ze mnie Odyseusz — odpowiedziałem smętnie. — Napodróżowałem się, to prawda, ale nie dotarłem jeszcze do swej Penelopy. Podczas gdy wszyscy inni herosi ustatkowali się i zakładają domowe ogniska, ja się wciąż włóczę i szukam... sam nie wiem czego...

— Czy naprawdę tak bardzo żałujesz, żeś się dotąd nie stał zwykłym zjadaczem chleba? — odparł ksiądz. — Czy te wszystkie przygody i ten zawód ostatni nie uczyniły cię bogatszym wewnątrznie, dojrzalszym?

Wzruszyłem niechętnie ramionami.

— Ach, ojcie — rzekłem — wszystko to wiem, uznaję... Więcej nawet: odkrywam za tym wszystkim, co mnie spotyka, rękę Bożą... Przebolełem też już Dorotę choć mnie jeszcze czasem zazdrość gryzie i zraniona miłość własna... ale to przejdzie, jak i dawniej przechodziło. Niemniej...

— Jest ci smutno i ciężko na sercu. Dobrze to rozumiem. Staraj się jednak nie patrzeć wstecz. Idź śmiało naprzód, cała jeszcze przyszłość przed tobą, a gotuje ci ją dobry Bóg.

Spotkałem ojca Piotra nad morzem, gdzie się przechadzał z różańcem w ręku. Za chwilę doszli do nas Jerzy i Mary oraz państwo Szwalkowscy. Rozmowa więc w cztery oczy urwała się, a zaczęło się ogólne opowiadanie przygód.

Ojciec Piotr z Wyspy Amgów przybył tu na plantację Szwalkowskich, gdzie w plemienu Abvangów znalazł grunt przygotowany na przyjęcie chrześcijaństwa. Wielu zresztą z nich było

już ochrzczonych poprzednio przez plantatorów.

Po ślubie i weselu Jerzego i Mary odwiozłem ich z powrotem na Wyspę Szklanych Gór, a sam udałem się do amgów. Świat mnie nie kuślił. Czubem się jeszcze rozbity i sponiewierany przez los. Pod opieką Xudriego miałem nadzieję szybciej przyjść do siebie.

Staruszek przyjął mnie bardzo serdecznie.

— Dziękuję za moje ocalenie, za ocalenie Doroty — powiedziałem ściskając jego prawicę — czy jednak nie mogłeś jej przenieść w jakie inne miejsce, gdzie by się nie spotkała z... — Takie było przeznaczenie — odparł uśmiechając się trochę zagadkowo.

— Coś mi zbytnio naciągasz owo „przeznaczenie” i mieszasz się w sprawy Opatrzności...

— Jeśli ta sama Opatrzność posługuje się na przykład lekarzem w uzdrawianiu choroby dlaczego nie miałyby się posługiwać i naszym „czarodziejstwem”. Mamy pewien wgląd w głąb duszy ludzkiej, możemy nieraz zerkać w przyszłość. Wykorzystujemy to dla dobra bliźniego, podobnie jak lekarz wykorzystuje znajomość organizmu. Staramy się pomóc. Nie powiedziałem ci, co cię czeka, bo trzeba było, byś to wszy

stko przeżył, stał się bogatszym duchowo.

Przerwałem mu:

— Umówiliście się z ojcem Piotrem, czy co? Jeden i drugi wmawia we mnie owe duchowe bogactwo, ja tymczasem wcale się nie czuję bogatym. Wręcz odwrotnie.

— Amga–amga zignorował moją uwagę i ciągnął dalej:

— Nie uprzedziłem cię więc o przygodzie Kinniego, nie powiedziałem, gdzie jest Dorota, nie odkryłem ci tego, że pokocha Wiktora, bo trzeba było, byś jej szukał, walczył, zmagał się ze sobą i przeciwnościami. Uratowałem cię natomiast z morskich przepaści, bo musisz jeszcze pożyć na tym Bożym świecie. A co do twej miłości...

Xudri zamyślił się przez chwilę.

— I z Dorotą mogłoby się twoje życie ułożyć szczęśliwie — przyznał — na ile to w ogóle jest możliwe w życiu, ale ona była bardziej potrzebna Wiktorowi, a Wiktor jej. Wyście już swoje zadanie wobec siebie wypełnili...

— A co będzie dalej ze mną?

Xudri uśmiechnął się takim swoim przedobrym uśmiechem.

— Zobaczysz... niedługo.

Nie udało mi się na ten temat nic z niego wyciągnąć. Natomiast gdy spytałem go, czy wie coś o losach Aby, którego dotąd nie mogliśmy odnaleźć, odparł, że chłopak żyje. Po rozgromieniu partyzantów Doroty przez Roberta puścił się w niewielkiej łodzi na morze i szczęśliwie dotarł do Lejli. Ucieszyłem się ogromnie tą wiadomością.

Nie był to koniec moich pytań, stawianych amdze. Poprosiłem go między innymi o wyjaśnienie, dlaczego Joasia po burzy grawitacyjnej wykazywała zdolności telepatyczne.

Xudri odpowiedział, że właściwie wszyscy ludzie posiadają utajone własności parapsychiczne, ale są one zazwyczaj zablokowane przez samą naturę która nie chce, by się rozwinęły przedwcześnie. Jak dziecku nie daje się zapalek do zabawy, tak na przykład zdolność czytania w ludzkich myślach u osobnika niedojrzałego duchowo byłaby bardzo niebezpieczna. Dopiero gdy dama jednostka poprzez pracę nad sobą dochodzi do opanowania namiętności i do wewnętrznej harmonii, właściwości parapsychiczne poczynają się ujawniać. Występują wtedy zjawiska lewitacji, widzenia na odległość, przepowiadania przyszłości, bilokacji itp.

Te same co prawda zjawiska można nieraz zaobserwować u ludzi bardzo dalekich od doskonałości duchowej. U takich jednostek mechanizm blokujący doznał jakiegoś uszkodzenia z niewiadomych przyczyn. Można też otworzyć ową „klapę bezpieczeństwa” i czasowo wytworzyć pewne stany parapsychiczne przez zastosowanie sztucznych środków.

Tak było z tymi grzybami, po spożyciu których „zawędrowałem” na Ziemię, a następnie do zatoki, gdzie ujrzałem Dorotę. Podobnie burza grawitacyjna musiała działać „odblokowujące”, dzięki czemu w bardziej uzdolnionej w tym kierunku Joasi wyzwalały się zdolności telepatyczne.

Pragnąłem u amgów znaleźć spokój i odprężenie, tymczasem od pierwszego dnia pobytu wyczuwałem u nich atmosferę napięcia. To nauki ojca Piotra wniosły zamęt i niepokój do harmonijnej dotąd zbiorowości czarowników. Słowo Ewangelii było owym mieczem, który rozdzielił ich społeczność na tych, którzy uwierzyli i na tych, którzy wahali się, lub otwarcie odrzucili nową wiarę.

Byłem tym zdziwiony. Wydawało mi się przecież, że gdzie jak gdzie, ale u dobrych amgów,



którzy zachowali tyle światła pierwotnego objawienia, chrześcijaństwo powinno być się przyjąć doskonale. Spytałem o przyczynę rozdzielenia zacnego Boldu, któremu pomierzył mnie Xudri.

— Nasz amga-amga, ja i wielu innych — odparł — uwierzyliśmy od razu, ochrzcziliśmy się i czujemy się bardzo szczęśliwi. Dlaczego więc inni odrzucają prawdę? Niezbadane są tajniki duszy ludzkiej. Może u niektórych odgrywa rolę niechęć do wszystkiego, co nowe. Tak lubimy utarte ścieżki myślenia, na których nam było wygodnie i zdawało się bezpiecznie... Może niektórzy byli tak dumni z osiągnięć w opanowaniu siebie, że im trudno uznać, iż cała naturalna i własnym tylko wysiłkiem zdobyta doskonałość jest niczym wobec jednej isierki łaski Bożej... A wreszcie trzeba zrozumieć naszą kuwilińską umysłowość...

Szliśmy właśnie nad brzegiem błękitnego jeziora, pośród drzew, które zapraszają chyliły ku nam gałęzie, pełne soczystych owoców. Boldu zerwał dwie czerwone kule i podał mi jedną z nich. Ze smakiem zagłębiłem zęby w słodkim mięszu. Czarownik wskazał kamienną ławeczkę, na której usiedliśmy. Zanosilo się na dłuż-

szy wykład. Rzeczywiście opowiedział mi dużo ciekawych rzeczy, które tu podam w streszczeniu.

Pierwsza karmirsko–kuwilińska partia przodków obecnych Wenusjan, która opuściła Ziemię, przyniosła ze sobą ideę jedynego Boga — Masse–Teneke. Monarchy i Ojca. Te wierzenia wpłynęły na cały ich ustrój polityczno–społeczny. Był to ustrój patriarchalnym, w którym zdecydowaną przewagę miał mężczyzna, choć i kobieta była szanowana jako towarzysza jego życia i matka jego dzieci. Rasa ta miała głębokie wyczucie sprawiedliwości, posłuch dla prawa, zamiłowanie do służby społecznej oraz cześć dla godności człowieka.

Druga fala przybyszów z Ziemi to przodkowie dzisiejszych Nauińczyków. Wyznawali oni zupełnie odmienną religię. Głównym ich bóstwem była bogini Egijja — zbiorowisko sprzeczności: matka życia i śmierci, bogini miłości i nienawiści, raz wdzięczna i słodka, to znowu pełna okrucieństwa. Jej mężem był bożek Boraj, który wyszedł z głębokości podziemi, stale ginący i odradzający się. Poza tym Panteon nauiński wypełniało mnóstwo pomniejszych bóstw, wzajemnie ze sobą współzawodniczących.

Pod wpływem takich wierzeń wytworzył się dziwny ustrój matriarchalny, który u rozmaitych plemion przybierał różne kształty. Zetknąłem się z nim u Brabajów, gdzie rządziła królowa, a jej mężowie ginęli jeden po drugim i nie posiadali żadnej władzy. Okrutna była ich bogini, okrutni byli też i jej wyznawcy, uprawiający ludożerstwo, kochający się w rozlewie krwi dla samej żądzy zabijania.

Te dwie kultury ścierały się ze sobą na Wenus przez wieki. Nie było nigdy między nimi współżycia, lecz walka nieubłagana.

Moi dobrzy amgowie byli wszyscy Kuwilińczykami, uważali religię nauińską, za dzieło szatana. Wypędzili Hazę, który, nie będąc czystej Kuwilińskiej krwi, przechylił się z czasem na stronę Egijji i Boraja. Początkowo słuchali ojca Piotra z uznaniem, gdy mówił im o jedynym, a nawet i troistym Bogu, ale przecież Bogu tak bardzo „męskim”, patriarchalnym. Dopiero gdy kapłan doszedł do Odkupienia, do Matki Najświętszej, do Chrystusa zabitego i zmartwychwstałego, zagotowało się pośród przychylnego dotąd audytorium. Wydawało im się że za dużo w tym wszystkim elementów nauińskich. Wyższe umysły jak Xudri lub Boldu od razu do-

strzegły, że katolicyzm jest niejako uszlachetnioną syntezą obu wierzeń, niesie rozwiązanie tysiącletnich konfliktów, braterstwo obu ras. Ciaśniejsze jednak mózgi buntowały się i odwracały od prawdy.

Dlatego też ojciec Piotr przeniósł się na Ava-Nari, mając nadzieję, że w czasie jego nieobecności burza przycichnie, umysły się uspokoją, a wtedy łaska łatwiej dotrze do opornych. Rzeczywiście, kiedy przybyłem, głośnie spory już umilkły, wyczuwało się jednak wewnętrzną walkę w duszach. Podczas poprzedniego pobytu zdobyłem sobie sympatię niejednego amgi, to też teraz ten i ów zwracał się do mnie po wyjaśnienia nowych prawd. Służyłem jak mogłem swą wiedzą, starając się działać raczej perswazją, spokojnym, beznamiętnym wykładem, niż ognistym narzucaniem swych przekonań. Jednocześnie chłonałem nadal od amgow ich wiedzę i umiejętność. Po trzech miesiącach zacząłem nawet odczytywać tajemnice, zawarte w szklanych kulach. Dowiedziałem się mnóstwa ciekawych rzeczy, o których wszakże nie miejsce tu pisać.

Dobrze mi było u amgów, uspokoiłem się znacznie, wracała mi radość życia. Nie wiedzia-

łem wszakże, co dalej czynić, gdzie się udać. Kto inny jednak ułożył za mnie plany. Któregoś dnia, gdy zatopiony byłem w odczytywaniu historii o dwu spadłych wenusjańskich księżycach, Boldu położył mi rękę na ramieniu.

— Amga-amga chce cię widzieć — rzekł krótko.

Udałem się do czcigodnego starca.

— Nara przysłał po ciebie latający dysk — oświadczył — prosi, byś się udał do Kamiru.

— Czy mam jechać? — spytałem.

— To od ciebie zależy...

— Wiesz na pewno o co chodzi, więc możesz mi chyba poradzić.

Xudri uśmiechnął się.

— Jedź! — powiedział. — Za następnym razem nie ty mnie, ale ja ciebie odwiedzę... ani się nie spodziewasz, co cię czeka... żegnaj!

Był to ten sam latający dysk, który nas niedawno uratował. Podobnie jak uprzednio pilot wolał się nie ujawniać widzialnie, przemówił jednak na powitanie:

— Vajni! — rzekł. — Polecimy wolno i zatrzymamy się nad kilku ciekawymi miejscami. Chcę, żebyś zobaczył przede wszystkim Nową Warszawę. A może pragniesz odwiedzić po dro-

dze swoich przyjaciół na Lejli czy w Nowym Krakowie.

— Na razie nie — odparłem. — Leć, gdzie uważasz za stosowne.

Kabina pilota była zamknięta, lecz przez szybę dostrzegłem, jak na wielkiej tablicy niewidzialna ręka przerzucała dźwignie.

Miałem dość tej tajemniczości i ułożyłem sobie w myśli pewien plan. Po kilkunastu minutach lotu udałem się do jednej z kabin, przycisnąłem guzik wewnętrznego telefonu i wykrztusiłem zalamującym się głosem:

— Jest mi słabo, w głowie mi huczy... czy nie masz jakiegoś lekarstwa?... powiedz, gdzie jest, to sam dostanę... o jej, co się ze mną dzieje, oooo...

Jęknąłem przeraźliwie na zakończenie i wybiegłem z kabiny. Drzwi do korytarzyka, którym, pilot musiał iść, jeśli chciał mi przyjść z pomocą były zamknięte, a otwierały się do środka. Zaczaiłem się za nimi. Podłoga w całej wanie była wyłożona gąbczastym materiałem, uginającym się pod nogami. Patrząc na podłogę, można było wykryć obecność niewidzialnego.

Usłyszałem szelest za drzwiami. Ktoś przekre-

cił klamkę, ale nie wchodził. Widocznie nasłuchiwał. Wreszcie drzwi uchyliły się ostrożnie. Przywarłem do ściany z bijącym sercem. Jeśli zajrzy za drzwi lub otworzy je za szeroko i wyczuje za nimi opór mego ciała, z mojej strategii nic nie wyjdzie. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że mój plan miał bardzo kruche podstawy i należało wymyślić coś inteligentniejszego.

Niewidzialny jednak nie był za sprytny. Uchyliwszy drzwi rzucił zapewne okiem tylko w głąb korytarza, jasno oświetlonego. Ponieważ nie zobaczył tam nikogo, śmiało wszedł do wnętrza. Wpiłem wzrok w podłogę i dojrzałem ślady stóp. Gdy tylko mnie minął, skoczyłem z rozwartymi ramionami, uchwyciłem go w pól. Zanim zdołał przeciwdziałać, moja prawa ręka namacała pas i dwa guziczki przy nim. Nacisnąłem jeden z nich. Przed chwileczką trzymałem „próżnię”, teraz z moich rąk usiłowało się wyrwać widzialne ciało. Trzymałem jednak pilota mocno za pas prawą ręką, lewą zaś zdarłem mu hełm z głowy.

Wysypała się na ramiona złota fala włosów. W swoich objęciach trzymałem... Lenę. Przestała się wyrywać. Patrzyły na mnie badawczo wielkie niebieskie oczy. Pełne pąsowe usta rozchyliły się lekko jakby w niemym zapytaniu. Była bar-

dzo poważna.

A we mnie jakby piorun uderzył. Czułem, że się ze mną dzieje coś bardzo dziwnego. Wydało mi się, że w zawrotnym tempie cofa się cała przeszłość, aż do momentu, gdy przy pożegnaniu trzymałem w objęciach Lenę, podobnie jak teraz. W jednej chwili odżyło dawne serdeczne uczucie. Zrozumiałem, że jej nigdy właściwie nie przestałem kochać i nikogo innego kochać nie pragnę.

— Leno! — szepnąłem.

Dziewczyna nagie opuściła głowę.

— Czemu nie odpowiedziałeś na żaden mój list? — spytała cicho.

— Na list? Nigdy żadnego nie otrzymałem.

— To brzydki Nara ci ich nie doręczył. Pisałam do ciebie, Andra, tęskniłam... po moim powrocie Nara mi powiedział, że zapomniałeś o mnie i gdzie indziej zwróciłeś swoje serce... miałeś prawo...

— Czyś to ty nas uratowała?

— Tak.

— Dlaczego nie chciałaś się uwidzialnić?

— Nie rozumiesz? — spytała głosem zdziwionego dziecka. — Wróciłam z Fegildu prawie w tym samym czasie, kiedy Nara przyjechał z



Księżycu. Zaraz mnie wyprawił na poszukiwanie ciebie. Ze względu borkiem na delikatną sprawę Kobry, nie chciał wysłać kogo innego. Znalazłam najpierw Takilę, a potem was... Nie chciałam się pokazać tobie, bo po co, przecież i tak zapomniałeś.

Przycisnąłam ją silniej ku sobie.

— Nie zapomniałam. Usiłowałam co prawda, przyznaję. Sądziłem nawet, że mi się to udało, ale czy ja właściwie w Dorti nie szukałem ciebie?

Lena cofnęła się i znowu przyglądała mi się uważnie. Nagle uśmiechnęła się tak promiennie, iż zdawało mi się, że słońce wpadło do wnętrza latającego dysku.

— No, to może mi wreszcie powiesz, że mnie kochasz, boś dotąd mi jeszcze tego nigdy nie oświadczył... przynajmniej słowami.

— Kocham.

— Ej dzaj mini tenim (i ja cię kocham) — szepnęła po wenusjańsku i rzuciła mi się na szyję.

A potem, gdyśmy się wycalowali za wszystkie czasy, opowiadała mi swoim dawnym.— nieco trzpiotowatym i bezładnym stylem o swym pobycie na innej planecie, o studiach, tęsknocie

za Wenus i za niektórymi jej mieszkańcami. O moich przygodach bardzo dużo wiedziała, nie mniej wypytywała się o różne szczegóły w swoisty zabawny sposób.

W miłej rozmowie zapomnieliśmy o świecie całym. Jej odeszła chęć pokazania mi Nowej Warszawy i innych ciekawych miejsc, a i dla mnie wszystko się stało obojętne z wyjątkiem tej uroczej dziewczyny o wdzięcznych dołkach na policzkach i srebrzystym głosiku. Trzeba było jednak kiedyś wrócić do rzeczywistości.

— Czy wiesz — zapytałem — po co mnie wzywa Nara?

— Chce ci powierzyć jakiś ważny urząd — nie zgódź się, póki nam nie pozwoli się pobrać. Jest teraz gubernatorem, to może zmienić to niemaądre prawo.

— W ogóle nie będę się go pytał. Pojedziemy do Ojca Piotra i da nam ślub bez żadnych trudności. Prawo naturalne stoi ponad prawem wymyślonym przez człowieka. Kto nam może zabronić małżeństwa, gdy oboje jesteśmy wolni i mamy wiek po temu?

— W razie czego — dodała Lena — uciekniemy na jakąś nieznaną planetę, gdzie nas żaden Nara nie znajdzie. Założymy tam nową rasę ludz-

ką jak Adam i Ewa.

— Oby tylko szczęśliwszą.

\* \* \*

Nara nie wydawał się zbyt zadowolony, gdy ujrzał nas oboje, wchodzących ręką w rękę do jego gabinetu.

— Nie wytrzymałaś — zwrócił się szorstko do Leny — i musiałaś się uwidzialnić?

— To Andra mnie „odwidzialnił” podstępem, ale to nic nie szkodzi, bo my się nadal kochamy. Zapraszam cię wuju na ślub, który odbędzie się jeszcze nie wiem gdzie i kiedy, lecz już bardzo niedługo.

Nara zbladł i uczynił taki ruch, ręką, jakby coś od siebie odpychał.

— Nie, nie — powiedział — nie możecie tego zrobić. Prawo...

— Prawo — wpadłem w jego słowa — które jest przeciwne prawu Bożemu, jest bezprawiem. Jesteś katolikiem i nie możesz nam zabronić małżeństwa dla waszych lokalnych przepisów, które zresztą czas najwyższy zmienić, bo są nieżyciowe. Jesteś teraz gubernatorem...

— Ależ ja wierzę we właściwość tej ustawy.

Kobra się ożenił wbrew prawu i ile z tego wynikało nieszczęścia?

— Nie dlatego, że się ożenił, tylko dlatego, że prawo było niesprawiedliwe...

— Dość, dość tego, młody człowieku. Chciałam cię uczynić inspektorem rozbrojenia na całej planecie, zawdzięczam ci dużo. Ale, ale... a idźcie teraz! Muszę to wszystko przemyśleć... Masz rację, że jako katolik nie mogę wam właściwie zabronić małżeństwa, lecz z drugiej strony jestem Wenusjaninem...

— Ach wujku — wtrąciła się do dyskusji Lena — gdybym miała zdradzić wenusjańskie tajemnice, to i bez małżeństwa z Andrą mogłabym je mu ujawnić... Co prawda niewiele, by mu z tego przyszło, bo i ja niewiele wiem.

— Zgoda, zgoda, ale co to byłby za skandal, gdyby siostrzenica gubernatora złamała ustawę... najprzód brat, a teraz znowu... no, idźcie, idźcie, jeszcze się zastanowię. Może znajdę jakie rozwiązanie.

— Biedny Nara — zwróciłem, się do Leny, gdyśmy wyszli — daliśmy mu ciężki orzech do zgryzienia. Ciekaw jestem, co w nim przeważa.

Lena przysunęła się i ujęła mnie za rękę.

— Znając go dobrze, trochę się boję...

## Epilog

Do obszernego pokoju wpadało przez otwarte okno słońce, ziemskie słońce. Od niedalekiego oceanu dochodził pomruk fal. Atlantyck szumiał. Leżałem wygodnie w łóżku i czekałem na śniadanie, które mi miała przemieść za chwilę poczciwa gospoia Andzia.

Dwa miesiące temu znaleziono mnie odrapanego, niepoczytalnego, błakającego się po dżungli na jednej z wysp antylskich tam, gdzie niegdyś szukałem z wujem zatopionego galeonu. Długie tygodnie w szpitalu wróciły mi świadomość otaczającego świata. Kompletna jednak amnezja pokryła pamięć od chwili, kiedy ucie-

kając przed kulami docierałem do skały oświetlonej księżycowym światłem. Z mojej świadomości znikły zupełnie lata, które, jak twierdzono, spędziłem w dżungli na poziomie dzikiego zwierzęcia.

Było trochę sensacji w gazetach, gdy mnie odkryto. I teraz jeszcze mój dobry wuj przepędzał reporterów, którzy raz po raz zaglądali do domu w Miami, gdzie spędzałem okres rekonwalescencji. Adwokat Smitha, Thompsona i innych bandytów, których wuj ze Stanleyem zdołali obezwładnić i oddać w ręce prawa, zażądał rewizji skazującego wyroku wobec faktu, że domniemana ofiara ich zbrodniczości żyje.

Fizycznie czułem się doskonale. Psychicznie natomiast męczyłem się bardzo, usiłując na próżno zapełnić obrazami białą plamę w myśli. Czasem zdawało mi się, że już coś chwytam, że już coś widzę i przypominam sobie. Niestety było to złudzenie, żaden wysiłek nie dawał rezultatu, a powodował tylko ból głowy. Wuj z jednej strony obiecywał zabrać mnie do najlepszych psychiatrów i lekarzy, z drugiej wszakże perswadował: — Po co ci pamięć tych kilku lat? Może lepiej, że nie pamiętasz. Twoje życie w dżungli musiało być straszne i dlatego nastąpi-

ła amnezja. Pokryta ona zwykle to, o czym człowiek podświadomie pragnie zapomnieć.

Przyznawałem wujowi dużo racji, nie dawałem jednak za wygraną. Choćby przeżycia były najstraszniejsze, należały do mnie, stanowiły część mojej istoty i powinienem je znać. Ponadto miałem jakieś dziwne przekonanie, że było to coś innego niż pobyt w dżungli na poziomie zwierzęcym. Stale miałem wrażenie, że zostałem z czegoś nagle wyrwany i nie dokończyłem czegoś bardzo ważnego.

Leżałem teraz w łóżku i czekałem na śniadanie, żałowałem, że się już obudziłem. Nie mogłem się bowiem oprzeć wrażeniu, że we śnie jestem bliższy sobie, niż na jawie. Niezwykle też nieraz rzeczy widziałem w sennych widziadłach... Ale co to? Czyż ponownie zasnąłem?

Po środku pokoju stała zjawa. Nie mógł to być człowiek z krwi i kości, gdyż widziałem przez niego ścianę i meble. Łysego, niskiego i okrągłego osobnika okrywała złoto-czerwona wężowa skóra. Spod porysowanego bruzdami czoła patrzyły na mnie życzliwie mądre oczy. Usta uśmiechały się przyjacielsko. Zjawa przemówiła cicho:

— Vajni, Andra!

Automatycznie odpowiedziałem:

— Vajni!

Rozumiałem, że było to pozdrowienie. Byłem zarazem przekonany, że już kiedyś widziałem tego człowieka.

— Kili p'massevu? — dodałem, wiedząc, że pytam się kim jest. Jednocześnie byłem niezwykle zdziwiony znajomością języka, którego się nigdy nie uczyłem. Po jakiemu ja mówię?

— Ach, tobie przecież odebrali pamięć — padały obce dźwięki, których sens jednak był mi zupełnie jasny. — Nara nieładnie postąpił. Nie martw się wszakże, może będziemy mogli ci pomoc. Przyszedłem cię odwiedzić, jak obiecałem. Jest to dla mnie pierwsza okazja zobaczenia Ziemi. Zawędrować mogę tylko tam, gdzie jest ktoś, z kim łączą mnie serdeczne więzy. Dotąd nikogo stąd nie znałem.

Dziwny gość z zaświatów zamilkł i spoglądał na mnie z uśmiechem. Nie wiedziałem, co sądzić: sen to czy jawa, a może powrót szaleństwa? W pierwszej chwili przeląknęłam się bardzo tej zjawy, teraz jednak zapomniałem o strachu: czułem, że mam przed sobą klucz do zagadki, co się naprawdę działo ze mną przez ostatnie lata. Chciałem już pytać, gdy starzec podjął



przerwany monolog:

— Muszę już iść. Gdy mnie będziesz potrzebował, staraj się skoncentrować i przesłać mi swoją myśl. A teraz, może to i lepiej, że nic nie pamiętasz. Byłoby ci trudno żyć tutaj, wiedząc, że... i tak by ci nikt nie uwierzył. Muszę już iść, lecz powiem ci jedno: szukaj dziewczyny, która potrafi się porozumieć z tobą tym samym językiem, jakim ja teraz przemawiam. I ją to same spotkało co ciebie. Jak się spotkacie, zwróć wam pamięć. Bądź zdrow! Kanari!

Zjawa skierowała się ku drzwiom. Zniknęła w nich. W tej samej chwili usłyszałem przeraźliwy okrzyk i brzęk rozbijanych talerzy. Wyskoczyłem z łóżka i nakładając w biegu szlafrok pot ległem u drzwi. Otworzyłem je na oścież. Na środku korytarza stała biedna Andzia ze szczątkami mego śniadania u stóp. Była blada, trzęsła się jak galareta.

— Duch, duch, widziałam ducha! — zawołała na mój widok — wyszedł z twojego pokoju, taki stary...

A więc zjawa nie była tylko wytworem, mego umysłu.

Na tym kończy się opowiadanie o Andrze porwanym w przestrzeń. Jego dalsze przygody na

Ziemi i nie tylko na Ziemi, jeśli będą spisane,  
ukazą się już w innej książce.